

Åke Edwardson

TANIEC Z ANIOŁEM

Przełożyła Alicja Rosenau

Tytuł oryginału: DANS MED EN ÄNGEL

Wydanie I

ISBN: 978-83-7554-425-1

Czarna Owca Warszawa 2011

Moim braciom
Podziękowania dla
Bendiksa, Rity,
Dana, Tullego, Andersa,
Lassego, Görana,
Bengta i Cliffa

TO BYŁ RUCH, którego chłopiec już nie był w stanie wykonać. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy nastąpiło pogorszenie. Teraz ten ruch był jak cień.

Zrozumiał. Próbował podejść do południowej ściany, ale ruch był raczej kierunkiem w jego głowie. A kiedy uniósł podbródek, żeby spojrzeć w stronę, z której dźwięk...

Znów poczuł zimno wzdłuż pleców, między łopatkami i poniżej zrobiło się bardzo zimno, potem ciepło. Pośliznął się na podłodze i upadł, uderzając się w biodro. Ślizgał się po podłodze. Jego ciało nie miało się na czym zatrzymać.

Słyszał głos.

Jest we mnie głos, który mnie woła. To ja nim jestem, pomyślał. Rozumiem. Teraz odsunę się od ściany, a jeśli zrobię to ostrożnie i po cichu, nic mi się nie stanie.

Mamo. Mamo!

Brzęczący dźwięk, jak podczas pauzy, kiedy przed oczami nic się nie dzieje. Nie mógł się od tego dźwięku uwolnić. Nie wiedział, co to jest.

Odejdź.

Odejdź stąd.

Rozumiem. Znów czuję chłód i patrzę w dół na swoją nogę, ale nie wiem, która to jest. Widzę ją. W pokoju jest jasno. Przedtem tak nie było, ale kiedy zrobiło się zimno, zapaliło się światło, i to tak jasne, że za oknem zrobiła się noc.

Słyszę samochód, ale on odjeżdża. Nic się tu nie zatrzymuje.

Odejdź ode mnie. Odejdź!

Jeszcze był w stanie się sobą zająć, a gdyby został sam, mógłby chodzić po pokoju i dojść do drzwi. Tamtędy wszedł, a mężczyzna wyszedł jeszcze raz, żeby przynieść rzeczy, wrócił i zamknął drzwi, a potem zapadła noc.

Ciągle słyszał muzykę, ale nie mogła wychodzić z niego, ze środka. Puszczali Morrisey'a. Wiedział, że tytuł płyty pochodzi od nazwy dzielnicy miasta po tej stronie rzeki.

To nie było daleko stąd. Wiedział dużo takich rzeczy. To był jeden z powodów.

Znów usłyszał muzykę, nieco głośniejszą. Nie było już słychać brzęczenia.

Światło się nie zmieniło. Powinno go boleć w środku, w ciele.

Nie czuję, żeby mnie to bolało, pomyślał. Nie jestem zmęczony. Mogę odejść, jeśli tylko uda mi się stanąć na nogi. Spróbuję coś powiedzieć. Minęła chwila. To tak jak przy zasypianiu nagle coś wyrywa człowieka ze snu, jakby wydobywał się z głębokiej otchłani. Tylko to jest ważne. Potem się boi, nie może znowu zasnąć. I kiedy tak leży, prawie nie może

się ruszyć, właśnie wtedy. Chce się ruszyć, ale to niemożliwe.

Potem już nie myślał za dużo. Jakby wszystko, co przewodzi impulsy myślowe, kable i przewody, zostały przecięte, a myśli wyciekły przez nacięcia i rozbiegły się bezładnie po głowie, a krótką chwilę później wypłynęły wraz z krwią.

Wiem, że to krew, i to moja. Rozumiem. Już nie jest mi tak zimno, może to się skończyło. Myślę o tym, co będzie dalej.

Wiem, że się podniosłem, z jednym kolaniem w górze, drugim opartym o podłogę. Patrzę prosto w światło i tak odsuwam swoje ciało pod ścianę, w cień.

A równocześnie czuję, że coś się zbliża z boku, a ja się od tego odsuwam. Może mi się uda.

Spróbował dostać się do schronienia, które gdzieś tam na niego czekało. Tymczasem muzyka rozbrzmiewała głośniejsz. Wokół niego wszystko się ruszało, w różne strony, upadał, był dźwigany do góry, czuł, że coś unosi go w górę i na boki. Widział, jak sufit i ściany suną ku niemu. Nie umiał powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Potem nie było już muzyki.

Ostatnia nić trzymająca myśli razem pękła. Zastąpiły ją marzenia i resztki wspomnień, które zabrał ze sobą, kiedy wszystko się skończyło i zapadła cisza. Potem rozległy się kroki. Oddalały się od miejsca, gdzie siedział, opierając się szczupłym ciałem o krzesło.

TO BYŁ ROK, który nie chciał odpuścić. Kręcił się wkoło, kąsał własny ogon jak jakiś piekielny wściekły pies. Tygodnie i miesiące były dwa razy dłuższe.

Z tego miejsca, gdzie Erik Winter stał, wyglądało to tak, jakby trumna unosiła się w powietrzu. Słońce wdzierало się przez okno po lewej stronie i światło przenosiło trumnę z katafalku na kamienie posadzki. Wszystko było tylko prostokątem światła, tylko tyle widział.

Słyszał psalmy o śmierci, ale nie poruszał wargami. Otaczał go krąg ciszy. To nie była obcość. Nie była to też jakaś szczególna żałoba, przynajmniej nie od razu. To było inne uczucie. Wiązało się z samotnością i tą przestrzenią, która powstaje, kiedy dłoń rozluźni chwyt.

Nie ma już ciepła, które pochodzi od krwi, pomyślał. Jakby droga powrotna zarosła.

Erik Winter wstał wraz z innymi, wyszedł z kościoła i odprowadził trumnę na cmentarz. Kiedy na drewniane wieko spadła ziemia i wszystko się skończyło, stał przez chwilę nieruchomo, aż poczuł na twarzy zimowe słońce. Było jak dłoń zanurzona w letniej wodzie.

Szedł powoli ulicami biegnącymi na zachód, do przystani promowej. Teraz, kiedy w ciele człowieka skończyła się wojna, spoczywa wreszcie w spokoju. Wszystko jest historią, a ja zaczynam czuć wielki smutek. Najchętniej przez jakiś czas robiłbym wielkie nic. A potem chciałbym wyplewić chwasty ze ścieżek przyszłości, pomyślał i posłał coś w rodzaju uśmiechu w stronę nisko wiszącego nieba.

Wszedł na prom. Wspiął się po schodach i stanął na pokładzie samochodowym. Wjeżdżały nań samochody pokryte czarnym śniegiem. Panował tu piekielny hałas, musiał zasłonić dłonią lewe ucho. Kiedy trumnę składano do grobu, zdjął skórkowe rękawiczki, ale teraz znów je założył. Było zimniej niż kiedykolwiek przedtem.

Stał samotnie na pokładzie. Prom powoli odbijał od wyspy. Kiedy mijali niewielki falochron, Winter pomyślał przelotnie o śmierci, o tym, że życie toczy się dalej, jeszcze długo po tym, jak straci sens. Ruchy są te same, ale sensu brakuje.

Stał tak, aż domy za rufą stały się tak małe, że mógłby je zmieścić w dłoni.

W niewielkim barze siedzieli ludzie. Towarzystwo na prawo sprawiało wrażenie, jakby chciało zaraz wybuchnąć pieśnią o wolności, ale tylko przeniosło się pod wielkie okna.

Winter na razie nic nie pił. Siedział pochylony nad stołem i czekał, aż psalmy w jego głowie ucichną. Potem zamówił filiżankę kawy. Jakiś mężczyzna dosiadł się do niego. Winter wyprostował się na całą długość.

– Czy mogę panu postawić kawę? – zapytał.

– Oczywiście – odparł mężczyzna.

Winter dał znak w stronę kontuaru.

– Chyba trzeba samemu przynieść – powiedział mężczyzna.

– Nie. Ona przychodzi.

Kobieta bez słowa przyjęła zamówienie. W przytłumionym świetle słońca jej twarz wydawała się przezroczysta. Winter nie widział, czy patrzy na niego, czy na wieżę kościelną we wsi, którą właśnie mijali. Zastanawiał się, czy dźwięk dzwonów słychać po drugiej stronie albo na promie płynącym w stronę wyspy.

– Chyba się skądś znamy – powiedział, odwracając krzesło w stronę mężczyzny siedzącego przy stoliku.

– Też mam takie wrażenie – przyznał tamten.

Dziwnie trzyma nogi, pomyślał. Chyba niewygodnie wysokiemu człowiekowi przy takim stoliku. Wygląda, jakby go coś bolało. To chyba nie jest wina światła na twarzy.

– Nasze drogi krzyżowały się już co najmniej raz – stwierdził Winter.

– To prawda.

– To się nigdy nie kończy.

– Nie.

– Jest nasza kawa – powiedział Winter, przyglądając się, jak kelnerka stawia filiżankę przed komisarzem policji kryminalnej Bertilem Ringmarem. Znad kawy para unosiła się do twarzy Ringmara. Na wysokości czoła rozrzedzała się i rozpływała kolistnie wokół głowy. Wygląda jak anioł, pomyślał Winter.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Płynę promem i piję kawę.

– Dlaczego zawsze tak uważamy na słowa, kiedy rozmawiamy ze sobą? – rzucił Winter.

Bertil Ringmar upił łyk kawy.

– Myślę, że jesteśmy bardzo wyczuleni na znaczenie słów – odparł i odstawił filiżankę na blat stolika. Winter widział jego twarz odbitą w szkle do góry nogami. Tak wygląda

korzystniej, pomyślał.

– Odwiedziłeś Matsa? – zapytał Ringmar.

– W pewnym sensie.

Ringmar się nie odezwał.

– On nie żyje – dodał Winter.

Bertil Ringmar chwycił filiżankę. Czuł mieszaną zimną i gorącą, ale nie wypuścił jej z dłoni.

– To była piękna uroczystość – powiedział Winter. – Nie wiedziałem, że miał tylu przyjaciół. Tylko jednego krewnego, ale wielu przyjaciół.

Ringmar milczał.

– Myślałem, że w kościele będą sami mężczyźni, ale było też dużo kobiet – mówił dalej Winter. – Właściwie głównie kobiety.

Ringmar wyglądał przez okno. Patrzył na coś za plecami Wintera. Winter zgadywał, że na wieżę kościelną.

– To potworna choroba – powiedział Ringmar i przeniósł wzrok na Wintera. – Mogłeś zadzwonić, gdybyś chciał.

– W środku urlopu na Kanarach? Mats był moim przyjacielem, ale sam sobie poradziłem z żalobą. Zresztą może dopiero teraz się zaczyna – stwierdził Winter.

Siedzieli bez słowa, wsłuchując się w odgłos silników.

– Były też inne choroby – odezwał się Winter po chwili. – W końcu zabiło go zapalenie płuc.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak.

– Już od dawna miał to cholerstwo.

– Wiem.

– Niech to szlag.

– Przez jakiś czas myślałem, że wierzy, że mu się uda.

– Powiedział ci?

– Nie. Ale domyślałem się, że przez pewien czas tak sądził. Wola może wystarczy, kiedy wszystko inne już wysiadło. Przez kilka minut ja też w to wierzyłem.

– Aha.

– A potem wziął na siebie zbiorową winę. A potem nastąpił koniec.

– Czy nie mówiłeś kiedyś, że chciał zostać policjantem? Kiedy był młody?

– Tak mówiłem?

– Wydaje mi się, że tak.

Winter odgarnął włosy z czoła. Zatrzymał dłoń na gęstych pasmach na karku.

– Może jak ja zaczynałem szkołę policyjną – powiedział. – Albo kiedy wspominałem, że będę się starał.

– Może.

– To dawno temu.

– Tak.

Kadłub statku drgnął, jakby zdrzemnął się w zatoce, a teraz ktoś zakłócił mu odpoczynek. Ludzie zaczęli zbierać wokół siebie manatki, mocniej otulali się płaszczami przed zejściem na ląd.

– Byłby przecież mile widziany – powiedział Ringmar, spoglądając na łokieć Wintera. Ten puścił włosy i położył dłonie na stoliku.

– Czytałem, że w Anglii szukają homoseksualnych policjantów – powiedział Ringmar.

– Chodzi im o nowe stanowiska dla homoseksualnych policjantów czy chcą gejów szkolić na policjantów? – zapytał Winter.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Przepraszam.

– Społeczeństwo wielokulturowe jest w Anglii bardziej rozwinięte – powiedział Ringmar. – To kultura rasistowska i seksistowska, ale rozumieją, że potrzebują różnych ludzi, także wśród policjantów.

– Tak.

– Może i my dostaniemy jakiegoś geja?

– Myślisz, że jeszcze nie mamy?

– Takiego, który miałby odwagę się przyznać.

– Gdybym był gejem, to teraz bym się przyznał, po dzisiejszym dniu – powiedział Winter.

– Mhm.

– Albo nawet wcześniej. Tak, chyba tak.

– Tak.

– To niedobrze trzymać się od tego na dystans. Jakby się ponosiło jakąś cholerną zbiorową winę. Ty też ponosisz tę winę – powiedział Winter, spoglądając na kolegę.

– Tak – zgodził się Ringmar. – Jestem winny.

Ludzie siedzący przy oknie panoramicznym znów sprawiali wrażenie, jakby zaraz mieli wykonać piosenkę o wolności, gdyby tylko nie byli tak obciążeni życiem. Prom minął

latarnię morską. Winter wyjrzał przez okno.

– Co byś powiedział na to, żeby wyjść na pokład i powitać miasto?

– Tam jest zimno – odparł Ringmar.

– Ja chyba tego potrzebuję.

– Rozumiem.

– Naprawdę rozumiesz?

– Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, Eriku.

Szary dzień osiągnął wiek średni. Pokład samochodowy lśnił matowo jak węgiel. Skały wokół kadłuba miały ten sam kolor co niebo. Wcale nie tak łatwo powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie, pomyślał Winter. Nagle jest się w niebie, wcale o tym nie wiedząc. Skok ze skały i już tam jesteś.

Kiedy kulili się pod mostem, był już wieczór. Wszędzie jarzyły się światła miasta. Boże Narodzenie minęło i śnieg tu i ówdzie zniknął. Dotkliwie zimno utrzymywało brzydotę w bezruchu, jak na fotografii.

– Kiedy ktoś pyta, mówisz, że najohydniejszy czas w roku to koniec stycznia, ale kiedy koniec stycznia nadchodzi, okazuje się, że nie jest wcale gorszy niż reszta – powiedział Ringmar.

– To prawda.

– To znaczy, że albo przez cały rok jest tak cholernie obrzydliwie, albo cały czas czujesz się jak król.

– Właśnie.

– Chciałbym być królem.

– Chyba nie jest aż tak źle?

– Dawno temu wydawało mi się przez jakiś czas, że jestem następcą tronu, ale tak nie jest.

Winter się nie odezwał.

– To ty jesteś następcą tronu – dodał Ringmar.

Winter milczał.

– Ile masz lat? Trzydzieści siedem? Trzydziestosiedmioletni komisarz policji kryminalnej. A może miałeś trzydzieści pięć, kiedy dostałeś to stanowisko? Przecież to się w pale nie mieści.

Odgłosy miasta stały się wyraźniejsze.

– Wszystko w porządku, Eriku – ciągnął Ringmar. – Wszystko w porządku. Ale gdybym sam miał jakieś nadzieje, to rozwiałyby się na tamtym spotkaniu.

- Na jakim spotkaniu?
- Dla wszystkich, którzy chcą zajść jeszcze dalej.
- Ach tak, to – powiedział Winter.
- Ty nie musiałeś tam być.
- Tak.

Winter przyglądał się samochodom na trasie dojazdowej. Przypominały mu wijącego się, hałaśliwego świetlistego robaka.

- Właściwie nie jestem karierowiczem – powiedział Ringmar.
- To dlaczego tak dużo o tym mówisz?
- Przepracowuję swoje rozczarowanie. To naturalne. Czasem ludzie tak robią, nawet ci, co są zadowoleni ze swojego skromnego losu.
- Przecież jesteś komisarzem policji, do cholery.

Ringmar nie odpowiedział.

– Przecież zajmujesz ważne stanowisko, jesteś ombudsmanem – powiedział Winter. – Nie jesteś królem, ale jesteś bohaterem – mówił dalej, wciągając nozdrzami wieczorne powietrze. Wiatr był jak gruba sól na jego twarzy. Prom uderzył o keję.

SZEDŁ ST JOHN'S HILL na wschód. Otaczały go odgłosy z Clapham Junction, ale prawie nic nie słyszał. Pociągi są teraz większe i szybsze, ale odgłosów wydają mniej, pomyślał.

Zaszedł do kawiarni i zamówił dzbanek herbaty. Potem usiadł przy oknie. Słyszał głosy robotników budowlanych siedzących w kącie. Hałaśliwe jedli śniadanie, ale nie przysłuchiwał się im. Za oknem przesuwali się ludzie, większość w drodze na wschód, w stronę Lavender Hill i domu towarowego. W Ardings i Hobbs zawsze jest festyn, pomyślał. Stworzyliśmy tutaj Harrodsa dla ubogich. Po południowej stronie rzeki mieszkają zwykli biedni ludzie.

Wszyscy na ulicy mieli zarumienione twarze. Tu, w środku, też czuć było zimę, w zapachu odzieży, w przeciągu od otwieranych i zamykanych drzwi. Wiatry z północy smagały południowy Londyn, a ludzie jak zawsze byli nieprzygotowani.

Jeśli chodzi o umiejętność przygotowania się, jesteśmy najgorsi na świecie, pomyślał. Posiadaliśmy cały świat, ale nigdy nie nauczyliśmy się niczego o pogodzie i wietrze. Nadal uważamy, że światowa pogoda powinna się dostosować do brytyjskiego stroju. My nigdy się nie zmienimy. Choćbyśmy sinieli z zimna.

Komisarz policji kryminalnej Steve Macdonald spróbował się napić herbaty, ale okazała się za mocna. Pijemy najwięcej herbaty na świecie, a nie umiemy jej przyrządzać. Zawsze z początku jest za słaba, za mocna na końcu, pomiędzy jest za gorąca, żeby dało się pić, a dzisiaj jestem w gównianym humorze. Właśnie w takich chwilach przychodzą te czarne myśli.

– ...a wtedy powiedziałem, że to cię będzie kosztowało piwo, ty bucu – to jeden z budowlańców zakończył swą opowieść.

Cała kawiarnia cuchnęła tłuszczem, powietrze składało się z tłuszczu. Kiedy ktoś przechodził z jednego rogu w drugi, zostawiał w powietrzu odcisk. Tak jak na Syberii. Może nie ma takich mrozów, ale powietrze stawia taki sam opór.

Wyszedł na ulicę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, po telefon. Wybrał numer i czekał ze wzrokiem utkwionym w wyświetlaczu. Podniósł wzrok i zobaczył podróżnych wychodzących z kamiennego portalu dworca kolejowego.

- Halo – odezwał się głos.
- Jestem właśnie na miejscu.
- Tak?
- Zostanę tu chyba cały dzień.
- Chcesz powiedzieć całą zimę.
- Czy to obietnica?

Nie uzyskał odpowiedzi.

- Zacznę od okolicy Muncaster Road.
- Czy oszczędłeś staw?
- Tak.
- I co?
- To możliwe. Na razie tylko tyle mogę powiedzieć.
- Dobrze.
- Myślę, że zajrzę do Dudleya.
- Jeśli zdążysz.
- Postoję tam jeszcze chwilę.
- Później o tym porozmawiamy – odezwał się głos i połączenie się urwało.

Macdonald schował telefon do kieszeni i skręcił na południe, na St John's Road. Zaczekał na przerwę w strumieniu samochodów na Battersea Rise i ulicą Northcote Road szedł dalej na południe.

W drodze na wschód Chatto Road rzucił tęskne spojrzenie na fasadę pubu The Eagle. Później. Może dużo później.

Przeszedł trzysta metrów i skręcił w Muncaster Road. Szeregówki lśniły matowo w styczniowym słońcu, cegły i tynk zlewały się z płytkami chodnika w zimowym braku koloru. Kontrast stał się wyraźnie widoczny, kiedy na ulicy pojawił się listonosz z torbą na kółkach. Jej czerwień aż kłuła w oczy. Zadzwoił do drzwi. Listonosz zawsze dzwoni co najmniej dwa razy, a kiedy otworzył furtkę, Macdonald skręcił i wszedł w niską bramę. Sięgnął do kołatki i zadudnił w drzwi. Co za brutalny sposób oznajmiania o swoim przybyciu, pomyślał.

Drzwi otworzyły się na całą długość łańcucha, w ciemności domyślał się twarzy.

- Tak?
- Czy tu mieszka John Anderton? – zapytał Macdonald, sięgając do kieszeni po legitymację.
- A kto pyta?
- Policja – wyjaśnił Macdonald i pokazał dokument. – Dzwoniłem.

– John je śniadanie – powiedziała kobieta, jakby to miało uniemożliwiać wizytę.

Chce, żebym sobie poszedł, żeby mogła spokojnie usmażyć swoje śledzie. Przez szparę w drzwiach dolatywała ostra woń przypalanej ryby.

– To nie potrwa długo – zapewnił.

– Ale...

– To nie potrwa długo – powtórzył i schował legitymację. Usłyszał szczęk z drugiej strony drzwi, kiedy zdejmowała zabezpieczenia. Czekał. To musiało kosztować majątek, pomyślał. Nie zostało dużo na konserwację samych drzwi. Wkrótce pękną pod ciężarem całego tego żelastwa.

Otworzyła i okazało się, że jest młodsza, niż się spodziewał. Nie była ładna, ale młoda, choć wkrótce straci młodość. Może już się tym zadrecza, pomyślał.

– Proszę – powiedziała i gestem zaprosiła go do środka. – John przyjdzie za chwilę.

– Wprowadź go tu, do kurwy nędzy – w przedpokoju rozległ się męski głos. Brzmiał niewyraźnie, niepotrzebnie podniesiony.

Ma usta pełne jajek, pomyślał Macdonald. Albo bekonu.

Kuchnia przypominała wnętrze K&M:s Café z St John's Hill, powietrze było gęste od tłuszczu z leżącego na patelni śledzia.

Mężczyzna był tęgi i czerwony na twarzy.

Mam nadzieję, że nie umrze przy mnie, pomyślał Macdonald.

– Czy władza da się zaprosić na śledziowy ogon? – powiedział mężczyzna, wskazując gestem żonę i kuchnię, jak gdyby gość mógł między nimi wybierać.

– Nie, dziękuję – odparł Macdonald. – Już jadłem śniadanie.

– Smażone, z curry – dodał John Anderton.

– Mimo wszystko nie.

– No to na co ma pan ochotę? – zapytał mężczyzna, jakby policjant przyszedł tu, żeby zaspokoić głód. – Nie chciałby pan hamburgera? – pytał dalej, uśmiechając się zębami, które lśniły trującą żółcią. – Big Maca?

– Chętnie napiję się herbaty – odparł Macdonald.

– Mleko się skończyło – odezwała się kobieta.

– To nic nie szkodzi – powiedział policjant.

– Nie mamy cukru. – Spojrzała na męża.

O ile to jest jej mąż, pomyślał Macdonald.

Mężczyzna się nie odzywał. Obserwował gościa. Czy oni ze mnie kpią?, pomyślał Macdonald. Może ją poproszę, żeby dodała trochę curry.

– Proszę bardzo – powiedziała kobieta, stawiając przed nim filiżankę. Upił łyk. Herbata była dobra, nie za słaba, nie za gorąca.

– Jednak mamy jeszcze trochę cukru – stwierdziła kobieta.

– Wizyta policji to dla nas zaszczyt – oświadczył mężczyzna. – Nie sądziłem, że składacie wizyty domowe. Myślałem, że wzywacie ludzi do Yardu w środku nocy, nawet po to, żeby potwierdzić zgłoszenie o zaginięciu chomika.

Macdonald milczał. Nasz drogi John jest zdenerwowany, jak wszyscy inni. Paplanina jest matką nerwowości. Może zjada te gigantyczne porcje, żeby złagodzić swój niepokój.

– Doceniamy to, że pan się z nami skontaktował, panie Anderton – powiedział policjant, wyjmując notes i długopis z prawej kieszeni kurtki. Płaszcz powiesił w przedpokoju. Teraz sprawdził, czy komórkę na pewno ma w kurtce, nie w płaszczu.

– Jestem odpowiedzialnym obywatelem, jak każdy inny – odparł mężczyzna i rozłożył ręce, jakby pozował do posągu na The Common.

– Doceniamy to – powtórzył Macdonald.

– Choć nie mam za dużo do powiedzenia – przyznał Anderton ze skromnością, która nie pasowała do jego gestów.

– Widział pan tego mężczyznę – zaczął Macdonald.

– Proszę mi mówić John.

– Widział pan mężczyznę, który rozmawiał z chłopcem, John.

– To było o zmierzchu, a ja byłem w The Windmill, a kiedy już wypiliśmy po kilka piw, ktoś powiedział, że wieczór...

– Najbardziej interesuje mnie, co się zdarzyło przy Mount Pond – wtrącił łagodnie Macdonald.

– Jak już mówiłem – podjął mężczyzna po chwili – to było o zmierzchu. Wraciałem sam z pubu na Windmill Drive i skręciłem nad staw.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem pytania.

– Czy bardziej naturalnie nie byłoby pójść po prostu aleją?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Macdonald nie odpowiedział.

– Jeśli to takie cholernie ważne, to chciałem się wyszczać – przyznał mężczyzna i rzucił szybkie spojrzenie na kobietę.

Przestała się krzątać przy kuchni i stała jeszcze chwilę ze ścierką w dłoni. Odwróciła się do okna wychodzącego na ulicę.

– Między stawem a Bandstand jest dobre miejsce, jeśli akurat między pubem a domem jest tłok na ulicy – wyjaśnił Anderton.

– Stał pan przy stawie – powiedział Macdonald.

– Stałem dość blisko wody, a kiedy się odlałem, zobaczyłem tego typu, jak obejmował chłopca.

– Obejmował go?

– Ten typek otaczał go ramieniem, tak.

– Dlaczego pan mówi o nim typek?

– Bo wyglądał jak typek.

– Czyli jak?

– Jeśli naprawdę mam być szczerzy, to typek wygląda mniej więcej jak pan – odparł John Anderton z uśmiechem.

– Jak ja – powtórzył Macdonald.

– Włosy, które należałoby przystrzyc, skórzana marynarka, wysoki i twardy, z taką ponurą hardością, która potrafi każdemu napędzić stracha – odpowiedział mężczyzna.

– Taki jak ja, innymi słowy – upewnił się Macdonald.

– Tak.

Ten facet to skarb, pomyślał Macdonald. Wygląda, jakby cholesterol miał go zaraz zabić, ale ma bystre oko.

– Stał pan nieruchomo i się im przyglądał? – zapytał policjant.

– Tak.

– Proszę opowiedzieć własnymi słowami, co pan widział.

– A jakich innych słów miałbym używać?

– Niech pan mówi.

Mężczyzna dotknął stojącej przed nim filiżanki. Zajrzał do niej, wyciągnął rękę po dzbanek i nalał herbaty, która zdążyła przez ten czas pociemnieć. Wypił i wykrzywił twarz. Poglądził się po łysinie. Skóra naciągnęła się i lekko zaczerwieniła. Zabarwienie utrzymywało się jeszcze przez kilka sekund.

– Ja po prostu tam sobie stałem, nawet niespecjalnie zaintrygowany. Nie było na co patrzeć, tylko ich dwóch. Ale pomyślałem, że ten facet jest dwa razy większy i dwa razy starszy od chłopaka i że nie mam przed sobą ojca z synem.

– Ale mężczyzna obejmował chłopaka.

– Tak. Ale to było na jego warunkach, a nie chłopaka.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Widać było, kto jest bardziej zainteresowany.

Macdonald zajrzał w notatnik. Jeszcze nic nie zapisał.

Im mniej napiszę, tym mniej będę się musiał martwić potem, w trakcie śledztwa, pomyślał.

– Czy widać było, że to przemoc?

– Co jest, a co nie jest przemocą? – odparł John Anderton, jakby wykladał filozofię na London University.

– Czy była w tym przemoc w pańskim rozumieniu? – powtórzył pytanie Macdonald.

– Nie szarpał tego chłopaka.

– Słyszał pan coś?

– Słyszałem głosy, ale było za daleko, żebym mógł zrozumieć jakieś słowa – wyjaśnił Anderton i wstał.

– Dokąd pan idzie? – zapytał Macdonald.

– Zagotuję więcej wody, jeśli mogę.

Macdonald nie odpowiedział.

– Czy mogę?

– Naturalnie.

– Nie zastanawiał się pan, w jakim języku rozmawiali? – zapytał Macdonald, kiedy mężczyzna wrócił do stołu.

– Nie. Byłem pewien, że po angielsku. A nie mówili po angielsku?

– Nie wiemy.

– A dlaczego to nie miałyby być angielski?

– Czy sprawiali wrażenie, że się rozumieją? Że mówią tym samym językiem?

– Wyglądało, że to ten wielki facet mówił więcej. No tak, sprawiali wrażenie, że się rozumieją. Ale nie stali tam długo.

– Ach tak.

Z kuchenki rozległ się gwizd. Anderton podszedł i przez chwilę był zajęty herbatą. Stał odwrócony plecami do Macdonalda.

– Czy oni pana nie widzieli?

– Tego nie wiem. Chłopak się odwrócił i może mnie zobaczył, ale to chyba nie ma znaczenia, prawda?

Macdonald nie odpowiedział.

– Przecież on nie żyje, prawda?

– Jak długo patrzył pan za nimi?

– Nie czekałem, aż znikną za horyzontem, chciałem wrócić do domu i obejrzeć EastEndersów. Ale kiedy tam stałem, szybko zrobiło się ciemno.

– W którą stronę poszli?

– Na południe. Prosto na południe, przez Windmill Drive.

– Będziemy potrzebowali pańskiej pomocy przy sporządzaniu dokładnego rysopisu tego mężczyzny.

– Dokładnego rysopisu? Nie mogę kłamać, widziałem za mało.

Macdonald westchnął.

– No dobra, czasem trochę za dużo żartuję.

Zapisał coś w notatniku.

– Jasne, że pomogę, ile tylko będę mógł. To nie tak, że nie rozumiem, że to poważna sprawa. Szlag by to trafił, biedny chłopak. I jego rodzice.

Macdonald się nie odzywał.

– Przecież zadzwoniłem, nie? – mówił dalej Anderton. – Zaraz jak tylko przeczytałem o tym w „South London Press” chwyciłem za telefon.

– Doceniamy to.

– Mam nadzieję, że szybko złapiecie tego drania. Wszyscy jesteśmy z wami – powiedział John Anderton, a Macdonald odniósł wrażenie, że miał na myśli również mieszkańców kolonii.

Dzień był piękny. Macdonald wyszedł na Muncaster. Jest tak przejrzyste, jak tylko może być w południowym Londynie, pomyślał. Potrzebuję czegoś po tej pieprzonej herbacie. Czuję, jakbym miał w gardle koc.

Poszedł z powrotem na południe, do Chatto Road, i wszedł do The Eagle. Do lunchu brakowało pół godziny. Barman wyglądał na spiętego. Spojrzał na Macdonalda, jakby patrzył na gościa, który nie ma dość poczucia przyzwoitości, żeby zaczekać na umówioną godzinę.

Macdonald podszedł do baru i zamówił young special. Barman odetchnął, kiedy zrozumiał, że ten wielki drab nie zamierza jeść. Przecież nie będę ciągle wyjmował i wkładał cynaderek do pieca, pomyślał. Jak by to wyglądało?

Macdonald zaczekał, aż mętny osad opadnie na dno szklanki i napój stanie się przejrzysty. To tak, jakby w zimowy dzień jechać drogą po południowej stronie rzeki, pomyślał. Wszystko się przejaśnia dla tego, kto ma cierpliwość zaczekać.

Pił, jakby umierał z pragnienia.

Wszystko staje się jasne i przejrzyste, aż w końcu widać na przestrzał, pomyślał.

Zobaczył, że z ulicy wchodzi kilku przedwczesnych gości. Barman zastygł w bezruchu. Macdonald musiał czekać na drugiego pinta trzy sekundy dłużej.

Wreszcie przedarł się przez ruch uliczny na drugą stronę alei i wszedł do Dudley Hotel na rogu Cautley Avenue. Dwadzieścia pięć funtów za noc. Zapłacone z góry.

Złamał pieczęcie i stanął na środku pokoju. Wyraźnie wyczuwalna woń krwi. Zapach krwi nie jest dla nas niczym nowym, ale to najobrzydliwszy zapach, jaki kiedykolwiek czułem, pomyślał. Wyrosłem w wiejskim gospodarstwie i widziałem, jak zabijano tysiące świń, ale nie cuchnęło tak jak tutaj. To ta słodycz ludzkiej krwi wywołuje zawroty głowy.

Tutaj przyszli. To mogło nastąpić zaraz po tym, jak ich zobaczył John Anderton, pomyślał. O ile to byli oni. To był pokój chłopaka. Mieszkał w nim od dwóch dni. Dlaczego tu mieszkał? Dlaczego młody człowiek odwiedzający Londyn mieszka w Clapham? Samo Clapham jest w porządku, ale młody człowiek powinien wynająć coś w tanim hoteliku w Bayswater, na północy. Albo w okolicy dworca Paddington. Tam jest więcej młodych obcokrajowców. Mogli stanowić ochronę.

Tapety miały nieokreślony odcień żółci, kiedy chłopak się tu wprowadził. Teraz już całkiem inny.

Steve Macdonald zamknął oczy i usiłował wsłuchać się w to, co wnikało w ściany. Po kilku minutach usłyszał urwany krzyk, potem straszliwy odgłos ciągnięcia ludzkiego ciała po podłodze.

Poczuł ukłucie bólu pod prawym okiem. Przypomniało mu to, że żyje.

Dlaczego chłopak zaprosił mężczyznę do swojego pokoju? Czy chodziło tylko o seks? Czy była to obietnica seksu, czy coś zupełnie innego? A może narkotyki? Co to, do cholery, mogło być? myślał. To będzie długie śledztwo – albo bardzo krótkie.

Dlaczego akurat tutaj? Czy chłopak znał kogoś w Clapham albo w Battersea? A może nawet w Brixton?

Chłopak został okradziony, ale tu nie chodziło o kradzież. To zdarzyło się potem.

Nie ma żadnych dokumentów, oprócz zębów, a one nie są brytyjskie, myślał Macdonald.

Chłopak wpisał swoje nazwisko i miasto, z którego pochodził, do księgi gości, kiedy meldował się w tym podupadłym hoteliku *bed and breakfast* w południowej części centrum świata. Na tym mogli się oprzeć. Nazywał się Per Malmström i podał, że przyjechał z Göteborga.

To zachodnie wybrzeże Szwecji, pomyślał Macdonald. Chłopak był blondynem, jak

wszyscy Szwedzi. Dlaczego Brytyjczycy nie mają takich jasnych włosów? Przecież to tak samo surowe niebo i takie same wiatry.

Wiadomość powinna już dotrzeć do Göteborga, pomyślał. Jeśli Interpol wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Znów zamknął oczy, wsłuchał się w wycie ścian, w krzyk podłogi.

SPOTKALI SIĘ w centrum. Nie można było określić gdzie dokładnie, ale chłopak i ten mężczyzna mogli być widziani w Brunnsparken. Nie było żadnych świadków, którzy przedtem zauważyliby ich razem. Jeszcze nie mieli takich zeznań.

Może trzy osoby widziały ich po Brunnsparken, i to już było dużo informacji. Może nawet więcej niż trzy.

Tamci dwaj byli na pewno razem, ale nie wyglądali jak ojciec i syn.

Chłopak miał ciemne włosy, obcięte w kanciastą grzywkę – o tym powiedziały dwie osoby. A ponieważ komisarz policji kryminalnej Erik Winter wiedział, jak zeznania świadków mogą odbiegać od prawdy, zanotował, że to coś, czego można się trzymać.

Zawsze jest coś, czego można się trzymać, pomyślał, idąc wzdłuż stadionu Mossens. Wydaje się, że człowiek nie posuwa się do przodu ani o milimetr, ale czasem wystarczy po prostu poczekać.

Żwirowe boiska czekały poniżej, przechowywały w sobie pamięć ruchów. Za trzy miesiące wiosenni gracze znów będą się kopać po tyłkach, a zmarznięty żwir, teraz migoczący jak stal, będzie wtedy miękki, będzie pachniał, parował ługiem i oleistym mazidłem.

Piłka nożna to nie jest sport, pomyślał Winter. To kontuzja kolan. Tęsknię do tego poczucia, że odłamki kości przemieszczają mi się w kolanach. Mógłbym do czegoś dojść, ale nie dość często odnosiłem kontuzje.

Nikt nie pamiętał, jak wyglądał tamten mężczyzna. Ale wszyscy mieli bardzo wyraźny obraz jego postaci: był wysoki, średniego wzrostu albo raczej niski.

– W porównaniu z chłopakiem? – zapytał Winter.

– Nie, w porównaniu z tramwajem – odparł jeden ze świadków, a Winter zamknął oczy, jakby wszystkie złe i bardzo ważne rzeczy mogły zniknąć.

Włosy miał blond, czarne lub brązowe. Był ubrany w garnitur, kurtkę skórzaną i tweedową marynarkę. Był w okularach, bez okularów albo w przeciwsłonecznych. Szedł pochylony, trzymał się prosto, miał krzywe albo długie proste nogi.

Jak wyglądałby świat, gdyby wszyscy myśleli tak samo, widzieli wszystko tak samo?,

pomyślał Winter.

Chłopiec miał ciemne włosy, o tym Winter sam mógł się przekonać. Czy był ostrzyżony w kanciastą grzywkę, nie dało się już stwierdzić. Na trzecim piętrze akademika Chalmers, w czwartym pokoju po lewej stronie, patrząc od klatki schodowej, został jeszcze długo po tym, jak technicy i lekarze sądowi skończyli wstępne oględziny. Potem ciało zostało zabrane.

Czuł zapach śmierci bijący ze ścian. To nie jest zapach, pomyślał, to odór, który raczej sobie wyobrażamy, niż naprawdę odbieramy. To kolor, przede wszystkim. Wyblakły kolor życia rozbryzgany po żółtych jak siki ścianach.

Słońce wdarło się od prawej strony, rzucając snop światła na ścianę naprzeciwko. Gdy mrużył oczy, wszystkie kolory ginęły, a ściana stawała się czymś w rodzaju oświetlonego prostokąta. Opuścił powieki. Zamknął oczy i słuchał, jak krew rozpuszcza się w chłodnym cieple słońca, jak ściana zaczyna krzyczeć o tym, co się tu stało niecałe dwanaście godzin temu.

Krzyk stawał się coraz głośniejszy. Winter zasłonił uszy dłońmi i przeszedł na ukos przez pokój, żeby otworzyć drzwi na korytarz. Kiedy zamknął je za sobą, usłyszał ze środka ryk. Zrozumiał, że cisza musiała być tak samo ogłuszająca, kiedy to się działo.

Najpierw przeszedł obok, ale zawrócił i wszedł do środka. Była sobota. Popołudnie było wyprane z kolorów i kontrastowało z wyposażeniem baru i znajdującej się na tyłach restauracji. Barwy wnętrza były blade i ostrożne, ale w porównaniu z zimą za oknem – jaskrawe. Latem zapewniały gościom ochłodę. Teraz ciepło. Johan zatrudnił dobrego architekta wnętrz, pomyślał Winter i usiadł przy jednym ze stolików przy oknie. U dziewczyny, która do niego podeszła, zamówił szklanekę słodowej whisky.

– Z lodem? – zapytała.

– Słucham?

– Czy w szklance ma być lód? – zapytała jeszcze raz.

– Przecież zamówiłem lagavulin – odparł.

Dziewczyna spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Ona jest całkiem nowa, i to nie jej wina, pomyślał Winter. Bolger nie zdążył jej jeszcze wyszkolić. Nie będzie nic mówił.

– Bez lodu – powiedział, a dziewczyna poszła do baru. Po pięciu minutach była z powrotem, z alkoholem w niskiej, szerokiej szklance. Winter obserwował ruch na deptaku:

trochę jak w zwolnionym tempie, nie zastygły nieruchomo, ale też nie całkiem wolny, żeby iść bez uwięzi. Wybiegł myślą naprzód: wkrótce przyjdzie lato i będę mógł chodzić bez skarpet i bez butów.

– Kopę lat – powiedział Bolger. Podeszedł do stolika i usadowił się naprzeciwko Wintera.

– Owszem.

Johan Bolger spojrzał na szklanke whisky.

– Zapytała, czy chcesz z lodem?

– Nie – odparł Winter.

– Naprawdę?

– O ile się zorientowałem, zna się na swojej robocie – powiedział Winter.

– Kłamiesz, ty miłosierny łotrze, ale to nieważne. Właściwie to nie jej wina. Przychodzi masa gości, którzy chcą mieć lód w słodowej whisky. Nie wszyscy są takim snobami jak ty – wyjaśnił Bolger i posłał Winterowi krzywy uśmiezek.

– Spróbujcie z koniakówkami.

– Mam je w szafce, ale do wypracowania rutyny trzeba trochę czasu – odparł Bolger.

– Małt whisky można podawać w tych nowych koniakówkach – powiedział Winter. – Niektórzy mogą myśleć, że to jakieś nowomodne bzdury, ale jest taka możliwość.

– Wiem, wiem.

– Wtedy za jednym zamachem rozwiążesz problem z lodem.

– To genialny pomysł.

Na ulicy jakaś starsza kobieta pośliznęła się na oblodzonych kamieniach. Upadła z jedną nogą pod kątem w stosunku do ciała i krzyknęła, kiedy coś chrupnęło w kości. Kapelusz spadł jej z głowy, płaszcz się podwinął. Skórzana torebka, którą trzymała w dłoni, podskoczyła na kilku kamieniach i otworzyła się, rozsypując półkoliście zawartość.

Usłyszeli przez okno jej krzyk. Dwoje przechodniów przykucnęło przy niej. Winter widział, że mężczyzna rozmawia przez komórkę. Nic nie mogę zrobić, pomyślał. Gdybym był w mundurze, mógłbym wyjść i przepędzić ciekawskich, ale teraz nie mam do tego uprawnień.

Bolger i Winter siedzieli w milczeniu. Po krótkiej chwili od Västra Hamngatan wjechała tyłem karetka. Kobietę ułożono na noszach i samochód odjechał. Bez syreny.

– Znow się robi ciemno – odezwał się Winter.

Bolger nie odpowiedział.

– Ale jednak już się coś odwróciło. Akurat kiedy człowiek zaczął się przyzwyczajać do ciemności, znow dzień się wydłuża – dodał Winter.

– Czy to cię martwi?

– To mi daje nadzieję.

– To dobrze.

– Wydaje mi się, że stanie się coś strasznego, a ja znajdę się w samym środku – powiedział Winter. – To się znów zdarzy.

– To rzeczywiście nadzieja.

– To mnie martwi.

Bolger milczał.

– Potrzebowałam tamtego... wiary w dobro, ale teraz wygląda na to, że nie jest mi już potrzebna – powiedział Winter.

– To była twoja terapia.

– Czy to nie brzmi dziwnie?

– Brzmi.

– Więc czuję, że postąpiłem słusznie – odparł Winter z uśmiechem.

– Zrezygnowałeś z funkcji męża zaufania?

– Tego nie powiedziałem. Mówiłem, że chyba przestanę się zajmować sprawami wiary.

– A czy to jakaś różnica?

– Policjant powinien się zajmować nie tylko kwestią winy, kiedy ludzie się oszukują i krzywdzą nawzajem – odparł Winter.

– Kto w takim razie będzie odwałał tę brudną, ale niezbędną robotę? – zapytał Bolger i dał znak barmance.

Winter nie odpowiedział. Dziewczyna podeszła do stolika, a Bolger poprosił o knockando bez lodu w jednym z nowych, wysokich kieliszków.

– Przyjęła to zamówienie, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie – zauważył Winter.

– Jest jeszcze nadzieja – stwierdził Bolger. – Tylko nie dla tych, co będą się zajmować tym brudnym rzemiosłem po tobie albo obok ciebie.

– Nazywasz to rzemiosłem?

– Wiesz, o co mi chodzi – odparł Bolger, wyciągając rękę po kieliszek, który podała mu kelnerka.

– Mam nowe zmartwienie – powiedział Winter i zaczął opowiadać.

Bolger nadstawił uszu.

– Zmartwienia przemijają i stają się czymś innym – powiedział, kiedy Winter umilkł. –

Mogłeś mi powiedzieć, żebym pojechał z tobą na pogrzeb. Przecież trochę znałem Matsa.

– Tak.

– Czuję się jakby... pominięty.

– To nie była moja sprawa, Johan. Może myślałem, że się tam zobaczymy.

– To było cholernie...

– Co powiedziałeś?

– Nic.

– Co tam mruczysz?

Bolger nie odpowiedział. Pochylił się nad stołem i zajął kieliszkiem. Z głębi lokalu dobiegały jakieś głosy.

Winter milczał. Czyżby miał już dość, przynajmniej na razie? Co to znaczyło? To znaczyło, że nie chce już więcej być zamieszany w sprawę, kiedy ludzie znikają, obojętne w jaki sposób. Ale to była przelotna myśl. Rzadko pił alkohol, prawie nigdy. To przez whisky. To ona wywoływała natłok myśli, tutaj, w barze u Bolgera. A przecież jeszcze się nie napił. I nie chciał tego robić, odstawił szklanekę i wstał, żeby ruszyć do wyjścia.

– No to cześć, Johan.

– Dokąd idziesz?

– Do biura.

– W sobotę wieczorem?

– Nie wiem, czy nie mam powyżej uszu przypadków zaginionych ludzi – powiedział Winter. – Może jeszcze ktoś mnie potrzebuje.

Komunikat z Interpolu czekał już na niego. To angielski, który rozumiem, pomyślał, czytając. Niech to diabli, czy to się nigdy nie skończy? Wiedział, że to naiwne pytanie jak na wkrótce czterdziestoletniego komisarza policji kryminalnej. Był młody, ale nie aż tak młody.

Czytał. Nie było tam zbyt wielu szczegółów, ale też się ich nie spodziewał. To mu wystarczyło.

Per Malmström.

Czego ty tam, do cholery, szukałeś?

Słyszał, jak głośno wydycha powietrze, potem sięgnął po telefon. Ktoś będzie musiał poinformować bliskich, których ewentualnie mógł mieć w mieście. Wiedział, że to on, Erik Winter, weźmie na siebie to zadanie. To nie było takie oczywiste, że szef śledztwa przekazuje tę najgorszą wiadomość rodzinie. Ważne było, żeby to był policjant z doświadczeniem.

Winter wziął to na siebie, jak ktoś, kto zakłada ciężki płaszcz, kiedy na zewnątrz leje jak z cebra. Po prostu było to konieczne.

Prawie nic w pracy policjanta nie jest miłe i delikatne, ale to najgorsze z tego całego gówna, pomyślał.

Przynoszę wiadomość.

Głos w telefonie przekazał mu adres. Znał go już przedtem, nie musiał sprawdzać, ale to było jak odruch, chciał to odwlec w czasie.

Potem będzie musiał porozmawiać z Hanne. Czuł, że tego potrzebuje.

Trzy mieszkania załatwione. Ale to nie sam czyn sprawiał, że adrenalina w jego ciele buzowała szaleńczo. Czuł w środku burzę, kiedy słyszał cichy trzask w zamku, ale to nie było to.

To cholerne czekanie. Stać się niewidzialnym, a równocześnie być cały czas obecnym, tuż obok, z oczami na wszystkie strony.

Wreszcie wyszedł.

Wreszcie wyszła.

Potem długie czekanie. Nawyki. Kiedy ludzie wracają? Kto poszedł do pracy, a kto tylko na spacer wokół bloku? Kto pomyślał, że zostawił włączoną kuchenkę? Kto był przekonany, że światło w mieszkaniu się pali i że musi wrócić i sprawdzić, i tak codziennie?

Kiedy się jest profesjonalistą, zwraca się uwagę na takie rzeczy. Niezupełnie był profesjonalistą, ale był na najlepszej drodze. Pracował sam, i tak było dobrze. Faceci od samochodów pracowali zawsze we dwóch, ale on nie chciał na nikim polegać.

Przeszedł piętro wyżej, w trzy sekundy otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Nauczył się nie zostawiać śladów na futrynie.

Czuł gorące pulsowanie w całym ciele. Chwilę stał w przedpokoju i czekał, aż puls zwolni.

Wiedział, że cisza jest jego sprzymierzeńcem, choć jednocześnie wrogiem. Nigdy nie robił hałasu. Piętro wyżej ktoś mógł leżeć chory na grypę – nie chciałby mu przeszkadzać.

Zaczął od salonu, bo tak zrobił za pierwszym razem, a potem weszło mu to w nawyk. Po tych czterech miesiącach orientował się już w cudzych salonach. To dobrze, że nikt nie chodzi kraść książek, pomyślał. Ludzie nie mają w domach zbyt wielu książek. Jestem włamywaczem, ale mam w domu książki. Jestem włamywaczem, ale też mężem i ojcem.

Raz czy dwa miał inną pracę, ale nigdy o tym nie myślał. Niektórzy sobie z tym radzą,

niektórzy sobie nie radzą, a on dokonał wyboru.

Człowiek, który tu mieszkał, posiadał książki. Domyślił się, że właściciel mieszkania czyta, ale nie jakąś literaturę. Nie wyróżniał się wyglądem, ale się go nie zapominało, pomyślał.

Gdybym miał więcej czasu, przyjrzałbym się tytułom. Wyszedł i długo nie wróci, ale to ja ponoszę ryzyko.

Szukał w szufladach i wzdłuż ścian, ale nie znalazł nic przydatnego. Wrócił do przedpokoju i wszedł do pokoju naprzeciwko, do sypialni.

Łóżko było niepościelone, a obok niego, dwa metry od drzwi, leżał czarny plastikowy worek. Nie był pusty. Dotknął go, zawartość była miękka. Chwytał go od dołu i powoli wysypał wszystko na podłogę. Zobaczył koszulę i spodnie. Ubrania były częściowo zabrudzone czymś, co po wyschnięciu wyglądało jak ceglany proszek.

Był zamyślony. Musiał coś rozważyć. Wyszedł, nie przeszukawszy dalszych pokoi.

Za oknami padał śnieg, czuł chłodny powiew od szpary w oknie. Ze swojego miejsca widział dzieci zgarniające z ziemi śnieg, zanim zdążył osiąść na dobre. Widział swojego syna z marchewką w dłoni. Nos szuka bałwana, pomyślał. To mi się kojarzy w Michaeliem Jacksonem.

– O czym myślisz? – spytała żona.

– Co?

– Widzę, że jesteś czymś pochłonięty.

– Myślałem o Michaelu Jacksonie.

– Tym piosenkarzu?

Dalej wyglądał przez okno. Bałwan zaczynał nabierać kształtów. Miał już tułów. Dzieci uformowały brzuch, ale figura nie miała nóg. Żaden bałwan na świecie nie ma nóg, pomyślał.

– Myślałeś o piosenkarzu Michaelu Jacksonie? – zapytała.

– Co?

– No, weź przestań.

Przeniósł wzrok i popatrzył na nią.

– Tak, o Michaelu Jacksonie. Widziałem Kallego na dworze z marchewką w ręce. Czeka, aż bałwan, którego lepią, dostanie głowę, żeby mu przyczepić nos – powiedział i jego spojrzenie znów powędrowało za okno. – Michael Jackson miał problemy z nosem jakiś rok

temu – mówił dalej.

– Nie wiedziałam.

– Tak było. Jest jeszcze kawa?

Wstała, żeby przynieść kawę z blatu koło kuchenki.

– A co się właściwie dzisiaj stało? – zapytała, a on nalał mleka do filiżanki. Potem wlał kawę i wypił.

– Słucham?

– Byłeś jakiś dziwny, kiedy wróciłeś do domu.

– Ach tak.

– Inny niż zwykle.

Nie odpowiedział. Za oknem głowa znalazła się na swoim miejscu i Kalle wetknął marchewkę mniej więcej tam, gdzie miała być twarz, kiedy kamienie utworzą oczy, a żwir usta.

– Czy było gorzej niż zwykle?

– Nie.

– Ostatnio sprawiałeś wrażenie trochę... weselszego.

– Człowiek w końcu się przyzwyczaja do bezrobocia i wtedy jest weselszy.

– Cieszę się, że potrafisz z tego żartować.

– Nie żartuję.

– Mimo wszystko się cieszę – odparła z uśmiechem.

– W pośredniaku zawsze starają się na mnie nie patrzeć – odezwał się po dwóch minutach ciszy.

– Nie patrzeć?

– Siedzę z urzędniczką, o czymś rozmawiamy, ale ona zawsze patrzy na coś za moimi plecami. Tak jakby ta pieprzona praca miała zniecka nadejść wielkimi krokami, skądś z tyłu. Albo może chce stamtąd uciec, ulotnić się przez okno.

– Wkrótce praca się znajdzie – powiedziała żona. – Mam takie przecucie.

Dobrze mnie zna, pomyślał. Ale jeszcze niczego się nie domyśla. Kiedy pojawią się większe pieniądze, może zacznie coś podejrzewać, ale to jeszcze potrwa.

A może wcześniej dostanę legalną pracę. Cuda się zdarzają. Ale kiedy praca się wreszcie znajdzie, może nie będę jej chciał.

Miał przed oczami krew. Kiedy tam stał, nad leżącymi na podłodze ubraniami, miał wrażenie, że się poruszają, że krzyczą coś do niego.

Tak było, kurwa. Myślał teraz o tym i tak właśnie było.

Nie pamiętał, jak wpakował je z powrotem do worka, ale jakoś mu się to udało, i kiedy wychodził z sypialni, mógł tylko mieć nadzieję, że wszystko wygląda tak samo jak przedtem. Dlaczego ten skurwiel ich nie spalił? Nic nie widziałem. W ogóle nie widziałem tych rzeczy.

NIEDZIELNY RANEK, Erik Winter spoglądał w lustro. Pochylił się, żeby przyjrzeć się zmarszczkom wokół oczu.

Jestem próżnym mężczyzną. A może rozmyślam o swoim wieku dlatego, że zawsze byłem taki młody? Pilnuję się, bo chcę być piękny dla kobiet, tak długo, jak się da.

Z Vasaplatsen nie dochodził żaden dźwięk. Plac znajdował się pięć kondygnacji niżej. Odwrócił twarz od lustra i wyszedł z łazienki. Mieszkanie miało sto trzydzieści sześć metrów, składało się z trzech pokoi i dużej kuchni. Płacił za to wysoki czynsz. Mieszkał sam i miał pieniądze. Teraz w mieszkaniu panowała jasność zimowego dnia. Słońce wisiało za oknem. Mógł otworzyć balkonowe drzwi, wyjść i go dotknąć.

Dopiero co wrócił do domu. To był długi, pracowity poranek.

Podszedł do okna i spojrzał na zachód. Niemal widział morze. Zjadł szybki lunch przy muzyce Johna Coltrane'a i podjął decyzję.

Wyszła z sypialni, a on chciał być sam. Podeszła do zlewu i wypła szklanek wody. Potem wróciła do pokoju i ubrała się, żeby wrócić do domu.

– Dość długo czekałam w nocy – powiedziała, zanim wyszła.

Jechał wzdłuż rzeki. Zmierzch rozpościerał się powoli i kolory znów zaczęły wpełzać w ziemię.

Jakby się jechało przez sadzę, która nie osiada.

Nagle od zachodu rozjarzyło się słońce, aż musiał założyć ciemne okulary. Kącikiem prawego oka widział dźwigi po drugiej stronie wody, stały się czarne. Domy nabrały odcienia roztopionej cyny.

Jechał wzdłuż brzegu morza, blisko, tak długo, jak się dało, a potem wyszedł na skały. Morze poruszało się powoli. Śledził ostatni spadek fali ku otwartemu morzu, widział, jak lód wbija się w żywą wodę.

Lód pokrył zatoczki. W oddali widział ruch. Ludzie chodzili po zamrożonej wodzie. Dwie grupki, oddalone od siebie o kilometr, próbowały do siebie coś krzyczeć, ale słowa zderzały się gdzieś w połowie drogi i spadały na lód z kruchym odgłosem.

W kieszonce na piersiach zadzwonił telefon. Dźwięk przytłumiało ubranie i biały wiatr.

– To ja – powiedział do mikrofonu.

– Mówi Lotta.

– Słucham?

– Gdzie jesteś, Eriku?

– A czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał i od razu tego pożałował.

– Pytam, bo chciałam się z tobą spotkać – wyjaśniła.

– Teraz?

– Jak najszybciej – odparła tonem, który z trudnością rozpoznawał. Jego siostra. Ta więc mogłaby być bardziej serdeczna. Teraz się zaniepokoił.

– Czy coś się stało?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– Gdzie jesteś, Eriku? – zapytała jeszcze raz.

– Stoję na krańcu Amundön i patrzę na morze.

– Czy mógłbyś przyj...

Głos zanikł. Wiatr przybrał na sile, porwał jej głos i poniósł daleko na lodowe połacie.

– Nie słyszę, co mówisz – powiedział. Postawił kołnierz kurtki i skulił się, zasłaniając ucho.

– Czy mógłbyś przyjechać?

– Przyjechać? Dokąd?

– Do domu – odparła. – Tutaj, do domu.

Wiatr znów porwał jej głos.

– Co?

– ...chce, żebyś przyjechał – usłyszał tylko.

– Okej. Będę za pół godziny.

Nacisnął czerwony guzik i zapadła cisza. Słońce przedarło się przez sto warstw nieba i nowe światło spłynęło na miejsce, gdzie stał i patrzył, aż po horyzont.

Widział, jak jakiś statek skręca za ostatnią linię i oddala się w nieznane.

W świetle z chmur ląd i morze nabrały tego samego koloru, a kiedy zawrócił i szedł z powrotem wzdłuż zamrożonego brzegu, poczuł klucie w oczach i założył okulary przeciwsłoneczne. Światło obniżyło się o pół oktawy.

Siedzieli w pokoju wychodzącym na ogród. Drzwi na werandę były uchylone na trzy centymetry i Winter czuł słaby zapach zimna dolatujący z zewnątrz.

W środku nie zmieniło się wiele. Zupełnie jakby mnie nie było pół dnia, pomyślał. Jedyne różnice to wymiana części książek i smuga białego chłodu w powietrzu, której nie było, kiedy ostatnio tu zaglądałem. Zbyt rzadko tu bywam.

Lotta upięła włosy w obwarzanek. Była ładna, ale oczy miała zmęczone, a szok nadał twarzy twardość. Białka jej oczu błyskały. Miała na sobie czarne dzinsy i miękki dziergany sweter nałożony na kraciastą koszulę. Wkrótce miała skończyć czterdzieści lat. Nie martwiła się tym. Zresztą takie rzeczy miały teraz najmniejsze znaczenie, pomyślał.

– Co on tam robił? – powiedział, raczej do siebie niż do niej.

– Nazywał to krótkim wyjazdem edukacyjnym, dopiero co wpadł na ten pomysł – wyjaśniła i założyła nogę na nogę.

Winter widział, jak materiał napina się na jej udach. Nie mówił nic. Już się domyślał.

– Oni są w kompletnej rozsypce – powiedziała Lotta.

– Tak.

– Ja się czuję podobnie.

– Wiem.

Spojrzała na niego.

– Tamten mały chłopczyk... – zaczął i za późno się zreflektował.

Lotta zaczęła płakać, cicho i spokojnie, jak wczoraj śnieg. Drzwi na werandę uchylili się i ostry wiatr wpadł do pokoju. Winter przeszedł przez pokój i zamknął je.

Zaczęła opowiadać, a on słuchał, jak ktoś, kto nie chce słyszeć, ale nie ma wyboru. Chłopiec z sąsiedniego domu skończył dziewiętnaście lat, pojechał do Londynu i został zamordowany. Był sąsiadem, ale i kimś więcej.

Kiedy Winter opuścił tę ulicę i ten świat, Per Malmström miał kilka lat. Teraz był już po maturze. Widywał go od czasu do czasu. Chłopiec pozbył się dziecięcej pulchności, a jego twarz nabrała odpowiednio surowego wyrazu.

To jest rzeczywistość, pomyślał Winter.

– Domyślałem się, że rozmawiałaś z Lassem i Karin – powiedział.

– Od razu do nich poszłam.

– To dobrze.

Nie sądził, żeby ktoś inny miał odwagę to zrobić. Wiedział, że ona miała.

– Byłeś tam? – zapytała.

– Tak.

To było jedyne, co mógł powiedzieć, odpowiedzieć. Był tam i nic to nie zmieniło, ale może na chwilę zatrzymało oszalałe uczucia, stawiało im czoła w drzwiach.

– Nie rozmawialiśmy o żadnych... szczegółach – powiedziała. – To znaczy Lasse, Karin i ja.

Winter poczuł ból we wnętrzu dłoni. Wyprostował palce i spojrzał w dół. Zobaczył, że jego krótko opiłowane paznokcie wbiły się w ciało, patrzył na płonące czerwienią ślady.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Porozmawiam jeszcze z kimś – powiedział po chwili.

– Karin mówi, że nigdy sobie tego nie wybaczy.

– Że pozwoliła mu jechać?

– Tak.

– Miał dziewiętnaście lat, był dorosły.

Lotta spojrzała na niego.

– Pójdę tam jeszcze raz – powiedział.

– Zaczekaj – poprosiła. – Kiedy tam byłam... potem pomyślałam sobie, że co innego się czuje, kiedy to się dzieje w... w taki sposób albo kiedy to jest wypadek... albo choroba.

– Szok jest bardziej dotkliwy, ale strata taka sama – odparł. – Czasami bywa odwrotnie... kiedy ktoś pada ofiarą przemocy, niewytłumaczalność tego czynu sprawia, że bliscy ofiary nie rozumieją, co się stało. To tak, jakby to się jeszcze... nie stało, jakby to było tylko jakieś ostrzeżenie.

– Lassego i Karin w każdym razie to ominęło.

– Tak.

– Pójdę tam – powtórzył.

PRZYTLUMIONE ODGŁOSY ZIMY weszły wraz z policjantami do budynku, siedziały w ubraniach jadących windą na czwarte piętro wydziału śledczego.

Korytarze były wyłożone cegłą. W innych porach roku dźwięki, które dostały się do środka, twardo odbijały się od ścian. Zimą tylko przemykały się wzdłuż, jak miękkie kule śniegowe. Zimą wszystko i wszystkich otacza krąg ciszy, pomyślał Winter, wysiadając z windy. Może styczeń to jednak mój miesiąc.

Zapach utrzymywał się jeszcze w ubraniach, kiedy grupa śledczych zebrała się w sali konferencyjnej. Kończyła się zmasowana akcja pierwszych dni. Została mniejsza grupa. Teraz większość siedziała w sali. Było ciasno. Pachniało wilgotnym chłodem i spalinami samochodowymi.

Bertil Ringmar był zastępcą głównego śledczego, sam nie spał i pilnował, żeby nikt inny tego nie robił. Nie uczesał się przed spotkaniem, co świadczyło o powadze sytuacji. Gdyby wybuchła wojna, a ja byłbym dowódcą plutonu, zażądałbym, żeby Bertil był moim zastępcą. W przeciwnym razie nie wychodziłbym z kantyny, pomyślał Winter i wyciągnął rękę po teczkę, którą podał mu rejestrator.

Gdyby to była inna wojna, pomyślał.

Rejestrator był dość nowy w policji kryminalnej i stosunkowo młody. Podczas kilku wcześniejszych śledztw bardzo dobrze się spisał, więc główny śledczy Erik Winter zdecydował, że chce go zatrzymać.

Janne Möllerström pilnował wszystkiego. Zdawał się o niczym nie zapominać. Zajmował się bazą danych z dochodzenia wstępnego jak swoją własnością. Umiał czytać i dobrze pisał.

Czasami mieli dwóch rejestratorów, ale Janne świetnie sobie ze wszystkim radził sam. Winter przełknął ślinę i poczuł lekki ból w gardle. Miał to już od rana.

– Oddaję wam głos – powiedział.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Winter był ostry, więc jeśli pozwalał się swobodnie wypowiadać, oznaczało to, że tym razem kreatywność będzie w cenie. W przypadku tego morderstwa. Lub morderstw.

Nikt się nie odezwał.

– Lars?

Inspektor kryminalny poruszył się. Wygląda, jakby jego twarz nabrała charakteru, odkąd został inspektorem, pomyślał Winter. Czasami nawet bezsensowne reformy przynoszą jakieś korzyści.

– Przeczytałem raport z Londynu – zaczął Lars Bergnhem.

Jego twarz nabrała charakteru. Czuł się teraz prawdziwszym śledczym, po tym jak asystenci zostali niedawno automatycznie mianowani inspektorami w nowej jednostce okręgowej policji kryminalnej. Był inspektorem. *Inspector. I am an inspector. What are you? Are you talking to me? Shut up and listen when I'm talking.*

– Tak? – powiedział Winter.

– Chodzi o tę rękawiczkę.

– Słuchamy – zachęcił go Winter.

– Koledzy z Londynu znaleźli odcisk rękawiczki w tym pensjonacie *bed and breakfast*. Z tego co wiem, Fröberg znalazł coś podobnego w tym pokoju w akademiku u nas – powiedział Bergnhem.

– Zgadza się – przyznał Winter.

– W obu pokojach odcisk znajduje się w tym samym miejscu.

– Tak.

– Tylko tyle chciałem powiedzieć – dodał Bergnhem i wszyscy odnieśli wrażenie, że się rozluźnił.

Tylko tyle, pomyślał Winter. Tylko tyle, że młody Szwed został zamordowany w Londynie, a niemal równocześnie w Göteborgu, zwanym Małym Londynem, zamordowano młodego Anglika, który przyjechał tu, żeby się uczyć szwedzkiego i studiować inżynierię wodną. I odbyło się to w podobny sposób. Może wkrótce dojdziemy do tego, że to się stało w ten sam sposób, a wtedy pójdę na chwilę do kantyny i będę rysował kręgi z kawy rozlanej na stoliku. Póki się nie uspokoje.

To będzie wyjątkowe śledztwo.

– Jest jeszcze coś – odezwał się Ringmar ze swojego ulubionego kąta. Stał tam zawsze, z palcami wiecznie majstrującymi przy wąsach. Wyglądało to na swego rodzaju manikiur, ale może to jego myśli poruszały się wraz z palcami. – Odciski – wyjaśnił.

Nikt się nie odezwał. Winter spojrzał na Ringmara, przełknął ślinę i znów poczuł, że coś mu przeszkadza w gardle po lewej stronie.

– Czy w najnowszym raporcie Interpolu i z Anglii jest mowa o odciskach? – zapytał

Ringmar.

– Nie – odparł Möllerström. – Ale mówili, że nie zrobili jeszcze nawet połowy pokoju.

– To znaczy, że jesteśmy szybsi – powiedział jeden ze śledczych, który wkrótce miał wraz z kilkoma innymi opuścić grupę.

– To znaczy tyle co nic – odparł Ringmar. – Dopóki nie określimy dokładnie czasu tu, u nas.

– Wolałbym, żeby to się nie przerodziło w wyścig między Londynem i Göteborgiem – wtrącił Winter.

– Właśnie – zgodził się Ringmar. – O czym to ja mówiłem?

– Odciski – podsunął Möllerström.

– Właśnie – powiedział Ringmar. – Technicy znaleźli te niewielkie ślady niemal na środku pokoju, a teraz stwierdzili, że wiedzą, co to jest.

– Są prawie pewni – dodał Winter.

– Są pewni swojej diagnozy, jak należy. Właśnie robią porównania – wyjaśnił Ringmar. – Przed chwilą z nimi rozmawiałem.

– Czas na kontakt bezpośredni – stwierdził Winter.

– Czy mamy przyjść jutro, żeby dowiedzieć się reszty? – zapytał kobiecy głos. Był w nim lodowaty chłód, choć na Ringmara ironia nie działała. Ale coś może z niej być, pomyślał.

Aneta Djanali była jedną z niewielu kobiet w wydziale śledczym. Miała pozostać przy Ringmarze, kiedy trop zacznie stygnąć. Była nowa i wcale się tym nie przejmowała. Winter rozmawiał o niej z Ringmarem. Została. Poza tym jest ładna, stwierdził Ringmar.

– To statyw – powiedział Ringmar.

W sali zapanowała przytłaczająca i wyraźnie słyszalna cisza.

– To statyw od kamery filmowej lub aparatu fotograficznego, ostatecznie lornetki, ale to statyw.

– Jak możemy coś takiego stwierdzić, do cholery? – odezwał się ktoś ze środka sali.

– Słucham?

– Skąd pewność, że to akurat statyw?

– Nie jesteśmy tak całkiem pewni, jak przed chwilą powiedzieliśmy, ale laboratorium wyklucza wszelkie inne możliwości.

– Ten bydlak to filmował – powiedział jeden ze śledczych spod drzwi i rozejrzał się dookoła.

– Nic o tym nie wiemy – stwierdził Winter.

– Wiemy tylko tyle, że w krwi jest ślad po statywie – dodał Ringmar.

– Czy wiemy, kiedy się tam znalazł? – zapytał Berghem.

– Co? – zdziwiła się Aneta Djanali.

– Czy postawił tam statyw przedtem, czy po wszystkim? – uściślił Berghem.

– To dobre pytanie – stwierdził Ringmar. – Niedawno dostałem informację na ten temat.

– Tak?

– Przyjmijmy, że ktoś ustawił na podłodze statyw, zanim... zanim to się wydarzyło – wyjaśnił Ringmar.

– A więc krew pojawiła się tam potem – powiedział Ringmar.

Nikt się nie odezwał.

– To znaczy, że ktoś kręcił film – stwierdziła Aneta Djanali. Wstała i wyszła na korytarz, poszła do toalety. Stała tam dłuższą chwilę, z głową ciężko pochyloną nad umywalką. Gdzie są faceci?, pomyślała. Dlaczego stoję tu sama?

Winter siedział z dłońmi pograżonymi w żalobie. Dużo mógł powiedzieć, ale na początku tylko milczał. W pokoju były prawie same cienie. Nic już nie żyło swoim własnym życiem, żaloba przejęła panowanie i u Lassego i Karin Malmströmów cienie wyszły z mroku.

Tak pomyślał Winter.

– Co za cholerny koszmar. To straszne, przeżyć swoje dziecko – powiedział Lasse Malmström.

Winter wstał i poszedł do kuchni. Nie był tu od wielu lat, ale kiedyś bywał bardzo często. Dni pędzą jak dzikie konie po wzgórzach, pomyślał. Zajrzał do trzech szafek, wreszcie znalazł słoik rozpuszczalnej kawy. Nalał wody do czajnika i wcisnął wtyczkę do gniazdka w listwie nad zlewem. Nasypał kawy do trzech filiżanek, wlał trochę mleka, a potem dopełnił wrzącą wodą. W szczelinie, w której normalnie powinna się znajdować stolnica, znalazł tacę i ustawił na niej filiżanki.

To mnie trochę nadweręży emocjonalnie, ale może też stanę się wrażliwszy, a to może być dobre, pomyślał. Jeśli będę umiał rozdzielić te sprawy, może potem będę lepszym śledczym... jeśli to jakaś różnica.

Słońce przedarło się przez okno nad kuchennym blatem i na środku kuchni blask zderzył się ze słabym światłem lampy z przedpokoju. Światło połączyło się w puste coś, uniemożliwiając orientację komuś, kto chciałby iść dalej. Nic tu nie idzie dalej, pomyślał. Nie jestem pewien, czy ci ludzie będą w stanie zadbać o siebie w najbliższym czasie.

Przeszedł z kawą przez dom i usiadł w jednym z foteli w salonie. Karin Malmström udało się podciągnąć jedną z żaluzji. Słońce namalowało pionowy prostokąt na północnej ścianie. Całe światło zebrało się w tym jednym miejscu.

– A więc nie było go dwa dni – podjął Winter.

Lasse Malmström skinął głową.

– Wiedział, gdzie będzie mieszkał?

Rodzice spojrzeli po sobie. Żadne się nie odezwało.

– Czy załatwił sobie wcześniej jakiś pokój? – zapytał Winter.

– Nie chciał tego robić – odpowiedziała Karin Malmström.

– Dlaczego?

– Nie pierwszy raz podróżował... sam – wyjaśniła. – Pierwszy raz pojechał sam do Londynu, ale ma już pewne doświadczenie.

Dla niej nadal był obecny. Winter stykał się z tym wiele razy, w sytuacjach takich jak ta.

– Nie chciał robić zbyt wielkich przygotowań – mówiła dalej.

Winter przyglądał się prostokątowi światła na ścianie. Przemieścił się, co oznaczało, że światło dosięgło siedzącej przed nim kobiety. Siedziała z pochyloną głową, co pograżało jej twarz w cieniu. Zobaczył mignięcie, jak refleks w prawym oku, ale nic poza tym. Miała na sobie sprane dzinsy i gruby dzierzgany sweter: rzeczy, które są zawsze pod ręką, kiedy się wstaje z łóżka po bezsennej nocy.

– Młodzi nie lubią za dużo planować – stwierdziła.

– Czy powiedział, w jakiej dzielnicy zamierza się zatrzymać? – zapytał Winter.

– Wydaje mi się, że mówił coś o Kensington – powiedział Lasse Malmström.

Winter milczał, czekał.

– Jeździł z nami kilka razy. Wtedy mieszkaliśmy w Kensington, nawet przy tej samej ulicy, ale nie chciał, żebym tam dzwonił i rezerwował mu pokój w tym hoteliku. W końcu i tak to zrobiłem, a on się wtedy wkurzył... no ale i tak nie anulowaliśmy tej rezerwacji, więc myślałem, że mimo wszystko się tam zatrzyma – dokończył Lasse.

Miał na sobie garnitur, białą koszulę i krawat, przez co mocno kontrastował z żoną. Różnie reagujemy w żałobie, pomyślał Winter. Na przykład Lasse będzie chodził do biura jeszcze dzień lub dwa, a pod wieczór ostatniego dnia, a może rano... padnie twarzą na biurko albo na klienta siedzącego naprzeciwko, a potem długo nie założy garnituru.

– Ale się tam nie pojawił.

Za oknem przesuwwały się chmury i jasny prostokąt światła zniknął ze ściany. Karin

Malmström utkwiała w nim wzrok, a kiedy się rozpląnął, Winter zauważył, że jej oczy pociemniały.

Wydaje mi się, że nie słucha, pomyślał.

– Czy byliście na południowym brzegu Tamizy?

– Co?

– W południowej części Londynu. Czy kiedyś byliście tam... z Perem.

– Nie – odparł Lasse Malmström.

– Nie rozmawialiście też nigdy o tamtych dzielnicach?

– Nie. Dlaczego mielibyśmy to robić?

– Nie mówił, że zamierza się tam wybrać?

– Nie. Przynajmniej ja nic nie słyszałem. Karin?

Kobieta znów uniosła twarz, światło wróciło.

– Karin?

– Co?

Odpowiedziała, nie odwracając głowy.

– Czy Per mówił, jakie miejsca zamierza odwiedzić w Londynie? – zapytał jej mąż.

– Co?

Odwrócił się do Wintera z gestem bezradności.

– Dlaczego, do wszystkich diabłów, on tam pojechał? – wyrzucił z siebie Lasse Malmström.

– Może miał tam jakichś znajomych? – podsunął Winter.

– Nic o tym nie wiem.

– Myślę, że powiedziałyby nam o tym – mówił dalej Lasse. – Powiedziałyby nam. Czy sądzisz, że kogoś poznał?

– Na to wygląda.

– Chodziło mi... że przedtem, kogoś, kto go zwabił w tę cholerną dzicz.

– Nie wiem – przyznał Winter.

– Ja pytam, co ty sądzisz, Eriku, do jasnej cholery – powiedział Lasse Malmström podniesionym głosem, ale jego żona nadal się nie odzywała.

Winter chciał się napić kawy, ale odstawił filiżankę. Kiedy się jest policjantem tak długo jak ja, człowiek traci zdolność osądzania, pomyślał, zwłaszcza podczas dochodzenia w sprawie morderstwa. Najgorsze, co można zrobić, to mieć jakieś sądy i wyobrażenia o rzeczach, które rozsypują się w pył, okazują się diabła warte. Ale nie mogę tego teraz powiedzieć. Dla nich ważny jest mój osąd, wiara, że wyjaśni się coś, czego się nie da

wyjaśnić.

– Nie sędzę, żeby znał wcześniej tego kogoś, kto go zwabił do tego pokoju, ale wiem, że poznał kogoś, kiedy już był na miejscu – wyjaśnił. – Kiedy zatrzymał się w tamtej okolicy.

– Dziękuję.

– Coś innego sprawiło, że się tam wybrał.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Zza okna dobiegały jakieś głosy. Szkoła znajdująca się za zakrętem zakończyła pracę i dzieci szły do domu. Zbliżały się ferie zimowe. Karin Malmström podniosła się i wyszła z pokoju.

W samochodzie zastanawiał się, dlaczego nie zadał rodzicom Pera Malmströma tych dwóch czy trzech oczywistych pytań. Są ważne, a bez odpowiedzi na nie nie da się dalej pracować. Może oni nie wiedzą, pomyślał, ale te pytania muszą zostać zadane i lepiej, żebym to ja to zrobił, jak najszybciej. Chwila odpoczynku, potem będę musiał wrócić.

Na początku lutego zdarzały się przelotne chwile, kiedy wiosna szepnęła jakieś słówko, a potem się wycofywała. To było jedno z takich popołudni. Winter jechał Eklandgatan, mijając w dole huczące miasto. Niebo uchwyciło się wieżowca hotelu Gothia, a światło przesunęło się stamtąd, wirując kolidując, i oślepiło go, kiedy wjeżdżał na rondo przy Korsvägen. Nagle nie wiedział, dokąd ma jechać.

Usłyszał klakson samochodu jadącego za nim i zjechał w prawo. Minął cichy Liseberg i jechał dalej na wschód. Ciągłe na zielonym świetle przejechał cały Sankt Sigfrids Plan i skręcił na parking przy budynku telewizji.

Wpasował auto w lukę i oparł się na kierownicy. To jednak na mnie działa, pomyślał. Mogę zachować kamienną twarz do Sankt Sigfrids Plan, ale potem wszystko się rozsypuje.

Człowiek jest tylko człowiekiem, niczym więcej. Muszę porozmawiać z Hanne. Posiedzę jeszcze, póki na dworze jest jasno, a potem pojedę z powrotem. Puszczę sobie jakąś pocieszającą muzykę. Doprowadzę do porządku twarz w lusterku wstecznym.

SPADŁ ŚNIEG I MRÓZ POBIELIŁ gałęzie, w kilka godzin upiększył wszystko dookoła. Ze swojego miejsca Hanne Östergaard widziała pieszych cztery piętra niżej, jakby sunęli po miękkim podłożu, ze stożkami oddechu przed twarzami. Zaciekawiona przeciągnęła palcem wskazującym po szybie, żeby lepiej widzieć. Para zamieniła się w przejrzystą, wilgotną smugę. Palec był zimny. Odwróciła się do Wintera.

– Za dużo rzeczy naraz – powiedział.

– Tak.

– No cóż... tak już jest, że człowiek czasem potrzebuje pogadać – stwierdził.

– Nawet ty? – zapytała, siadając na krześle za biurkiem.

To było szerokie i ciężkie biurko. Nie lubiła go. Prosiła o inne, potem o inny pokój, ale na razie, zanim zapadną decyzje, musiała tu siedzieć.

Ale nic się chyba nie zmieni. Pracuje na pół etatu, raczej nie dostanie nowego biurka. Kiedy powiedziała, że od pierwszego dnia to więcej niż pół etatu, kobieta z administracji spojrzała na nią, jakby to był niesłychanie śmieszny kawał, który wszyscy opowiadają sobie od przedwojnia. Ale Hanne Östergaard nie znała śmiesznych kawałów. Była pastorem, a pastory nie opowiadają śmiesznych kawałów, chyba że w okresie kościelnych swawoli. Ale on jeszcze nie nadszedł.

– Nawet ja – przyznał Winter i z trudnością założył nogę na nogę.

Lubię tego faceta, pomyślała Hanne Östergaard. Jest za młody do tej pracy, jest zbyt przystojny i o wiele za dobrze wygląda w tych swoich garniturach od Baldessariniego czy Giannię Versace. Jego twarz zbyt rzadko okazuje emocje. Ale w środku jest wrażliwy, i to dlatego przyszedł. Nie grozi mu załamanie, ale już o tym myślał.

– Nie grozi mi załamanie – powiedział Winter.

– Wiem.

– Rozumiesz mnie.

– Słucham.

– Mówiono mi, że potrafisz słuchać.

Hanne nie odpowiedziała. Słuchanie jest dla pastora czymś oczywistym, a odkąd

zaczęła dzielić czas między parafię i komendę policji, w jej uszach rozbrzmiewało wiele głosów. Starsi, choć przeważnie młodzi aspiranci z miasta lub młodzi inspektorzy kryminalni, prosto po szkole policyjnej, byli ciągle w ruchu na obwodnicy wokół przestępczego Göteborga. Po ciężkich przejściach mogli wziąć wolne, ale to nie wystarczało, ani trochę nie wystarczało. Tkwili w samym środku piekła, byli świadkami i uczestnikami tego, jak społeczeństwo pożera swoje własne dzieci. Pogarda zalewała ulice. Nie było już miejsca dla słabych, dla nieprzystosowanych. Nie ma miejsca na honor, pomyślała nagle.

Policjanci rozmawiali z Hanne Östergaard. Spotykali się też sami, w grupach, żeby porozmawiać. Zwłaszcza Winter umiał skłonić swoich podwładnych do mówienia o okropnościach, które przeżyli, ale to nie wystarczało. Zastanawiała się, czy byłaby w stanie pracować tu dłużej niż trzy dni w tygodniu. Ludzie, którzy tu pracują, tak często mają do czynienia z zabitymi. Spalonymi, zmiażdżonymi w wypadkach samochodowych, zastrzelonymi, zamordowanymi. Pośrednio są to także moje przeżycia. Nitki czepiają się mnie.

– Czuję się emocjonalnie zaangażowany w sprawę tego chłopca w Londynie i zastanawiam się, czy jestem odpowiednią osobą na prowadzącego śledztwo – powiedział Winter.

– Mhm.

– Sądziłem, że będę umiał sobie poradzić z żałobą po zmarłym przyjacielu, ale i to będzie musiało trochę potrwać.

– Oczywiście.

– Może potrzebuję rodziny.

Hanne Östergaard spojrzała na niego otwarcie, jakby chciała zgłębić jego błękitne oczy lub to, co mogło się kryć za nimi.

– Brakuje ci rodziny?

– Nie.

– Powiedziałeś, że może potrzebujesz rodziny.

– To nie to samo.

Nie odzywała się, czekała.

– Żyję samotnie z wyboru. To przyjemne samemu móc wybierać okazje, kiedy ktoś ma coś powiedzieć, ale potem przychodzą takie chwile... jak teraz...

Spojrzał jej w oczy.

– Jak teraz, kiedy siedzisz tutaj – dokończyła.

– Tak.

Winter znów skrzyżował nogi. Nadal bolało go gardło, milimetrowych rozmiarów ból umiejscowiony był bardzo głęboko, gdzieś, gdzie nie można go było dosięgnąć.

– Człowiek już nie myśli tak często o tym, jak się czuje po tym wszystkim – powiedział. – Kiedy zaczynałem i patrolowałem ulice, kiedy widziałem prawdziwą przemoc, przez chwilę chciałem to rzucić, ale potem zrobiło się lepiej.

– Co się zrobiło lepiej?

– Słucham?

– Czy to twoje uczucia się zmieniły? Widziałeś te sprawy nieostro?

– Nieostro? Tak, chyba tak. To chyba dobra metafora.

– A potem przestałeś pracować na ulicy?

– Poniekąd. Ale te... okropności przecież dalej istnieją, tylko inaczej.

Hanne Östergaard nie odpowiedziała. Zobaczyła przed sobą, po drugiej stronie biurka, dwóch chłopaków: dwadzieścia pięć lat, tylko dziesięć lat młodszy od niej, choć równie dobrze mogli mieć po sto albo i więcej, młodzi policjanci, którzy pierwsi weszli do mieszkania po zgłoszeniu sąsiadów i zatrzymali się nad ciałem dziesięcioletniej dziewczynki. W głębi mieszkania, w salonie, leżała mama. Żyła jeszcze trzy godziny. Leżał tam też mężczyzna, który po wszystkim próbował poderżnąć sobie gardło. Ten bydlak stchórzył, powiedział jeden z chłopaków. Zdjęli drzwi z zawiasów w trzeciej minucie nowego roku. A potem tam siedzieli. To się zdarzyło całkiem niedawno.

Wiedziała, że Winter teraz myśli właśnie o tym. I o czymś jeszcze.

– Kiedy tam stałem, w tym przeklętym pokoju przy Mossen, czułem, że moje myśli się wyostrajają, a równocześnie chcą uciec – powiedział. – Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Jakbym dostał kilka wiadomości równocześnie. Jakby różne sprawy ciągnęły mnie każda w swoją stronę.

– Tak.

– Rozumiesz to? Jakbym mógł swoje zadanie wykonać jeszcze lepiej niż kiedykolwiek przedtem, a równocześnie tym razem miało to być trudniejsze niż zwykle.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? Jak możesz to rozumieć, Hanne?

Nie odpowiedziała.

– Jak możesz to rozumieć? – powtórzył.

– Z iloma krewnymi ofiar rozmawialiśmy razem? – zapytała. – Widzisz, że za oknem pada śnieg, choć równocześnie może świeci słońce, widzisz, że powietrze jest zimne, choć równocześnie jest trochę jaśniej niż wczoraj o tej samej porze?

– Rozumiem.

Zawsze będzie światło. Zrobi się cieplej. Cokolwiek się zdarzy, zawsze zostaje kilka prawd. Może samo to jest wystarczającym wyjaśnieniem.

Wyjrzał przez okno, ale zobaczył tylko szarą poświatę. Skoro powiedziała, że pada śnieg, to pewnie tak jest.

– Myślisz, że istnieje jakaś granica? – zapytał po upływie pół minuty.

– Czy można osiągnąć swoją granicę?

– Tak.

– Trudno powiedzieć. Zawsze miałam problemy z dostrzeganiem granic, przynajmniej niektórych.

– Wiesz, co w tej pracy jest najtrudniejsze? To, że nabiera się nawyków i rutyny tak szybko, jak się tylko da, a potem pracuje się możliwie najciężej, żeby te nawyki i rutyny trzymać w ryzach. Żeby wszystko było nowe, jakby się zdarzało pierwszy raz.

– Rozumiem.

– Że ta krew leje się pierwszy raz. Że mogłaby być moja albo twoja, Hanne. Albo tak jak w tej sprawie: że widzi się zwłoki, które kiedyś się ruszały. Kiedy Duch Święty jeszcze mieszkał w tym ciele. To tu jest punkt wyjścia.

– Co w takim razie możemy teraz zrobić?

– Pójdę do siebie i poczytam wydruki Möllerströma.

Złodziej wrócił na miejsce. Przez sekundę miał nadzieję, że to mieszkanie już nie istnieje albo nie ma tego domu, albo że to był przelotny sen, blackout wywołany przez napięcie. W drodze do pełnego opanowania rzemiosła napięcie czasem bierze górę.

Zrobił tak samo jak przedtem: pilnował godzin i widział, jak mieszkańcy wychodzą z domu. Kobiety, mężczyźni i kilkoro dzieci, ale jego nie widział. Nie wchodził do domu. Wiedział, że przemykanie się pod drzwiami może być niebezpieczne.

Wrócił następnego ranka i zobaczył, że tamten wychodzi, około dziesiątej. Śledził go chwilę, kiedy szedł na parking i wsiadał do opla, który wyglądał na dość nowy. Odprowadził samochód wzrokiem, aż zniknął. Co teraz? Czy doszedł do tego w swoich planach? Co takiego planował?

Był zmarznięty, spędził na dworze półtorej godziny. Wszedł na klatkę schodową i nagle znalazł się przed tamtym mieszkaniem, chwilę nasłuchiwał i już był w środku. Przeszedł szybko przez korytarz do sypialni, puls walił mu między uszami jak kafar. Na

podłozie nic nie było, żadne czarne worki ani ceglany proszek, nic.

Nic nowego, co można by ukraść. Kiedy usłyszał z przedpokoju odgłosy, zrozumiał, że istnieją granice ludzkiej ciekawości czy niezdecydowania, czy jaka inna cholera kazała mu tu przyjść.

To przez gazety, pomyślał. Gdyby ta cholerna prasa nie pisała o tym cholernym pierdolonym morderstwie, nie wróciłbym tu i nie słyszał, jak te cholerne pierdolone pierdolone drzwi się otwierają.

Opadł na kolana i wpełzł pod łóżko. Co mam zrobić?, myślał. To jest kara za wszystkie moje grzechy.

Pod szerokim łóżkiem kłębił się i leżał cienką warstwą kurz. Wpełzał coraz głębiej, usiłując zdławić kichnięcie. Zaskłaniał dłonią usta i nos, drugą rękę położył na karku, żeby powstrzymać odruch. Coś podobnego sobie kiedyś wyobrażałem, pomyślał, myślałem o takiej scenie: Żydzi siedzą w kryjówce, podczas gdy niemieccy żołnierze przeszukują mieszkanie, i nagle jeden z ukrywających się musi kichnąć.

Zobaczył, że w przedpokoju zapaliło się światło. Potem para butów weszła do sypialni. Ze strachu przestało go kręcić w nosie.

Wstrzymał oddech. Gdzieś zapaliła się lampa. Domyślał się, że u wezgowia łóżka. Powoli odwrócił głowę, żeby zobaczyć, czy jego ciało rzuca cień na podłogę przy łóżku.

Nie mogę wypełznąć spod łóżka i go nastraszyć, pomyślał. Zanim zdążę się wydostać, odrąbie mi głowę.

Coś zaterkotało nad nim. Usłyszał sekwencję dźwięków, rozpoznał ją.

– Trochę się spóźnię.

Co za koszmar, tak leżeć i słuchać tego głosu, pomyślał.

– Tak.

– Tak...

– Nie.

– Właśnie dlatego wróciłem.

– Tak.

– Dziesięć minut.

– Nie.

– Rozmawiałem z nim.

– Celuloid.

– Mhm.

– Mhm.

– Nie.

– Mhm.

– Tak.

– Dziesięć minut.

Znów usłyszał głuchy stukot i zobaczył, że buty stoją nieruchomo, czubkami zwrócone w jego stronę.

Teraz się zacznie, pomyślał.

W mieszkaniu było tak cicho, jak to tylko możliwe przed południem, kiedy nikogo nie ma w domu. Słyszał delikatne szszszuu samochodów na ulicy za oknem. Poza tym nic.

Namyśla się czy patrzy prosto na łóżko? Jeśli te buty zbyt szybko się poruszą, przeturłam się na drugą stronę i rozegramy to tam.

Przygotował się, napiął ciało w sztywny łuk.

Teraz: buty ruszyły w stronę przedpokoju. Wyszły, światło zgasło i drzwi się zatrzasnęły.

Leżał nieruchomo jeszcze dwadzieścia minut, a jego ciało sływało potem.

Kiedy ten facet będzie sprzątał w mieszkaniu, tylko przeciągnie końcówką odkurzacza, bez zagładania pod łóżko. Czy to tylko moja nadzieja? Zresztą jakie to ma znaczenie, że zobaczy, że ktoś leżał pod jego łóżkiem? Jakies znaczenie dla mnie? Co powinienem teraz zrobić? Poza tym, że nigdy, nigdy, przynigdy więcej tu nie wrócę, jeśli będę miał wybór. A jeśli on zatrzasnął drzwi od środka? Czekam tam na mnie, w przedpokoju... ileż w końcu mogę tu leżeć... jeszcze chwilę ponasłuchuję... nasłuchiwałem chwilę... nie, wyłażę.

Wygramolił się spod łóżka i wstał, ciało miał pokryte kurzem, jak warstwą skażonego miejskiego śniegu. Wyszedł z pokoju najostrożniej, jak potrafił, zbierając drobinki kurzu opadające na podłogę. Otworzył drzwi na klatkę i chwilę nasłuchiwał, odetchnął, wyszedł i zbiegł na dół.

Ciągnęło od drzwi balkonowych, Winter wstał od biurka i poszedł je zamknąć. Najpierw otworzył drzwi na oścież i wyszedł na balkon. Zadrzał z zimna, wciągnął nosem zapach wielkiego miasta. Tramwaje zgrzytały cicho, w coraz większych odstępach. Mgła znad kanału przetoczyła się przez park i nad Allén. Kiedy poczuł wilgoć mgły, wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Siedział chwilę nad lakoniczną notką angielskiej policji. Między morderstwami były zastanawiające podobieństwa. Coś takiego nigdy przedtem się nie zdarzyło. Ponadto w

sposobie postępowania mordercy było coś dziwnego. Koledzy z południowego Londynu znaleźli niewielkie odciski w zakrzepłej krwi. Winter, na Boga, tylko nie „te małe odciski”, pomyślał. Małe ślady, które przypominały lub mogły przypominać odciski z pokoju w akademiku.

Winter wrócił do domu i od razu wszedł do internetu, żeby poszukać podobnych przypadków. Miał coś konkretnego, na czym mógł się oprzeć, choć było to raczej wyobrażenie o czymś, iluzja: miał przed oczami jakieś obrazy, ale równie dobrze mogły pochodzić ze snu. Szukał jakichś znaków w najdalszych krańcach elektronicznej nocy, przeglądał serię amerykańskich baz danych. Zdziwiająco wiele zbrodni zaplanowano lub dokonano w Kalifornii i Teksasie. To słońce i piasek robią z ludzi szaleńców, pomyślał Winter, kiedy zadzwoniła leżąca na biurku komórka. Wysunął antenę i przyłożył aparat do ucha.

– Eriku! – Trzeszczący głos.

– Cześć, mamó. Właśnie o tobie myślałem.

– Och...

– Myślałem o słońcu i piasku, i o tym, co robią z ludźmi.

– Właśnie. Czyż to nie cudowne, Eriku? Ale...

– Nie powinnaś dzwonić na komórkę, mamó. To za drogo dla was.

– No tak. Ale ja...

– Mam stacjonarny telefon, na ścianie w kuchni.

Ze słuchawki dobiegło mamrotanie. Widział wyraźnie, jak matka odwraca się w niewielkiej kuchni z barem i bierze czwarte wytrawne martini, równocześnie sprawdzając swój profil w lustrze wiszącym nad kontuarem. Pocziwa mama.

– Jak poszedł wam dzisiaj golf? – zapytał.

– Nie pojechaliliśmy, synuś – powiedziała.

– O...

– Padało cały dzień, ale teraz musz...

– To szkoda. Przecież po to kupiliście ten dom, żeby uciec od czegoś takiego.

Westchnęła do słuchawki. Wilgotne westchnienie z pogłosem przesiąkniętym alkoholem.

– Właściwie to dobrze, potem green będzie bardziej zielony, synuś.

Zaśmiała się, a jemu przyszły na myśl szczęki hamulcowe, jak trą o siebie, bez oleju.

– Zaczekaj, tata chce coś powiedzieć – rzuciła, a on wsłuchiwał się w szum i ciszę przez całą drogę do Marbelli. Głos powrócił, bardziej piskliwy niż przedtem, jakby na linii

nastąpiła przerwa.

– Eriku?

– Jestem.

– Tata mówi, żebyś przyjechał na jego urodziny.

– Ale to przecież w marcu.

– Wiemy, ile masz pracy. Planowanie, rozumiesz. My planujemy. Tata mówi, że funduje. Ale to jest...

Widział ojca przy małym stoliku z metalowych rurek przy tarasie. Rosły mężczyzna z ciężką głową o gęstych, posiwiałych włosach, pięknie żyłkowanym nosie, czerwonej cerze, która nigdy nie brązowiła, i jedną uporczywą myślą zawsze przyczajoną w głowie: czyż ostatecznie nie jest tak, że to pieniądze stanowią sens życia?

– Nie mogę się na to zgodzić – przerwał jej.

– Co?

– Gdybyś to ty chciała mi zafundować podróż, to byłoby co innego. Ale nie nasz zubożały ojciec.

– Ha ha. Eriku, muszę już...

– Nie sądzę, żeby to było możliwe. Mamy tu stra...

– Czytałam o tym. Czy to nie okropne? Biedny chłopak, przecież to nasi sąsiedzi i w ogóle. Próbowałam to powiedzieć od początku, ale nie dałeś mi szansy. Właśnie w tej chwili dostaliśmy gazety, coś się pomy...

– Tak. To naprawdę straszne.

– Lotta nagrała się na sekretarkę, ale nas nie było w domu przez kilka dni. Tata mówił o Gibraltarze, to się wybraliśmy.

– Aha.

– Przed chwilą rozmawialiśmy z Lottą.

Winter nie odpowiedział. Myślał o ciepłym wietrze. Słyszał, jak jego matka wydmuchuje dym pod kątem, do góry, słyszał, jak dwie kostki lodu dzwonią o siebie.

– To się stało w Londynie. Londyn to straszne miasto – powiedziała.

– Hiszpańskie duże miasta są o wiele bezpieczniejsze.

Nie odpowiedziała. Nie był pewien, czy słyszała.

– Uważam, że dobrze odpowiadałeś w gazetach.

– Nie powiedziałem absolutnie nic.

– Ale to dobrze – powtórzyła.

Spojrzał na monitor komputera. Nie mając świadomości, co robi, z amerykańskiego

zachodniego wybrzeża posurfował do Europy, na słoneczne plaże Hiszpanii. Tak jak się bazgrze, rozmawiając przez telefon.

Siedział przed planem Marbelli, monitor zaczął lekko migotać na brzegach. Temperatury w mieście. Kliknięciami przeniósł się na południowy wschód i ustawił kursor mniej więcej w miejscu, skąd docierał do niego głos w komórce:

– Eriku?

– Tak, mam?

– Zamierzam zadzwonić do Lassego i Karin.

– Teraz?

– Tak późno chyba jeszcze nie jest?

Jest mniej więcej o cztery wytrawne martini i pół butelki białego wina rioja za późno, pomyślał. Może mañana.

– Oni dużo przeszli. Dziś wieczorem bym nie dzwonił. Może jutro. Dość wcześnie.

– Chyba masz rację. Jesteś taki mądry.

– Jak na gliniarza.

– Przyzwyczailiśmy się. – Słyszał odgłos shakera w jej prawej dłoni. – Jesteś najmłodszym komisarzem w kraju.

– Muszę tu jeszcze trochę popracować – powiedział i kliknięciem usunął mapę Costa del Sol z ekranu.

– Wkrótce znów się odezwiemy.

– Dobrze. To cześć, i pozdrów tatę.

– Pamiętaj o zaproszeniu... – zaczęła, ale telefon już leżał na biurku.

Winter wstał i poszedł do kuchni. Nalał wody do czajnika elektrycznego, włożył wtyczkę do gniazdka i nacisnął guzik. Podczas gdy woda szumiała w czajniku, nasypał herbaty do kulistego zaparzacza i włożył go do porcelanowego kubka. Dolał mleka i uzupełnił gotującą się wodą. Kiedy herbaciane liście puściły wystarczająco dużo koloru, wyjął kulkę, odłożył do zlewu i zabrał kubek do pokoju. Włączył Coltrane'a w odtwarzaczu, sączył herbatę i patrzył, jak wieczór przechodzi w noc. Lampa stojąca przy jednym z regałów z książkami stanowiła jedyne źródło światła. Stanął przy oknie i spróbował wyjrzeć na miasto, ale widział tylko swoje odbicie w szybie.

TO BYŁA SOBOTA. Hillierowie mieszkali na południowym brzegu. Steve Macdonald jechał na zachód drogą A 236. Utrzymywał dystans, właściwie jako jedyny. Jestem sobie dziadek w kapeluszu, tra la la tra la la, pośród samochodów śmigających i wyprzedzających z ułańską fantazją, pomyślał i z premedytacją rozzłościł kierowcę vauxhalla jadącego za nim. Facet pokazał mu środkowy palec, jeszcze zanim opuścili północną część Croydon.

No, wyprzedzaj, wyprzedzaj, gaz do dechy, mruknął Macdonald i czekał na ruch szaleńca z tyłu. Dzisiaj też nie jestem w dobrym nastroju, wyprzedzaj, wyprzedzaj, koleżko, żebym mógł zgłosić twoje numery. Zobaczył otwierające się przed nim skrzyżowanie: będzie musiał skręcić w lewo i patrzeć, jak tamten, trąbiąc, pędzi w prawo z palcem uniesionym triumfująco.

Jesteśmy narodem chuliganów, pomyślał. Myślimy tylko o następnym meczu, z palcem uniesionym w górę do Wielkiego Coacha w niebie. Ten palant na pewno jedzie na mecz do Brentford. Griffin Park. Dobre miejsce w taki dzień jak dziś, ponury początek lutego. Kilka godzin w wesołej kompanii.

Dojechał do Tulse Hill i zaparkował przed domem przy Palace Road. Fasada była chyba odnowiona. Mieszkańcy należeli do starej klasy średniej, która zdecydowała się zostać tutaj, kiedy przed laty okolice były terenem działań wojennych. Wysiadając z samochodu, nieomal usłyszał wybuchy od strony Brockwell Park.

W oknach było ciemno, ale wiedział, że rodzice chłopca czekają na niego. Bogu dzięki, że nie przychodzę z tą wiadomością pierwszy, pomyślał. A może to nawet gorzej, bo szok mógł już minąć?

Zastukał kołatką i drzwi od razu się otworzyły, jakby kobieta stała i czekała po drugiej stronie całe przedpołudnie. Mimo emocjonalnego przygotowania wygląda to tak, jakbym się włamywał do jej domu, pomyślał.

– Pani Hillier?

– Tak. Komisarz Macdonald?

Potwierdził i pokazał legitymację policyjną. Nawet na nią nie spojrzała. Gestem zaprosiła go do środka.

– Niech pan wejdzie.

Ech, te wizyty w domach, pomyślał. To o tym śnią nam się koszmary. To ja. To tacy jak ja śnią się w pełnych lęku snach.

Podłużny przedpokój prowadził bezpośrednio do salonu. W dalszym rogu pokoju światło padało na mężczyznę siedzącego na środku bruchatej sofy. Macdonald usłyszał daleki zgrzyt i zobaczył pociąg British Railways pędzący na południe, sto metrów za wyłysiałą polanką.

– Nigdy nie jeździmy pociągami – odezwał się mężczyzna siedzący na sofie.

Macdonald przedstawił się. Mężczyzna sprawiał wrażenie głuchego.

– Ta część Londynu jest zniszczona torami, to jeszcze gorsze niż budowa autostrad – powiedział mężczyzna.

Macdonald zauważył butelki na stole, na prawo od gospodarza, i stojącą przy nich szklanę. Mężczyzna sięgnął po nią i podniósł na wysokość podbródka. Spojrzał na gościa. Macdonald podszedł o krok bliżej. Zobaczył niewyraźne oczy, niemal niewidzące. Nie potrafił ocenić, czy to z powodu choroby, czy alkoholu.

– Nie, nie jestem ślepy – odezwał się mężczyzna, jakby czytał w jego myślach. – Jestem tylko pijany. Punktualnie od jedenastej przed południem.

– Czy mogę usiąść? – zapytał Macdonald.

– Niech pan siada i czuje się usadzony, tylko żeby panu wszystko nie wysiadło – odparł ojciec Geoffa Hilliera, Winston Hillier. Wydusił z siebie śmiech: wyszedł z jego ust, ale nie sięgnął nozdrzy. – Powiedziałem Geoffowi, że to dobry pomysł – powiedział i podniósł się, żeby wziąć czystą szklanę z szafki za plecami.

– Gin czy whisky? – zapytał i niemal pogroził Macdonaldowi szklaną.

– Pół kropelki whisky.

– Szkot?

– Tak.

– Skąd?

– Niedaleko Inverness.

– Nad morzem?

– W drugą stronę. – Macdonald wziął pełną po brzegi szklanę i powąchał alkohol.

– Mam nadzieję, że mieszana panu odpowiada – powiedział Winston Hillier i odstawił butelkę na stolik.

– Jak najbardziej.

– Szkoci właściwie muszą mieć słodową.

– Mało którego Szkota stać na malt – odparł Macdonald i uniósł szklanę, jakby wznosił toast. Potem odstawił na stolik. Nie napił się. Winston Hillier wyjrzał przez okno.

– Myślałem, że to się ciekawie zapowiada – powiedział, nie czekając na pytanie. Śledził wzrokiem kolejny pociąg. Przetoczył się obok polany, szarzejącej i coraz starszej w świetle zmierzchu. – Nowy kraj dla młodego człowieka, na dłużej. Międzynarodowe wykształcenie w nowym wspaniałym świecie.

Upił duży łyk dzinu z tonikiem.

– Dlaczego właśnie... Szwecja? – zapytał Macdonald.

– A dlaczego nie?

– Czy był jakiś szczególny powód?

Macdonald usłyszał jakiś odgłos za plecami i odwrócił się. Żona Hilliera niosła popołudniową herbatę. Zapachniało ciepłymi bułeczkami drożdżowymi. Ostrożnie przesunął swoją szklanę whisky ze środka stołu.

– Czy był jakiś specjalny powód, dla którego wybrał Szwecję? – powtórzył pytanie.

– Nic oprócz jakiejś korespondencyjnej przyjaźni, dawno temu, z kimś z Göteborga – wyjaśniła kobieta, siadając obok męża. Rozstawiła filiżanki i talerzyki.

– To dlatego pojechał do Göteborga – dodał Winston Hillier.

– A jak się dowiedział o tych studiach?

– Poprzez tutejszą uczelnię – odpowiedziała kobieta. Macdonald pamiętał, że ma na imię Karen.

– Geoff zawsze chciał być in-ży-nie-rem i dlatego się zain-tere-sował tamtą szkołą – dodał Winston Hillier, z trudem artykułując słowa. – No i jeszcze miała taką angielską nazwę – dodał. – Chandlers albo coś podobnego.

– Chalmers – poprawiła żona.

– Chalmers – powtórzył.

– Dostał też list – kobieta zwróciła się do Macdonalda.

– Z tej szkoły?

– Nie. Od kogoś z Göteborga. Wyglądało na to, że to przez ten list ostatecznie zdecydował się na te studia. Tę szko... szkołę.

Macdonald zauważył, że mówienie tak długo bez przerwy przychodzi jej z trudnością.

– Prywatny list?

– A jaki inny mógłby być? – odpowiedział pytaniem Winston Hillier.

– Od tego dawnego znajomego?

– Nie wiemy – odparła kobieta.

Macdonald nie odzywał się. Czekał.

– Nie pokazał go nam – wyjaśnił Winston Hillier. – I właściwie nie było w tym nic dziwnego, ale nie chciał też powiedzieć, od kogo go dostał.

– Tylko tyle, że go dostał – uzupełniła żona.

– Ze Szwecji?

– Z Göteborga – odparł Winston Hillier.

Macdonald usłyszał z oddali zgrzyt następnego pociągu. Po pewnym czasie odgłos wydał mu się ostrzejszy, bardziej blaszany, jak gdyby ściany domu stopniowo go wzmacniały.

– I nie pisał o tym ani nie wspominał nic po wyjeździe... tam, kiedy wprowadził się do tamtego pokoju?

– Nie.

– Może coś o innych osobach, z którymi się spotykał?

– Nie.

– Nic?

– Przecież on, do kurwy nędzy, dopiero co się tam wprowadził, i zaraz go zamordowali! – krzyknął Winston Hillier i spojrzał na Macdonalda czerwonymi oczami.

Potem zwałił się ciężko z sofy na podłogę, twarzą w dół.

– Niech pan się wynosi. – Jego głos tłumiała wykładzina.

Kobieta rzuciła Macdonaldowi takie spojrzenie, jakby przepraszała za to, że są w żałobie.

Nie trzeba żadnych cholernych przeprosin, pomyślał Macdonald. To ja powinienem przeprosić.

– Niech p-a-n i-dzi-e – powtórzył Hillier z podłogi, a Macdonald dał znak kobiecie i wyszli do kuchni. Zadał jej jeszcze kilka krótkich pytań, zapisał jedno nazwisko i adres, a potem zadzwonił do znajomego, dobrego lekarza, który był mu winien przysługę.

– Spadaj do siebie, do tego waszego pieprzonego potwora – usłyszał głos mężczyzny z drugiego końca domu. Mówił wyraźniej. Chyba uniósł głowę.

– Czy mam zostać, póki nie przyjedzie mój kolega?

– Nie, nie. Nie ma potrzeby.

– Na pewno?

– Winston normalnie tyle nie pije. Nie jest przyzwyczajony. Zanim pan zdąży zamknąć za sobą drzwi, już będzie spał.

Z każdą minutą wydaje się silniejsza, podczas gdy jej mąż powoli doprowadza się do

nieprzytomności, pomyślał Macdonald. O mnie nie można tego powiedzieć.

Pożegnał się i wyszedł w padające ukośnie światło. Na zachodzie wisały chmury, całe w strzępach. Za godzinę powinno być ciemno. Zapúścił silnik, zawrócił na ulicy i pojechał do Station Rise, pod małą stację kolejową, skąd pociągi wyruszały pod dom Hillierów. Zaparkował nie całkiem prawidłowo, wszedł do The Railway i zamówił young's winterwarmer. A potem zaczął czekać, aż piwo się wyklaruje, ale ani sekundy dłużej.

WINTER CZYTAŁ. Pozwolił sobie na dwie cygaretki. Przedpołudnie w pokoju służbowym miało odcień błękitu. To z powodu okna za jego plecami. Z gardłem było lepiej, może to dzięki nikotynie, jedwabistemu dymowi.

Protokoły przesłuchań świadków spisano bardzo skrupulatnie, jedno czy drugie sformułowanie wywołało uśmiech na jego twarzy. Systematycznie robił zapiski w notesie w czarnych, ceratowych okładkach.

To, co zdawało się nieistotne na początku, później zawsze nabierało znaczenia.

Rozmawiali ze wszystkim, co żywe, wokół Mossen, czy raczej tego, co z niego pozostało, kiedy politechnika Chalmers rozrosła się na całą okolicę. Jeszcze trochę i nie zostałyby żaden akademik, pomyślał Winter i ostrożnie strzepnął popiół do ciężkiej szklanej popielniczki przed sobą. Mniej ludzi, z którymi trzeba porozmawiać, mniej studentów uciekających z akademika. Życie toczy się dalej, tylko gdzie indziej.

Zadzwoił służbowy telefon.

– Tak – powiedział szybko.

Nowa telefonistka z recepcji. Rozpoznał jej głos, może dlatego, że była tak ładna, że zatrzymał na niej spojrzenie odrobinę dłużej, kiedy ją mijał pierwszy raz.

– Jest tu ktoś z prasy, GT. On mój...

– Poproś, żeby spieprzał do wszystkich diabłów – odparł zdecydowanie Winter. – Ale wyraż to jakoś inaczej.

Usłyszał, że chyba się uśmiechnęła.

– Chyba mówiłem, że nie chcę, żeby mi przeszkadzano – mówił dalej, nieco łagodniejszym tonem.

– Bardzo mi przykro, ale on twierdzi, że pana zna i że to ważne.

Winter spojrzął na dym z cygaretki, którą trzymał w prawej ręce, i wypuścił z niej długopis, bo niewygodnie było trzymać jeszcze słuchawkę.

– Ważne? Kiedy prasa dostarczyła coś ważnego?

– Poproszę go w takim razie, żeby zadzwonił kiedy indziej albo coś w tym rodzaju.

– A kto to jest?

– Nazywa się... chwileczkę... Hans Bülow.

Winter zastanawiał się. Cygaretką zgasła mu w dłoni.

– Połącz go.

Po tylu latach pracy w zawodzie nie mógł unikać kontaktów z dziennikarzami. W przeciwieństwie do części kolegów zasadniczo nie był nastawiony źle do przedstawicieli tego uprzykrzonego zawodu. Wszyscy wykorzystywali wszystkich. Wcześniej zrozumiał, jakie możliwości daje publicity w mediach, przynajmniej w niektórych. Czasem dobrze było porozmawiać, jeśli się wiedziało, co powiedzieć, kiedy przemyślało się wszystko wcześniej. Przed oczami stanęło mu kilka nagłówków. Czekał, aż przewód doprowadzi głos Bülowa do jego ucha. Niektórych reporterów darzył mniejszą antypatią. Bülow był jednym z nich.

– Cześć, Eriku. Bardzo cię przepraszam, że przeszkadzam w pracy.

– No.

– Dosta...

– Nie zwracaj głowy, Hans. Czego chcesz?

– Chodzi oczywiście o tego chłopaka. Ale nic nie mówiliście o powiązaniach z Anglią.

– Powiązaniach?

– Kurwa, Erik. Chłopak ze Szwecji zamordowany w Londynie, teraz coś podobnego w Göteborgu, i to w taki sam sposób.

– Czy to pan przeprowadzał obdukcję, doktorze Bülow?

– Nie trzeba być patologiem amatorem, żeby dostrzec związek.

– Doprawdy nie wiem, co na to powiedzieć.

– Czy gadaliście już z glinami z Londynu?

– To głupie pytanie.

– Co?

– Jak wiesz, my z nikim nie rozmawiamy. Korespondujemy z Interpolem, który przesyła nasze pytania odpowiednim osobom.

– Aha.

– Przecież wiesz. Procedury policyjne.

– A tymczasem trop się zaciera.

– Jeśli musi. Ale mamy regulaminy, bo co by się stało ze społeczeństwem, gdyby nie przestrzegano reguł?

– Jako że ty nie przestrzegasz reguł, wiem, że rozmawialiście z gliniarzem z Londynu i że na pewno ustaliliście, co łączy te sprawy.

Winter nie odpowiedział. Przyłożył do ust zgaszoną cygaretkę, ale poczuł paskudny

smak zimnego dymu i wrzucił niedopałek do popielniczki.

– Związek – powtórzył Bülow.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa w Göteborgu, i tym się zajmujemy.

– Nawet w to trudno uwierzyć, niewiele szczegółów podałeś wczoraj na konferencji prasowej.

– To prawda.

– Czy o tym też musicie korespondować z Interpelem? Czy to jakieś nowe przepisy unijne?

– Może.

– Daj spokój, Eriku.

– Daj spokój? Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, tak? O czym? Ile ran ten chłopak miał? Ile dziur było w jego rogówce? Jakie przesłanie morderca wyrył mu na plecach? Jak wygląda krew na ścianie widziana pod światło, w zależności od tego, z którego miejsca w pokoju się patrzy?

– No dobrze, dobrze.

– W tej chwili nie mogę nic powiedzieć i musisz to zrozumieć, Hans.

– Ludzie się boją.

– Mamy ich nastraszyć jeszcze bardziej?

– To może mieć odwrotny skutek.

– Słucham?

– Jeśli nie puszcza się pary z ust, zaczynają się spekulacje i może wybuchnąć panika.

– Czy w Göteborgu wybuchła panika?

– Mówię o dalszej perspektywie – powiedział Bülow.

– A więc widzimy to podobnie – odparł Winter. – W dalszej perspektywie.

– Możesz patrzeć, w którą stronę chcesz, ale ja radziłbym na zachód – stwierdził Bülow. – Angielscy dziennikarze zaczęli do nas wydzwaniać, a jeśli porównamy szwedzkich dziennikarzy z brytyjskimi pismakami, to są to dwie całkiem różne rasy.

– Chcesz powiedzieć, że nie są tacy grzeczni jak wy?

– To chuliganeria żurnalistyki.

Winter nie odpowiedział. Wziął długopis i zapisał w notesie jakieś zdanie.

– You ain't seen nothing yet – dodał Bülow.

– Nawet się dziwię, że jeszcze się tu masowo nie zjawili.

– A więc mentalnie jesteś przygotowany?

– Mieliliśmy pięciu na konferencji prasowej. Raczej spokojnych.

- Byli nawaleni jak łosie.
- Masz coś jeszcze? – zapytał Winter po dwóch sekundach milczenia.
- A więc: prosiłbym o większą otwartość.
- Może zadzwonię do ciebie, nawet dzisiaj wieczorem.
- Wiedziałem.
- Widzisz, jak szybko śledztwo posuwa się naprzód.
- Kiedy my tu sobie gawędzimy.
- Za tą ironią kryje się prawda, która jest straszna w swojej prawdziwości – powiedział Winter. – Kiedy wypłynie na wierzch, będziemy mogli mówić o panice, ale takie rzeczy wolałbym trzymać z dala od mediów.
- Miłego dnia – zakończył Bülow.

Po lunchu zebrali się w sali konferencyjnej. Grupa kurczyła się, a równocześnie sterty dokumentów ze śledztwa rosły w górę. Z laboratorium napływały przedmioty. Po kolei wkładano je do najdziwniejszych pudełek i teczek: skóra, włosy, odłamek paznokcia, odciski, ślady, kawałki ubrań, fotografie pokazujące tę samą rzecz, ale pod innym kątem, skrzynka wypełniona tymi krzykami, które Erik Winter słyszał, kiedy stał w tamtym pokoju ostatni raz.

Rozmawiał z Pią E:son Fröberg. Była zdania, że wszystkie ciosy zostały zadane jednocześnie. Była świetnym lekarzem sądowym, skrupulatnym. Liczbę ciosów miał zapisaną na kartce, w wewnętrznej kieszeni marynarki. Właśnie do niej sięgnął. Ostatecznie chłopiec zmarł wskutek uduszenia. Do tego miejsca wszyscy zebrani znali szczegóły.

– Jak długo to trwało? – zapytał Fredrik Halders. Inspektor krymialny Halders właśnie skończył czterdzieści cztery lata. Rok wcześniej przestał zaczesywać włosy na łysinę, a to, co mu zostało na głowie, ostrzygł na długość centymetra. Wzmocniło to jego poczucie własnej wartości, więc przestał się uśmiechać albo rozciągać usta, kiedy ktoś się do niego odzywał.

- To było długie przedstawienie – powiedział Erik Winter.
- Bez przerw? – zapytał Fredrik Halders.
- Kilka przerw – odparł Bertil Ringmar.
- Jest kilka godzin różnicy między pierwszym nacięciem a ostatnim – powiedział Winter. – Dokładniej nie umiemy tego określić. Trzy godziny, może cztery.
- Kurwa mać – powiedział Lars Bergenhem.
- Właśnie – stwierdził Ringmar.
- Na przedramionach nie ma ran – dodał Janne Möllerström.

– Ale są krwiaki – uzupełniła Aneta Djanali.

– Niezły siłacz musiał być z tego skurwiela – odezwał się Halders. – Ile ważył chłopak?

– Osiemdziesiąt kilo – odpowiedział Möllerström. – Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, więc to nie było takie łatwe.

– Jeśli to właśnie było to, co zrobił – stwierdziła Aneta Djanali.

– Raczej tak – powiedział Ringmar.

– Pewnie coś w tym rodzaju – przyznał Möllerström.

– Rozmiar czterdzieści cztery – powiedział Bergenhem. – A ślady wskazują na to, że kręcono nim jak młotem wokół pokoju.

– Tam, gdzie można było go utrzymać – powiedział Halders.

– Nie musisz tego mówić, do ciężkiej cholery! – krzyknęła Aneta Djanali. – I nie mówię tego dlatego, że jestem kobietą.

– Wytarte podeszwy z wyraźnym wzorem na brzegach – dodał Möllerström.

Winter poprosił, żeby rozmawiali dalej, jak zawsze. To było niemal jak terapia lub wewnętrzny monolog nagłośniony do poziomu słyszalnego dla wszystkich. Prześwietlenie. Wieczne prześwietlenie, podczas codziennych spotkań, pierwszego, kolejnego, ostatniego. Wyrzucić to z siebie, wypuścić na wolność. Polerowali odłamki faktów aż do bólu ramion, aż powierzchnie boczne uzyskały taki kształt, że można je było poskładać w całość.

– Jak mu się udało stamtąd wyjść? – zapytał Bergenhem.

– Przebrał się w środku – wyjaśnił Winter.

– Ale mimo wszystko. – Bergenhem nadal nie rozumiał.

– Odczekał – powiedział Winter.

– Tam była łazienka – dodała Aneta Djanali.

– Ale mimo wszystko – upierał się Bergenhem.

– Mógł spotkać po drodze jedną czy dwie osoby – stwierdził Ringmar.

– Przejrzałem zeznania i wszyscy patrzyli pod nogi – powiedział Winter. – Wygląda na to, że dzisiejsi studenci są bardzo wstydliwi.

– Za naszych czasów było inaczej – stwierdził Halders.

– To ty studiowałaś? – zapytała Aneta Djanali z niewinnym wyrazem twarzy, z czymś nieokreślonym w kącie ust.

Halders westchnął.

– No i jeszcze te odciski – dodał Möllerström.

– Nie rozumiem, jak oni mogli stwierdzić, że to był statyw – powiedział Halders.

– I dlatego ty jesteś tutaj, a oni tam – odparła Aneta Djanali.

Halders znów westchnął.

– Cholerny statyw – powiedział po chwili.

Cholerny statyw, pomyślał Winter. To nie musiało nic oznaczać. Jak się przeprowadzi tysiące wywiadów i odwiedzi tysiące domów, i wszyscy znani psychopaci znajdą się w bazie danych, i wszystkie ruchy aż do tej chwili zostaną uchwycone, i pochodzenie ofiary zostanie zbadane (czekasz na te informacje, Eriku), jak tylko zmierzą i porównają najdrobniejsze cząsteczki z miejsca zbrodni i odbędą dwa tysiące rozmów telef...

– Czy sprawdziliśmy rozmowy z telefonu na jego piętrze? – zapytał.

– Właśnie to robimy – odpowiedział Ringmar z urażoną miną.

– Chcę mieć spis – powiedział Winter.

– Dobrze.

– Potrzebujemy tego samego z Londynu – dodał. – Ja się tym zajmę.

– A co z Malmströmami? – zapytał Ringmar.

Winter zastanowił się chwilę.

– Tak – powiedział. – Od nich też.

Statyw, pomyślał znowu. Co mogło być umocowane na jego szczycie? Co się stało potem? I jeszcze: tam było wszystko, co chcieli wiedzieć. Na kasecie, gdzieś. Albo na kilku, albo na jednej, w kilku częściach... al...

– Mamy świadków z Brunnsparken – powiedział Möllerström.

– Czy to druga runda? – zapytał Berghem.

– Zacznie się wkrótce – odparł Bertil Ringmar.

– Chcę to mieć najpóźniej jutro – polecił Winter. – Wszystko, i naciskajcie, jak się tylko da. Coś w tym jest, coś się nie zgadza.

Wyjawił, o co chodzi, a Ringmar skinął głową. Halders powiedział potem do Möllerströma, że powinni to zauważyć od razu, przy pierwszej rozmowie powinni to dostrzec.

– Jasny gwint – powiedział, a potem strząsnął tę myśl i popatrzył przed siebie.

Chcę ci coś pokazać, powiedział i wyjął jakieś rzeczy z torby, kiedy przyszli do niego do domu. Umówili się wtedy na ulicy, wcześniej, zanim zaczął pracę. Tylko tak na chwilę, jakby przypadkiem, a ten drugi szedł dalej Drottninggatan.

Potem zadzwonił do drzwi. Jamie właśnie wziął prysznic, żeby splukać z siebie dym papierosowy. Sam przestał palić, kiedy stanął za barem. Człowiek długo tak nie pociągnie,

pomyślał wtedy, a było to pół roku temu.

Jamie czuł napięcie w sobie, w całym ciele. Może zostanie wykorzystany, pomyślał i dreszcz przebiegł mu po plecach na sam dół, a między nogami rozgrzał go łagodny ogień. Nie było to nieprzyjemne. To mógł być prawdziwy pierwszy raz.

Jest duży, pomyślał Jamie. Montuje sprzęt. Widzi, że mam na stole butelkę wina. Zaraz podejdzie i weźmie kieliszek, podam mu go. Mówi coś, ale nie słyszę wyraźnie. Zakłada maskę. Kurczę, nie wygląda zbyt przyjemnie. Wraca do kamery i ją włącza. Czy nic więcej nie będzie słycać? Myślałem, że pracuje głośniej. Teraz słyszę, że terkocze.

Jamie stał bokiem, ale nagle został odwrócony prosto do czarnej soczewki. Jego oczy rozwarły się, jakby wyrażały zdziwienie. I zanim otworzył usta szerzej, wciśnięto mu w nie szmatę. Potem coś innego otoczyło jego głowę i zostało związane z tyłu, i wszystko, co jeszcze chciał powiedzieć, na zawsze uwięzło w gardle.

Potem siedział na krześle, które tamten przyniósł z kuchni, i słyszał odgłos, ale wydawał się o wiele głośniejszy, a oczy cały czas miał zwrócone w stronę obiektywu. To jakiś zboczony świr, pomyślał. Różne rzeczy można robić, ale nie podoba mi się, że nic nie mówi. Są zabawy takie i siakie. Nie chcę tu już siedzieć. Wstaję. On tylko tam stoi i mi się przygląda. Wstanę, odwrócę się plecami, pokażę mu, że chcę, żeby mnie rozwiązał, że chcę mieć wolne ręce. Podchodzi do mnie.

Poczuł cios, gdzieś u dołu, za plecami, a potem piekielny ból w brzuchu. Opuścił głowę, żeby zobaczyć, co to było, i zobaczył pulsowanie poniżej pępka, a potem bardziej w środku, i poczuł, że coś jakby mu rozcinało plecy. Głowę nadal miał opuszczoną, bo z tyłu bolało go tak, że nie mógł wyprostować karku, i zobaczył, że podłoga jest czymś zachlapana. Ten skurwiel rozlał wino, pomyślał.

Został odwrócony w drugą stronę i zobaczył maskę. Wydało mu się, że to inna maska, ale to była tylko przelotna myśl, bo zobaczył, co tamten trzyma w ręce, i pomyślał, że to już chyba przesada. Potem zaczął się bać, a strach sprawił, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł twarzą w dół. Spadł w to, co lśniło w blasku świec stojących na stole albo w świetle silnej żarówki, która się zapaliła przy kamerze, i krzyczał, ale nie było słycać żadnego dźwięku i już nie mógł oddychać.

Podniósł się. Teraz zrozumiał. Próbował podejść do południowej ściany, ale ten ruch był raczej kierunkiem w jego głowie. Pośliznął się na podłodze i upadł, uderzając się w biodro. Ślizgał się po podłodze. Jego ciało nie miało się na czym zatrzymać.

Słyszał głos. Jest we mnie głos, który mnie woła, to ja nim jestem. Rozumiem. Teraz odsunę się od ściany, a jeśli zrobię to ostrożnie i po cichu, nic mi się nie stanie.

Mother. Mother!

Brzęczący dźwięk, jak podczas pauzy, kiedy przed oczami nic się nie dzieje. Nie mógł się od tego dźwięku uwolnić.

Odejdź.

To trwało jeszcze długo. Był coraz bardziej zmęczony, podnoszono go do góry. Nie myślał już wiele. Jakby wszystko, co przewodzi impulsy myślowe, zostało przecięte, a myśli wyciekły przez nacięcia i rozbiegły się bezładnie po głowie. Znow coś uniosło go do góry.

WINTER USŁYSZAŁ ŚPIEW ptaka, gdzieś w połowie drogi do Stampen. Asfalt był suchy, śnieg trwał jeszcze nieśmiało pod sosnami w parku. Mróz zelżał, zwinął się poprzedniego wieczoru, a potem popłynął w górę i na północ.

Siedział długo w półmroku, pił herbatę. Z roztargnieniem odsłuchiwał wiadomości z automatycznej sekretarki. Pokój pachniał krewetkami w sosie słodko-kwaśnym, które przyniósł sobie z Lai Wai. Otworzył drzwi balkonowe, żeby wpuścić do środka wieczór.

Wrócił na fotel, ale natychmiast znów się podniósł. Zaniósł talerz, sztućce i szklankę do kuchni i uruchomił zmywarkę. Zaparzył sobie świeżej herbaty i wrócił do pokoju. Posłuchał kwartetu Charliego Hadensa, przyglądając się przez okno granatowemu niebu, które nie robiło się całkiem czarne. Zapragnął być gdzie indziej i jednocześnie pomyślał o nagłej śmierci.

Miał przed oczami nóż o obosiecznym ostrzu, coś w rodzaju krótkiego miecza, którego używał ktoś, kto... kto... dalej nie doszedł, a potem zapadła noc.

Kiedy Bergenhem z wielkim pośpiechem wpadł po niego do pokoju, już od dziesięciu minut przerzucał najnowszy raport Möllerströma.

Jechał w przejrzystym powietrzu. Słońce świeciło z lewej strony, musiał założyć ciemne okulary, leżały na desce rozdzielczej. Wydawało mu się, że zrobiło się ciszej, kiedy kolory zniknęły, jak gdyby miasto zmieniło się na jego oczach. Zatrzymał się, żeby przepuścić przez ulicę trzech mężczyzn. Chwiejny spacer z Vasaparken do Victoriagatan. Wiatr szarpał ich włosami, silny i ostry, wyz z północnego zachodu.

Czuł buzowanie adrenaliny, przenikała go jak gorączka. Nie mógł być lepiej przygotowany. To właśnie ta chwila. To nigdy nie będzie bardziej rzeczywiste niż teraz, w nadchodzących godzinach, nigdy tak straszne i nigdy tak wyraźne. Przyciągało go to: czuł to bardzo wyraźnie. Potem zawsze odczuwał coś, co przypominało wstyd lub strach, a może jedno i drugie. Może tak to jest w tej pracy: że został, bo nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby swój czas poświęcać czemuś innemu.

Klatkę schodową aż do trzeciego piętra obwieszono kolorowymi taśmami, jakby ją przygotowano do makabrycznego biegu na orientację. Policjanci usuwali z drogi gapiów. Ludzie stali po drugiej stronie ulicy, za barierkami. Może sam też bym tam stał, pomyślał Winter, gdybym teraz tędy nie szedł. Ilu ich jest? Trzydzieści osób?

– Zadzwoń do Birgerssona, żeby natychmiast przysłał pięciu chłopca – polecił Bergenhemowi.

– Teraz?

– W tej chwili.

Kiedy wchodzili na górę, Lars Bergenhem wybrał numer do szefa wydziału. Zaczekał z telefonem przy uchu, a potem powiedział to, co należało.

– Chce ci coś powiedzieć.

Winter przejął aparat.

– Tak, Sture?

– No to jestem w samym piekle. Jeszcze trzy stopnie.

– Dobrze słyszałeś. Myślałem nawet, że oni tu będą. – Bergenhem słyszał głos Birgerssona, ale nie mógł rozróżnić słów. Winter mówił dalej: – Chcę mieć zeznania wszystkich gapiów stojących przed domem. Tak, możesz to nazywać okrażeniem, jeśli chcesz. Teraz tak. Dzięki. Cześć.

Wchodząc w bramę, widział twarze, ale nie zwracał na nie uwagi. Ludzie po drugiej stronie: na pewno musi być zimno tak tam stać. Może to coś innego niż ciekawość... kto to może wiedzieć? Ktoś, kto przyszedł... twarz w tłumie, która wiedziała, co Winter zobaczy, kiedy wejdzie na górę, do mieszkania. Która wiedziała, co go tam czeka.

Pokusa, żeby wrócić, może wbrew silnemu oporowi, ale pokusa odwrotu.

– Kto tu był pierwszy? – zapytał Winter, kiedy stanął przed drzwiami mieszkania. Patrzył na otaczające go mundury.

– Ja – powiedział blady dwudziestopięcioletni policjant, ze wzrokiem skierowanym w dal.

– Był pan sam?

– Mój kolega jest na dole. On... właśnie idzie. – Wskazał na schody.

Zgłoszenie nadeszło ze Skånegatan, do Wintera dotarło mniej więcej w tym samym czasie co do najbliższego patrolu. Chłopcy weszli do środka, zbledli i wyszli tyłem.

Jamie nie przyszedł do pracy. To miało być jego przedpołudnie. Zmywanie, kuchnia, resztki po wieczorne gitarowym: nowy zespół o korzeniach sięgających zachodniego wybrzeża Irlandii. Przed drugą nie przestali grać.

Jeden dzień wolny ekstra, a teraz ten gnojek nie przyszedł, nie odbiera telefonów, żadnej reakcji. Douglas przez dłuższą chwilę nie zdejmował palca z przycisku dzwonka, a przedtem o mało nie rozwalił pięściami drzwi, aż jeden z sąsiadów wystawił niezadowoloną twarz na klatkę.

Douglas nie odpuścił i odszukał dozorcę. Jamie? Ten młody Anglik z mieszkania numer dwadzieścia trzy? Nie pamiętał numeru mieszkania, ale to te drzwi z odręcznie wypisaną tabliczką z nazwiskiem, chłopak może zasłał.

Mężczyzna obwieszony w pasie i na nogawkach spodni trzema tysiącami narzędzi przyszedł i otworzył drzwi. Reszta była dla Douglasa już tylko czerwonym koszmarem.

Dwóch policjantów, którzy szybko ogarnęli sytuację, no i Douglas, ale Winter był właściwie pierwszą osobą w środku potem. W głowie lekko mu szumiało, oczy miał szeroko otwarte. Udało mu się nie nastąpić na skierowane do wyjścia ślady stóp w przedpokoju. Nic na ścianach i nic na drzwiach. Słyszał ekipę techniczną na schodach, mieli czekać na jego znak.

Wiedział już, że będzie musiał tu wrócić co najmniej raz, po tym jak ciało zostanie wywiezione, i że to, co tu będzie wtedy robił, zależy od tego, co zobaczy teraz.

W przedpokoju było dość światła, wszystko dobrze widział. Po prawej stronie świeciło się w łazience. Zapalili, kiedy weszli? Chyba żaden gliniarz nie jest tak głupi, żeby zapalać światło, ale nie miał pewności.

Stanął na progu i zajrzał do wanny. Kafelki były całe w smugach, ale nie tak bardzo, jak można było się spodziewać. Nie śpieszył się, pomyślał Winter.

Zajrzał do umywalki – to samo. Poza tym trzy ślady na plastikowej macie pokrywającej podłogę.

Obrócił się w lewo i znalazł się naprzeciwko kuchni, a kiedy wszedł, nie zauważył nic, co by zakłócało ład, ponad to, że przy niewielkim stoliku powinny stać dwa krzesła, a stało jedno.

Chłopiec siedział na kuchennym krześle, zwrócony plecami do drzwi. Winter nie mógł go wcześniej widzieć, bo drzwi były na wpół przymknięte.

Nie miał na sobie koszuli, tylko długie spodnie. Był w skarpetach, ale bez butów, u spodni brakowało paska. Na prawym ramieniu miał niebiesko-czerwony tatuaż, a kiedy Winter, lawirując między śladami na podłodze, ostrożnie podszedł bliżej, zobaczył, że

przedstawia samochód, ale nie rozpoznał marki.

Ramiona i przedramiona miał gładkie. Połyskiwały niebieskawo, jakby z zimna. Nie widział reszty jego tułowia. Spodnie i skarpety były wybrzuszony, nabrzmięły, jakby zaraz miały pęknąć. Tylko to trzyma go w kupie, pomyślał Winter. Twarz jest nietknięta.

Tuż obok na stole stała butelka czerwonego wina, prawie pełna, i dwa kieliszki – jeden pusty. Winter nachylił się i pociągnął nosem: pachniało jak wino. Drugi kieliszek wyglądał na nieużywany. Nie było czasu na toasty.

Pokój byłumeblowany skromnie, jak tymczasowe mieszkanie. Dwuosobowa sofa, bez foteli. Żadnych regałów i kwiatów, proste wyblakłe zasłony między otwartymi na trzy czwarte żaluzjami. Odtwarzacz CD na niskiej ławie z białego drewna, na ścianie stelaż z kilkudziesięcioma płytami. Obszedł sofę pod ścianą i odczytał kilka tytułów z samej góry: Pigeonhead, Oasis, Blur, Daft Punk. Morrissey. Jazzu nie było. W odtwarzaczu zobaczył płytę, pokrywa była otwarta. Schylił się i odczytał nazwisko wykonawcy.

Uważał, żeby nie dotykać tapet. Plama krwi na podłodze przybrała kolisty kształt, który znał już z poprzedniego pokoju: krąg przed krzesłem, na którym siedział chłopiec. Jajowaty kształt, wydłużony w stronę drzwi.

Ile kroków?

Mniej więcej dwa metry od drzwi podłoga w głębi pokoju była czysta, prawie żadnych śladów. Winter wciągnął powietrze, rozpoznawał zapachy. Usłyszał coś zza lewej ściany, jakieś stuknięcie lub mechaniczny odgłos. Jeśli słyszał to tutaj, to tam też musiały dochodzić odgłosy z tego pokoju.

Przyszło mu do głowy, że sam nigdy nie słyszy swoich sąsiadów, żadnych odgłosów oprócz kroków na schodach, otwierania drzwi starej windy i szcęknięcia łańcucha przy drzwiach.

Kwadrans później wyszedł z mieszkania i dał znak technikom. Zszedł po schodach na dół, na słońce, a potem zmierzył się z opinią publiczną.

Nie był wcale pewny, czy to Halders, czy Möllerström wymyślił to określenie: Hitchcock. Niech to zostanie między nami, powiedział. Nie podobało mu się to, ale od tego czasu tak nazywał w myślach mordercę.

Dziwne było tylko to, choć może wcale nie powinno dziwić, że koledzy z Londynu nieco później nazwali swojego poszukiwanego tak samo, choć nie mogli wiedzieć o ich pomysły. Potem zrozumieli, że to jeden i ten sam Hitchcock. Śledztwa zostały połączone, a oni czuli się bezsilni, jakby ktoś tam na górze się z nich śmiał.

Złodziej patrzył na swojego syna i jego kolegów, bałwan już dawno zniknął. Coś tam się działo przy beczce, wokół huśtawek i pod drabinką sznurową zwisającą z drewnianego domku do zabawy pomalowanego ochronną farbą.

Męczył się. Umiał czytać. Mógł oglądać telewizję. Nie był głupi w tym sensie, nawet jeśli był idiotą w innych sprawach. Wiedział coś, czego nie wiedzieli inni, tego był pewien. Czy był pewien? To go męczyło. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Może gdzieś wyjechać.

– Co ci jest? – zapytała Lena.

– Co?

– Znowu masz ten wyraz twarzy.

– Mhm.

– Czy chodzi o pracę?

– Jaką pracę?

– Wiesz dobrze, o czym mówię.

– Mhm.

Wyrzała na podwórko.

– Dlaczego nie wyjdiesz na chwilę do Kallego?

– Właśnie zamierzałem to zrobić.

– On już pytał.

– Pytał? O co?

– Czy możecie kiedyś razem coś zrobić.

– Myślałem o tym.

– Możesz zrobić coś jeszcze.

– Urlop?

– Jasne – odparła.

– Możemy polecieć na Wyspy Kanaryjskie, jutro albo pojutrze.

– Jasne.

– Naprawdę. Naprawdę możemy wyjechać. Wygrałem pieniądze.

– Nie opowiadaj.

– Właśnie, że tak.

– I nic mi nie mówiłeś?! Kiedy? Ile tego jest?

– Dwadzieścia tysięcy. Nie chciałem nic mówić, zanim... no... zanim... to miała być niespodzianka... dostanę te pieniądze.

– A teraz już je dostałeś?

– Tak.

Popatrzyła na niego jak ktoś, kto próbuje przebić wzrokiem zewnętrzną powłokę.

– Czy mam w to uwierzyć? – zapytała.

– Pewnie.

– To jak je wygrałeś?

– Aby – wyjaśnił. – Pamiętasz, że jeździłem tam dwa razy w zeszłym tygodniu.

Znów na niego popatrzyła.

– Pokażę ci kupon – powiedział. Zastanawiał się, jak to rozwiązać.

Nie odzywała się. Przyglądała się, jak syn bawi się na placu zabaw, jakby zapomniała.

– Przecież nie możemy tego zrobić – powiedziała wreszcie.

– Ale czego?

– Wyjechać na Kanary.

– Dlaczego nie?

– Potrzebujemy pieniędzy na tyle innych rzeczy.

– Zawsze tak będzie.

Nic nie powiedziała.

– Kiedy gdzieś ostatnio wyjeżdżaliśmy? – zapytał.

– Ale ile to będzie kosztowało?

– Stać nas.

– Ale teraz...

– Teraz jest najlepszy moment.

– Tak... byłoby wspaniale – powiedziała z ociąganiem.

– Dwa tygodnie – zaproponował. – Tak szybko, jak się da.

– Ale czy będą jakieś bilety?

– Dla kogoś, kto ma pod ręką dwadzieścia tysięcy, zawsze są bilety.

Po południu Winter złapał Bolgera.

– Kopę lat – stwierdził Bolger.

– To nie jest spotkanie kumpli – uprzedził Winter.

– Rozumiem.

– Choć i tak wykorzystuję naszą przyjaźń.

– Tego nie rozumiem.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedział Winter.

– Wal.

– Nie tak. Czy możesz poczekać, aż przyjdę?

– Tak.

Zjawił się kwadrans później. Trzech gości siedziało przy oknie. Patrzyli na niego, ale nie widział, żeby któryś coś mówił. Bolger zapytał, czy się czegoś napije, ale Winter podziękował.

– Znasz Anglika, który nazywa się Robertson?

– Anglika?

– W każdym razie Brytyjczyka.

– Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Robertson. Jamie Robertson.

– Jamie Robertson? Znać... to raczej nie, ale wiem, kto to jest. Tylko że on jest Szkotem.

– Okej.

– To słyszeć, kiedy się odezwie.

– Pracował tu?

– Nie.

– A wiesz, czy pracował jeszcze gdzieś poza O'Briens?

– Nie. Ale nie sądzę, żeby tu mieszkał bardzo długo. Musisz ich zapytać.

– Tak.

– Czy coś się stało?

– Został zamordowany.

Miał wrażenie, że Bolger zbladł, jakby światło lampy oświetlającej go z ukosa zmieniło barwę.

– To nie jest tajemnica – powiedział Winter. – Już nie.

– Dla mnie do tej chwili to była tajemnica.

– Potrzebuję twojej pomocy w tej sprawie.

– Od kiedy to potrzebujesz mojej pomocy?

– O co ci chodzi?

– Na cholere ci potrzebna moja pomoc? Sam jesteś taki zdolny, że sobie poradzisz.

– Chcesz posłuchać, co mam powiedzenia?

Bolger nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby chciał dać znak dziewczynie stojącej za barem, ale zmienił zdanie.

– Znasz ludzi z branży – stwierdził Winter. – I ludzi, którzy bywają w knajpach.

– Ty chyba też znasz.

- Wiesz, o czym mówię.
- Tak. Potrzebujesz kogoś z półświatka do pomocy.
- Daj spokój, Johan.
- Czy ufacie ludziom, którzy się leczą na depresję?

Winter nie odpowiedział, czekał. Bolger odwrócił się od niego, ale zaraz znów na niego spojrział.

– Posłuchaj mnie, Johan. My też nad tym pracujemy, ale chciałbym, żebyś się zastanowił, co wiesz o tym chłopaku. Kogo znał. Może z kimś spotykał się częściej. Z dziewczyną albo chłopakiem, wszystko jedno.

- Dobra.
- Pomyśl trochę.
- Okej.
- Popytaj, kogo chcesz.
- Mhm.
- Jak najszybciej. Możemy o tym porozmawiać jutro. Zadzwoń.
- Kurwa, to prawdziwy szok – powiedział Bolger.

HANNE ÖSTERGAARD USTAWIAŁA krzesła po wieczornym spotkaniu informacyjnym dla konfirmantów. W ciągu tej godziny zauważyła dwie czy trzy markotniejące twarze: mam co innego do roboty, dość, ale nuda, no nie? Uśmiechnęła się, zgasiła światło w suterenie i po schodach weszła na górę, do swojego biura.

Sami podjęli ten temat: co trzeba zrobić, kiedy nie jest się ochrzczonym, a mimo to chce się przystąpić do konfirmacji? Odpędziła wątpliwości delikatnym ruchem ręki. Potrzeba niewiele więcej niż kropli wody za uchem, a Bóg w niebiosach będzie cool. Chyba.

Narzuciła płaszcz i zawadziła o stojące na biurku zdjęcie. Usłyszała szelest materiału na blacie i trzask, kiedy szkło rozbiło się na podłodze. Gdybym nie była pastorem, chyba bym teraz zakłęła, pomyślała.

Ramka była cała, popękane szkło nadal w niej tkwiło. Podniosła zdjęcie swojej córki, wyjęła ostrożnie kawałki szkła, a potem włożyła ramkę i zdjęcie do prawej kieszeni płaszcza. Spojrzała na zegar. Maria powinna już wrócić z baletu. Pewnie wpadła do sieni i rzuca kurtkę na wieszak. I może wieszak ją złapie. Czternaście humorzastych i chaotycznie rozbrykanych lat. Buty na środku przedpokoju, obok torba i myk w prawo do kuchni, i jeśli jej matka miała szczęście, już zdążyła włożyć do pieca ciasto... a kuchnia wymaga gruntownego sprzątnia. Szybko wyszła po schodach na wieczorne powietrze.

W blasku neonów z drugiej strony ulicy klony otaczające kancelarię nabrały jaskrawego odcienia. W jasne zimowe wieczory ostre kolory było widać najlepiej, drzewa nie miały szans.

Hanne przecięła dziedziniec. Światło z okien dużej sali padało na kamienne płyty. Widziała w środku cienie i dwie postaci: wyszły z budynku i rozmawiając półgłosem, ruszyły w drugą stronę.

Darmowa kuchnia okazała się strzałem w dziesiątkę, i to było wspaniałe, choć równocześnie bardzo niepokojące. Zadrzała na wietrze. Są pionierami. To widać. Biedni zjeżdżają się z całego miasta, a może chodzą na piechotę.

Torby z jedzeniem też były strzałem w dziesiątkę. Długo się nad tym zastanawiali. Upokorzenie... ale kto wtedy o tym myśli? Kto myśli o tym w takiej sytuacji? Kasza, mleko,

margaryna, jaja, pięć bananów w reklamówce z napisem „Favör”. Nikt nie mógł zobaczyć, że nie zostały kupione za własne pieniądze.

Chodzimy po ruinach, pomyślała, albo po tym, co obróci się w ruinę. To dziwne uczucie. Mieliśmy w tym kraju całość, a potem to rozwaliliśmy, roztrzaskaliśmy na kawałki. Teraz będzie wojna. Tylko czeka na swoją kolej. A jednocześnie próbujemy zapewniać innym opiekę. To dziwne, jak bolesne złudzenie.

A to opieka nad ubogimi, świeżo wyrzuconymi poza nawias, pomyślała, pod ochroną anonimowości, i przypomniała sobie godziny przedpołudniowe w pokoju przy Skånegatan.

– Kiedy człowiek wchodzi po schodach, nigdy nie wie, co zobaczy na miejscu – powiedział ten niesłychanie młody policjant. – Człowiek przygotowuje się, ile tylko może, ale na coś takiego nie da się przygotować. To było najgorsze ze wszystkiego. Jak można po czymś takim dalej pracować?

– Masz w domu z kim porozmawiać?

– Mam dziewczynę.

– Rozmawialiście o tym?

– Tak, do kur... oczywiście.

– Jeśli chce pan zakłać, proszę to zrobić.

Spojrzał na nią uważnie. Miał proste włosy i pociągłą twarz. Był wysoki, ale nie ważył za dużo.

– Dziękuję.

Czekała.

– Gdyby tylko nie było tak cholernie dużo krwi – powiedział. – Gdyby się tylko weszło, a tu ktoś leży twarzą do ściany i wygląda, jakby spał. Wtedy dla nas sprawa byłaby skończona, można by znów wyjechać na ulice i szukać skradzionych samochodów. To jest najlepsze, skradzione samochody. Kiedy się widzi samochód pod mostem Götaälvbron albo gdzie indziej i wygląda na to, że odstał tam już swoje albo nawet więcej. Sprawdzamy numery i okazuje się, że został skradziony.

– Tam zwykle stoją?

– Skradzione bryki? Tak, dość często, za stacją Shella. Łobuzeria jeździ, póki jest paliwo, tam i z powrotem między Nordstan i północnymi dzielnicami. Albo samochód zdycha po drodze, albo ląduje gdzieś pod filarem albo w pobliżu Rymdtorget, albo gdzieś w drodze do Agnesbergu. Żule kupują dragi w Femman.

– Czy to w tamtej okolicy też kradną samochody?

– No... przeważnie na Heden i przy terminalu promowym, a w sezonie w Lisebergu. Sam dobrze bym się zastanowił, zanim bym zostawił samochód na Heden wieczorem, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

– Czy to dotyczy również radiowozów?

Młody policjant uśmiechnął się. Wyszczrzył zęby i już nie przypominał długonogiego owada.

– Oczywiście – powiedział.

– A więc gdybym kiedyś wieczorem chciała pójść do kina, to lepiej nie zostawiać samochodu na Heden?

– Zwłaszcza wtedy. Oni zawsze pracują dwójkami, wie pani. Najpierw sprawdzają markę i jeśli jest to coś, co im się podoba, jeden zostaje przy samochodzie, a drugi idzie za panią, żeby sprawdzić, dokąd pani idzie. Nawet do samego kina, jeśli trzeba. Widzi, że pani kupuje bilet i stoi przed wejściem, czekając na rozpoczęcie seansu. I wie, że mają zielone światło.

– Potem wraca do samochodu, razem się włamują i odjeżdżają?

– Dokładnie tak.

– To dobrze, że mnie pan ostrzegł przed czymś takim.

– Proszę bardzo – odparł młody policjant, kręcąc się na krześle. Był niemal zażenowany.

Zabębniło w szyby. Pierwszy deszcz od dawna.

– Wreszcie wiosna – powiedziała.

– Pani w to wierzy?

– Zawsze wierzę.

Policjant znów się uśmiechnął. Skóra zaskrzypiała mu w talii, kiedy kręcił się na krześle.

Nie zapytam, jak się teraz czuje, pomyślała.

Nikt się nie odzywał. Wsluchiwali się w bębnienie w szyby, sygnał z dziedzińca, syrenę przeciągającą gdzieś daleko przez miasto. Długo było ją słyszeć. Potem nagle zamilkła, by po kilku sekundach znów się odezwać.

– Straż pożarna – stwierdził chłopak. – Chyba pali się gdzieś w Johannebergu.

– Czy pan to słyszy?

– Po trzech miliardach godzin w radiowozie człowiek zaczyna się orientować w stronach świata i dzielnicach miasta.

– Naprawdę to aż tyle godzin?

– Prawie, tak mi się wydaje. Praca w dochodzeniówce to nie dla mnie – dodał po chwili. – Wystarczy mi tyle, ile widziałem z tych rzeczy, którymi oni potem się muszą zajmować. – Zamyślił się nad tym, co powiedział. – Ale jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to my zawsze zjawiamy się pierwsi.

– Czyli znów jesteśmy w punkcie wyjścia – powiedziała Hanne.

– Nie tak całkiem.

– Nie?

– Teraz czuję się trochę lepiej, tak mi się wydaje.

– Jeszcze godzina pojutrze?

– Tak, kurwa jego mać – odparł.

Przekleństwa pomagają niektórym rozluźnić supty, pomyślała Hanne Östergaard, kiedy skręciła za swojski róg, żeby otworzyć furtkę. W kuchni się świeciło. Zobaczyła Marię z głową owiniętą ręcznikiem. Babka marmurkowa.

Winter siedział na biurku Ringmara. Jego marynarkę trzymał jeden guzik, kabura połyskiwała na tle jedwabnej koszuli. Bertil Ringmar wiedział, że nigdy się nie nauczy tak siedzieć, tak elegancko. Miał za krótkie nogi i zbyt tani garnitur, a jego kabura nie błyszczała tak jak Wintera.

– Ile razy rozmawialiśmy z rodziną z Londynu? – zapytał Erik Winter.

– Dwa albo trzy.

– Chodzi o ten list, który ktoś mu przysłał.

– Tak.

– Nie przekazał go nikomu.

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– W protokole przesłuchania tej osoby od listu jest coś... Geoff Hillier pisał, że zamierza przyjechać, a ta osoba... nazywa się Petra Althoff, ona zaraz mu odpisała – powiedział Winter. – Ale on nie odpowiedział na ten list.

– Nie – potwierdził Ringmar.

– Nie powinien odpisać? Minęło przecież tyle czasu.

Ringmar wzruszył ramionami. Kto to mógł wiedzieć?

– Anglicy są szybcy – stwierdził Winter po krótkiej chwili.

– W Anglii od początku nie tracą czasu – powiedział Ringmar. – Wystarczy popatrzeć, jak grają w futbol.

– Jakiś facet od nich dzwoni dość często do Malmströmów, ale chodzi raczej o pocieszenie – stwierdził Winter.

– Mhm.

– Oni tak robią – dodał Winter. – To się nazywa family liason officer.

– Aha.

– Komisarz wyznacza takiego człowieka, kiedy rusza śledztwo. Niektórzy tak robią.

– To właśnie to, co ty zrobiłeś – stwierdził Ringmar.

– Chodzi ci o Jannego? To było konieczne.

Ringmar nie skomentował. W jego kieszeni odezwała się komórka, odebrał i wymruczał swoje nazwisko.

– Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć – powiedział, spoglądając na Wintera.

Odłożył komórkę na stół i wskazał róg pokoju. Winter poszedł za nim.

– Twoja matka.

– Czy sprawia wrażenie trzeźwej?

– Niezupełnie, wydaje mi się.

– Czego chciała?

Ringmar wzruszył ramionami.

Winter wrócił do stołu i podniósł komórkę.

– Tak?

– Eeeriiku!

– Cześć, mamó.

– Tak się niepokoiiliśmy.

– Ach tak.

– Czytaliśmy o tym nowym morderstwie.

– Jestem w tej chwili trochę zajęty, mamó. Czy masz jeszcze coś do mnie?

– Lotta dzwoniła. Mówi, że mógłbyś się do niej częściej odzywać.

– Może mi to sama powiedziec, nie okrężną drogą przez Hiszpanię – odparł Winter i przewrócił oczami, patrząc na Ringmara. – Pogadam z nią – obiecał. – Ale teraz muszę kończyć.

Wyłączył telefon i oddał Ringmarowi.

– Widzisz sam, jak u mnie jest – powiedział.

Ringmar zaśmiał się i odchrząknął równocześnie.

- A gdzie twoja komórka? – zapytał po chwili.
- Ładuje się w pokoju.
- Mhm.
- Z zapowiedzią.
- Właśnie.
- To diabelskie gadżety – stwierdził Winter. – Widziałem już parę razy, jak ludzie stoją naprzeciwko siebie na ulicy i gadają, każdy w swój.
- W taki sposób nowocześni ludzie spędzają razem czas – odrzekł Ringmar.
- Wyobraź sobie, Bertilu, że nagle znalazłeś się w innym czasie. Piorun uderza dwa metry od ciebie i ta niesłychana siła przenosi cię pięćset lat wstecz – powiedział Winter. – Stoisz w tym samym miejscu, ale pięćset lat wcześniej.
- Mhm.
- Pomyśl tylko. Stoisz, jest zimno, mokro i pusto. Jedyna rzecz, jaką masz ze sobą, to telefon. Kryjesz się przed jeźdźcami, którzy zbliżają się gościńcem, czy jak to się nazywa, i dociera do ciebie, że jesteś w innej epoce. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- Jedyne, co można w takiej sytuacji zrobić, to nie poddać się panice. Kiedy się już uspokoisz, wyjmujesz komórkę, wybierasz numer do domu i zgłasza się Bodil! Twoja żona odbiera. Rozumiesz, Bertilu?
- Rozumiem.
- Stoisz sobie w średniowieczu i możesz zadzwonić do domu. To niezła myśl, nie?
- To niesłychanie interesujące.
- Mogliby zrobić o tym film.
- Czy będę mógł w nim zagrać?
- To nie ja decyduję – odparł Winter. – Ale teraz będzie najlepsze, albo najgorsze. Komórka, jak wszyscy wiemy, jest na baterię, i trzeba ją ładować, co właśnie dzieje się w moim pokoju. Ale w średniowieczu nie ma wtyczek. Stoisz tam, rozmawiasz i wiesz, że kiedy bateria się wyczerpie, będzie koniec. Kontakt się urwie na zawsze.
- Co za okropna historia.

JANNE MÖLLERSTRÖM wyrabiał nadgodziny nad bazą danych z postępowania przygotowawczego. Kiedy zamiast migotania zaczynał widzieć płynne szkło, rozcierał oczy.

Kiedy miał wolne, nie mógł się doczekać jutra. Oczy stawały mu w ślup nad płatkami śniadaniowymi, ale i tak tęsknił do swoich elektronicznych segregatorów.

To było jego pierwsze prawdziwe śledztwo w sprawie morderstwa. Miał zawroty głowy niemal natychmiast po przebudzeniu, po pełnej snów nocy, wszystko wirowało... jakby wisiał na spadochronie kilka centymetrów nad ziemią. Unosił się w powietrzu. Uwielbiał to.

Nikt mi tego nie może odebrać, myślał, kiedy pojawiły się plotki, że Birgersson zastanawiał się nad powołaniem centralnej komisji do spraw zabójstw, kilka dni po zamordowaniu chłopaka z pubu.

To była bardzo szeroko zakrojona akcja, jak przy morderstwie Malin, ale wtedy nie siedział przy komputerze.

Tym razem dwudziestu ludzi przeczesало sąsiednie mieszkania. Zebrali słowa, słowa i jeszcze raz słowa, a wszystko trafiło do niego i jego bazy danych. Siedział nad nią po godzinach.

Winter poszedł do Birgerssona, a Möllerström nie wiedział, czy chodziło o komisję, ale nic innego nie dotarło od szefa wydziału.

Pytanie zostało zadane na spotkaniu grupy wczorajszego ranka. Fredrik Halders usłyszał coś i zrobił grymas, który tylko trochę zmienił wyraz jego twarzy:

– Wolałbym jeść gówno.

Winter zaśmiał się nagle. Nie było to dla niego typowe, zwłaszcza podczas omawiania sprawy.

– Wydaje mi się, że Fredrik dobrze podsumował nastawienie grupy do tej kwestii – stwierdził Winter.

– Sztokholm to piękne miasto – powiedziała Aneta Djanali, spoglądając na północny wschód, gdzieś za Skövde i Katrineholm, i jeszcze dalej. – Mili ludzie, kulturalni, otwarci.

– Zwłaszcza w okolicy Flemingsbergu – dodał Halders.

– Ty zawsze tam wysiadasz? – zapytała Djanali. – Czy nikt ci nie powiedział, że

pociąg jedzie dalej?

- Wolałbym jeść gówna – stwierdził Halders.
- Twoja dieta jest nieco monotonna – skomentowała Aneta Djanali.
- To samo dotyczy twojej ironii.
- Ironii? A kto tu ironizuje?

Winter zaczął dyskretnie szeleścić papierami. Od razu zapadła cisza.

– Będziemy pracować dwójkami, czy raczej wy będziecie pracować dwójkami – powiedział. – Aneta i Fredrik dzisiaj pracują razem, widzę tam niezbędną dynamikę. Reszta tak jak przedtem. Lars, z tobą chcę potem pomówić.

Lars Bergenhem podniósł wzrok. Wygląda jak uczeń, pomyślał Winter.

– Znaleźliśmy coś ciekawego – zaczął Winter.

Bertil Ringmar skinął głową, zgasił światło i uruchomił rzutnik. Przesuwał zdjęcia z obydwu pokoi, trzy razy tam i z powrotem. W końcu zatrzymał się przy zdjęciu z miejsca ostatniego morderstwa.

Policyjny fotograf użył obiektywu szerokokątnego, pokój wybrzuszał się na boki.

– To jest przecież to... najnowsze – powiedział Winter i kiwnął na Ringmara. Starszy komisarz przeszedł do następnego zdjęcia: tułów Jamiego Robertsona. Möllerströma ogarnął... wstyd. Wstydził się jak ktoś, kto podgląda coś zakazanego.

– Widzicie czyste ramiona – powiedział Winter i skinął głową.

Bertil Ringmar nacisnął guzik: nowe powiększenie ramienia zabitego chłopaka.

– Widzicie? – zapytał Winter, spoglądając w półmrok.

Nikt się nie odezwał. Znowu dał znak Ringmarowi. Kolejne naciśnięcie przełącznika i jeszcze jeden zoom.

– Widzicie?

Winter wskaźnikiem pokazał na nagiej skórze coś, co mogło być drobiną kurzu na ekranie. Dopiero teraz można było to zauważyć.

– Co to jest? – zapytała Aneta Djanali.

– To krew – wyjaśnił Winter, a ona pomyślała, że oczy rozjarzyły mu się światłem jak projektor. – To krew, i to nie tego chłopca.

W sali zapadła cisza. Anetę Djanali przeszył dreszcz. Podniosła rękę, żeby przygładzić włosy.

- Ożesz, kurwa – rzucił Halders.
- Nie chłopca – powtórzył Bergenhem.

– Kiedy to zobaczyliś... zobaczyłeś? – zapytała Djanali, spoglądając na szefa.

– Dopiero co – odparł Winter. – Kilka godzin temu jeszcze raz przeglądałem zdjęcia w jasnym świetle poranka.

Był tutaj przez całą ciemną noc, pomyślała Djanali. Noc czarniejszą niż moja skóra, kiedy wszyscy poza tym nadczłowiekiem spali.

– Fröberg zadzwoniła do mnie od razu, kiedy analiza była gotowa – dodał Winter.

– I to jest potwierdzone laboratoryjnie? I pewne? – zapytał Halders. – Chodzi mi o to, że było tam dość dużo krwi, że tak powiem.

– Stuprocentowo – potwierdził Winter.

– Czy to się... może przydać? – zapytał Bergenhem.

– Czy wystarczy? Oni tak sądzą. Praca idzie pełną parą – odpowiedział Ringmar.

– Czy wystarczy do czego? – dopytał Möllerström. – Jeśli w rejestrach nie ma żadnego materiału porównawczego, to niewiele nam to daje.

– To negatywne myślenie – zauważył Bergenhem i spojrzął na Möllerströma, jakby zniszczył magiczną atmosferę.

– Ale realistyczne – odparł Möllerström. – Trzeba myśleć realistycznie, dopóki nie będziemy mieli skomputeryzowanej bazy danych z kodem DNA. Każdy po urodzeniu jest rejestrowany.

– Znamy twoje zdanie – odezwała się Aneta Djanali.

– Może powinniśmy się cieszyć z tego przełomu w śledztwie – powiedział Ringmar, więc Möllerström już się nie odzywał.

Ringmar przyniósł telewizor i puścił nagrania z miejsc zbrodni, po czym rozpoczęła się dyskusja o tym, co robić dalej.

To straszne filmy, pomyślał Winter. Jakbyśmy patrzyli na to samo, co morderca ogląda w tej chwili, teraz. Jestem przekonany, że to się stało, że z tego powstał film, że ten film lub te filmy są gdzieś w jakiejś szufladzie lub na ekranie.

– Możemy coś z tego wyczytać – powiedział Winter, kiedy kamera zatrzymała się na podłodze i skupiła na owalnym wzorze.

– Sądzymy, że to taniec – zaczął Ringmar. – Między pokojami widać podobieństwa, jakby ten, co to zrobił, postępował tak samo w trakcie i... potem.

– Taniec – powtórzył Bergenhem. – Jaki taniec?

– Jeśli się tego dowiemy, to już będzie dużo – powiedział Winter. – Sara Helander będzie od dzisiaj pracowała z nami – mówił dalej. Skinął głową w kierunku kobiety siedzącej na prawo od Haldersa. – Zresztą chyba znacie Sarę.

Kobieta skinęła głową. Została oddelegowana z grupy dochodzeniowej. Chętnie pracowała z Winterem. Założyła nogę na nogę, odgarnęła włosy z lewej skroni i tak jak inni popatrzyła na ekran, na którym widać było wzór śladów na podłodze.

– Jeśli to fokstrot, to w pierwszy lepszy wieczór możemy go ująć w King Creole – powiedział Halders.

Sara Helander odwróciła się w jego stronę.

– Co masz na myśli? – zapytała sucho.

– Nic – powiedział Halders i znów popatrzył na wielki ekran.

– Jak można po tym do czegoś dojść? – zapytał Bergenhem.

– Jak można w ogóle dojść do czegoś w tej pracy? – powiedziała Sara Helander, a Winter potwierdził jej słowa skinieniem. Była dobra. Podczas śledztwa wszystko jest niemożliwe do chwili, kiedy staje się możliwe. Taniec? Dlaczego nie. Zapisał tytuł płyty włożonej do odtwarzacza Robertsona. Przekazał tę informację Sarze. Gdzieś jest film z dźwiękiem, może to być muzyka i jeszcze coś, coś, czego nikt nie chce słyszeć oprócz tych, którzy... którzy chcą tego słuchać, pomyślał. Stał jak sparaliżowany w świetle ekranu.

– A co mówią o tym w Londynie? – zapytała Aneta Djanali.

– Szukałem głównego śledczego dzisiaj rano, ale był nieosiągalny – odparł Winter. – Przynajmniej przed południem.

– A Interpol? – zapytał Halders.

– Najwyższy czas na kontakt bezpośredni – powiedział Winter.

Lars Bergenhem słuchał, czasem coś notując. Winter stał w tym samym miejscu, gdzie stał podczas spotkania. Bergenhem siedział na krześle obok.

– Postaraj się być możliwie dyskretny – powiedział Winter.

– Ile ich jest? – zapytał Bergenhem, choć raczej do siebie.

Winter bawił się paczką cygaretek leżącą przed nim na stole. Podciągnął żaluzje i światło uderzyło go w oczy. Grupa gimnazjalistów przechodziła przez ulicę w drodze z Kristinelundsgymnasiet. Może idą z wizytą do stróżów Prawa i Porządku, po przedsmak tego, co ich czeka w życiu. Na czele szedł starszy mężczyzna, pilnował klasy. Pomarszczony pies przewodnik prowadzący młodzież, wszyscy w podobnym wieku jak zamordowani chłopcy. Zamknął powieki, znów poczuł ucisk między oczami.

– Okej? – powiedział Winter i odwrócił się w stronę pokoju.

– Czy mam na to tydzień? – zapytał Bergenhem.

– Zobaczymy. Znam faceta, z którym możesz pogadać na początek.

Wczesnym wieczorem Winter wyszedł ze swojego pokoju i pojechał do domu. Taki przywilej szefa. Był głodny. Zrobił sobie omlet z pomidorami i dwoma ziemniakami, pomyślał przelotnie o matce i ojcu pod słońcem, które też świeci na pomidory.

Nosił w sobie jakiś niepokój, coś jak swędzenie. Ruszył w stronę odtwarzacza CD i zatrzymał się w pół drogi. Rozwahał, czy nie otworzyć sobie piwa, ale porzucił tę myśl. Zdecydował się założyć dres, pobiec przez Sprängskullsgatan i zrobić rundę w Slotsskogen. Naciągał T-shirt przez głowę, kiedy zadzwonił telefon. Jedna z jego kobiet. I to był lepszy pomysł.

Angela przyszła, a on objął ją zaraz za drzwiami. W łóżku falującym ruchem ułożył ją pod sobą, nie chciał czekać. Mimo to miał wrażenie, że minęły długie minuty, zanim jego ciało eksplodowało. Poczul w głowie cudowną pustkę.

– Potrzebowałeś tego – odezwała się w ciszy pokoju, kiedy oboje leżeli na plecach.

– *It takes two* – powiedział Winter, a po jej stronie zadzwonił telefon.

Odwróciła się, a on przyglądał się jej pięknym pośladkom: bajeczne rozszerzenie i zaokrąglenie kobiecych bioder.

– Halo? – powiedziała. Potem wsłuchała się w odpowiedź. – No to proszę go przełączyć.

Winter był zdziwiony, że się odważyła. Może teraz jest właśnie jego żoną.

– *Yes, he is here* – powiedziała, spoglądając przez ramię.

– *Detective Inspector* chce z tobą rozmawiać, z Londynu. Maccośtam.

ANGELA WSTAŁA i poszła pod prysznic, a Winter wyciągnął się na łóżku w stronę słuchawki leżącej na nocnym stoliku. Angela zamknęła za sobą drzwi.

– Erik Winter przy telefonie.

– Dobry wieczór. Steve Macdonald, komisarz policji kryminalnej z Londynu. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

– Już nie. To świetnie, że pan dzwoni. Ja przedtem próbowałem.

– Tak.

– Chyba nadszedł czas na... kontakt – powiedział Winter.

– Jak najbardziej. Próbowałem przez... przepraszam, czy nie mówię za szybko?

– W porządku.

– Wy, Skandynawowie, znakomicie mówicie po angielsku. Lepiej niż my w południowym Londynie.

Winter słyszał plusk prysznica. Zaraz skończy i wyjdzie, jakby to wszystko było szalonym, rozedrganym snem. Czuł pot schnący u nasady włosów.

– Pański angielski łatwo zrozumieć – powiedział.

– Proszę powiedzieć, jeśli będę mówił za szybko – powtórzył Macdonald. – To szkocki pomieszany z cockneyem.

Wodospad w łazience ucichł. Winter usiadł, naciągnął prześcieradło na przyrodzenie, jakby zawstydzony obcym głosem angielskiego kolegi. A może jest mi po prostu zimno, pomyślał.

– Nadszedł czas na porządną dyskusję – powiedział Macdonald – o *modus operandi* i innych rzeczach. Teraz to już konieczność.

– Tak.

– Czytałem pańskie raporty i po tym ostatnim zacząłem się zastanawiać, czy nie znajdujemy się na jakiejś scenie albo czymś w tym rodzaju.

– Scenie?

– W tym wszystkim jest jakiś zamysł.

– Czyż nie jest tak zawsze?

– To jest za bardzo wystudiowane. Nie mamy do czynienia ze starym poczciwym psychopata, jak zwykle.

– To psychopata i coś jeszcze.

Drzwi do sypialni otworzyły się dyskretnie. Angela uniesioną dłonią przesłała mu całusa. Skinął głową. Wyszła. Usłyszał jeszcze trzaśnięcie drzwi i podzwanianie łańcuchów, kiedy wsiadała do windy.

– Rozmawialiśmy pierwszy raz z rodzicami... tego ostatniego chłopaka, a raczej z matką. Jamiego Robertsona. Mieszkają kawałek za Londynem – powiedział Macdonald.

– Wiem – potwierdził Winter.

– Słyszałem o tym – powiedział Macdonald. – Wasz człowiek dobrze mówi po angielsku, rozumieli go bez problemu.

Winterowi stanął przed oczami Möllerström: wyraźna wymowa z akcentowaniem wszystkich sylab. Dlaczego nie wszyscy ludzie mają e-maile?, wzdychał potem Möllerström. Czy łatwiej pisać po angielsku?, zapytał Halders.

– To dziwne dochodzenie – powiedział Macdonald po chwili przerwy. – Albo raczej kilka dochodzeń.

Winter nie odpowiedział, czekał.

– Mój szef oddelegował mnie i moją grupę tylko do tego zadania, cały etat. Oczywiście.

– U nas tak samo – przyznał Winter.

– Nic nowego o listach?

– Mieliśmy tu rozmowę z osobą, która pisała do... do pierwszego chłopca, jak pan wie, ale nic nowego z tego nie wynikło. Dziewczyna nie zauważyła nic szczególnego w jego ostatnim liście, poza tym, że się cieszył na przyjazd do Göteborga. A jeśli chodzi o ten list, który miał dostać stąd, od kogoś innego ze Szwecji, to niczego się nie dowiedzieliśmy. Dziewczyna nie miała o nim pojęcia.

– Chyba nic dziwnego, że nie miał już przy sobie tamtego listu. Kiedy go znaleźliście.

– Żadnych nowych świadków, którzy widzieli młodego Malmströma? – zapytał Winter, choć raczej dlatego, że właśnie zastanawiał się nad czymś innym... nad czymś, co Macdonald powiedział przed chwilą.

– Mnóstwo i ani jednego. Nie wiem, jak to jest u was, ale tutaj zawsze dużo ludzi dużo widziało. Powiedzieć, że telefony się rozgrzewają do czerwoności, to za mało.

– Nic konkretnego?

– W tej chwili jeszcze nie, ale o tym wszystko już pan wie, kolego. Nie mieliśmy za to

problemu z pomocą ze strony prasy w tej sprawie. Młody biały Europejczyk zamordowany gdzieś w kupach śmieci na południowym brzegu rzeki. To coś innego niż mordowanie czarnych amatorów cracku. Z tym zwykle mamy do czynienia.

– Spróbujcie iść z tym do gazet – poradził Macdonald. – Dużo się teraz pisze, a wtedy jest dużo telefonów od ludzi. Co daje niezły wynik, kiedy odliczyć jakieś trzy tysiące świrów. Okolice, w której pracuję, ma trzy miliony mieszkańców. Croydon jest dziesiątym co do wielkości miastem Anglii.

– Göteborg jest drugim miastem w Szwecji, co oznacza mniej więcej pół miliona mieszkańców.

– I żadnych czarnych?

– Owszem, są.

– I żadnych większych problemów z narkotykami?

– Coraz więcej.

– Czy dostał pan gazety, które wysłałem pocztą dyplomatyczną?

– Tak.

– No to sam pan widzi. Opinia publiczna domaga się rozwiązania tej sprawy, kiedy „The Sun” żąda, żeby wprowadzić godzinę policyjną w Clapham, do czasu ujęcia mordercy.

Winter zamyślił się.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że stoimy na scenie? – zapytał.

– Na scenie?

– Dlaczego pan tak powiedział?

– Ach tak – odpowiedział Macdonald. – Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje, jakby stał gdzieś wysoko nad nami, poza zasięgiem. W tej chwili.

– Ja też miałem takie wrażenie.

– Może to z powodu statyw – stwierdził Macdonald. – Jeśli to rzeczywiście statyw do kamery.

– Po co mu był statyw?

– Dobre pytanie.

Winter myślał na głos.

– Może chce mieć wolne ręce.

Macdonald milczał.

– W każdym razie miał jakiś plan – dodał Winter.

– Może nawet scenariusz?

– Jest potrzebny?

– Każdy potrzebuje scenariusza – stwierdził Macdonald.

Po drugiej stronie łożka zadzwoniła komórka.

– Chwileczkę – poprosił Winter.

Odłożył słuchawkę i przeturlał się na drugą stronę.

– Słucham?

– Erik? Mówi Pia. Mamy problem z tą obcą krwią na ramieniu chłopca.

– Jaki?

– Ktoś się pomylił. Pomieszało się, i to jest straszne.

– Czy coś takiego może się zdarzyć?

– Nie.

– Rozumiem – powiedział Winter, ale nie wiedział, czy jego ton dotarł aż do laboratorium. – Oddzwonię za chwilę, mam właśnie inną rozmowę.

Wyłączył komórkę i wrócił do Macdonalda.

– Przepraszam – powiedział.

– Oczywiście.

– Musimy to omówić gruntownie. Są też rzeczy, które chciałbym sam zobaczyć.

– Kiedy pan przyjedzie?

– Gdy tylko dostanę zgodę.

– Z mojej strony nie ma problemu, dla mojego szefa to też nie problem. To sprawa wymagająca bezpośredniego kontaktu między zaangażowanymi w to wydziałami.

– Odezwę się, gdy tylko to będzie możliwe – powiedział Winter i odłożył słuchawkę.

Everybody needs a script, powiedział Macdonald. Jesteśmy na scenie i ktoś, kto znajduje się poza naszym zasięgiem, obserwuje nas. Jesteśmy częścią czegoś. Cały czas popełniamy kolejne błędy. W ten sposób się uczymy.

– Sanitariusz z karetki – powiedziała Pia E:son Fröberg.

– Co ty mówisz, do jasnej cholery?!

Zdjęła fartuch i stanęła przed nim, chłodna i jasnowłosa, w swoim wąskim biurze z półkami uginającymi się pod papierami i książkami. Zaczęła nosić okulary, nawet przy ludziach zwracających uwagę na jej wygląd, pomyślał Winter, kiedy ostatnio się widzieli.

– Miał rankę z poprzedniego dnia, na przegubie, między rękawem a rękawiczką – powiedziała. – Właśnie tam skóra była odsłonięta.

– Niech to szlag trafi.

– Potem zadrasnął się o framugę drzwi, kiedy wchodzili z noszami do pokoju, a krew znalazła się na ramieniu chłopca, kiedy go przykrywali.

– Kropelka – powiedział Winter. – Kropelka, która tak mnie ucieszyła.

– Właściwie powinieneś mi być wdzięczny, Eriku – powiedziała Pia. – Tyle samo czasu zajmuje wyeliminowanie podejrzeń co znalezienie czegoś, z czego można by się cieszyć.

– Przepraszam.

– Dziękuję.

– Więc sprawdziliście wszystkich.

– Na ile to było możliwe – odparła.

– A ja myślałem, że teraz potrzebujemy tylko kogoś, kogo moglibyśmy podejrzewać.

– Co się stało ze wszystkimi świetnymi przeszukującymi?

Winter pomyślał o Gabrieli Cohenie, który został mianowany dzień po burzliwym rozpoczęciu śledztwa. Cohen robił tak jak Winter: czytał papier za papierem, które wypluwała laserowa drukarka Möllerströma, czekał, przygotowywał się.

– Cohen jest gotowy – powiedział Winter.

– Wiedza medyczna nie zawsze może przynieść ratunek – odparła Pia Fröberg.

– Czy mogę cię dziś wieczorem zaprosić na kolację?

– Nie.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po płaszcz wiszący na oparciu krzesła. Pod bluzką zarysowały się piersi.

– Mój mąż wrócił do domu.

– Myślałem, że to skończona sprawa.

– Ja też tak myślałam.

Winter nic już nie mówił. Uniósł rękę na pożegnanie i wyszedł z pokoju. Obok niego przejechały nosze, ktoś rzucił kilka słów.

Słońce nie pokazywało się od kilku dni. Zastąpiła je gruba warstwa wilgoci, otuliła domy i ulice miasta. Przez ostatnie dwie noce padał śnieg, tylko nocami. Winter ostrożnie stawiał kroki na chodniku. Pokrywał go wzór tysiąca śladów. Może to też moje ślady, myślał, może on mnie śledzi, chodzi za mną wszędzie. Stał tutaj na ulicy i czekał, a potem poszedł w tę stronę, w którą teraz idę.

Jakby wcześniejszy wyż wyostrzył go swoimi cienkimi promieniami, swoim czystym chłodem. Ale teraz ta przeklęta wilgoć wciskała mu się w głowę. Niż odsuwał się, zabierając wszystkie myśli.

Kręcę się w kółko, myślał. Dochodzenie posuwa się naprzód, ale ja ciągle kręcę się w kółko. Nie rozglądam się, mogę iść kolejne dziesięć minut i nagle nie wiem, na jakiej jestem ulicy. Będę musiał podnieść głowę i się rozejrzeć. Nie będę tego potrzebował, znam te ulice, chodziłem po nich przez czternaście lat na służbie i niezliczone lata przedtem.

Avenyn skręcała przed nim. Stał przed Biblioteką Miejską. Patrzył, jak ulica blednie w wilgotnym powietrzu, biegnąc ku Kungsportsplatsen. Szerokie chodniki były prawie puste. Minęła już pora lunchu, na ulicy było najwyżej dziesięć osób. Kilka czekało na autobus lub tramwaj. Zaczął padać śnieg, ciężki, nasiąknięty deszczem. Tydzień temu wiosna znów coś szepnęła, ale wszyscy już zapomnieli, co to było.

Winter szedł spacerowym krokiem przez Heden. Usłyszał za sobą krzyk i odwrócił się szybko. Jakaś kobieta nadbiegała od Södra vägen z ręką w górze, jak do pozdrowienia, i napiętym wyrazem twarzy. Jej długie nogi jaśniały na tle otoczenia. Znów krzyknęła, głośniej, a może to tylko tak zabrzmiało, bo była bliżej: „MOJE AUTO!”.

Minęła Wintera, biegnąc z wyciągniętym ramieniem. Zobaczył jeszcze białego opla omegę skręcającego za róg Exercishuset. Przyśpieszał, jechał w stronę stadionu Gamla Ullevi. Jej samochód.

Popelnili błąd, ale jej to w tej chwili nie pomoże, pomyślał Winter i podszedł do niej zdecydowanym krokiem.

– Numer rejestracyjny – rzucił z komórką w dłoń.

– Co?

– Numery pani samochodu. Jestem policjantem – wyjaśnił, wskazując swój telefon, jakby to była jego legitymacja.

– Ja... ja nie wiem – wyjąkała kobieta. – To mój brat zawsze...

– Pierwsza cyfra? – przerwał jej Winter. – Proszę się uspokoić.

– To będzie szóstka... a potem cztery, tak mi się wydaje – powiedziała kobieta.

Winter wybrał numer centrali.

– Mówi komisarz Winter z wydziału śledczego. Właśnie byłem świadkiem kradzieży samochodu. Właśnie tak. Przed... minutą biały opel omega, rocznik dziewięćdziesiąt trzy albo dziewięćdziesiąt cztery, skręcił z Heden na wschód. Powinien być w tej chwili na wysokości Gårdy. Tak. Właśnie. Chyba sześć, potem cztery. Tyle wie właściciel. Dobrze. – Po czym zwrócił się do kobiety: – Zrobimy, co się da. Zgłoszenie zostało wysłane do patrolujących radiowozów.

– O Boże.

– Powinni ich złapać.

– Miałam się spotkać z przyjaciółką w Rubinie, ale zostawiłam w aucie komórkę. Odkryłam to mniej więcej po dziesięciu minutach i kiedy wyszłam, zobaczyłam tylko, jak wyjeżdżał na ulicę. Od razu wiedziałam, że to mój, o tej porze nie ma tu zbyt wielu samochodów.

– Pani numer? – zapytał Winter.

– Nie wiem, czy nie mów...

– Numer komórki.

– Zero siedem zero osiem trzy jeden dwa cztery trzy pięć.

Coś mu przyszło do głowy. Wybrał numer i czekał na zgłoszenie. A nuż, pomyślał. Może te aroganckie gnojki nie będą mogły się powstrzymać.

To prawie jak dzwonić do średniowiecza, pomyślał, czekając z telefonem przy uchu.

– Okej, okej, halo?

– Czy jedziecie białym oplem omegą? – zapytał Winter.

Żadnej odpowiedzi, tylko szum, jak w tartaku.

– Skradzionym białym oplem?

– A kto pyta?

– Policja. Wiemy, gdzie jesteście. Proponuję zjechać na pobocze i zatrzymać się.

– Jesteśmy na autostradzie.

– Zjedźcie na najbliższym zjeździe. Jaki to będzie?

Winter słyszał w słuchawce szum, samochód pędził donikąd sto dwadzieścia na godzinę.

– Przecież wiesz, gdzie jesteśmy, psie!

– Zachowaj spokój, to nic się nie stanie. Odstawcie samochód za zjazdem i po prostu odejdźcie, jeśli możecie.

– Nie chcemy chodzić – odparł głos, a Winter pomyślał, że to zabrzmiało jak żart.

Usłyszał syreny, wyły coraz głośniejsze. Złodziej coś powiedział, ale nie dosłyszał. Potem połączenie się urwało.

– Wygląda na to, że ich złapali.

– Czy to było mądre? – zapytała kobieta. Uspokoili się trochę, oddychała już miarowo. Miała zaróżowioną twarz, zdrową cerę. Przebieżka od Rubina do samego Heden. Do tego na wysokich obcasach. Nieźle.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Czy naprawdę jest pan policjantem? – upewniła się. Była w jego wieku, może nieco młodsza, ale on nigdy nie umiał tego ocenić. Wysoka, metr osiemdziesiąt. Tylko o pół głowy

niższa od niego.

– Z policji kryminalnej – wyjaśnił. – To też pewnego rodzaju policja.

Pokazał jej legitymację.

– A gdyby doszło do wypadku, kiedy pan do niego zadzwonił?

– To byłoby bardzo przykre.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Co teraz będzie? – zapytała.

Winter zadzwonił i dowiedział się, czego chciał. Powiedział kilka słów.

– Samochód jest nieuszkodzony, cała reszta też. Za kilka minut przyjedzie radiowóz, zabierze panią i podwiezie do Olskroksmotet.

– Więc tam stoi?

– Tak.

– Ale przygoda. – Uśmiechnęła się do niego.

– Takie jest życie. A tu właśnie nadjeżdża taksówka.

Radiowóz zatrzymał się przy parkomatach.

– Tak... a więc dziękuję, inspektorze – powiedziała kobieta.

– Komisarzu – poprawił ją Winter.

– Dziękuję mimo wszystko. – Uśmiechnęła się znowu.

Szperała w torebce. Wyciągnęła portfel, znalazła wizytówkę i długopisem podkreśliła jeden z numerów.

– Praca – powiedziała i wsunęła mu wizytówkę do ręki.

Winter poczuł, że nagle coś mu się napięło w podbrzuszu, krew się wzburzyła. Patrzył, jak kobieta się odwraca, skręca w stronę radiowozu, płynnym ruchem wsiada na tylne siedzenie i macha mu ręką.

Włożył wizytówkę, nawet jej nie oglądając, do wewnętrznej kieszeni marynarki i ruszył dalej przez Heden. Śnieg padał coraz mocniej, ale to było całkiem przyjemne.

Czuł się ostry, przenikliwy, napalony, jakby uniesiony ponad wszystkie przeszkody. Złapię tego skurwiela, pomyślał.

OKREŚLILI, JAKI OBSZAR należy dokładnie przeczesać. Policyjna robota. Trzeba było tylko zdecydować: te domy, tamte domy, te klatki schodowe, co oznaczało, że wszyscy mieszkańcy mieli zostać przesłuchani, obojętne, jak nieznośnym dialektem się posługiwali, mimo zapachu czosnku czy braku higieny. Czegoś, co my, w naszym kraju, uznajemy za higienę, wyszczerzył się jeden z młodych śledczych, świeżo po szkole policyjnej. Jeszcze nie pozbył się cynizmu. Już teraz ma tendencje rasistowskie, potem się jeszcze pogłębią. Winter zwrócił na niego uwagę, zapamiętał jego nazwisko: nie nadaje się dla mnie, nie przesadzam z poprawnością polityczną, ale takich małych gnojzków u siebie nie chcę.

Jamie Robertson zmarł na piątym piętrze przy Chalmersgatan. Winter zastanawiał się przez chwilę nad ewentualnym związkiem z akademikiem stojącym kilka kilometrów dalej. Albo istniał jakiś związek, albo nie.

W tej części miasta stały ciężkie domy, zakotwiczone w sobie, masywne jak lita skała powstała przed milionami lat. Policjanci chodzili z góry na dół, dzwonili do drzwi. Szmer głosów, urywki pamięci, rzeczy, o których nikt nie myślał wtedy i nie mógł pamiętać teraz.

Lasse Malmström przez trzy dni wkładał garnitur i wychodził rano do pracy, ale trzeciego dnia po południu go dopadło.

Nie tylko ciało jego syna przyleciało tego popołudnia samolotem.

Czas był jakby zrobiony z kamienia. Dręczyły go straszliwe myśli. Gdy samolot siadał na płycie lotniska, przez sekundę chciał, żeby jedno ze skrzydeł odwróciło się, żeby...

Potem już nic. Żadnej pracy ani garniturów, wokół niego zapadła cisza, nie było prawie niczego, co chciałby pamiętać. Nic już nie wiedział. Chciał się zapaść w siebie.

Nie chcę mówić, że wiem, jakie to bolesne, ale to konieczne, pomyślał Winter.

Pokój był rozświetlony przedpołudniem. Lasse Malmström szukał ciszy, ale nie ciemności. Był nieogolony, co wyostrzało rysy jego twarzy. Nieustannie pocierał podbródek. To był jedyny dźwięk, jaki dał się słyszeć, jakby ktoś coś piłował albo grabił liście, które w ukryciu przetrwały suche przez całą zimę.

– Co się dzieje? – rzucił.

– Czy masz na myśli coś szczególnego? – zapytał Winter.

Lasse Malmström nie odpowiedział. Zapadł się z powrotem w ciszę. Jego ręka poruszała się przy dolnej części twarzy.

– Czytałem gazety dwieście lat temu – powiedział. – Zanim Per wrócił... do domu.

– To, że dwóch młodych ludzi zamordowano tu, w Göteborgu, mniej więcej w tym czasie, kiedy to samo spotkało Pera, może mieć wiele przyczyn – oświadczył Winter.

– Przyczyn?

– Mam na myśli powody, zamiary, chore zamiary, szaleństwa. Takie rzeczy, Lasse.

– Nie wiem, czy mam wobec tego mieć nadzieję, czy wpaść w rozpacz.

– Co masz na myśli?

– Ponieważ tak jest, więcej osób pracuje nad tą sprawą, więcej policjantów w różnych miejscach, i to może być dobre, obojętne, czy jest jakiś związek, czy nie.

Winter nie odpowiadał.

– Kiedy więcej osób zostaje... zamordowanych, oznacza to, że angażuje się większe... siły, że to może doprowadzić do tego, że ten, kto... kto zabił Pera, może zostać ujęty czy aresztowany, czy jak to się tam nazywa, do cholery.

– Może masz rację.

– Nie wiem, mówię tylko o związku między tymi sprawami, tak zakładam, nic o tym nie wiem, u was może być podobnie.

– Pracujemy nad tym, a równocześnie rozglądamy się w różne strony.

– Będziesz mnie informował o wszystkim na bieżąco? – zapytał Lasse Malmström, patrząc Winterowi prosto w oczy.

– Oczywiście.

– Nie mówisz tego tylko tak, żeby powiedzieć?

– Choćby nie wiem co, będę cię informował na bieżąco. Zawsze tak robimy i nie zamierzam w tym przypadku robić wyjątku.

– To dobrze.

– To nie jest tak, że siedzimy i patrzymy jeden na drugiego i mamy nadzieję, że ktoś wpadnie na jakiś dobry pomysł. Cały czas mamy dobre pomysły, mamy dobry system, z którego korzystamy. Nie mamy czasu na wzdychanie, że nic się nie dzieje.

– Okej.

– Cały czas posuwamy się naprzód. Cały czas, Lasse. Tak naprawdę śledztwo nigdy nie stoi w miejscu. Wręcz przeciwnie: my nie nadążamy za tym wszystkim.

– Okej.

Tak przecież jest, pomyślał Winter, nie mówię tego, żeby mówić. On słucha. Słyszy tego psa niedaleko. Szczeka na cały świat. Odsunął wreszcie tę cholerną rękę od podbródka. Teraz zadam to pytanie.

– Jest jeszcze jedna sprawa, Lasse.

– Tak?

– Wiesz, że usiłujemy się dowiedzieć jak najwięcej o Perze, o jego... kontaktach, kumplach, dziewczynach i tak dalej.

– Tak.

– I tak dalej – powtórzył Erik Winter, jakby zbierał się na odwagę. – Rozmawialiśmy z jego dziewczyną, ale to nie było tak naprawdę to.

– Co?

– To nie była jego dziewczyna.

– Teraz ja nie nadażam za tobą, Eriku.

– Powiedziałeś, a może to była Karin, że ta dziewczyna była przyjaciółką Pera, ale kiedy z nią porozmawialiśmy, okazało się, że to nie było tak naprawdę to.

– No to nie, do kurwy nędzy, to może zerwali ze sobą.

– Raczej nigdy nie byli razem... naprawdę.

– Czy to ja, czy ty zapuszczasz tu brodę i masz problemy z mówieniem? Chcesz powiedzieć, że się tylko kolegowali, czy chodzi o to, że Per nigdy nawet jej nie przeleciał?

Winter zwlekał z odpowiedzią.

– No co? Odpowiadaj!

– To drugie – powiedział wreszcie Winter.

– Czyli nigdy jej nie pieprzył. Czy to miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że będziesz mnie o wszystkim informował?

Winter zaczął coś mówić, ale Malmström mu przerwał.

– Czy to jakaś supernowoczesna metoda przesłuchiwania, panie komisarzu?

– Lasse. Musimy wiedzieć o człowieku jak najwięcej, wiedzieć, gdzie się obracał, i tak dalej. To niezbędne, żebyśmy mogli pracować. Dzięki temu poznamy odpowiedzi, z którymi będziemy mogli iść dalej.

– Jakie pieprzone odpowiedzi?

– Musimy wiedzieć jak najwięcej o... skłonnościach Pera.

– Znaczy się czy mój syn był pedałem?

– A był?

Lasse Malmström nie odpowiedział. Kluczył wzrokiem, przesunął dłonią po brodzie.

– Chcę, żebyś sobie poszedł – rzucił.

– Lasse, weź się w garść.

– Pytasz mnie, czy mój syn był pederastą, a potem prosisz, żebym się wziął w garść?

– Nie wiem nic o orientacji seksualnej twojego syna. Dlatego pytam.

Lasse Malmström milczał. Pochylił się nad stołem i uniósł głowę.

– To dlatego pytam – powtórzył Winter.

Malmström powiedział coś, czego Winter nie zrozumiał.

– Proszę? Nie dosłyszałem, co powiedziałaś.

– Na miły Bóg, gdybym tylko wiedział...

Winter czekał na dalszy ciąg.

– Naprawdę jestem szczery, kiedy mówię, że nie wiem. Nawet jeśli nie pojawiło się zbyt dużo dziewczyn od okresu dojrzewania... jakoś nie zastanawiałem się nad tym zbyt dużo. Sam też raczej... późno zacząłem.

Pies za oknem szczekał dalej, jakby nie mógł skończyć, dopóki Lasse Malmström nie zostanie zamęczony na śmierć. To nie jego pies, ale mu współczuje, pomyślał Winter.

– Pytałaś Karin? – rzucił Lasse.

– Jeszcze nie.

– Spytaj ją.

Zapadła cisza, jakby pies zamilkł z wyczerpania.

– To dla nas ważne – powiedział Winter. – Bardzo ważne.

– Nie kłamię. Nawet gdybym wiedział, że mój chłopak jest pedałem, nie kłamałbym.

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby Per żył i przyznał, że jest homoseksualistą, pomyślał Winter i ujrzał przed sobą Matsa: jaki był wychudzony przez ostatni rok, przezroczysty, nawiedzany przez gorączkowe sny.

– Nikt tu nie zamierza nikogo osądzać – zapewnił.

– To już chyba prędzej ja – stwierdził Lasse Malmström.

– Nie.

– Nie mam nic przeciwko pedałom, ale to spadło tak nieoczekiwanie.

– Nie wiemy, czy to prawda, ale musimy się dowiedzieć. Jeśli się da.

– Powinieneś porozmawiać z Karin i z jego... kolegami. Czy z tego powodu chcecie jeszcze raz przeszukać jego pokój?

– Nie.

Winter wyszedł od Malmströma i spojrział w stronę domu siostry. Częściowo tam dorastał i czasami tam wracał. Lotta się rozwiodła, potem zrobiła się chyba zbyt neurotyczna jak na internistkę. Trochę się poprawiło, kiedy odkupiła dom należący kiedyś do rodziców i sprowadziła się z dziećmi z powrotem.

Nikogo nie ma. Zadzwonię wieczorem, pomyślał.

WINTER MINAŁ PRZYKRYTEGO kocem chłopaka. Poruszenie pod przykryciem i twarz jaśniejąca w półmroku.

Koleś przesiadywał tak długie godziny, trzystrunowa gitara stała oparta o ścianę za jego plecami. Winter nigdy nie słyszał, żeby wydobywał się z niej jakiś dźwięk. Przez kilka ostatnich wieczorów stał w swoim mieszkaniu i patrzył z góry na tę postać siedzącą po drugiej stronie parku. Żałosny widok.

Dostatecznie długo był policjantem, żeby życzyć temu ludzkiemu łachowi rychłej śmierci. Dobre rozwiązanie: chłopak nie będzie już musiał marznąć, a mokra plama na chodniku wyschnie do lata, kiedy znów zrobi się w mieście zielono i pięknie. Druga strona, może ta cywilna, skłoniła go przedwczoraj do tego, by go podnieść i dopilnować, żeby trafił na pogotowie. Znajomy Wintera czekał tam kiedyś dwie godziny, podczas gdy strażnicy łazili tam i z powrotem podziemnymi korytarzami pod Sahlgrenska.

Następnego popołudnia chłopak znów był na swoim miejscu, za przystankiem tramwajowym. Czy siedział tam, kiedy bezpieczni wagon zjeżdżał rozpędzony w dół Aschebergsgatan i zmiażdżył ludzi? To było w marcu. W jednej chwili życie się skończyło. Tego ranka Winter godzinę zwlekał z wyjściem z domu, miał paskudną gripę. Słyszał z ulicy krzyk i huk kolizji. Zanim wyrzął przez okno, wiedział, co się stało. Był jednym z tych, którzy natychmiast zgłosili wypadek.

Zbiegł na dół i jak wielu innych bezradnie szarpał metalowe części wagonu. Nigdy nie zapomni kobiety, która stała tam aż do wieczora, czekając, aż podniosą wystarczająco dużo żelastwa, żeby uwolnić ciało jej zabitego syna.

Tym razem chłopak coś wymamrotał. Winter przystanął, nachylił się nad kocem i nasłuchiwał. Kolejne mruknięcie, niewyraźne i ulotne, ale zabrzmiało jak „parę koron”. Winter wyprostował się i poszedł dalej.

Przedpokój był ciemny i chłodny, tylko smuga słabego światła padała z innego pomieszczenia. Zdjął buty i pozbierał z podłogi pocztę: reklama nowych modeli mercedesa, nowy numer „Gazety Policyjnej”, dwie widokówki od przyjaciółek, z Tajlandii i z Kanarów,

awizo na książki, do odebrania na poczcie przy Avenyn, list z hiszpańskim znaczkiem – rozpoznał na kopercie zdecydowany charakter pisma matki, a mała czerwona gwiazdka w górnym rogu mogła oznaczać cokolwiek, ale najprawdopodobniej była to wyschnięta kropla czerwonego wina.

Zabrał pocztę do kuchni i położył na stole. Dwie reklamówki, które przyniósł z supermarketu, postawił na kuchennym blacie. Wyjął zakupy: kawałek halibuta, bakłażana, żółtą paprykę, cukinię, kilka pomidorów i dziesięć deka oliwek. Do tego świeży tymianek i bazylia.

Pokroił bakłażana, ułożył na desce i posolił. Wydrążył kilka oliwek. Potem wlał trochę oliwy do żaroodpornego naczynia, włączył piec, pokroił na kawałki paprykę, cukinię i pomidory. Odcisnął sok z plasterów bakłażana, a potem usmażył je na dużej patelni. Ułożył warzywa w naczyniu, razem z posiekanym czosnkiem i oliwkami, posypał ziołami, polał jeszcze oliwą i kilka razy zakręcił nad nimi młynkiem do pieprzu. Wstawił formę do pieca razem z kilkoma połówkami ziemniaków posypanymi solą morską. Po kwadransie na warzywach ułożył rybę.

Jadł kolację w salonie, z oknami wychodzącymi na miasto, w ciszy, bez książki przed nosem. Wypił pół butelki ramlösy. Powinienem częściej sam sobie gotować, pomyślał. To mnie uspokaja. Zwątpienie, które we mnie mieszka, wycofuje się. Wyciszam się, nie myślę o tym, jak utrzymać w kupie fasadę i to, co jest za nią.

Wstał z uśmiechem. Gdy odnosił talerz i szklanke, w przedpokoju usłyszał rżenie windy jadącej na jego piętro. Drzwi otworzyły się i zamknęły, a zaraz potem rozległ się dzwonek. Spojrzał na zegarek. Była równo dziewiąta.

Poszedł do kuchni odstawić naczynia. Wrócił do przedpokoju i otworzył drzwi. Bolger.

– Nie za późno, mam nadzieję?

– Wejść, chłopie.

Johan Bolger wszedł za próg, zdjął skórzaną kurtkę i zrzucił buty.

– Chcesz kawy?

– Chętnie.

Weszli do kuchni, Bolger usiadł przy stole. Winter nastawił ekspres.

– Żebyśmy na pewno nie zasnęli dziś w nocy – powiedział.

– Nie żebym miał coś, co miałyby cię uspić – odparł Bolger. – Zresztą postawić na nogi też nie.

– A jednak przyszedłeś.

- No cóż...
- Trochę czasu minęło od twojej ostatniej wizyty.
- Właściwie nawet nie pamiętam. Chyba nie byłem trzeźwy.
- Byłeś o coś wkurzony.
- Zawsze musisz...
- Co? Powinieneś porozmawiać ze swoim dentystą.

Bolger wyszczerzył się w uśmiechu.

- Zęby blokują ci słowa – dokończył Winter.

Nalał kawy do małych filiżanek, postawił je na stole. Przyniósł ekspres i usiadł naprzeciwko Bolgera. Sprawia wrażenie czujnego, pomyślał. Znamy się od liceum, a on wcale nie wygląda na starszego niż wtedy, jeśli nie siedzi się za blisko.

- Co słyszałeś? – zapytał Winter.
- To był chyba dość lubiany chłopak, choć o wielu barmanach można to powiedzieć.
- Przynajmniej na początku wieczoru.

Bolger napił się kawy i wykrzywił twarz.

- Smakuje jak płynny asfalt.
- To dobrze.
- Czy to się je łyżką?
- Właśnie.

– Popularny, jak mówiłem, ale tak to jest z tymi, co pracują w pubach i klubach...
zawsze otoczeni ludźmi, których jednak trudno nazwać przyjaciółmi.

- Mhm.
- To się nazywa powierzchowne relacje.
- Ale młody Robertson miał chyba jeszcze jakichś innych przyjaciół.
- Kilku chłopaków – odparł Bolger i upił łyk kawy. Tym razem się nie skrzywił.
- A więc to tak?

– Tak ludzie mówią. Na przykład Douglas, właściciel tej knajpy. Nie potrafi tego udowodnić, czy coś w tym rodzaju, ale... no wiesz... takie rzeczy chyba daje się zauważyć. Wymienił kilka nazwisk. Mam je tutaj, jeśli będą ci potrzebne. – Wyjął portfel, wyciągnął kartkę i podał Winterowi.

- Dzięki.
- Chłopcy w tym samym wieku, jak rozumiem.
- Mhm.
- Prawdopodobnie geje.

– Tak.

– Nie wiem, czy należą do brutali.

Winter nie odpowiedział. Odczytał nazwiska, a potem włożył kartkę do kieszonki na piersiach.

– A tak poza tym, jak to wpłynęło na ludzi z branży? – zapytał i upił łyk kawy z filiżanki. Była naprawdę mocna, jak gorzkie lekarstwo, które łyka się dobrowolnie, właściwie nie wiedząc po co.

– Trochę wytrąciło wszystkich z równowagi, jasne, ale to nie są sprawy, które bierze się do siebie.

– Tak.

– To... co się stało, nie ma chyba związku z tym, że był barmanem?

– Nie.

– Źle zmieszana lumumba. Ofiara myślała i myślała nad tą zniewagą, aż w końcu dokonała zemsty.

– Może to dobrze, że nie pracuję w branży knajpianej – stwierdził Winter.

– Albo martini nie było dość wytrawne, albo wstrząśnięte, a nie mieszane.

Winter właśnie mieszał w swojej filiżance. Łyżka prawie może stać w tej kawie, pomyślał.

– U mnie lód tylko chwilę może poleżeć w wermucie, potem go odlewamy, a lód wkładamy do ginu – mówił dalej Bolger.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że to skąpstwo – powiedział Winter.

– Nasi goście uważają, że to stylowe.

Wyglądał tak, jakby myślał o czymś innym.

Jego twarz nigdy się nie nadawała do gry w pokera, pomyślał Winter. A może właśnie doskonale się nadawała.

– Wierzysz w to, że to mógł być ktoś z branży? – zapytał Bolger.

– Sam wiesz, że w nic nie wierzę – odparł Winter.

– Ale to przecież możliwe.

– Wszystko jest możliwe, i to komplikuje sprawy, nieprawdaż?

– Chcesz, żebym się jeszcze trochę rozpytał?

– Naturalnie. Każdą pomoc przyjmujemy z wdzięcznością.

– Douglas wspominał, że dość często widywał ostatnio w pubie jakąś nową twarz.

Winter wyprostował długie plecy.

– Powiedział, że kiedy ktoś nowy pojawia się kolejny raz, zawsze zwraca się na to

uwagę.

– Może tak być.

– Kiedy się pracuje, trudno zapamiętać całe towarzystwo, ale jeśli ktoś przychodzi sam dostatecznie często, to się go zauważa.

– Czy tamten jakoś się wyróżniał?

– Douglas nie powiedział nic więcej.

– Nic na ten temat nie zauważyłem w zeznaniach świadków. Czytam wszystko, ale tego Douglas nie mówił, kiedy z nim rozmawialiśmy.

– Powinieneś chyba sam z nim porozmawiać.

– Tak.

– Trochę *roadwork* dla szefa.

Winter sięgnął po ekspres.

– Jeszcze kawy?

LARS BERGENHEM co najmniej kilka razy zastanawiał się, dlaczego został przeniesiony do okręgowej policji kryminalnej. Albo ściągnięty, zależy, z której strony na to spojrzeć. Nie mógł wybierać, a może właśnie to zrobił: tamci już wiedzieli, co on sam chciałby robić. Nie chciał ani do wydziału narkotykowego, ani do dochodzeniówki, ani do działu technicznego, ani do ekonomicznego, ani do wydziału do spraw obcokrajowców. Dziękuję wszelkim bogom, że nie wylądowałem w dziale obcokrajowców.

Jeśli chodzi o wydział śledczy, stanowił doskonały wybór. Sam by takiego dokonał, gdyby mu dano szansę. Wylądował w zbrodniach, choć mógł trafić do kradzieży. Zbrodnia jest uchwytna i konkretna, oczywista, i daje się wyjaśnić, zanim chłopakom siedzącym w areszcie wyschnie krew z rozbitych nosów. To brudne, ale przeważnie oczywiste, strony mogą się ścierać, utrzymując jakąś dziwną równowagę.

Dopiero w sytuacjach, kiedy przemoc spadała z góry na kogoś stojącego niżej, zaczynał mieć problem ze swoim zawodem. Kiedy siły dzieliły się nierówno. Kiedy dzieci trzeba było układać na noszach i przenosić do życia w kalectwie. A i tak myślał wtedy wyłącznie o uszkodzeniach fizycznych, które zostają na zawsze. Trzyletnia dziewczynka, która straciła wzrok, sześciolatek chłopcy, którzy jednego dnia grają w piłkę, a następnego ojciec miażdży im nogi.

Nie zamierzał dopuścić, by skóra mu stwardniała. Chciał być kimś innym, rozmyślał o tym. Chciał być rycerzem walczącym o przegraną sprawę.

To się działo naprawdę. Przemoc się działa naprawdę. Była namacalna i uchwytna, ale ukrywał twarz we włosach Martiny tak długo, że prawie nie mógł oddychać. Dlaczego ludzie nie mogą być dobrzy?, pytał żonę. Byli małżeństwem od roku, a za miesiąc na świat miał przyjść Okruszek i w domu miały zacząć rozbrzmiewać inne dźwięki. Okruszek będzie grał w piłkę, jak tylko się da. Bergenhem będzie bramkarzem. Będzie dobry.

Funkcjonariusz policji kryminalnej niemal prosto po szkole policyjnej. Czuł się wtedy dziwnie zubożniały, jak gdyby dostał jakieś odznaczenie, ale nie do końca rozumiał za co. Był materiałem, jak ktoś powiedział. Materiałem na co? Czy na razie był tylko ziemniaczanym kiełkiem? Czy był kiełkiem przez ostatni rok w jednostce?

Na początku czuł się samotny. Był wycofany już w szkole, a i potem wśród czterdziestu osób w wydziale śledczym lub trzydziestu, które nie zajmowały się poszukiwaniem ludzi, wcale nie było lepiej. Nie rozumiał do końca, dlaczego został w grupie Wintera, kiedy śledztwo zaczęło się coraz bardziej przeciągać.

Jeszcze nie zaczęło się zawężać. Może to nigdy nie nastąpi, ale Bergenhem miał zadanie do wykonania i wiedział, że będzie nad nim pracował, aż coś się wydarzy. Zawsze coś się wydarza. To żelazna dewiza Wintera. Nic nie stoi w miejscu, pewnie wszystko jest w ruchu, ale lepiej już *panta rei* niż zastój. Wtedy wszystko w końcu zaczyna gnić.

Samotność. Nie był na tyle obeznany z żargonem, nie był też dość cyniczny, żeby się go nauczyć. Przynajmniej na razie. Nie mógł śmiechem zneutralizować tych scen. Może był nudziarzem?

Zauważył, że Winter rzadko się śmieje. Nie jest nudziarzem i nie śmieje się w nieodpowiednich momentach, jak się zdarza Haldersowi, a czasem nawet Ringmarowi.

Lars Bergenhem podziwiał Wintera, chciał być taki jak on, ale nie wierzył, że kiedykolwiek mu się to uda.

Nie chodziło o styl Wintera, jego elegancję czy jak to nazwać. Takie rzeczy są zwykle powierzchowne, ale nie u Wintera... z nim tak nie było.

Chodziło o twardość. Bergenhem odbierał tę twardość jako żelazną pięść w wełnianej rękawiczce. Kiedy Winter pracował, otaczał go twardy krąg, koncentracja.

Jego twarz się poruszała, ale nigdy oczy. Bergenhem nie wiedział, jaki jest Winter po pracy. Może był łagodniejszym człowiekiem.

Krążyły opowieści o jego kobietach, o tym, że w ich towarzystwie umiał się odprężyć. Mówiono, że cieszył się opinią, która byłaby dla niego kompromitująca, gdyby był kobietą. Potem trochę ucichło i Bergenhem słyszał tylko stare historie. Odkąd zaczął, wysłuchiwał tylko starych historii. Może Winter stał się bardziej dyskretny, a może trochę się wyszumiał. Bergenhema to nie obchodziło. Nie to go zajmowało, kiedy myślał o Winterze.

Gdzie będę za trzynaście lat? Wciągnął zapach włosów Martiny. Czy będę tak samo leżał, snując takie same myśli o tym, co się dzieje wokół? Niektórzy chodzą w dziurawych butach. Ilu takich przybędzie za dwanaście lub trzynaście lat?

– O czym myślisz?

Martina przewróciła się na prawy bok, trochę niezdarnie. Podparła się prawą ręką i uniosła nogi. Bergenhem pogładził Okruszka. Brzuch Martiny sterczał jak zaokrąglony klin albo pacholek, jakich się używa podczas treningów piłkarskich. Nie grał już w piłkę, a trener wyraził nadzieję, że względu na niego, że w życiu dawnego gracza nie będzie więcej

poważnych pomyłek.

– O niczym specjalnym – odparł.

– Ale powiedz i tak – poprosiła.

– Niektórzy chodzą w dziurawych butach.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle. Niektórzy chodzą w dziurawych butach. O tym właśnie myślałem.

– To brzmi jak jakaś piosenka albo coś podobnego.

– Wydaje mi się, że to jest piosenka jakiegoś dawnego pieśniarza. Ale słyszałem to w wykonaniu grupy Eldkvarn, tak mi się wydaje. Vreeswijk... Vreeswijk się nazywa, ten pieśniarz. Albo nazywał. Chyba już umarł.

– Niektórzy chodzą w dziurawych butach.

– Właśnie.

– To dobry tytuł.

– Mhm.

– Można ich sobie wyobrazić. Tych ludzi w dziurawych butach.

– Właśnie teraz?

– Pewnie jest ich trochę – powiedziała, wykonując nieokreślony gest w kierunku pokoju, a może miasta u stóp wzgórza.

– Myślisz o tym?

– Niewiele, i ostatnio raczej nie, jeśli mam być szczerą – odpowiedziała i pogładziła się po brzuchu. – Zobacz!

– Co?

– Połóż tu rękę. Nie, tam. Czujesz?

Poczuł. Najpierw nie było nic, a potem jakiś ruch albo wrażenie ruchu.

– Czujesz? – powtórzyła.

– Tak mi się wydaje.

– I jakie wrażenia? – Nakryła dłonią jego rękę.

– Nie wiem, czy umiem to opisać – odparł. – Daj mi kilka godzin, może coś wymyślę.

– Za każdym razem tak mówisz.

– Dziś wieczorem coś wymyślę.

Nie odpowiedziała. Zamknęła oczy, nadal trzymając jego dłoń na swoim brzuchu. Wtedy nagle znów poczuł trzepotanie w środku.

Leżeli tak, aż zegar kuchenny zaterkotał.

– Ziemiaki – powiedziała, nie ruszając się.

- Do diabła z ziemniakami – odparł z uśmiechem.
- Myślisz, że jestem za miękki do tej roboty? – zapytał, kiedy siedzieli przy jedzeniu.
- Że wygląda na to, że nie dają rady?
- Nie.
- Powiedz, co myślisz.
- Jak mogę powiedzieć, że uważam cię za zbyt miękkiego, Lars? Im bardziej miękki, tym lepiej.
- Do pracy?
- Co?
- Za miękki do tej pracy?
- To chyba dobrze.
- Być za miękkim?
- To przecież praca, w której ludzie za szybko twardnieją. To chyba musi być gorsze.
- Nie wiem. Czasem boję się, że nie dam rady przetrwać dnia albo tygodnia – powiedział. – Może dlatego, że to wszystko jest nowe.
- Zachowaj te wątpliwości.
- Co?
- Nie możesz stwardnieć i zesztynieć.
- W takim razie lepiej, żebym był miękki?
- W takim razie lepiej być miękkim jak rozgotowany szparag.
- Ale czasem chyba bywam jak nieugotowany szparag? – zapytał.
- Jak co?
- Sztwywny i twardy.
- Ty miałbyś być sztywny i twardy?
- Nie mówię o całokształcie.
- A więc to miałyby być sztywne i twarde?
- Co?
- To – wskazała na jego przedramię, wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego bicepsa. – Gotowany szparag.
- Nie mówię o tym, co powyżej pasa.
- Nic z tego nie rozumiem – odparła ze śmiechem.

Lars Berghem spotkał się z Johanem Bolgerem w jego barze. Jest tak samo wysoki jak

Winter, ale chyba dwa razy szerszy, pomyślał. Może to ta skórzana kamizelka, a może twarz. Jestem tu od trzech minut, a jemu nie drgnął ani jeden mięsień. Jest w tym samym wieku co Winter, ale trudno ocenić wiek kogoś między trzydziestym i czterdziestym rokiem życia. Kiedy się tego wieku jeszcze nie osiągnęło, wygląda się jak szparag.

– Nie wygląda pan na bywalca knajp – powiedział Bolger.

– Nie jestem.

– Nie interesuje pana nocne życie?

– To zależy od nocy i od życia.

– Co to znaczy?

– Tego niestety nie mogę zdradzić.

Bolger wyszczerzył się i wskazał na butelki za swoimi plecami.

– Wprawdzie mamy jeszcze dzień, ale tam czeka grzech – powiedział. – A skoro przysłał pana Erik, ja stawiam.

– Poproszę sok – powiedział Bergenhem.

– Z lodem?

– Nie, dziękuję.

Bolger wyjął sok z lodówki stojącej pod kontuarem i nalał do szklanki, którą wziął z półki na górze.

– Nie powiem, żebym wiedział dużo – powiedział Bolger.

Bergenhem napił się soku. Smakował jak pomarańcza i jeszcze jakaś nieokreślona słodycz, coś innego.

– W ostatnich latach, a zwłaszcza w zeszłym roku, świętek nocnych klubów w mieście odnotował eksplozję – powiedział Bolger. – Już trudno za tym nadążyć, i nie mówię o restauracjach.

– Nielegalne kluby?

– Przynajmniej to, co kiedyś nazywano nielegalnymi klubami. Teraz chyba nie są tak całkiem nielegalne. – Bolger spojrzał na Bergenhema. – To znaczy, że przestępstwo popłaca, nieprawdaż?

– Co pan ma na myśli? – zapytał Bergenhem.

– Można otworzyć klub na czarno, a koncesję dostać za tydzień.

– Tak.

– I zamknąć go po dwóch tygodniach, żeby znów zacząć gdzie indziej – mówił Bolger.

– Ale wy o tym wiecie.

– Są tacy, co wiedzą – stwierdził Bergenhem.

– Ale to nie o tym przede wszystkim chciał pan porozmawiać?

– Z wdzięcznością przyjmuję wszystkie informacje.

– Które pochodzą z pornograficznego bagna?

– Na przykład.

– O co Erikowi chodzi? – powiedział Bolger, choć raczej do szklanki, która wisiała przed nim.

Bergenheim nie odpowiedział, napił się soku.

– Dużo się ostatnio zdarzyło w tej pieprzonej branży – mówił dalej Bolger. – Teraz to zupełnie inna gra niż wtedy, kiedy ja trochę się tym zajmowałem.

– W jakim sensie?

– W jakim sensie? Chodzi o coś więcej niż cycki i dupy, że tak powiem.

– *Hardcore*?

Bolger znów się wyszczerzył w uśmiechu. W mroku sali zęby zalśniły bielą w jego ciemnej twarzy. Okna znajdowały się na drugim końcu sali.

– Raczej *supercore*. Z tego co zdążyłem zauważyć, to nowe polega na tym, że to, co wchodzi w różne otwory ciała, nie jest już takie ważne jak to, co z nich wychodzi. Zresztą najlepiej, żeby obie rzeczy następowały równocześnie.

Zdjął z półki szklankę, utoczył do niej niskoprocentowego piwa i wypił, kiedy piana osiadła.

– Wyszedłem z tego w samą porę.

– Czy są też takie nielegalne lokale?

– Nielegalne kluby porno? To zależy, jak na to patrzeć.

– Teraz ja nie rozumiem.

– Istnieje fasada, którą pan widzi, pisemka i takie tam barachło, filmy, trochę książek i sprzętów, kilka kabin do walenia konia i kilka większych sal kinowych.

– Striptizerki.

– Mówi się na nie tancerki. One też.

– I co dalej?

– Z czym?

– Powiedział pan, że to fasada.

– Dalej są rzeczy, których nie widziałem, tylko o nich słyszałem. Ale jedno czy kilka z tych miejsc mają pomieszczenia, gdzie można robić dość szczególne rzeczy.

Bergenheim czekał.

– Trochę inne gazetki albo specjalne pokazy.

– Filmy?

– Tak, filmy, w których aktorzy robią ze sobą szczególne rzeczy.

– Szczególne rzeczy?

– Tak. Proszę mnie nie pytać jakie, w każdym razie to nic miłego.

– I takie miejsca istnieją?

– Tak się mówi. Mówi się też, że istnieje kilka anonimowych małych klubów, które nie mają nawet fasady.

– Gdzie?

Bolger rozłożył ręce.

– Czy mógłby się pan tego dowiedzieć?

– Pewnie tak. To może trochę potrwać, chyba trzeba być ostrożnym.

– A jacy tam bywają... klienci?

– Pyta pan, jakbym wiedział.

– A jak pan sądzi? W odróżnieniu od tych, których... pan miewał, lub tych, co chodzą do tych... bardziej zwyczajnych...

Bolger wyglądał na zamyślonego. Kiedy mrok w lokalu zgęstniał, założył okulary w cienkich metalowych oprawkach. To nadaje jego twarzy charakter, jakiego do tej pory nie miała, pomyślał Bergenhem.

– Co ja sądzę? Nie sądzę, żeby się bardzo różnili. Wydaje mi się, że zainteresowanie rodzi zainteresowanie, jak wtedy, kiedy zaczyna się od piwa bezalkoholowego i wypije pierwsze z alkoholem. Pierwsza trawka i pierwszy strzał. Cały ten szajs. Z tym jest tak samo.

– Apetyt rośnie.

– Są tacy, którzy chcą mieć coraz więcej. To jedna kategoria. Więcej, więcej i więcej. Trudno powiedzieć, gdzie to się kończy. Ale są i tacy, którzy odczuwają podniecenie seksualne, kiedy są bliscy uduszenia się, i tacy, którzy amputują sobie różne części ciała, stają się kalekami, żeby móc odczuwać rozkosz. Kto wie, co tacy chcą oglądać?

– Gdzie ich znaleźć?

– Tych amputowanych?

– W ogóle tych wszystkich zboków. To znaczy kiedy nie są w klubie, znaczy w domu czy w pokoju hotelowym.

– Ponieważ sam jeżdżę bmw, powiedziałbym, że w gabinetach zarządu firmy Volvo – odparł Bolger. – Albo w jakimkolwiek pieprzonym gabinecie szefa. Albo we władzach okręgowych. Tam jest dużo zboczeń. Dział koncesji.

– To naprawdę obrzydliwe – powiedział Bergenhem, wstając.

– Niech pan będzie ostrożny – rzucił Bolger. – Mówię poważnie.

Bergnhem pomachał mu jeszcze spod drzwi i wyszedł na słońce. Słyszał wiatr na dachach okolicznych domów. Przybierał na sile, stawiał mu kołnierza i targał włosy. Gdzieś za nim rozbiło się szkło.

FACECI PRZY STRAGANACH z owocami wykrzykiwali do siebie sprośności przez skrzyżowanie, aż Steve Macdonald musiał się uchylać przed słowami. To jest Soho, róg Berwick Street i Peter Street. Patrzcie tylko, co się stało z naszą dumną tradycją handlu owocami, pomyślał. Patrzcie, co się stało po zamknięciu Covent Garden i wyprowadzeniu tego wspaniałego życia poza centrum.

Zostały naprane szczyłe ślizgające się na skórkach od bananów, kilka żalonych straganików dla ciekawskich turystów i jeszcze więcej heroinistów. Soho już nie swinguje, pełza i snuje się, przynajmniej tu, gdzie ten pusty plac to najpiękniejsza rzecz w zasięgu wzroku.

Siąpił rzadki deszczyk. Macdonald postawił kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego i wielkim krokiem przesadził rozgniecionego pomidora. Wszedł w Walker's Court, uliczkę tak krótką, nieciekawą i zapuszczoną, że nie figurowała nawet w najnowszym wydaniu Londyńskiego ABC. Może to było zamierzone?, pomyślał. Walker's to nie jest coś, co można pokazać rumianolicym turystom z Włoch czy Skandynawii wysypującym się z Heathrow lub Gatwick.

Walker's Court to scena porno bez jedwabnych prześcieradeł i bez jędrnych modelek prezentujących cewkę moczową w „Playboyu”, pomyślał i pokręcił głową do gorliwego naganiacza przed jednym z kin. Tutaj są spoceni narkomani ze strzykawkami, rozłożeni na poszarpanych plastikowych płachtach, tani seks dla mas, *books, mags, videos* dla takich, co przychodzili tu może po to, żeby zobaczyć, jacy sami mogliby być w innym świecie.

Może kupią jakieś lateksowe ciuchy w tych wyrafinowanych sklepach, pomyślał. Lateks jest dobry w niektórych sytuacjach. Albo obroże, albo pętle do zaciskania. To wolny kraj, wszyscy mamy prawo do prywatności. Niektórzy w domowym zaciszu palą papierosy, inni wypróżniają się na twarz obcego człowieka.

Przeszedł obok największej księgarni na ulicy. Wyglądała dość dziwnie ze swoimi reklamami najnowszej dobrej literatury. Książki dla wykształconej klasy średniej: Naipaul i Raban, nowa biografia Chatwina.

Macdonald wiedział, że właściciel księgarni jest postacią złożoną. Górne piętra były

chłodne, blondwłose, pełne powieści, poezji, książek kucharskich i podróżniczych. Były także zadziwiająco puste jak na księgarnię w centrum Londynu. W piwnicy, do której schodziło się ukrytymi za zasłoną schodami, oferowano inny rodzaj książek: czasopisma śmiało przeciwstawiające się kultowi młodości, tytuły „Po czterdziestce” czy „Pięćdziesiąt plus” ze zdjęciami kobiet w średnim wieku. Sutereny zawsze były pełne czytelników, najróżniejszych mężczyzn. Na przykład ten, pomyślał Macdonald, widząc faceta w swoim wieku, który właśnie opuszczał lokal z płaską brązową torbą.

Kiedy on pójdzie na emeryturę, będzie czytał więcej dobrej literatury z górnego piętra. Miał trzydzieści siedem lat i służył krajowi od dwudziestego trzeciego roku życia. Zostało mu jeszcze jedenaście. Potem może zostać prywatnym detektywem i szukać nastoletnich uciekinierów z Leeds wybierających się do centralnego Londynu. Albo pracować w Harrodsie, pilnować bufetu z ostrygami. Albo wyprawiać przyjęcia dla swoich dzieci, a może i wnuków, w domu w Kent, ze szklaneczką słodowej whisky zawsze pod ręką. Pozwolę im się ciągnąć za kucyk, pomyślał, czekając, aż samochód przejedzie Brewer Street. Potem przeszedł na drugą stronę. Dziesięć metrów dalej na Rupert Street skinął czarnemu mężczyźnie w czarnym skórzanym płaszczu i wszedł do kina z neonowym szyldem Peep Show nad drzwiami.

Dopiero po kilku sekundach przyzwyczał się do mroku. Minał kasę i zapukał do drzwi na lewo od wejścia. Czekał, nasłuchując jęków dochodzących z ciemności. Ktoś krzychał „Tak, tak tak TAK TAK”, ale nie brzmiało to przekonująco.

Drzwi się otworzyły i kolejny czarny facet spojrzał na niego. Drzwi znów się zamknęły. Usłyszał szcęk łańcuchów. Potem otwarto je na dobre. Mężczyzna wyciągnął rękę i skinieniem zaprosił Macdonalda do środka.

– Niech pan wejdzie, komisarzu.

– Macie tu niezłe zabezpieczenia.

– Oczywiście.

Uścisnęli sobie dłonie i Macdonald wszedł. Pokój miał nie więcej niż dwanaście metrów kwadratowych. Pachniało wilgocią, octem winnym i tłuszczem z niedojedzonej ryby z frytkami. Leżała na topornym biurku. W przeciwległym rogu pokoju stała pancerna szafa na dokumenty. Na ścianie za biurkiem wisiał plakat reklamujący słodkie życie na Jamajce. Prawy dolny róg się odkleił i zakłócał symetrię. Przy talerzu z resztkami jedzenia leżały notatnik, długopis i klawiatura. Po prawej stronie biurka monitor komputera migotał bardziej, niż powinien. Tandeta, pomyślał Macdonald, na pewno Amstrad.

– Lunchu niestety już nie ma, ale mogę posłać po jeszcze – powiedział ciemnoskóry

facet, odstawiając talerz na szafę.

- Wyglądał smakowicie – stwierdził Macdonald.
- Angielski i klasyczny. Mam zamówić pizzę z Johnny’ego Boya?
- Nie, dziękuję, najadłem się zapachami.

Mężczyzna wykonał gest, jakby się opędział od pochwał po zaproszeniu na pięciodaniowy obiad w Wheeler’s.

– No dobra. Co biznes może zrobić dla gościa z South? – zapytał, podnosząc krzesło stojące za biurkiem. – Niech pan siada, przyniosę sobie drugie.

Wrócił z niezgrabnym meblem obitym czerwoną sztuczną skórą, wypchanym czymś szarym, co wyłaziło w miejscach, gdzie puściły szwy. Gospodarz zauważył spojrzenie Macdonalda.

– Może nie jest najpiękniejszy, ale cholernie wygodny. – Usiadł, ale zaraz znów wstał, bo do pokoju weszła dziewczyna z tacą. Ustawiła na biurku dzbanek z nierdzewnej stali, dwie filiżanki i dwa talerzyki, dzbanuszek mleka i cukiernicę. Potem z uśmiechem wykonała coś w rodzaju dygnięcia i wyszła. Mężczyzna zajął się nalewaniem herbaty.

– Chętnie się napiję – powiedział Macdonald i nachylił się w stronę biurka.

Gospodarz usiadł, ale znów się zerwał.

– Ależ, Frankie, co się znowu stało? – zdziwił się Macdonald.

– Herbatniki. – Frankie wyszedł z pokoju i wrócił z półmiskiem ciastek. Usiadł.

– Czy możemy powoli kończyć te rytuały? – zapytał Macdonald.

– Teraz wszystko jest gotowe – odparł Frankie. – Jesteśmy narodem, który żyje w rytuałach, pochodzimy z innego świata.

– Urodziłeś się w Londynie.

– To zostaje na zawsze. No wiesz, geny.

– Geny to ciekawa sprawa.

– Nieprawdaż? – zgodził się Frankie. Wyjął pilnik do paznokci i zaczął oglądać swoje palce. – Ale chyba nie przyszedłeś tu, żeby o tym rozmawiać?

– Na razie nie dałeś mi szansy.

– Zamieniam się w słuch.

– Chyba nie jesteś zdenerwowany, Frankie?

– Zdenerwowany? Z powodu tak zaszczytnej wizyty?

– Nie wiem.

– Fajny płaszcz.

– Mhm.

– Fajny kucyk, ale czy to nie jest już trochę niemodne?
– Noszę go głównie po to, żeby lepiej się tu wtopić w tło.
– Niemodne? Tutaj? Dla naszych nocnych gości zawsze mamy wszystko, co najświeższe – powiedział Frankie i zaczął piłować czubek palca wskazującego lewej ręki.

Komputer zadzwieczał. Macdonald z trudem odczytał komunikat „masz wiadomość” na ekranie.

– Elektroniczny list z innego świata? – zapytał.
– Czy wiesz, że Jamajka ma najwięcej komputerów na całych Karaibach? – zapytał Frankie, stukając w klawiaturę. Spojrzał na monitor i przeczytał list, najwyraźniej bardzo krótki.

– Nieprawda – powiedział Macdonald.
– Co?
– Brixton. Brixton ma najwięcej komputerów na całych Karaibach.
– Ha ha. Ale faktem jest, że ten list przyszedł z twoich okolic – odparł Frankie. Przez kilka sekund wpatrywał się w monitor, potem zamknął plik.

– A kiedy przestały być twoje? – zapytał Macdonald.
Frankie nie odpowiedział. Uśmiechnął się półgębkiem, wziął do ręki pilnik i zajął się kolejnym paznokciem.

– Brixton – powtórzył Macdonald.
– Właśnie. Przyszła nowa dostawa luksusowych pism i filmów, to było potwierdzenie.
– Nowa dostawa?
– Jak mówiłem.
– Skąd?
– Czy to przesłuchanie, Steve? – Błysnęły zęby, najmocniej zaśnił szlachetny kamień w jednym z siekaczy. Macdonald znał jego nazwę, ale nie mógł sobie przypomnieć.

– Chyba lepiej mnie znasz, Frankie.
– Zaledwie dwadzieścia pięć lat, blada twarzy.
– Nie wystarczy?
– Nasza wspólna młodość? To miałoby wystarczyć? My, z tego innego świata...
– Dobra, dobra, Frankie, inny świat. Ale teraz interesuje mnie ta dostawa. – Macdonald napił się herbaty. Przestygła, ale nie była całkiem zimna. – Czytałeś o tym morderstwie w Clapham? Chłopak, został zaszlachtowany.

– Widziałem coś w telewizji – powiedział Frankie. – Ale to było jakiś czas temu. Norweg, prawda, a może Szwajcar?

– Szwed – wyjaśnił Macdonald.

– Aha.

– Będzie o tym w *Crimewatch* za jakiś czas... wkrótce.

– Ojej. To musi być coś większego.

– Coś szczególnego.

– Szczególnego? No, chyba można tak powiedzieć. Zamordowano białego chłopaka.

Macdonald nie odpowiedział, zajął się herbatą.

– *Crimewatch* – mówił dalej Frankie. – No, no, nieźle. Kiedy ostatnio było coś o zamordowaniu czarnego dzieciaka?

– Chodzi o to, że...

– Chodzi o to, że nikogo nie interesuje, kiedy mordują czarnych. To fakt. – Odłożył pilnik. – Ile morderstw mieliście kilka lat temu w południowo-wschodniej części miasta? Mówiłeś mi kiedyś.

– Czterdzieści dwa albo trzy. Raczej czterdzieści dwa.

– Ile spośród ofiar stanowili czarni?

– To było...

– Kurwa, nie musisz udawać, że się zastanawiasz. Ja w i e m, że co najmniej trzydzieści pięć ofiar to byli czarni. Wystarczy mieć jako takie pojęcie o statystyce, żeby to zrozumieć. I wiem też, że te morderstwa mają takie same szanse, żeby znaleźć się w *Crimewatch*, jak ja na wejście do jakiegokolwiek męskiego klubu w The Mall.

– Próbowaliśmy.

– Wprowadzić mnie do klubu?

– Zwrócić uwagę mediów.

– Nie oskarżam ciebie osobiście. To nie twoja wina, że jesteś biały.

– Wiesz, jak jest.

Frankie nie odpowiedział. Znow sięgnął po pilnik, oddychał spokojniej.

– Przyjmuję każdą pomoc, jaką mogę dostać.

– I dlatego przychodzisz do mojego imperium.

– Tak.

– Ale po co, do kurwy nędzy? Co moja działalność ma wspólnego z tym morderstwem? – krzyknął Frankie i znow odłożył pilnik.

– Tu nie chodzi o twoją działalność jako taką, ale w związku z tym... morderstwem działały się rzeczy, które chcemy zbadać.

Frankie czekał na dalszy ciąg.

– Czytałeś albo widziałeś w telewizji, że dwóch chłopaków z Londynu zostało zamordowanych w Szwecji? W Göteborgu?

– Nie, o tym nic nie wiem.

– Dwóch chłopaków. Jeden z Tulse Hill, gdzie mieszka twoja ciotka.

– Białych chłopaków.

– Tak.

– Serce mi krwawi.

– Nie tak bardzo jak serca tych chłopców.

– Przepraszam, Steve.

– Wszystkie te morderstwa mają ze sobą dużo wspólnego i możliwe, że to, co się zdarzyło, jest gdzieś na... kasecie wideo albo na kilku kasetach. To, o czym teraz mówię, wiemy tylko my, i rozumiesz, co to oznacza.

– Nie obrażaj mnie, Steve.

– Rozumiesz, dlaczego ci to wszystko opowiadam?

– Sfilmowane morderstwa? Dlaczego tak myślicie?

– Są rzeczy, które na to wskazują. Szczegółów nie będę zdradzał.

– Ale możliwe, że morderstwa zostały nagrane? Że są na kasetach?

– Możliwe.

– Ożeż, kurwa, o czymś takim nigdy nie słyszałem.

Macdonald nie odpowiedział.

– To najbrzydliwsza rzecz, o jakiej słyszałem.

Macdonald pokiwał głową.

– No, masz twarde orzech do zgryzienia, Steve.

Macdonald znów skinął głową. Podniósł filiżankę do ust, ale stwierdził, że herbata jest za zimna.

– To coś innego niż mordercy na cracku, którzy otumanieni grzecznie czekają, aż policja przyjedzie na sygnale – zauważył Frankie. Wstał, przeciągnął zwiniętą dłońią po twarzy. – A ty przychodzisz do mnie szukać *snuff movies*.

– Przychodzę do ciebie po informacje – odparł Macdonald. – Na przykład o tym, ile takiego syfu jest w branży.

– Trzymam się od takich rzeczy z daleka, przysięgam na tę świętą plażę – zapewnił Frankie, spoglądając na plakat na ścianie.

– Gdybym myślał inaczej, zamiast tej rozmowy przy herbacie byłoby prawdziwe przesłuchanie na komendzie w Eltham.

- Ale chcesz, żebym trochę popytał?
- Najdyskretniej, jak się tylko da.
- Tak, to wymaga dyskrecji, jasna sprawa.
- Znasz kogoś, kto ma dziesięć kłódek na ustach?
- Oczywiście.

Macdonald wstał.

– Ale tam nie pokazuje się *snuff* – dodał Frankie. – Przynajmniej nic o tym nie wiem. Choć to i tak wystarczająco obrzydliwe rzeczy. Przy nich moje pokazy tutaj są jak rodzinny piknik na plaży. Ale nic z tego, o czym masz czelność wspominać.

- W każdym razie spróbuj to zbadać.
- Chyba masz swoje stałe plotkary? Ten mały alfons z Old Compton Street na przykład.
- Sam o tym decyduję, jeśli pozwolisz.
- Okej, okej.
- Zadzwoń do mnie za kilka dni, obojętne, czego się dowiesz. I bądź ostrożny.
- *Snuff*... – Frankie potrząsnął głową.
- Nie przejmuj się tak – rzucił Macdonald. – Na pewno nie pierwszy raz słyszysz, że mordują ludzi na filmach.
- Nie, ale to nie są rzeczy, które znajdziesz w sex-shopach, Steve. Istnieją inne kanały dystrybucji dla czegoś takiego, specjalne sieci, które przebiegają gdzieś wysoko ponad naszym tutejszym brudnym światkiem.

– Gówno sływa na dół – stwierdził Macdonald. – Albo spotyka się w połowie drogi. Gdzieś w tym rajku zwanym Soho jest ktoś, kto o tym wie.

- Zazdroszczę ci tego optymizmu.
- Dziękuję za herbatę, Frankie.
- Zadzwoń w piątek – obiecał Frankie.

Macdonald uniósł rękę i wyszedł z biura. Na ulicy przed kinem skręcił w prawo. Przeciął Wardour Street i szedł dalej Old Compton Street na wschód. Deszcz przestał padać, ludzie siedzieli przy stolikach przed kawiarniami i udawali, że jest wiosna. Zazdroszczę im tego optymizmu, pomyślał.

Dotarł do Greek Street i wszedł do Coach and Horses. Zamówił theakstona i zdjął płaszcz. Pub był pełen młodzieży o literackich ambicjach i przebrzmiałych gwiazd, a także takich, którzy stanowili groźną kombinację tych kategorii. Znał kilku pisarzy, niegdyś obiecujących, którzy przepijali tu resztę swojego życia. Żadnego jeszcze nie było na

stanowisku, dzień był wciąż młody. Wstawiona kobieta trzy stołki dalej rozmawiała z dwoma mężczyznami siedzącymi przy stoliku przy barze.

– Nie macie pieprzonego bladego pojęcia, co to znaczy dżentelmeństwo! – wrzeszczała, kiedy podnosił szklanę do ust.

GABINET SZEFA WYDZIAŁU był wysprzątny do czysta, żadnych plam, żadnych papierów na biurku. Erik Winter podziwiał coś takiego: koncentrowanie się na jednej rzeczy, nic walającego się w pobliżu, co by przypominało o sprawach, które nie zostały rozwiązane, żadnych resztek myśli, niedomyślanych do końca, tych pieprzonych raportów, które nie miały końca, jak opowiadania bez pointy.

Sture Birgersson był znany na korytarzach siedziby policji jako księgowy, ale wynikało to raczej z charakteru jego funkcji niż z osobowości. Zawsze siedział w pokoju i czekał. Nie zajmował się rachunkami. Czytał. Bóg wie, gdzie te raporty potem trafiają, pomyślał Winter. Siedział po drugiej stronie biurka.

Birgersson był Lapończykiem. Wylądował w Sztokholmie bardziej z przypadku niż z pragnienia, i już został. W odróżnieniu od wszystkich innych ludzi z Północy nie jeździł „do domu” i nie polował jesienią. Brał dwa tygodnie urlopu i jeździł gdzieś, choć nikt oprócz Wintera nie wiedział dokąd, a on nie zdradziłby tego nikomu. Nie zdarzyło się, żeby Winter musiał dzwonić do Birgerssona w ciągu tych dwóch jesiennych tygodni przez wszystkie te lata, kiedy był jego zastępcą. Nie umiał sobie wyobrazić sytuacji, w której on, Winter, nie umiałby sobie poradzić.

– Muszę przyznać, że masz wyobraźnię – powiedział Birgersson swoim niepowtarzalnym dialektem, który zdradzał, że dzieciństwo spędził w Malmberget, a dorosłe życie przy Mölndals Bro.

Winter nie odpowiedział. Strzepnął jakiś paproch z krawata, uniósł tyłek i podciągnął spodnie, które napinały się nieco na jednym udzie.

– Rezultatów niezbyt dużo, ale tym więcej fantazji – dodał Birgersson i zapalił papierosa.

– Posuwa się naprzód – stwierdził Winter.

– Opowiadaj – poprosił Birgersson i uśmiech wygładził jego sześćdziesięcioletnią twarz.

– Przeczytałeś wszystko.

– Takie przerzucanie się między różnymi rodzajami prozy bardzo męczy. – Uderzył

dłonią w pusty blat biurka, jakby leżały na nim sterty papierów. – Jakby w jednej minucie Torgny Lindgren, w drugiej Mickey Spillane.

– A który styl wolisz? – zapytał Winter, zapalając corpsa.

– Lindgrena, rzecz jasna. On jest prawie z moich stron.

– Ale brakuje rezultatów.

– Tak.

– Nie zgadzam się z tobą. Ludzie pracują nad informacjami od świadków, przeglądamy wszystkie rejestry naszych ulubieńców i części tych, których nie znamy. I nie tylko ja surfuję po sieci. Wykorzystujemy wszystkie dobre kontakty, naprawdę wszystkie.

– Mhm. Rozmawiałeś ze Skogomem?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego nie?

– Bo jest jeszcze za wcześnie, Sture. Chcę mieć profil od psychologa sądowego, zanim się dowiem więcej.

– No proszę.

– Ale co?

– Dowiesz się więcej. Właśnie o tym mówiłem.

– To, o czym ty mówisz, to grubsze raporty i więcej drętwej gadki dla prasy oraz coś, co jest na tyle konkretne, żeby samo z siebie doszło aż do szefostwa – odparł Winter.

– Skoro mowa o prasie, to mam nadzieję, że jesteś przygotowany.

– Tak.

– Przyleciał kolejny samolot z angielskimi dziennikarzami, i tym razem nie biorą jeńców – powiedział Birgersson.

– Wypożyczasz za dużo filmów, Sture. Twój język bardzo się zanglicyzował.

– Po południu chcę cię mieć *by my side*.

– Czyli ty też tam będziesz?

– Szefostwo tego chce.

– Aha.

– Będziesz wyglądał jak szczeniak, kiedy BBC będzie nadawać dla poddanych imperium. – Birgersson zgasił papierosa. – Zostaniesz w Londynie gwiazdą, zanim tam dojedziesz.

– Jadę jutro.

– Nieoficjalnie.

– Oczywiście.

– *Police force to police force.*

Winter palił, czekał. Szukał wzrokiem jakichkolwiek papierów. Na próżno.

– Nie wiem, czego mam się po tym spodziewać – powiedział Birgersson. – Ale ich DSI sprawiał wrażenie, że wie, o czym mówi. *Detective Super Intendent* – wyjaśnił.

– Wiem – przyznał Winter.

– Naturalnie. Miał dużo dobrego do powiedzenia o twoim kontakcie, o tym DL..

Sture wygląda jak karłowata brzoza, która za wszelką cenę chce się wyprostować i zejść ze zbocza góry, pomyślał Winter. Że też wcześniej tego nie zauważyłem.

– Macdonald – odpowiedział.

– Komisarz, który idzie w górę. Tak samo jak ty, Eriku.

– Przynajmniej jutro koło jedenastej na lotnisku Landvetter. – Winter odłożył wypaloną do połowy cygaretkę do popielniczki, którą Birgersson wyjął z szuflady biurka.

– Może wrócisz z gotowym rozwiązaniem. A przez ten czas będziemy tu trwali na posterunku – powiedział Birgersson, jakby sam miał brać udział w działaniach śledczych, kiedy Winter będzie w Londynie.

– Jestem całkiem spokojny – odparł Winter z uśmiechem.

– Więc proponuję, żebyś poszedł do swojego pokoju i przygotował się psychicznie do konferencji.

– Nie wystarczą betablokery?

Birgersson wydusił z siebie śmiech, który mógłby pochodzić z jednego z tych thrillerów, które się raz na tydzień ogląda z szyderczym uśmieszkiem.

Konferencja prasowa zaczęła się źle. Trochę się poprawiło na krótko, w połowie, a pod koniec zapanował chaos. Birgersson był wściekły i naburmuszony już po kwadransie. Winter odpowiadał na próbujące go osaczyć pytania.

Brytyjska prasa. Szwedzi są bardziej powściągliwi. Dla ludzi z „Aftonbladet”, „Expressen”, „GT” i „Kvällsposten” ważne jest, żeby patrzeć i się uczyć.

– Czy to pańska pierwsza sprawa? – zapytał jakiś facet, najszpetniejszy człowiek, jakiego Winter kiedykolwiek widział. Jego twarz przypominała dwa kilo mielonego mięsa wieprzowo-cielęcego uformowanego przez ceramika z reumatyzmem. Wyglądał na wstawionego, ale nie był. Podobnie jak jego brytyjscy koledzy, ubrany był w znoszony garnitur i wybrał się na Północ bez wierzchniego okrycia.

– Czy morderca jest Szwedem? – brzmiało inne pytanie.

– Ile podobnych przypadków już mieliście?

– Co było narzędziem zbrodni?

– Co robili tutaj ci chłopcy? Tak właściwie?

– W jakim sensie jest to morderstwo na tle seksualnym?

– Słucham? – Winter przyjrzał się osobie, która zadała ostatnie pytanie. To była kobieta: błękit pod oczami, jasne włosy z czarnymi odrostami, wąska twarz i złośliwe usta. Tak uznał. W tamtej chwili tak to odebrał.

– Morderstwo na tle seksualnym? – powtórzyła. – W jakim sensie jest to morderstwo na tle seksualnym?

– Kto powiedział, że miało podłoże seksualne? – zapytał Winter.

– Czyż to nie jest oczywiste?

Winter nie odpowiedział. Przeniósł wzrok gdzie indziej i sprawiał wrażenie, jakby czekał na inne pytanie, o coś innego. Pogodę albo ulubiony klub w Premier League, cokolwiek.

– Niech pan odpowie na pytanie, do cholery! – zakrzyknął jakiś głos z tłumu.

– *Hear, hear* – rozległo się z różnych stron.

Winter wiedział, że to oznacza aplauz.

– Nie mamy nic, co by wskazywało na motyw seksualny – powiedział.

– Jak na przykład? – zapytał jakiś głos po angielsku.

– Słucham?

– Niech pan nam da trochę tego niczego – powiedział głos, a kilka osób zarechotało.

– Co powiecie na spermę? – odparł Winter i czekał na dalsze pytania. Na kilka sekund zapadła cisza.

– Nie rozumiem, co pan ma teraz na myśli – odezwał się po szwedzku jeden ze szwedzkich dziennikarzy.

– Nie znaleźliśmy śladów spermy – wyjaśnił Winter. – Co oznacza, że nie możemy mieć stuprocentowej pewności, że mamy do czynienia z morderstwem na tle seksualnym, nieprawdaż?

– Ale to możliwe? – zapytał Szwed.

– Oczywiście.

– Mówcie po angielsku – poprosił jakiś brytyjski głos.

– O co chodziło z tą spermą? – zapytał ktoś inny.

– Znaleźli masę śladów spermy – powiedział angielski brzydał.

– Czyjej spermy? – zawołała kobieta siedząca przed Winterem.

- Co wykazała analiza?
- Czy w obu przypadkach znaleziono spermę?
- Gdzie była?

Winter widział, że Birgersson nie może się doczekać powrotu do swojego pokoju, chłodnego i pustego. Kiedy Winter wyjaśnił część niejasności i zaapelował do prasy o pomoc, zadano kolejne ważne pytanie. Cały czas terkotały kamery telewizyjne, angielskie i szwedzkie.

- Czy sprawdziliście wszystkich przyjeżdżających z Anglii w ostatnim czasie? – zapytał jeden ze szwedzkich dziennikarzy.
- Pracujemy nad tym.
- A co z wyjeżdżającymi?
- Pracujemy nad tym – skłamał Winter.

HANNE ÖSTERGAARD ODSNIEŻYŁA dojsie do domu. W Örgryte ryczały traktory. Pierwsza niedziela Wielkiego Postu, a lasek Ekorrdungen był biały i miękki, kiedy śpieszyła się do kościoła. Zima była rzeczywista i bezlitosna, jakby chciała pokazać swą siłę i moc po ostatnich tygodniach, kiedy ziemia była sucha. Przez kilka dni wiatr wiał z prędkością blisko piętnastu metrów na sekundę, jakby to miał być znak. A teraz spadł śnieg.

Otworzyła boczne drzwi i znalazła się w mroku kościoła. Zdjęła płaszcz i chustę, zapaliła światło w niewielkiej kancelarii, usiadła i odetchnęła. Zajął się przygotowaniami do mszy, jakby miała wziąć udział w walce przeciw pokusie, o niezłomną moralność. „Zbawiciel niweczy diabelskie zakusy”. Zaraz stanie przed wiernymi swojej niewielkiej parafii i będzie się starała podtrzymać ich wiarę i nadzieję:

Dzieci, nie dajcie się zwodzić nikomu. Kto postępuje sprawiedliwie, jest sprawiedliwy, tak jak On jest sprawiedliwy. Kto grzeszy, jest dzieckiem diabła, ponieważ diabeł trwa w grzechu od początku. Syn Boży objawił się po to, żeby zniszczyć dzieła diabła.

Jakie to proste, pomyślała, zniszczyć zło, które się dzieje. Walka z pokusą. Niezłomność wobec pokus. W Piśmie są odpowiedzi, których powinni przestrzegać wszyscy ludzie na ziemi.

Powoli przesunęła dłonią nad płomieniem stojącej na stole świecy. Mam niezwykłą pracę, pomyślała. Trzy dni w tygodniu mam okazję przekuć teorię w rzeczywistość.

Zaczęła od psalmu 346, pierwszy wers: „Wstańcie, chrześcijanie, powstańcie do boju!”. Pieśń mruzeniem niosła się poza kościół i pokryła się bielą na Skårs allé.

Rozpoznawała twarze z pierwszych ławek. Starsze twarze, kobiety, które przyszły same. Ich mężowie podążali za statystykami i kiedy nadchodził ten dzień, chowano ich w pobliżu kościoła. Kobiety kiwały do niej głowami lub jakby same do siebie, kiedy docierały do nich słowa, słowa o tym, jak mają nabrać sił, by opierać się niezłomnie atakom wroga, uzyskać pomoc w godzinie pokusy.

Przez Sankt Sigfridsgatan przemknęła wyjąca syrena. Hanne Östergaard pomyślała przelotnie o tym młodym policjancie i jego sennych koszmarach. Wiedziałyby, w którą stronę

jedzie i skąd.

Tekst kazania zaczerpnęła ze świętego Mateusza. Zamierzała mówić o tym, co dzieje się teraz, tutaj, ale tak naprawdę nie udawało jej się wejść na drogę, którą próbowała zbudować. Zło istniało cały czas, czasem bardziej widoczne, zawsze obecne.

A Piotr wziął Go na bok i począł robić Mu wyrzuty: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy do Ciebie”. Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra: „Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki”.

Kusiciel pod postacią przyjaciela. Mówiła o tym, lecz nie chciała siać ziarna nieufności w swojej parafii: tu ludzie mogli na sobie polegać.

Kiedy wróciła do domu, Maria piekła babkę. Czwarte ciasto od początku ferii szkolnych. Hanne otrzepała śnieg na schodach, resztę w sieni. Na górze przy Olof Skötkonungsgatan jakiś stary samochód buksował na lodzie. Dwóch mężczyzn próbowało go pchać. Przydałby się nam jeszcze ten Skötkonung do pomocy, powiedział jeden z nich, kiedy Hanne przechodziła obok. Mrugnięcie, uśmiech i przeciągnięcie dłonią po twarzy, by zetrzeć pot. Nagle samochód złapał oparcie i śniegowa fontanna zasypała i mężczyzn, i ją.

– Upiekłam babkę – powiedziała Maria.

– Doskonale.

– Dodałam trochę więcej jajek.

– Mmmm, naprawdę wspaniale pachnie.

– Nie uważasz, że ciasto jest za miękkie?

– Ani trochę – uspokoiła ją Hanne. – Stałaś się prawdziwą ekspertką.

– Zmieniłam plany, chcę robić praktykę w cukierni.

– Czy to się da zmienić?

– Rozmawiałam już w „Rogaliku” i powiedzieli, że nie ma problemu. Jutro zadzwonię do urzędu pracy.

Wszystko zaplanowane i pewne. Oby zawsze wszystko układało się tak łatwo, pomyślała Hanne.

Dziewczynka zaparzyła już kawę. Ciasto stało na środku stołu, jeszcze nakryte formą. Kiedy ją podniosła, ani odrobina ciasta nie przyczepiła się do ścianek. Piękna babka na Wielki Post.

– Nauczyłam się porządnie smarować i wysypywać bułką tartą – wyjaśniła córka.

– Świetnie.

Nauczyła się też porządnie sypać cukier, pomyślała Hanne z miękkim, pachnącym kawałkiem ciasta w ustach.

Zlew był pełen marchewki i misek umazanych masą jajeczną. Maria miała ubielony mąką nos i Hanne kolejny raz pomyślała o tym, jak bardzo jej córka przypomina swojego ojca. Niech to będzie tylko twarz, niech jej pokusy ograniczą się do pieczenia jednej babki na dzień, albo nawet i na godzinę, jeśli zechce.

Hanne została matką w wieku dwudziestu jeden lat. Zamieszkali razem, ale związek nie przetrwał nawet pół roku. Szybko zauważyli, że wcale się nie znają i nigdy im się nie uda. Wyprowadził się i wyjechał z miasta. Maria nie miała kontaktu z ojcem od dziesięciu lat. Może już nie żył. Hanne widziała, że dręczą ją myśli o nim. Dręczyły ją samą. Próbowwała o tym rozmawiać. Maria słuchała, ale wkrótce wszystkie pytania wypłyną jeszcze raz. Pieczenie babek to przygotowania. Hanne znów usłyszała syreny. Zdawało jej się, że dobiegają od strony Sankt Sigfrids Plan. Dźwięk, który nie ustawał. Tej niedzieli cały Göteborg przewracał się na lodzie.

– Może zostaniesz cukiernikiem – powiedziała Hanne Östergaard do córki i ukroiła sobie jeszcze jeden kawałek.

– Wydaje mi się, że już jestem cukiernikiem – odparła Maria, udając urażoną.

– W najwyższym stopniu.

– Mam upiec jeszcze jedną? – zapytała Maria, ale tym razem to był żart.

Angela przyszła, żeby „pomóc przy pakowaniu”, ale Winter brał niewiele bagażu. Chciał kupić trochę rzeczy w Londynie, więc zostawił sobie miejsce w walizce.

– O ile w ogóle wylecisz – powiedziała Angela.

– Niebo się przejaśnia – odparł Winter.

– Zadzwoń na Landvetter jutro rano.

– Świetny pomysł.

– Czego się spodziewasz po tym wyjeździe? Że uda wam się ująć tego seryjnego mordercę? – zapytała, wygładzając kołnierzyk u jego koszuli, na samej górze przygotowanego na łożku stosu.

– To nie jest seryjny morderca – odparł.

– Co?

– To nie jest seryjny morderca – powtórzył.

Zwinął dwie pary skarpetek i włożył je do walizki. Chcę mieć miejsce na kilka nowych

książek, pomyślał.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Nie jest tak, jak wszyscy myślą.

– Ach tak.

– Jest gorzej – powiedział i odwrócił się do niej. – Możesz mi podać tamte spodnie?

– Nie. Chodź i weź sobie sam.

– Prowokujesz mnie do czegoś niemądrego.

– Chodź... i... weź... – powiedziała i spojrzała na niego oczami, które nagle stały się ogromne i jakby zamglone. Jakby pojawiła się w nich dodatkowa błona.

Rzucił się na łóżko, wyrwał jej spodnie z ręki, wygładził je i położył na krześle. Chwycił jej dłonie, złączył je za plecami, a ona się nachyliła.

– No to... jestem... złapana... – powiedziała.

Podkasał jej długą spódnicę aż na plecy, przesunął dłonią po prawym udzie i wsunął palec pod majtki. Jego dłoń powędrowała dalej. Angela rozsunęła nogi, a on poczuł, że jest wilgotna i chętna. W jego skroniach pulsowało, a ona wydawała ciche westchnienia. Podniosła brodę, w górę i do przodu. Ostrożnie wsunął w nią dwa palce, a lewą dłonią rozpiął pasek u spodni i rozsunął zamek błyskawiczny. Był tam nabrzmiały krwią. Cała krew znalazła się w kutasie, nigdzie indziej, pomyślał. Uwolnił się od spodni, przyłożył na chwilę członek do jej uda. Westchnęła głośniejsz, a on powoli w nią wszedł, płynnym ruchem. Kiedy znalazł się w środku, znieruchomiał na chwilę, a potem zaczął się wolno poruszać, tam i z powrotem.

Przysuwała się do niego, po kilku sekundach złapali wspólny rytm. Trzymał jej biodra, miał wrażenie, jakby jej ciało pływało pod nim, jakby jej kolana szukały oparcia w powietrzu kilkanaście centymetrów nad łóżkiem.

Nachylił się nad nią, jego ręce znalazły się pod jej ciasnym, nieco szorstkim sweterkiem. Stulonymi dłońmi nakrył jej piersi, a ona nadal swobodnie poruszała się pod nim. Uszczypnął delikatnie jej małe, twarde brodawki i znów nakrył dłońmi piersi. Odwróciła głowę na bok, w jego stronę, i odrzuciła do tyłu. Zaczął gładzić lewą dłonią jej policzek, wargi. Otworzyła usta i zaczęła ssać jego palce. Stulił dłoń, a ona szerzej rozchyliła usta i dalej ssała i lizała jego rękę. Język miała szorstki w dotyku, prawie jak sweter.

Zwiększyli tempo. Oparł się prawym kolaniem o łóżko, obiema dłońmi znów chwycił jej biodra. Musiał użyć niemal całej siły, by utrzymać swoje ruchy, gdy ona krzyczała i rzucała głową na boki, a on poruszał się coraz szybciej, szybciej i szybciej, a potem jego wzrok zamglił się, jakby cała krew z jego ciała spłynęła w nią. Na moment stracił świadomość. Potem jeszcze ocierali się o siebie, zwalnając. Trzymał ją w dłoniach.

PO OPADACH ŚNIEGU przyszły mrozy. W nocy wszystko zastygło, zamarzło. Światło poniedziałkowego poranka nadgryzła na brzegach inwersja. Było piękne, pociągające i groźne.

Lars Berghem dygotał z zimna w kuchni. Zaparzył kawę, podniósł żaluzje i wyjrzał przez okno. Drzewa otulało kilka warstw mroźnej pary. Na jego oczach podnosił się dym, a barwy krajobrazu skupiały się po nocy. Jakby powracały z jakiegoś miejsca spoczynku, pomyślał, jakby kolory nabrały nowych sił i teraz wchodziły we wszystko z powrotem. Krzak jałowca, blady i prześwitujący, odzyskał swoją barwę, kiedy zegar pokazywał kilka minut po ósmej. Płot opodał, przed chwilą prawie niewidoczny, wyrósł ze śniegu, znów nabrał konturów. Samochód pod śniegową czapą zaczął lśnić, trafiony kilkoma odpryskami słońca.

Miał popołudniowy dyżur. Martina spała. Poczł głuchy wewnętrzny niepokój, coś jak cichy szept w klatce piersiowej. Wypił szybko kawę, włożył kubek do zmywarki, poszedł do łazienki i przemył oczy. Wyszorował zęby, językiem przejechał po ostrym kancie jednego z trzonowców. Przy płukaniu ust poczuł lodowate ukłucie.

Ostrożnie wszedł do sypialni, sięgnął po ubrania leżące na drewnianym krześle przy drzwiach. Martina poruszyła się we śnie czy półśnie. Pościel się zsunęła i jej biodro odkryło się pośród bieli łóżka, jak wzgórze ze skóry i ciepła w śnieżnym krajobrazie. Podszedł do niej na palcach, pogładził delikatnie wypukłość, musnął wargami. Mruknęła przez sen, poruszyła się jeszcze raz, nadal uśpiona.

Ubrał się, założył grubszy sweter, do tego solidne buty i skórzaną kurtkę, czapkę i rękawice. Musiał użyć całej siły, żeby otworzyć drzwi, od zewnątrz napierał nocny śnieg.

Potem sięgnął po szufłę stojącą przy drzwiach. Wbił ją w twardą skorupę, która jak zmrożona powłoka leżała na miękkim śniegu. Przekopał ścieżkę do samochodu. Latem zrobię garaż, pomyślał, tylko znajdę gdzieś tanie drewno.

Zrzucił z samochodu pokrywę śniegu, próbował otworzyć przednie drzwi z lewej strony, żeby wyjąć skrobaczkę, ale kluczyk nie wszedł w zamek ani na pół milimetra. Stał tak z głupią miną, wpatrując się w smar do zamków leżący za szybą, w kieszeni na drzwiach z drugiej strony. Bezmyślność, pomyślał.

Spróbował otworzyć drugie przednie drzwi, potem tylne i bagażnik, ale nie udało mu się otworzyć żadnego zamka. Poszedł do niewielkiej szopy za samochodem, wyszukał trzydzieści centymetrów stalowego drutu, po czym wsunął go pod blachę drzwi i w ciągu dziesięciu sekund włamał się do samochodu. Położył kluczyki na dachu, prysnął smarem w zamek. Odczekał chwilę, spróbował włożyć kluczyk i od razu mu się udało. Wsunął plastikową buteleczkę smaru do kieszeni skórzanej kurtki, wyjął skrobaczkę i pociągłymi ruchami zaczął usuwać lód z szyb. Kiedy skończył, poczuł coś w rodzaju zadowolenia, jakby samochód został ogolony, wyszykowany na cały dzień.

Silnik zaskoczył z charkotem. Berghem włączył nawiew i ustawił ogrzewanie na maksa, a potem włączył radio, w środku piosenki Phila Collinsa. Próbował szukać czegoś innego, zmieniając częstotliwości, ale zniechęcił się i włożył kasetę, REM, *Automatic for the People*. Trzymał ją w samochodzie od pięciu lat, odkąd się ukazała. Numer dwa na brytyjskiej liście tej zimy, wiedział o tym, bo był na wyjeździe studyjnym w Londynie podczas ostatniego roku w szkole policyjnej, w 1992. Upił się na wesoło w jakimś pubie na Covent Garden i wylądował w mieszkaniu jakiejś chętnej dziewczyny w Camden, ale nie pamiętał dokładnie, kiedy ani jak się tam znalazł.

Automatic for the People.

Zawsze automatycznie staję po stronie ludzi, bo na tym polega moja praca, powiedział, popijając cierpkie wino, a ona chichotała, kiedy znaleźli się w łóżku.

Następnej wiosny poznał Martinę.

Jechał na południe. Krajobraz na przestrzeni kilometra zmienił się z wiejskiego w wielkomiejski. Po prawej stronie kopciło fabryczne miasteczko Volvo, tuż przed nim piętrzył się most Älvsborgsbron. Wyglądał, jakby zwisał z nieba. Kiedy zbliżał się do filaru, zaśniły ostro cysterny z ropą.

Druga fala porannego ruchu sunęła powoli siecią autostrad: dojeżdżający z północy w drodze do biur w city.

Wjechał na most. Znalazłszy się w najwyższym punkcie, spojrzął w prawo i zobaczył fioletową smugę horyzontu. W zależności od pory roku wyglądał różnie. Zimą przeważnie był zamknięty, jak gdyby nad morzem wybudowano mur. W poranki takie jak ten można było patrzeć przez niego na wylot, fioletowa płynność, potem błękitna. Miasto znów było otwarte.

Zjechał z mostu i skierował się na zachód, jechał bez celu. Wciąż towarzyszył mu niepokój, nie był mu obcy: to uczucie szeptało w nim, odkąd pamiętał. Kazało mu wstać i

wyjść, stało się jeszcze bardziej dojmujące w ciągu ostatnich dni, ostatniego miesiąca... Domyślał się, że ma to coś wspólnego ze sterczącym jak zaokrąglony stożek brzuchem Martiny, że wiązało się w Okruszkiem, i wstydził się tych myśli.

Dojechał do Frölunda targ i zawrócił. Nie zatrzymał się, nie wysiadł. Pojechał dalej przez Gnistångstunneln. W ciemnościach tunelu czern wypełniła jego głowę. Musiał nią potrząsać i mrugać oczami, kiedy tunel się skończył i ostra jasność nieba poraziła go w oczy. Nagle poczuł strach, jak przecucie. Marzył i próbował przesunąć regulator ogrzewania jeszcze dalej. Skierował się z powrotem na most i jechał ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie.

Taksówka zaczęła się ślizgać na wysokości Mölnlycke, potem znów odzyskała przyczepność na zewnętrznym pasie, przemknęła obok autobusu lotniczego, jakby pojazdy umówiły się na rajd Göteborg-Landvetter Airport. Co w gruncie rzeczy było nawet zgodne z prawdą. Na lotnisko jedzie się tak, jakby liczyła się każda sekunda, pomyślał Winter. Siedział na tylnym siedzeniu taksówki. Wcale się nie śpieszę, ale kierowca musi dojechać jak najszybciej.

W wewnętrznej kieszeni jego marynarki zadzwonił telefon. Wysunął antenę i odebrał. Matka.

– Eriku! – Była trochę zdyszana, jakby właśnie odbyła przebieżkę między stołem kuchennym a lodówką. – Jesteś w domu?

– W drodze na lotnisko.

– Jesteś taki pracowity, Eriku.

Spojrzał na kierowcę. Mężczyzna siedział sztywno i markotnie patrzył przed siebie, jakby zastanawiał się, czy nie zjechać nagle na prawy pas i nie walnąć w skalną ścianę.

– Podróżujesz służbowo – powiedziała matka.

– Najczęściej krążę pomiędzy Vasaplatsen i Ernst Fontells plats – odparł.

– Co za Fontells?

– Plac przed siedzibą policji. Nazywa się Ernst Fontells plats.

– Ach tak.

– To są moje podróże służbowe. Czasami jeżdżę na rowerze.

– Ale nie teraz. Dokąd jedziesz?

– Do Londynu.

– To co innego, choć to takie nieprzyjemne miasto.

– Już o tym rozmawialiśmy.

Wsłuchiwał się w odgłosy na linii: ciągły szum, w którym chyba słyszał strzępki

głosów, fragmenty splatających się ze sobą słów, jak zupełnie nowy język.

– Po co dzwonisz? – zapytał.

– Czy muszę mieć powód, żeby dzwonić do syna?

– Dojeżdżamy do zjazdu na lotnisko – skłamał.

– Skoro zapytałeś, to zadzwoniłam do Karin. Mówiła, że byłeś bardzo delikatny.

Nie odpowiedział.

– Powiedziała też, że Lasse przeżył to bardzo ciężko. Nawet się dziwiła, że sama chyba lepiej sobie z tym radzi niż on.

Winter czekał na dalszy ciąg. Samochód zwolnił. Zjechali na prawo i znaleźli się na zjeździe. Winter usłyszał szybki donośny ryk z tyłu i odwrócił się. Autobus ich dogonił. Był tuż za nimi, a kierowca był gotów przeprowadzić szalony manewr wyprzedzania na wysokości znaku pierwszeństwa stojącego sto metrów dalej.

– Tam jest dużo emocji – powiedział Winter do matki.

– Co?

– Tam jest dużo emocji, z którymi będą żyli po śmierci Pera. Długo.

– Pieprzony chuj! – krzyknął nagle taksówkarz, z dzikim wzrokiem. Jego oczy do tej pory wyglądały, jakby je zrobiono z porcelany. Zerkał w lusterko wsteczne, nie na Wintera. Koncentrował się na autobusie, który zahamował gwałtownie i stanął kilkanaście centymetrów za nimi.

– To jacyś cholerni wariaci – rzucił, spoglądając na Wintera z lusterka. – Jada, jakby się paliło.

– To przez rozkłady jazdy – odparł Winter, zasłaniając dłonią mikrofon telefonu.

Kierowca prychnął w odpowiedzi.

– Co powiedziałaś, Eriku? – odezwała się matka.

– Nic.

– Co się tam dzieje?

– Właśnie dojechaliśmy.

– Nie zapomnij zadzwonić do Lotty.

– Nie zapomnę. Pa, mamó.

– Uważaj na siebie w Lon...

Odsunął telefon od ucha i rozłączył się.

W hali odlotów musiał czekać kwadrans w kolejce, żeby podać bilet i paszport kobiecie siedzącej za kontuarem. Z prawej odprawiali się pasażerowie wylatujący na Wyspy Kanaryjskie. Nad długą, szeroką kolejką unosił się szmer przesyconych radosnym oczekiwaniem głosów.

Winter poprosił o miejsce przy przejściu, najlepiej blisko wyjścia awaryjnego, ze względu na swoje długie nogi. Niepalący, choć teraz British Airways wszystkich woziły do Londynu bez dymka.

Kiedy kobieta zajmowała się jego dokumentami, pomyślał o stosach list pasażerów, które jego zespół właśnie otrzymał. Niewykonalne zadanie. Wszyscy, którzy przylecieli samolotem z Wielkiej Brytanii do Göteborga w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Do pokazania, gdyby ktoś pytał: tak, oto są listy, zebraliśmy cały materiał. Gdy dostaniemy trzy tysiące ludzi do pomocy i jeszcze trzy lata czasu, przyjrzymy się wszystkim nazwiskom, z nadzieją, że wszyscy podróżują pod swoim własnym.

Czy ludzie Macdonalda też się tym zajmują? pomyślał. Na pewno też mają te listy, tak jak my. I nigdy nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo. Wziął bilet, paszport i kartę pokładową i popatrzył za walizką, która chwiejnie ruszyła na taśmie. Uśmiechnął się do kobiety i wszedł na schody. Teraz kontrola paszportowa, prześwietlenie i rewizja.

Aneta Djanali widziała przed sobą swój oddech. W cieniu pod domami było zimno i jeszcze ciemniej, kiedy widziało się słońce przy końcu ulicy.

– Chyba nie jesteś przyzwyczajona do czegoś takiego? – spytał Fredrik Halders.

– O co ci chodzi?

– O ten mróz. Nie możesz być do tego przyzwyczajona.

– Musisz mi to bliżej wytłumaczyć – powiedziała Aneta Djanali, choć wiedziała, o co chodzi.

– To się nazywa śnieg – wyjaśnił Halders, pokazując palcem. – I mróz. – Próbował dłonią łapać powietrze.

– Aha.

– Czegoś takiego chyba tam u was nie ma?

– A gdzie dokładnie?

– Tam u was? Ty chyba sama wiesz najlepiej.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Halders wydmuchał nowy obłoczek pary, odwrócił głowę i spojrzał na ciemną twarz

kobiety.

– Wagadugu – odparł.

– Słucham?

– Wagadugu, miejsce, z którego pochodzisz.

– Doprawdy?

– To stolica Górnej Wolty.

– Aha.

– Obecnie znanej jako Burkina Faso.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– Burkina Faso – powtórzył.

– Urodziłam się w Östra sjukhuset – odparła.

– Östra sjukhuset w Wagadugu – dodał Halders i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

Weszli w bramę, pierwszą przy ulicy, przy której to się zdarzyło. To była druga tura. Mieli porozmawiać z tymi, których za pierwszym razem nie było w domu i nie odpowiadali na nagrane wiadomości. To była podwójna brama, połączona korytarzem z klatką schodową, na której znajdowało się mieszkanie Jamiego Robertsona.

Późny poranek. Światło nad miastem wyglądało, jakby paliła się słaba żarówka. Przytłumiona jasność, budząca zdziwienie: po przesileniu zimowym każde światło jest niespodzianką.

Aneta Djanali zadzwoniła do drzwi na drugim piętrze. Usłyszała jakiś szmer, głosy z piętra powyżej, a po trzecim dzwonku odgłos kroków dobiegających z mieszkania. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu czy czterdziestu lat, z bujną czupryną i szerokimi szelkami na białej koszuli, z niezapiętymi mankietami, najwidoczniej w trakcie ubierania, może na jakieś przyjęcie. Wokół kołnierzyka zwisał niezawiązany krawat. Przyjęcie, pomyślała Aneta Djanali, jakaś okazja w środku tygodnia, dla nie całkiem zwykłych ludzi. Wyglądał elegancko, choć trochę nieświeżo. Dłonie lekko mu drżały. Oczy miał opuchnięte. Na pewno pije.

– Tak?

– Jesteśmy z policji – ryknął Halders z typową dla siebie arogancją.

Podoba mu się to, pomyślała Aneta Djanali. Lubi naruszać mir domowy. To dlatego chodzi tak rok po roku, dalej nie zajdzie. On tego nie rozumie, albo może zrozumiał, ale i tak już jest za późno.

– Słucham? – Mężczyzna przesunął dłonią po krawacie.

Włoski, pomyślała Djanali. Chyba jedwab, i chyba drogi. Winter by wiedział, gdyby tu

był.

– Czy możemy wejść na chwilę? – spytała.

– A o co chodzi?

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

– W jakiej sprawie?

– Czy możemy wejść? – powtórzył Halders, wskazując gestem schody, żeby pokazać, że to nie jest miejsce na tego rodzaju pytania.

Mężczyzna cofnął się, jak przed kimś, kto go przekonał. Albo jak przed dwoma włamywaczami, którzy go sterroryzowali. Zaczekał, aż wejdą, zamknął drzwi i wskazał przedpokój. Przeszli do salonu, większego niż salony w mieszkaniach w sąsiedztwie. Aneta Djanali rozejrzała się: wysoki sufit, sztukaterie, przestrzeń i wiele innych rzeczy, które tak trudno było zauważyć w pokoju, w którym zginął Jamie. Jego mieszkanie było mniejsze, skromniejsze, tak samo wysokie, ale to były jedyne różnice.

– Ależ wielki ten pokój – stwierdziła.

– Wybiłem ścianę – wyjaśnił mężczyzna.

– Sam? – zapytał Halders.

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby patrzył na komika, który powiedział coś zabawnego.

– Czy jesteście tu państwo z powodu morderstwa? – zapytał, zwrócony w stronę Djanali.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Halders wpatrywał się w północną ścianę, Djanali odwzajemniła spojrzenie mężczyzny.

– Śmierć chłopca z sąsiedniej klatki – dodał.

– Tak – przyznała Djanali. – Chcielibyśmy zadać panu w związku z tym kilka pytań.

– Słucham?

– Czy był pan w domu mniej więcej wtedy, kiedy to się stało?

Wyjaśniła, kiedy to było, podała orientacyjną godzinę.

– Tak sędzę. Ale chyba wyjechałem zaraz po tym. Następnego ranka.

– Wie pan, o którym chłopcu mówimy?

– Tak. Nie dało się tego przeoczyć.

– Dlaczego?

– Prasa i telewizja. Nie żebym oglądał dużo, ale nie dało się tego nie zauważyć. Byłem w domu pół dnia, ale zdążyłem o tym usłyszeć i przeczytać – powiedział, wskazując stos gazet na stoliku.

Aneta Djanali podeszła do nich. Gazety z dwóch ostatnich dni były rozłożone, leżały luzem na podłodze.

– To znaczy, że pan właśnie wrócił z podróży? – zapytała.

– Kilka godzin temu.

– Gdzie pan był?

– To chyba nie ma żadnego znaczenia?

– Jeśli to nie ma znaczenia, może pan bez problemu odpowiedzieć na to pytanie.

– Na urlopie. Gran Canaria – wyjaśnił. – Nie widać?

Nagle jakby się zaniepokoił, że nie jest opalony i że cała podróż była na darmo. Wyszedł do przedpokoju i wrócił z niewielką torbą. Wyjął z niej bilet.

– Tu jest dowód – powiedział.

– Czy pamięta pan tego chłopaka z... czy go pan spotkał wcześniej? – zapytał Halders, nie patrząc na dowód.

– Co to za pytanie?

– Czy widział pan, jak wchodził albo wychodził z budynku?

– Tak.

– Tak?

– Jak mówiłem. Wygląda na to, że czasem mieliśmy te same pory, to znaczy dla mnie to były późne zmiany, czyli... tak... widziałem go kilka razy. Jestem motorniczym tramwaju – dodał, jakby po to, żeby wyjaśnić te późne zmiany.

Zgadza się, pomyślała Aneta Djanali. Późną porę można skojarzyć z tramwajem. Czasem tak późną, że tramwaj wcale nie przyjeżdża. No proszę. Wygląda raczej na młodego dyrektora banku niż na motorniczego. Wyobraziła sobie Erika Wintera siedzącego w przeszklonej kabinie motorniczego i ze stukotem pędzącego tramwajem wzdłuż Brunnsparken.

– Czy był sam? – zapytała, z nadzieją, że żaden z nich nie zauważył, że się uśmiechała w myślach.

– Słucham?

– Kiedy go pan spotykał, tego chłopaka. Czy był wtedy sam?

– Nie zawsze.

– Nie był sam – powtórzył Halders.

– Kiedy ostatni raz widział go pan z kimś? – zapytała Aneta Djanali.

Mężczyzna wyraźnie zbierał myśli, a kiedy obraz, którego szukał, wreszcie mu się ukazał, nagle zbladł. W jednej sekundzie jego twarz zbieleła. Podeszedł do stolika z gazetami i

oparł się o jego brzeg.

– Mój Boże – zawołał.

– Co się stało? – zapytał Halders i podszedł, żeby go podeprzeć.

Przypomniał sobie, pomyślała Aneta Djanali. Przypomniał sobie, że widział diabła.

Nie będę mu teraz niczego podsuwała. To piekielnie ważna chwila.

– Kiedy po raz ostatni widział pan tego chłopaka z kimś innym? – powtórzyła.

– Tttto musiało być wtt...

– Słucham?

Mężczyzna odchrząknął i znów mógł mówić.

– Widziałem tego chłopca z jakimś mężczyzną – powiedział i nagle opadł na kolana i podparł się rękami.

Halders i Djanali spojrzeli na siebie.

– Chwileczkę – wyjaśnił mężczyzna, przeglądając rozłożone na podłodze gazety. – Widziałem tu gdzieś... datę.

Mogli mu ją podać, ale czekali.

Wstał z gazetą w dłoni.

– Chryste – powiedział, spoglądając na swój bilet. – To było wtedy.

– Co było wtedy? – zapytał Halders.

– Spotkałem go w wieczór poprzedz... poprzedzający to – odparł, spoglądając na nich.

– To mu... musiało być wtedy.

– I pan to mówi dopiero teraz? – zapytał Halders.

– Samolot odlatywał bardzo wcześnie... następnego ranka.

– Gran Canaria?

– Tak. Puerto Rico.

– Przecież to nie na Kanarach, do jasnej cholery.

– Nnnno ttak – powiedział mężczyzna z wahaniem, jak gdyby stracił pewność, gdzie spędził ostatnie tygodnie.

– Tam są szwedzkie gazety – rzucił Halders.

– Nie czytałem żadnych gazet – odparł mężczyzna. W jego głosie słychać było bezgraniczny smutek.

Aneta Djanali domyślała się, o co mu chodzi, i dała znak Haldersowi.

– Do tej chwili nic nie wiedziałem.

– Zgadza się – przyznała Aneta Djanali.

– Nic – powtórzył mężczyzna.

– Czy rozpoznałby pan tego mężczyznę, którego widział pan w towarzystwie Jamiego Robertsona, gdyby pan go znów spotkał?

Mężczyzna wykonał trudny do zinterpretowania gest. Mógł oznaczać wszystko i nic.

– Widziałem głównie plecy.

– Ale to był mężczyzna? – upewniła się Djanali.

– Wysoki mężczyzna. Wchodzili po schodach na górę, minąłem ich w drodze do tego korytarza na dole. A może stali przy windzie...

Halders spojrzał na Anetę Djanali.

– Chcielibyśmy, żeby pan poszedł z nami, na dłuższą i bardziej szczegółową rozmowę o tym – powiedział.

– Bardziej szczegółową? Czy jestem pode... podejrzany?

– Posiada pan informacje, które są dla nas bardzo interesujące. Chcemy, żeby pan poszedł z nami, bo musimy o tym porozmawiać. Będzie pan wtedy miał możliwość trochę się zastanowić.

– Jestem trochę... zmęczony.

Nie zmuszaj mnie, chłopie, żebym powiedział, że możemy cię przetrzymać sześć plus sześć godzin, pomyślał Halders.

– Oczywiście. – Mężczyzna powiedział to, jakby odpowiadał na pytanie, które sam sobie zadał. – Przepraszam na chwilę. – Niemal wybiegł do przedpokoju, a potem usłyszeli odgłosy męki. Jego zmaltratowany żołądek wyrzucał zawartość do ubikacji.

– Kiedy Winter odlatuje do Londynu? – zapytał Halders, zwracając się do Anety Djanali.

– Chyba właśnie teraz – odpowiedziała i spojrzała na zegarek. – Za piętnaście jedenasta, tak mówił. To za dziesięć minut.

– Dzwon do niego natychmiast! – krzyknął Halders z palcem skierowanym w prawą kieszeń jej kurtki.

Dziewczyna wyjęła komórkę i wybrała numer.

– Jak sobie kiedyś radziliśmy bez tego dziadostwa – mruknął Halders sam do siebie.

– Nie odbiera – powiedziała Djanali po dziesięciu sekundach.

– Wyłączył telefon, jest już w samolocie. Zaczął myśleć o drinkach i zerkać na nogi stewardes.

Z łazienki dały się słyszeć odgłosy kolejnego ataku.

– Dzwon na Landvetter – rzucił Halders.

– Nie mam num...

- Dziewięćdziesiąt cztery dziesięć zero zero.
- Umiesz go na pamięć – zdziwiła się Aneta Djanali, wystukując cyfry.
- Umiem wszystko.

Uzyskała połączenie i wyjaśniła, o co chodzi. Na dwie minuty przed tym, jak miał ruszyć w stronę pasa startowego, kobieta, która wcześniej przyjęła od Wintera kartę pokładową, wywołała przez głośniki jego nazwisko. Winter wstał z fotela i pół godziny później wysiadał z samochodu przy Ernst Fontells plats.

NAZYWAŁ SIĘ BECKMAN i jeszcze niedawno upijał się w altanie na Altamar z linią horyzontu od wschodu po zachód przed oczami. W samolocie do Szwecji był trzeźwy. Tylko tyle.

Nie był pierwszym świadkiem, jakiego przesłuchiwali. Ale to było pilniejsze niż poprzednie przypadki. Winter czuł to, jadąc windą na górę z aktówką w dłoni. Walizka miała dojechać później, zapewne po podróży do Londynu.

Beckman miał lekkie objawy odstawienia, może nie delirium, ale ruszał się tak, jakby słuchał hip-hopu. Prowadził tramwaj? To tramwaj, co jedzie do nieba, Jezus kieruje, Bóg bilety kasuje, pomyślał Winter, siadając naprzeciwko niego. Ależ mu zgotowano powitanie w ojczyźnie, a mnie nawet nie udało się wyjechać.

Przedstawił się. Taśma zaczęła się nawijać, na korytarzu rozległ się krótki, jasny śmiech.

– Nie pamiętam zbyt wiele – powiedział Beckman po wstępnych formalnościach.

– Która była godzina, kiedy wracał pan z pracy tego wieczoru lub nocy, kiedy pan widział Jamiego Robertsona z tym... mężczyzną?

– Krótko po północy, minuta albo coś takiego – odparł Beckman. – Ale to nie było do końca tak.

– Co nie było tak?

– Było trochę inaczej. Wróciłem tam po tym, jak zobaczyłem ich pierwszy raz, i wtedy chyba widziałem go drugi raz.

– Widział go pan drugi raz?

– Zgubiłem gdzieś szalik. Może to dziwne, ale go nie było i pomyślałem, że... że może się zsunął, kiedy rozpinałem płaszcz w bramie, więc wróciłem tam i wtedy znów zobaczyłem plecy tego faceta. Wchodził po schodach.

– Czy był sam?

– Tak, za drugim razem tak.

– Niech pan spróbuje go opisać.

– To niełatwe.

– Proszę jednak spróbować.

– Ale było coś jeszcze.

– Tak?

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

Winter czekał na ciąg dalszy. Zza drzwi znów dał się słyszeć śmiech.

Może to trochę uspokoi Beckmana, pomyślał Winter, a może będzie jeszcze bardziej rozkojarzony. W tej chwili przeczesujemy jego mieszkanie. Zabił chłopaka, a potem odleciał sobie w niebo. Zaraz to powie, a potem przyzna się do reszty. Może był w Londynie. Takie rzeczy świetnie potrafimy sprawdzać. Dziś wieczorem będziemy świętować, aż do następnego razu. Zwykle to przypadek decyduje, odprysk szczęścia albo szerokie pociągnięcie pędzla. To rutyna, procedury. Powiedz, że zabiłeś tego chłopca, a potem po prostu sobie poleciałeś.

– Miałem wrażenie, że widziałem coś znajomego... kiedy się teraz nad tym zastanawiam – powiedział Beckman.

Winter pokiwał głową, czekał. Klimatyzacja szemrała w rogach pokoju jak oddech. Pokój zdawał się dusić swoim własnym zapachem. Pachniało słabo perfumami i czymś podobnym do zwietrzałej wody po goleniu.

Światłówka wydobywała z mroku ostre cienie. Stawały się coraz ciemniejsze i dłuższe, im bardziej dzień przechodził w późne popołudnie. Winter nie zapalił lampki na biurku, jeszcze nie.

Ponownie kiwnął głową, na zachętę.

– Myślę, że to jego kurtka... chyba dlatego teraz o tym pomyślałem albo zwróciłem uwagę wtedy.

– Rozpoznał pan jego kurtkę?

– Coś w niej było takiego... nie mogę sobie przypomnieć co... to było... ale to się wiąże z moją pracą.

– Z pańską pracą?

– Kiedy tak jak ja siedzi się w szklanej klatce i prowadzi tramwaj, zaczyna się zwracać uwagę na ludzi. Może nie tak bardzo jak kiedyś, kiedy mieliśmy stałe trasy, ale jednak. – Napił się wody. Dłoń mu drżała, ale udało mu się podnieść szklankę do ust. – Rozpoznaje się dużą część ludzi, którzy jeżdżą mniej lub bardziej regularnie – dodał, odstawiając szklankę.

– Rozpoznał go pan?

– Wydaje mi się, że kilka razy widziałem kogoś w podobnej kurtce, ale nic więcej.

– A co takiego było w tej kurtce?

- Właśnie usiłuję sobie przypomnieć.
- Kolor?
- To była czarna skórzana kurtka, ale nie chodziło o kolor.
- Skóra?
- To było coś... – zaczął Beckman, przeciągając słowa. – Nie, nie przypomnę sobie.
- Guziki?
- Guzi... nie.

Wielki Boże, pomyślał Winter. Będziemy musieli oblecieć z tym facetem wszystkie sklepy w mieście.

- Jakiś napis na plecach?

Beckman potrząsnął głową.

- Nie przypomnę sobie – powiedział. – Ale było coś takiego...
- Czy ten mężczyzna był bardzo wysoki? – zapytał Winter, żeby wyjść z impasu.
- Tak mi się wydaje. Tak, był raczej wysoki.
- Wyższy od chłopaka?
- Tak to wyglądało, ale trudno powiedzieć, kiedy ktoś idzie po schodach.
- Mojego wzrostu? – zapytał Winter i wyprostował się.
- Może jakoś podobnie.
- Jak chodził?
- No... chyba normalnie.
- Nie utykał ani nic w tym rodzaju?
- Nie, ale to trudno zauważyć, kiedy ktoś jest na schodach. Chodzenie po schodach jest w gruncie rzeczy takim utykaniem – odparł Beckman, ale się nie uśmiechał. – A tak poza tym miał długie włosy, długie i ciemne.

- Jak długie?

– Do ramion, tak mi się wydaje.

- Takie długie?

– Pomyślałem wtedy, że facetów z tak długimi włosami ostatnio nie widuje się zbyt często.

Uspokoił się nieco, jakby dostał setkę. A może to jego własny głos i wspomnienia stopniowo pomogły mu się rozluźnić. Był mniej rozedrgany, jakby muzyka w jego głowie zmieniła rytm.

– Kiedy piętnaście lat temu myślało się o tym, jak ludzie wyglądali w połowie lat sześćdziesiątych mniej więcej... to zauważało się, że wyglądali inaczej. Ciuchy, a przede

wszystkim włosy. Ale kiedy dzisiaj patrzy się na zdjęcia z tamtych czasów, to tak, jakby się patrzyło na zdjęcia współczesne.

– To tak jak z drużynami piłkarskimi – powiedział Winter.

– Co?

– Zdjęcia drużyn piłkarskich z lat sześćdziesiątych mogłyby równie dobrze być zrobione dzisiaj, przynajmniej jeśli chodzi o fryzury.

– Właśnie.

– A więc ten mężczyzna miał długie włosy?

– Jak argentyński piłkarz – przyznał Beckman i po raz pierwszy się uśmiechnął. – To wyglądało jakoś nienaturalnie. Te włosy. Prawie jak peruka.

– Peruka?

– No nie wiem.

– Tupet?

Beckman wzruszył ramionami.

– Ale miał okulary.

– Okulary? – powtórzył Winter.

– Solidne, czarne oprawki. Tak sędzę, ale nie mam pewności.

– Rogowe oprawki?

– Tak, może tak to się nazywa.

– Potem popracujemy nad tym przy komputerze.

Beckman nie odpowiedział. Omijał wzrokiem Wintera, jakby już zaczął się przygotowywać do sporządzenia rysopisu kogoś, kogo nawet nie widział.

– Miał torbę – dodał. – Kiedy szedł po schodach sam, za drugim razem.

– Czy może pan dokładniej go opisać? – poprosił Winter, a Beckman spróbował to zrobić.

– Wie pan może, czy on pana widział chociaż trochę? – zapytał Winter na koniec.

– Nie sędzę, żeby mnie widział. Szedłem cicho, byłem zmęczony i wyciszony.

– Nie patrzył w pańską stronę.

– Nie zauważyłem.

– Głosu też pan nie słyszał?

– Nie.

Erik Winter szedł do domu przez Heden. Mróz zatrzymał błękit nieba, nawet po zmierzchu. Winter czuł się jak bezdomny, jak ktoś, kto nagle musiał przerwać podróż. Nie chciał wracać do domu. Walizka wróciła. Zostawił ją w swoim pokoju, ale zmienił zdanie i wrócił na komendę. Radiowóz odwiózł go do domu. Wjechał na górę windą, rzucił walizkę w przedpokoju i przejrzał stos listów. Nie znalazł nic, co by zasługiwało na otwarcie.

Był głodny i podenerwowany. Rozebrał się w przedpokoju przed drzwiami łazienki, wziął prysznic i przebrał się w czarny półgolf i miękki szary zimowy garnitur od Ermenegildo Zegna. Zatelefonował.

Przeciagnał dłonią po włosach. Były zbyt wilgotne, wytarł je ręcznikiem i uczesał się. Zadzwoił telefon. Słuchał głosu siostry nagrywającej się na sekretarkę i zakładał czarne skarpety. Następny telefon. Bolger chciał tylko zakomunikować, że uświadomił sobie, że Winter jest w Londynie.

Kiedy wyszedł z domu, poczuł mróz w nadal lekko wilgotnych włosach. Założył czarną dzierganą czapkę, naciagnał na czoło i ruszył Vasagatan na zachód, przez opustoszałą Hagę i Linnégatan do restauracji Le Village przy Tredje Långgatan.

Minął bistro, w części restauracyjnej zdjął i powiesił płaszcz. Potem podszedł do pulpitu szefowej sali.

- Stolik dla jednej osoby. Rezerwacja na nazwisko Winter.
- Proszę bardzo – powiedziała kobieta, wskazując stolik w odległym rogu lokalu.
- Życzy pan sobie coś do picia? – zapytała, kiedy usiadł.
- Butelkę ramlösy proszę.

Zamówił zupę z mały z bazylią, potem solonego dorsza. Wypił pół butelki sancerre do ryby, do kawy nie zamawiał niczego. Długo siedział nad kawą. Wypił dwie filiżanki, pogrążony w myślach.

– KOGO JA WIDZĘ?

Johan Bolger z wyrazem zdumienia na twarzy. Erik Winter znienacka przy barze, pora już późna.

– Myślałem, że właśnie siedzisz sobie w jakiejś knajpie na Soho.

– Innym razem – odparł Winter.

– Chyba nie odwołali lotu przez pogodę?

– Coś mi przeszkodziło.

– Czy mogę ci postawić wspaniałą wodę?

– Ramlöse w szklance z lodem i odrobiną limonki.

– Nie chcesz próbować niczego innego?

– Daj mi ramlöse i powiedz, co sądzisz o moim młodym koledze.

Bolger przygotował zamówienie przy blacie za barem, pod lustrem.

– Trochę młody i niezdarny, ale ma spojrzenie, które może być przydatne, jeśli nauczy się używać go również w ciemności – powiedział, stawiając przed Winterem wodę mineralną.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że powinien się wziąć w garść.

– Wydaje mi się, że on to potrafi. Jest młody, ale to nie zawsze wada.

– W większości wypadków.

– Nie zawsze.

– No nie.

Zbliżała się północ. Przy trzech z siedmiu stolików siedzieli goście. Ich głosy snuły się jak szczególnego rodzaju mgiełka pośród dymu papierosowego.

Na prawo, w pewnej odległości od Wintera, siedziały przy barze dwie kobiety. W palcach trzymały papierosy, a wyraz ich twarzy mówił, że w końcu znalazły sens życia i stwierdziły, że to i tak bez różnicy.

Jedna z nich zerknęła na Wintera i twarz jej się zmieniła. Rzuciła kilka słów do koleżanki, zdusiła papierosa i natychmiast zapaliła nowego. Bawiła się cienkim pudełkiem leżącym na barze, jakby chciała przekonać nieliczne pozostałe papierosy, że nie są same.

– Nie wiem, czy ten chłopak uważa to za taki świetny pomysł – odezwał się Bolger. – Chyba nie był pewien, czy to ma sens.

– To zależy od tego, kto mu to wyjaśni – odparł Winter.

– Że niby ty – stwierdził Bolger.

Winter nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy nie zapalić cygaretki, ale spojrzał na palące nieprzerwanie kobiety i zrezygnował. Jedna z nich, ta, która wcześniej mu się przyglądała, dała Bolgerowi znak. Podeszedł do niej i przyjął zamówienie. Chwilę krzątał się przy barze, potem postawił przed nią szklankę. Upiła łyk, a Winterowi wydało się, że kiedy odstawiała szklankę, na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

– Chciała to samo, co ten dżentelmen, który tam siedzi – wyjaśnił Bolger z uśmiechem, stając przed Winterem. – Chyba myślała, że to gin z tonikiem.

– Mogłem dziś być dżentelmenem w mieście dżentelmenów, ale nie dano mi szansy.

– Zawsze w pracy.

– Wydaje mi się, że pod spodem kryją się rzeczy, o jakich nawet nam się nie śniło – odparł Winter i jednak zapalił cygaretkę.

– Oczywiście.

– Czasami wystarczy wzbąć trochę kurzu, żeby coś się zaczęło dziać.

– Czyżby twój młody kolega miał wzbąć trochę kurzu?

Winter nie odpowiedział, był zajęty paleniem. Zerkał na kobiety, ale kiedy odwzajemniły spojrzenie, odwrócił wzrok.

– Może nawet coś więcej – rzucił w końcu. – Wydaje mi się, Johanie, że wiesz masę rzeczy, o których nie mówisz, o których może nawet nie chcesz rozmawiać.

– O czym?

– O branży.

– Jakiej branży?

– Jestem trochę zmęczony.

– No dobra, dobra. O branży.

Winter znów napił się wody. Wsłuchał się w motyw muzyczny wydobywający się z czterech głośników wiszących pod sufitem: Sinatra z lat pięćdziesiątych. Tego frazowania nie da się porównać z żadnym innym. A mnie wtedy nawet nie było na świecie, pomyślał.

– Ale branża knajpiana i pornograficzna to nie jest to samo – powiedział Bolger. – To rzeczy z dwóch różnych stron wszechświata.

– Naturalnie.

– Moje kontakty wynikają z późnej pory. Nocne życie.

- To się dzieje chyba również w dzień?
- Tak, ale ciemność jest dla większości bezpieczniejsza.
- Masz też inne... doświadczenia – przypomniał Winter.

Bolger nie odpowiedział.

- Jak miasto się zmieniło? Coś się przecież zdarzyło, nieprawdaż?

– Zrobiło się twardsze – powiedział Bolger. – Ale o co dokładnie chodzi, nie potrafię powiedzieć.

– To wina społeczeństwa – stwierdził Winter z taką miną, jakby zamierzał się uśmiechnąć.

- Oczywiście.

– Po części to prawda. Meblowozы znów najeżdżają metropolię.

– Coś ci powiem – zaczął Bolger i nachylił się niżej. – Coraz więcej młodych dziewczyn z prowincji przyjeżdża do miasta, i to nie po to, żeby studiować. Nie mają pracy w domu, w tych hallandzkich nadmorskich miasteczkach. Zresztą cholera wie, skąd przyjeżdżają. A kiedy już tu są, odkrywają, że tutaj też nie ma pracy.

- Ale przyjeżdżają?

– Przyjeżdżają, i faceci już czekają na dworcu, dosłownie. Wiejska dziewczyna wysiada z pociągu, a facet już tam stoi.

- To brzmi jak historie z dawnych krajów komunistycznych.

– Dziewczyna nawet nie zdąży się rozpakować u ciotki czy w jakiejś norze, którą załatwiła przez pośrednika w dawnym Nordstan. Czasem nawet nie zdąży oddać walizki do przechowalni, a facet już składa propozycję.

- Mhm.

– I to dotyczy nie tylko dziewczyn.

- Mhm.

– Popyt na młodych chłopców też jest duży. A nawet rośnie.

- Skąd się to bierze?

Bolger zrobił ramionami gest, jakby Winter zapytał o tajemnicę życia wiecznego lub sposób na osiągnięcie wewnętrznego spokoju.

- Ale mogę ci dać kilka nazwisk – zaproponował.

– Jakich nazwisk?

– Typów, którzy wiedzą o tym świątku więcej niż ja.

– Dobrze. – Winter strzepnął popiół do szklanej popielniczki, którą Bolger przysunął z baru.

– Ale nie chcę nikomu zaszkodzić – powiedział.

Winter przyjrzał mu się z powagą.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedział Bolger i podszedł do kobiet. Znów zaczęły mu dawać znaki.

– Pytają, czy mogą nam coś postawić – powiedział, wracając do stolika.

Winter odwrócił się, na siedząco wykonał coś w rodzaju dziękczynnego ukłonu i lekko potrząsnął głową, wskazując szklanekę z wodą. Starał się, by była to możliwe najuprzejmiejsza odmowa.

– Może byłoby warto – zachęcał Bolger.

Winter nie odpowiedział.

– Miłe, wesołe dziewczyny, choć nie z hallandzkich nadmorskich miasteczek.

– To raczej takimi jestem zainteresowany. A ty trochę o nich wiesz.

– Właściwie to jest całkiem niewinne, jeśli na to spojrzeć przez odpowiednio ciemne okulary – stwierdził Bolger. – Tym dziewczynom proponuje się, żeby były hostessami w klubach, co oznacza, że muszą nalewać klientom lemoniadę. A potem wchodzi na stoły i trochę się ruszają do przyjemnej muzyki. Albo na scenę.

– Albo za szkło w ramach, w jakichś pokojach na tyłach.

– Właśnie.

– Prostytucja?

– Z czasem tak, ale nie dotyczy to wszystkich tych aniołków.

– Chłopcy i dziewczęta.

– Tak.

– Taniec.

– Taniec dla aniołów – powiedział Bolger.

– Taniec z aniołem – stwierdził Winter.

– Jeśli tak na to spojrzymy.

– Można na to spojrzeć na różne sposoby. Jeśli mówimy o morderstwach, można patrzeć różnie.

– Wiesz o tym więcej niż ja.

– Co wiesz o branży filmowej? – zapytał Winter i już miał zamówić kolejną wodę, kiedy przypomniał sobie o kobietach siedzących przy barze dziesięć metrów dalej. Nie chciał ich urazić.

– Niezbyt dużo.

– Nie udawaj.

– Niewiele więcej od ciebie. Jesteś dobrze poinformowany – odparł Bolger.

– Jest jeszcze coś poza tym, co leży na półkach – powiedział Winter. – Tyle wiemy.

– Ostatnio nasz kraj tak się zliberalizował, że całkiem dużo może leżeć na półkach – stwierdził Bolger.

– Ale nie dzieci.

– Gdzie przebiega granica?

– Gdzieś we wnętrzach sklepów lub magazynów jest granica, którą niektórzy mogą przekraczać – powiedział Winter.

– Wystarczy dostęp do sieci – stwierdził Bolger.

– Internet?

– Tak. Ale o tym wiesz więcej niż ja.

– Skąd ta pewność?

– Nie zabija się ludzi w internecie.

– Skąd ta pewność?

– Chciałbym cię o coś zapytać, Eriku. Czy kiedykolwiek wypożyczyłeś pornosa na wideo?

– Nie.

– Albo oglądałeś w kinie erotycznym?

– Nie.

– Więc tak naprawdę nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Słucham?

– Mam na myśli to, że sam nawet w przybliżeniu nie poczułeś tego, co sprawia, że się sięga po filmy przedstawiające różnego rodzaju akty seksualne – wyjaśnił Bolger.

– A więc to są różne uczucia – stwierdził Winter.

– Nie wiem, ale ty jesteś, że tak powiem, aktywny erotycznie, przynajmniej byłeś, zanim się zestarzałeś. Ale najwyraźniej miałeś możliwość zaspokajania swoich potrzeb w sposób, w jaki należy je zaspokajać.

– To bardzo ciekawe.

– Wcale nie żartuję. Chodzi o to, że ten drugi, zastępczy sposób zaspokajania ich, lub trzeci, zaczyna w pewnym momencie wystarczać. Osiąga się satysfakcję mimo wszystko.

– Mhm.

– Tu nie chodzi przede wszystkim o stronę fizyczną, może wręcz przeciwnie. Doznanie jest silniejsze bez fizycznego kontaktu. Wtedy nie ma wymagań.

Winter słuchał, czekał. Dostał od Bolgera jeszcze jedną wodę, nie musiał zamawiać.

Kobiety wyszły, nie próbowały już nawiązać kontaktu wzrokowego.

– Niektórzy z tych biedaków w showroomach byliby śmiertelnie przerażeni, gdyby mieli dotknąć żywego ciała – powiedział Bolger. – Te popieprzone zboki się tego boją.

– Chyba rozumiem – przyznał Winter.

– Ale apetyt rośnie, i nie mówię o najcięższych przypadkach, tych najbardziej ekskluzywnych klientach. Nagie ciało na zdjęciu nie wystarcza.

– I nie ma żadnych granic. Czy właśnie to chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że niektórzy chcą się zbliżyć do rzeczywistości tak bardzo, jak to tylko możliwe, i nie stać się tak naprawdę jej częścią. Tak blisko rzeczywistości, jak się da. Wtedy zaczynają się dość wygórowane oczekiwania wobec takiej rozrywki. Strasznie wygórowane. Strasznie. Rozumiesz?

– Miałeś kilka nazwisk – powiedział Winter.

– Ale nie dotyczy to spraw, o których mówiliśmy – odparł Bolger.

– Nigdy nie wiadomo.

– Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

– Ja też nigdy cię nie rozumiałem.

Byli jedynymi osobami w lokalu. Trójka od stolika stojącego pośrodku wyszła, machnęli Bolgerowi na pożegnanie.

Bolger puścił muzykę, specjalnie dla Wintera: Albert Ayler, dźwięki saksofonu tenorowego jakby jeszcze jedna istota w sali: *New York Eye and Ear Control*, nagrane siedemnastego czerwca 1964 roku, kiedy Erik Winter miał cztery lata i trzy miesiące.

– Nie rozumieliśmy, o co ci chodzi, kiedy założyłeś klub jazzowy w Rudebecks – powiedział Bolger, nawiązując do muzyki.

Winter organizował kameralne koncerty dla amatorów w prywatnym liceum. Kiedy skończył szkołę, to się skończyło.

– Słyszysz ten alt Johna Tchicai? – zapytał, a Bolger zamknął oczy.

– Nigdy cię nie rozumiałem – odparł. – Pieniądze cię zepsuły.

Winter uśmiechnął się i spojrział na zegarek.

– Dużo myślisz o tamtych czasach? – zapytał.

– O młodości? Tylko kiedy spotykam się z tobą – odpowiedział Bolger.

– Kłamiesz.

– Tak.

– Ja nigdy za tym nie tęsknię.

– Zależy, co masz na myśli.

– Mam na myśli wszystko – wyjaśnił Winter. – To był czas takiej niepewności, że człowiek za cholere nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

– Mhm.

– Całkowity brak kontroli nad własnym życiem.

– A teraz ją masz?

– Nie.

Jazz trzął ścianami, poruszał stoliki. Kiedy wyszli ostatni goście, dym opadł na podłogę.

– Nie wiesz, co się wokół ciebie dzieje. To brzmi jak całkiem niezły opis twojej pracy.

– To tylko praca – odparł Winter.

– Pieprzysz. Dla ciebie wcale nie.

Bolger wyciągnął rękę do przełączników i przyciemnił światło nad stolikiem. W kuchni łomotała zmywarka.

– Zawsze ktoś popełnia błąd – powiedział Winter.

– Na przykład okręgowa policja kryminalna.

– Prędzej czy później to odkryjemy i naprawimy – stwierdził Winter. – Zawsze tak jest.

– Może być za późno.

– Za późno? Dla kogo? Dla ofiary czy władz? Czy może dla społeczeństwa?

Johan Bolger wzruszył ramionami.

– Prędzej czy później znajdujemy wszystkie błędy – powiedział Winter. – A więc własne, ale też cudze. Tak to działa u nas, albo u mnie. Jeśli ktoś popełni błąd, znajdziemy go. A wszyscy je popełniają. Jeden albo więcej. Nam wystarczy jeden.

Bolger po cichu bił brawo. Było już grubo po północy. Ziewnął i spojrzał na Wintera.

– Znalazłeś pracę swoich marzeń – powiedział.

– Jasne.

– To co teraz będzie?

– Z czym?

– Kiedy naprawdę jedziesz do Londynu?

– Chyba pojutrze.

– Człowiek dawno tam nie był. Naprawdę minęło wiele lat.

– Ach tak. Mówiłeś to już. To dlaczego nie jedziesz?

– Ty jeździsz dość często.

– Nie tak często jak kiedyś.

- Szyte na miarę buty z tej snobistycznej ulicy. Jesteś wyjątkowy, Eriku.
- Każdy jest niepowtarzalny.

WINTER PRZECHADZAŁ SIĘ po mieszkaniu. Wracił do swoich notatek leżących na biurku, czytał, znów podejmował wędrówkę.

Beckman jutro, albo raczej dzisiaj, znów. Facet był świadkiem. Jak ważnym? Okaże się, kiedy stworzą razem twarz na monitorze, jeśli się da.

I wszyscy inni, których przesłuchali: fragmenty przywidzeń, a wszystko połączone siecią linków w komputerze Möllerströma.

Czy będą umieli wnikać pod powierzchnię? Wiedział, że istnieje straszliwy... biznes w mieście, niezbyt duży, ale jednak. Dlaczego miałoby go nie być? Północ nie jest żadną wolną strefą. Północ od dawna jest łączona z pornografią, choć raczej w kontekście wyzwolenia. Pozbyć się ubrań. Swego rodzaju naiwność, która spłynęła także na prawodawców, pomyślał. Zawsze tak było, ale teraz jest gorzej, trudniej. To wpływa na ludzi. Sprawia, że sami się niszczą, sami siebie pożerają.

Skrajne poniżanie stało się ważną gałęzią tego biznesu. Możliwą tylko dzięki niekompetencji rządzących, ich naiwnego trzymania się litery prawa, ich nieustannemu gadaniu, gadaniu, gadaniu.

Podszedł do wieży. Zrobił głośniej, aż muzyka zagrzmiiała w pokoju. Chodził w kółko i rozmyślał, a jego myśli rozbijały się na kawałki o muzykę. Uwolnione rozbiegały się na wszystkie strony, by za chwilę znów się połączyć, częściowo, a kiedyś może całkiem.

Ta muzyka to było to, co uważał za prawdziwą muzykę: John Coltrane, *The Father And The Son And The Holy Ghost*. Uczuć i myśli nie da się wypolerować ani wymusić na nich symetrii, czegoś, co z wierzchu ładnie wygląda. Muszą eksplodować tuż po narodzinach, natychmiast, w wyzywającym dysonansie, to ma być *sound*, który wywołuje ból w kanałach słuchowych, sięgający aż do wnętrza mózgu.

Jak muzyka Coltrane'a na *Meditations*, płycie, która się tu u mnie kręci: w poszukiwaniu jedności myśli lub całości... w tym szukaniu muszę rzucić się w ból, przebić ten ból, który oznacza rozdzielenie, pomyślał i uśmiechnął się. Kiedy Coltrane i Pharoah Sanders ze swoimi saksofonami tenorowymi idą własnymi szalonymi ścieżkami, jest to tylko droga prowadząca ku całości. To jest jak ocean, pomyślał, w którym fale przełamują się na

powierzchni, ale ocean zawsze jest jednością, zawsze jest w ruchu.

Jeśli chcę rozwiązać tę sprawę, muszę myśleć dysonansami, asymetrycznie. Tutaj nie jest takie jak trzeba.

Ta praca jest szukaniem, jak muzyka w moim mieszkaniu jest szukaniem. Nic nie jest gotowe od początku, rzadko też bywa potem, kiedy wygląda na skończone.

Czy jest w tym jakiś sens?

Pomyślał o Matsie. Umarł, zanim coś nareszcie zaczęło się dziać w tym, co miało być jego życiem. I o smutku, którego on, Winter, usiłował do siebie nie dopuścić, pomyślał o swoim własnym miejscu w życiu.

Spojrzał na zegarek, było kilka minut po trzeciej.

Nic nie ma końca, powiedział kiedyś Coltrane. Zawsze są jakieś nowe myśli, do których można dojść, ważne, żeby upraszczać i czyścić te myśli lub uczucia i dźwięki, żeby w końcu móc widzieć jaśniej, co się robi i jakim się jest.

Poważny ze mnie czort, pomyślał Winter z uśmiechem.

Stał jeszcze chwilę przy biurku. Podkreślał coś w notatkach, dopisywał i klikał, a potem wyłączył komputer. Muzyka ucichła. Winter wsłuchał się w odgłosy nocy. Najpierw nie słyszał nic, potem traktor przekopujący się przez śnieg. Przeciągnął się, ziewnął, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz.

W dole dawało się zauważyć początki ruchu. Miasto powoli i sztywno budziło się do nowego mroźnego dnia. Traktor było teraz słychać głośniejszy, jakby dźwięk dochodził z drugiej strony uniwersytetu, jakby ktoś zdecydował o natychmiastowym podjęciu wykopalisk w parku.

Skąd to poczucie, że jestem obserwowany?, pomyślał. Cały czas je miałem. Jedyłą rzeczą, jakiej brakuje, jest list od mordercy, pozdrowienia. Albo prośba o ratunek. Nie, to nie to. To coś innego. Może komunikat.

Czy to się stanie jeszcze raz? Czy znajdziemy podobne ślady? Czy w Londynie i Göteborgu użyto takiej samej broni? Czy to ta sama osoba? Dlaczego? Kto kursuje między tymi miastami? Kiedy? Czy to możliwe?

Sprawdzić listy pasażerów z ich lotów. Z Göteborga. Z Anglii. Sprawdzić wszystkie nazwiska, przesłuchać wszystkich, którzy wtedy z nimi lecieli. To początek jednego z końców. To poważne wyzwanie, samo to zajmie niesłychanie dużo czasu. Czy warto? Co innego możemy zrobić?

Pojadę do Londynu, a wtedy coś się we mnie wydarzy, pomyślał Winter. To jest to, czego teraz potrzebujemy... o ile w ogóle kiedyś wyjadę. Muszę stanąć w tym pokoju, w

którym to się stało, przejść się pobliskimi ulicami.

Nadal był rozedrgany, pracował na najwyższych obrotach. W mieszkaniu pod nim ktoś spuścił wodę. Gazeta spadła na chodnik przed drzwiami. Winter poszedł do przedpokoju.

Sprawa straciła już miejsce na pierwszej stronie. Sam właściwie nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Czy powróci jako bohater, czy z poczuciem klęski?

Czy to się może stać jeszcze raz? Jestem tylko człowiekiem, pomyślał, ale zrobię, co w mojej mocy.

W artykule na stronie szóstej nie było żadnych spekulacji, w ogóle niczego, co byłoby dla niego nowe. Czasami znajdował fantazyjne interpretacje rzeczywistości, ale nie tej nocy. Miał raczej wrażenie, że z tekstu, z całej strony, biją wielkie oczekiwania. Co się teraz stanie?

Zatrzymał się na chwilę w przedpokoju. Znów upuścił gazetę na podłogę i wrócił w krąg światła lampy stojącej na biurku. Za oknem wrzasnęła kawka, krótko potem rozległa się odpowiedź. Noc odchodziła, dało się rozpoznać wiele różnych dźwięków. Zmysły miał napięte, jakby nadwerężone czuwaniem i myśleniem.

Pomyślał o tym, co powiedział Bolger o dziewczynach: wjeżdżają na stację, a mężczyźni już na nie czekają. Słyszał już o tym, ale to nie była ta rzeczywistość, którą obserwował. Rzeczywistość to nie dziewczyny, które zjeżdżają się tu z zapachami wsi w ubraniach i zmartwionymi rodzicami siedzącymi przed kominkami w czerwonych domkach. Znał inne poníženie, świecące jak ponure słońce: kobiety tańczące na stołach w klubach, wijące się za szybami, przyjmujące mężczyzn do swoich ciał. Zdążyły do tego celu od urodzenia, a może wyruszyły jeszcze wcześniej. Nikt nie wchodził w krąg czerwonego światła ze zdrowymi rumieńcami na policzkach. Ludzkość, jaką chciał widzieć, była gdzie indziej, nigdy w pokojach, w których dorastały tamte dziewczyny. I chłopcy. Społeczeństwo? Gdzie jest porządne społeczeństwo?

Winter stanął pod prysznicem. Myśli kłębiły się pod spływającymi mu na głowę strumieniami wody. Długo tak stał. Część zmęczenia spłynęła z jego ciała wraz z wodą i zniknęła w kratce ściekowej. Wycierał się mocno wielkim ręcznikiem, aż poczuł, że ma zaczerwienioną skórę i powoli ogarnia go ciepło. Wyszorował zęby, owinał się ręcznikiem kąpielowym i poszedł do sypialni. Odchylił pościel, usiadł na łóżku i zastygł w bezruchu.

Jestem facetem z poczuciem moralności, pomyślał. Nie wiem wprawdzie, jak ona wygląda, ale może to nie takie ważne.

Chcę naprawiać błędy, które widzę, ale zawsze zjawiam się za późno. Próbuje lekceważyć tradycje, kiedy ich nie potrzebuję, a to prowadzi mnie na straszliwe manowce. Próbuje zbadać motywy i uczucia ofiar, z którymi mam do czynienia, zarówno żywych, jak i

martwych. Włamuję się do życia i śmierci innych ludzi. Pozwalam sobie cierpieć razem z nimi, daję się ranić jak oni. To to mnie utrzymuje w ruchu. Mógłbym w związku z tym po prostu siedzieć w jednym miejscu, ale u mnie to wygląda inaczej. Mam swoją twarz pod kontrolą.

Myślał o obscenicznych zdjęciach, które miał pod ręką. Miejsce zbrodni było czymś obscenicznym, dla żywych nie ma nic gorszego do oglądania. Te obrazy prześladowały go, jakby zarażony wściekłym psem biegał za nim po ulicy.

Powrócił do tamtych dwóch pokoi, ostatnich chwil życia tamtych dwóch chłopaków. To było dwa dni temu. Zmierał do nich różnymi drogami, rozmyślał o otoczeniu, zatrzymywał się w pokojach, wracał wolniejszym krokiem.

Co się stało potem? Którędy wyszedł morderca? Winter przeciągnął dłonią po piersiach. Czuł miękkość łóżka, wrócił w myślach w tamto miejsce: stał na schodach akademika i patrzył na pobliskie osiedle. Po dłuższej chwili miał wrażenie, że gdzieś mignął mu kawałek torby i łokieć skracający za róg. Poczł napięcie w głowie i zamknął oczy. Otworzył je z powrotem i ruch zniknął. Wiedział, co to był za róg, niedaleko Eklandagatan. Poszedł tam, gdzie widział ten ruch, stanął i popatrzył na północny wschód. I znów zobaczył znikający za rogiem łokieć i objającą się ciężko o ciało torbę.

Ruszył w pogoń. Biegł między samochodami, ze wzrokiem wbitym w coś, co teraz przybrało kształt całych pleców, tyłu głowy niżej na zbiegu, na wysokości hotelu Panorama. Krzyknął, żeby zwrócić uwagę tego kogoś, żeby się zatrzymał na dostatecznie długo, żeby mógł zobaczyć, kto to jest, a potem...

Winter był coraz bliżej. Nikt nie słyszał jego krzyku ani go nie widział. Biegł coraz szybciej, był już całkiem niedaleko postaci, która zdecydowanym krokiem schodziła ulicą w dół. Łokieć wymachiwał we własnym rytmie, torba objęła się o udo przy każdym kroku. W skórzanej kurtce tego mężczyzny było coś, co widział już kiedyś... coś, co rozpoznawał. Dzieliły ich już tylko trzy metry i mężczyzna idący przed nim zauważył go. Zgiął się i odwrócił, a Winter znów krzyknął, kiedy zobaczył, kto to jest.

Uniósł rękę, żeby się zasłonić, i podszedł jeszcze bliżej. Wtedy usłyszał muzykę. Walila go po oczach, w szalonym tempie.

Zamachnął się i strącił budzik z szafki nocnej. Drżał, roztrzęsiony po tym, co mu się śniło. Spojrzał wprost na ścianę. Czuł napięcie w boku i w biodrach. Pótleżał na łóżku, nogi nadal

miął na podłodze. Zasnął w samym środku myśli, siedząc na brzegu łóżka. Musiał upaść prosto na poduszkę, wcale tego nie zauważył.

Poczuł suchość w gardle, jakby we śnie wszystko z siebie wykrzyczał. Wciąż leżał w tej samej pozycji. Spróbował wrócić do tej sekundy tuż przed przebudzeniem. Tylko sekunda. Próbował zobaczyć twarz, która była tak blisko. Ale twarz zniknęła.

LARS BERGENHEM ODWIEDZIŁ takie miejsce może dwa, trzy razy, nie więcej. Za każdym razem z uśmiechem zażenowania. I było to dawno temu. Pamiętał tylko nagie ciała na papierze, wszędzie, i lekkie uczucie wstydu, które potem długo się do niego lepiło.

Zaparkował sto metrów dalej i przeszedł przez ulicę pod Riverside. To był czwarty klub, który odwiedzał. Był też w kilku innych, takich, które nie reklamowały się tak mocno.

Wejście do Riverside było jednak dyskretne. Drzwi, obok tabliczka z godzinami otwarcia. Pociągnął ciężkie drzwi i wszedł prosto do wielkiej sali pełnej gazet. Rozmieszczono je na ścianach, jak w czytelni czasopism. Zobaczył mężczyzn przy półkach, ale było ich niewiele. Skręcił w lewo. Czuł się bardzo skrepowany, spojrzał na stojaki z prasą i szedł naprzód.

W dalszej części sali zobaczył przysłonięte kotarą drzwi i coś w rodzaju kabiny, w której opłacało się wstęp. Zapłacił. Wszedł, zostawił płaszcz w niestrzeżonej szatni i usiadł przy jednym ze stolików. Do jego stolika podeszła dziewczyna. Zapytała, czego się napije. Zamówił niskoprocentowe piwo. Kelnerka wyszła przez wahadłowe drzwi i wróciła z butelką i szklanką.

– Witamy w Riverside – powiedziała z uśmiechem.

Lars Bergenhem skinął głową i zrobiło mu się bardzo głupio. To to samo uczucie co gdzie indziej. Czy mam ją poprosić, żeby usiadła?, pomyślał. Czy tu nie chodzi o to, że ona jest chętna?

– Show zaczyna się za pięć minut – powiedziała i znów się uśmiechnęła.

Bergenhem znów skinął głową. Czy ona się zastanawia, po co tu przyszedłem? Może tak w ogóle studiuje na uniwersytecie i patrzy na mnie z pogardą? Czy to ma jakieś znaczenie? Dlaczego tak myślę? Przecież jestem tu służbowo. To mnie odróżnia od prawdziwych profesjonalistów. Czy oni widzą, że jestem gliną, gdy tylko przestępuję próg?

Zaczął się show. Śpiewała Tina Turner, na cały regulator. Dwie kobiety tańczyły na przeciwległych krańcach podwyższenia na podłodze, czegoś w rodzaju sceny. Poruszały się coraz szybciej w takt muzyki. Bergenhem pomyślał o aerobiku.

Striptiz skończył się po kwadransie. Widział piersi i pośladki. Brodawki jednej z

kobiet były duże i brązowe, jakby rozmazane na pól piersi.

Druga kobieta był młodsza i gorzej jej szło, jakby dopiero co nauczyła się tańczyć. Jej szczupłe ciało w świetle reflektorów wyglądało na zmarznięte.

Usiadła na krześle zwróconym oparciem do publiczności, rozłożyła nogi i spojrzała na mężczyzn. Udawała, że ich prowokuje. Nie była jeszcze dobrą aktorką. Bergenhem poczuł do niej sympatię, może nawet onieśmienie. Jest tu obca, tak samo jak ja. Nie jest przyzwyczajona do czerwonych świateł.

To nikogo nie może uszczęśliwić, pomyślał, nawet jeśli podnieca, nawet kiedy tak kręca piersiami. To nie daje szczęścia ani podniecenia, tylko wielkie nic, które każe tęsknić za innym powietrzem.

Ta z przodu, młodsza i szczuplejsza... wygląda na zranioną, jakby się chroniła we własnym ciele, pomyślał. Jakby po zejściu ze sceny czekało ją coś innego, gorszego. Jakby to była jaśniejsza strona tego wszystkiego. To po prostu chwila na taniec.

Wstał od stolika i ruszył do drzwi po lewej stronie. Prowadziły do sali kinowej. Erotic Nightclub Riverside miał trzydzieści kabin projekcyjnych, wyposażonych w pilota, kosz na śmieci i rolkę papieru toaletowego i trzy większe sale kinowe. Pokazywano w nich to samo co w innych klubach, które odwiedzał.

Odgłosy te same, ruchy też, niezbyt dużo potu i wysiłku. Kiedy pierwszy raz siedział na takim seansie, miał nadzieję, że poczuje podniecenie, ale jego ciało zmęczyło się i zwiotczało już po chwili. Penis znów ułożył się w spoczynku między nogami.

Teraz znów siedział w takim miejscu i czuł się, jakby podglądał coś, co go w gruncie rzeczy nie interesuje. Dziwne uczucie, pomyślał. Nie wiem, z czym można je porównać.

Przeszukał półki w sklepie, ale nie znalazł nic poza tym, czego się spodziewał. W najdalszym kącie umieszczono pisma o seksie fekalnym, ale to też nie było nic nowego. W takich miejscach zawsze spotyka się ludzi, którzy starają się sprawiać wrażenie, że po prostu przechodzili obok i wcale nie są zainteresowani. Czasem wyglądało to nieco dziwnie, jakby facet szedł w różne strony równocześnie.

Wszystkie filmy, jakie oglądał, były ostre, ale to wszystko. Pytał w kilku miejscach, ale w odpowiedzi tylko na niego patrzyli. Ale też nie spodziewał się niczego innego. Rozmawiał z kilkoma dziewczynami, z paroma pracownikami.

Było tak, jak się spodziewał. Potrzeba na to więcej czasu i teraz, tu, w Riverside, poczuł się gotowy na następny krok.

Winter siedział przed ekranem komputera, patrząc na twarz, którą Beckman bez pośpiechu naszkicował. Zdawał sobie sprawę, że poleganie na takich obrazach jest niebezpieczne. Miał przed sobą oblicze stworzone przez kogoś, kto widział tył głowy i profil, a na tym niewiele da się zbudować. Przyjrzał się jeszcze raz, ale niczego nie rozpoznał.

Polecili Beckmanowi, żeby pomyślał o pracy, o tym, co i kiedy widział na trasie. Bertil Ringmar rzucił: „Powodzenia!”. Zarówno Beckman, jak i Winter popatrzyli na niego nieufnie.

Winter wstał, sięgnął po płaszcz wiszący na wieszaku przy drzwiach i poszedł do windy. Deszcz chłostał szyby na klatce schodowej.

To jest najgorsze, pomyślał Winter. Z tej cholernej pluchy nie ma żadnego pożytku. Śnieg już został spłukany, poziom wód gruntowych jest w porządku. Teraz deszcz tylko wlewa się za kołnierz, ochładza wszystko i obniża humor do poziomu zerowego. A tydzień temu tak się cieszyłem, byłem szczęśliwy.

Podjechał kawałek pod adres przy Kobbarnas väg i odstawił samochód na parking dla niepełnosprawnych. Douglas Svensson mieszkał na czwartym piętrze. Stojąc w salonie właściciela pubu, Winter częściowo widział swoje miejsce pracy w śródmieściu.

– Już rozmawiałem z gli... policją – oświadczył Douglas Svensson.

– Jeden raz się nie liczy – odparł Winter.

– Słucham?

– Czasami musimy dopytywać – wyjaśnił Winter.

Zastanawiał się, czy ten mężczyzna na pewno się nadaje na właściciela pubu. Douglas Svensson sprawiał wrażenie, jakby został zmuszony do wyjścia na scenę albo jakby musiał coś powiedzieć, choć przysięgał sobie nie komunikować się ze światem. Winter nigdy nie był w jego pubie. Może tam był promienny i kontaktowy.

– Proszę, niech pan wejdzie na górę – powiedział Svensson.

Winter porozmawiał z dwoma chłopakami, których nazwiska dostał od Bolgera. Douglas Svensson powiedział mu, że to koledzy Jamiego Robertsona. Nie dało to wiele. Potwierdziło się tylko, że chłopcy mogli być gejami, ale nie potrafili powiedzieć, czy Jamie Robertson też. „Ale to się wkrótce okaże”, powiedzieli, a Winter nie wiedział, co mają na myśli. Potem nie chcieli już powiedzieć nic więcej. Winter odniósł wrażenie, że się czegoś obawiają.

Byli rozkojarzeni, na kilka sposobów.

Douglas Svensson czekał, co powie policja. Winter wyjął z aktówki portret pamięciowy i podsunął mu go.

– Czy ta twarz cokolwiek panu mówi?

– A kto to jest?

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan coś w tej twarzy rozpoznaje.

– Coś? Czyli na przykład nos albo oczy? – Douglas Svensson spojrział na portret.

Obracał go w rękach, popatrzył na Wintera. – Wygląda na kogoś z Marsa.

– To portret stworzony w komputerze przy pomocy naocznego świadka.

– W komputerze, hę?

– Tak.

– Czego to wy nie potraficie.

– Czy rozpoznaje pan tę twarz?

– Nie.

– Nic?

– Nawet nosa.

Winter zastanawiał się chwilę, co dalej. To mogło być ważne. Douglas Svensson spojrział na niego nieufnie.

– Jakim człowiekiem był... Jamie? – zapytał Winter.

– Co?

– Jamie Robertson. Czy łatwo dogadywał się z ludźmi?

– Z jakimi ludźmi?

– Może zaczniemy od pana i pracowników.

– To ja i jeszcze jeden, i jeszcze pół. To znaczy teraz, po tamtym. To znaczy teraz – powtórzył. – Po tamtym.

– Wiem.

– To dlaczego pan pyta?

– Chodziło mi o to, jak się dogadywaliście.

Właściciel pubu sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Jego twarz nabrała innego wyrazu, jakby dopiero teraz zrozumiał, co się stało. Skóra mu pociemniała, spojrział w inną stronę. Może to jakiś rodzaj żałoby, pomyślał Winter.

Czekał. Ciężkie pojazdy huczały w dole. Jechały do Tingstadstunneln albo stamtąd. To dźwięk, do którego trudno się przyzwyczaić, pomyślał.

Gdzieś tu w pobliżu złapałem dwóch złodziei samochodów. Przypomniała mu się tamta kobieta: numer jej telefonu miał w portfelu, jak rezerwę na czarną godzinę. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić. Głównie z ciekawości, ale nie miał dość czasu.

– Zawsze się dogadywaliśmy – odezwał się wreszcie Douglas Svensson. – Jamie był

lubiany, jego angielski czy też szkocki, należałoby powiedzieć, był atrakcją pubu.

– Żadnych kłótni?

– Z kimś z nas? Nigdy.

– Z nikim innym też nie?

– Awantury między pracownikami mojego pubu i gośćmi? Dlaczego coś takiego miałyby się zdarzyć?

– To normalne.

– U mnie?

– W ogóle.

– Ale co, do kur... tak jest, kiedy się bierze świrów na bramkarzy. My nie mamy bramkarzy, więc nie ma świrów. Nie mam nawet szatni.

– Dobra – przyznał Winter. – Ale jeśli odwrócimy sprawę: czy byli jacyś stali goście, z którymi Jamie rozmawiał nieco więcej?

– Nic o tym nie wiem.

– Stałych bywalców chyba macie?

– Wielu. Więcej, niż macie w areszcie, jak sędzę – odparł Douglas Svensson, nie zdradzając wyrazem twarzy, czy to miał być żart.

Winter przypomniał sobie, co powiedział Bolger. Douglas Svensson wspominał o twarzy, która pojawiła się więcej razy. Żaden stały bywalec ani nowy stały bywalec. Winter nie chciał wymieniać nazwiska Bolgera. Krążył wokół tej kwestii, zbliżał się, starał się kierować rozmowę w tę stronę tak ostrożnie, jak tylko potrafił, i jednocześnie tak zdecydowanie, jak tylko się odważył.

– Żadnych nowych stałych klientów?

– Co?

– Czy nie było jakichś nowych gości, którzy przesiadywali przy barze i rozmawiali z Jamiem, czy coś w tym rodzaju?

– Z barmanem gadają wszyscy i nikt – odparł Svensson, jakby wprawiał się w tworzeniu nowych skrzydlatych słów. – Barman słucha, kiedy my, zwykli ludzie, mamy kłopoty. To trochę pomaga stanąć na nogi.

– Dobrze powiedziane.

Douglas Svensson skinął głową, jak mógłby skinąć Arystoteles do swego ucznia: Tragedia jest drogą do oczyszczenia, mój synu.

Wierzmy w Wielkiego Barmana w niebie, pomyślał, *The Father And The Son And The Holy Ghost*, usłyszał rozgadane głosy w głowie.

– A więc Jamie Robertson był dobrym słuchaczem?

Douglas Svensson rozłożył ręce, jakby to było oczywiste. Chłopak może był młody, ale był barmanem.

– Czy był ktoś, kogo słuchał najczęściej? – zapytał Winter.

– Trudno tak od razu powiedzieć. Człowiek sam jest bardzo zajęty, kiedy stoi za barem.

– A więc nikogo szczególnego?

Douglas Svensson nie odpowiedział.

– Nikogo szczególnego? – powtórzył Winter.

– Był taki ktoś... kogo nie widziałem wcześniej. Przychodził nawet dość często... może na kilka tygodni, zanim Jamie... zanim to się stało.

Wreszcie, pomyślał Winter. Ta praca jest wspaniała, kiedy po trzydziestej próbie piłka wpada do dołka.

– A więc rozpoznawał pan jakąś konkretną twarz?

– Nie wiem, czy mogę tak powiedzieć. To znaczy, czy teraz rozpoznałbym tego kogoś. Ale był ktoś, kto siedział przy barze kilka razy albo coś koło tego, a wcześniej go nie widziałem.

– Czy rozmawiał pan z nim?

– Tego nie pamiętam.

– Ale Jamie z nim rozmawiał?

– Ten koleś siedział albo stał tam kilka razy, kiedy Jamie miał zmianę albo kiedy mieliśmy happy hours i pracowaliśmy obaj, czyli każdy miał swoją część baru.

– A więc mógł rozmawiać z Jamiem?

– Musiał przecież zamawiać.

– Czy mógłby pan go rozpoznać?

– Nie wiem, już mówiłem.

– Ale nie przypominał tego tutaj? – zapytał Winter, wskazując portret leżący na stole pomiędzy nimi.

– Ani trochę – odparł Douglas Svensson.

– Więc zrobimy lepszy – stwierdził Winter.

Bertil Ringmar pilnował śledztwa razem z Winterem, dyszał wszystkim w kark. Złapał lekką gripę, lecz nie przyznawał się do tego. We wczesnych godzinach rannych miał napady kaszlu

i do wieczora unikał kiepskiego powietrza. Chętnie zamieniłby kilka słów z Birgerssonem, ale go nie szukał.

Spotkali się przypadkiem na schodach między czwartym i piątym piętrem. Jakaś odmiana po spotkaniach bez słów w windzie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, ale wymienili uścisk dłoni.

– Dobrze idzie, jak słyszę – powiedział Birgersson.

– Bardzo – przyznał Ringmar.

– Dzięki tobie, Bertilu.

Ringmar nie odpowiedział, tylko pokornie schylił głowę, jakby chciał pokazać, ile dla niego znaczą te dobre słowa.

– Dopilnuj, żeby Winter nie broił za bardzo – powiedział Birgersson. – Ten żółtodziób potrafi to robić, a potem my, starzy wyjadacze, musimy sprzątać ruiny.

Kiedy się ma przyjaciół takich jak ty, nie potrzeba wrogów, pomyślał Ringmar. To nieustająco trzyma człowieka w pionie, każe robić wszystko, co w jego mocy.

– Tak to jest – powiedział po krótkiej chwili.

– Ale co? – zapytał Birgersson.

– Że to my, policjanci, musimy sprzątać w ruinach szwedzkiego społeczeństwa dobrobytu.

Birgersson wbił w niego wzrok.

– Tak to jest – dodał Ringmar. – Tylko tacy starzy wyjadacze jak my to rozumieją.

– Musimy kiedyś o tym porozmawiać – powiedział Birgersson. – Chciałbym usłyszeć, co o tym myślisz, tak szybko, jak to możliwe.

– Dzisiaj po południu?

– Ehm... mam spotkanie, ale... nie, jeszcze zobaczę. Zadzwoń.

Ringmar skinął głową i uśmiechnął się przyjaźnie. Ten uścisk dłoni jest zaraźliwy, pomyślał. Coś ci na pewno stanie na przeszkodzie, Sture.

– See you! – zawołał Detective Super Intendent Sture Birgersson i zniknął.

Ringmar wszedł do siebie. Sięgnął po telefon, który natychmiast zaczął dzwonić, jakby był połączony z czujnikiem ruchu na progu.

– Halo? – mruknął.

– Mam tu rozmowę, wydaje mi się, że to do ciebie – odezwał się Janne Möllerström.

– Dlaczego?

– Chodzi o korespondencję. To ta druga osoba od listów.

– Kto? – zapytał Ringmar, ale natychmiast zrozumiał. – Łącz natychmiast, do diabła.

Usłyszał trzask w słuchawce, potem jakiś głos:

– Tak, halo?

– Mówi komisarz policji kryminalnej Bertil Ringmar.

– Ta...

– Z kim rozmawiam?

– Czy muszę to mówić? Mam...

– A o co chodzi? – przerwał Ringmar.

– No bo chodzi o to, co było w gazecie... że szukacie kogoś, kto mógł korespondować z tym Anglikiem, co... co go zabili.

– Tak?

– To ja – odpowiedział głos w telefonie.

Ringmar czekał na więcej. Głos brzmiał młodo, ale nigdy nie wiadomo na pewno. Czasem wyobrażał sobie osobę, której głos słyszał przez telefon, jako najwyżej dwudziestoletnią, a kiedy zobaczył twarz, musiał dołożyć pięćdziesiąt lat.

– Halo? – odezwał się głos.

– Czy pan korespondował z Geoffem Hillierem?

Bez odpowiedzi.

Ringmar powtórzył pytanie.

– Tak – odpowiedział głos po drugiej stronie.

– To dla nas bardzo ważne. Musimy się spotkać i porozmawiać o tym.

– Porozmawiać?

– Tak. Nie chodzi o żadne przesłuchanie – wyjaśnił Ringmar.

– A nie wystarczy tylko tak?

– Nie.

– Nie wiem...

– Potrzebujemy pomocy, żeby to wyjaśnić, a to, co pan powie, może mieć decydujące znaczenie. – Zaraz powiem, że możemy go zlokalizować i że za dziesięć minut będziemy u niego w domu, pomyślał. – Możemy wysłać samochód.

– Nieee... sam przyjadę.

Lars Bergenhem wrócił do sali, w której wciąż odbywał się show. Na scenie stały dwie kobiety, nie od razu je rozpoznał. Po krótkiej chwili zobaczył, że została tylko jedna, starsza. Młodszej nie było na sali.

Usiadł znów przy stoliku. Lokal jakby się zmniejszył, zappełnił ludźmi i zadymił. Było więcej mężczyzn. Zajmowali wszystkie stoliki i oglądali striptiz głodnymi oczami. Tina Turner śpiewała o tym, co miłość ma z tym wszystkim wspólnego.

Bergenhem dostrzegł młodszą z nich. Siedziała przy stoliku i rozmawiała z dwoma mężczyznami. Nie spodobał mu się ten widok.

Zdziwił się, kiedy stwierdził, że ta scena budzi w nim niechęć: nie podobało mu się, że rozmawia z tymi dwoma cholernymi zбочzonymi świniami. To nie moralność sprawia, że pali mnie płomień gniewu, ani smutek, ani żadne inne cholerne uczucie. Nie mam z tym nic wspólnego, ale nie podoba mi się, że ona tam siedzi i z nimi rozmawia.

Jest w moim wieku, o ile nie jest czternastolatką, która się szybko zestarzała. Faceci mają około czterdziestki piątki i już są nie do uratowania. Mam ich w dupie. W ogóle nie powinienem się tym przejmować.

W pewnej chwili dziewczyna wstała. Jeden z mężczyzn podążył za nią. Wyszli drzwiami po prawej stronie, obok sceny. Bergenhem odprowadził ich wzrokiem.

– Inspektor Bergenhem?

Jakiś ruch po prawej stronie. Podniósł wzrok na mężczyznę, który niezauważenie podszedł do jego stolika: blond włosy związane w kucyk, garnitur połyskujący matowo w kolorowych światłach ze sceny, pod nim ciało, które podniosło niejedną ciężar na siłowni, pomyślał Bergenhem. Ale w tym świetle dobrze nie widzę.

Lekko się wyprostował.

– Tak?

– Pan o mnie pytał?

– Tak, no właśnie – przyznał Bergenhem, wstając. – Mam kilka pyt...

– Może pójdziemy do mojego biura? – zaproponował mężczyzna i rozejrzał się po sali.

Ogarnął wzrokiem scenę, a potem wrócił do Bergenhema. – Tędy – powiedział, wskazując

pokój wypełniony rzędami czasopism.

Weszli do pokoju zaraz po prawej stronie, za draperią. Okna wychodziły na podwórko. Bergenhem się zdziwił. To były pierwsze okna, jakie zobaczył w Riverside. Mężczyzna zatrzymał się w progu, jakby czekał, aż Bergenhem coś powie albo zrobi.

– Cieszę się, że gra pan w otwarte karty – powiedział wreszcie.

– Słucham?

– Otwarte karty – powiedział mężczyzna. – To dobrze, że policja nie myszkuje po kątach i nie udaje kogoś innego.

– To byłoby niemożliwe.

– Po pewnym czasie.

– Może.

– Ale to irytujące. Jakby nam nie ufano, jakby nie wierzono, że potrafimy sami o siebie zadbać, zajmować się tym, czym się zajmujemy.

Bergenhem nie odpowiedział. Słyszał, czym się zajmują przez ścianę. Tina Turner, ale głównie dudnienie basu na dnie dusznego soulu. Brzmiało to, jakby Tina śpiewała z beczką na głowie.

– Pytał pan o mnie przed chwilą – powtórzył mężczyzna.

– Ale nie było potrzeby, żeby pan tam po mnie przychodził.

– Nie mamy nic do ukrycia.

– Wcale tak nie sędzę.

– A więc o co chodzi?

Bergenhem zdradził tyle, ile miało prawo. Słucha, jakby miał stopery wbite w uszy, ale widzę, że wszystko do niego dociera, pomyślał. Słucha wszystkiego i odpowie na to, co własnym zdaniem usłyszał.

Nie mówił nic o szczegółach śledztwa. Napomknął tylko o podejrzeniach, to wszystko.

– Filmy *snuff*? W Göteborgu?

Mężczyzna siedział rozparty w jednym z dwóch foteli, z nogą założoną na nogę. Palił papierosa. Dym ciągnął powoli w stronę okna i przez szparę wypływał w noc.

Bergenhem usłyszał przez okno dwa sygnały z dworca. Stacja rozrządowa znajdowała się trzysta metrów dalej, pusta i smagana wiatrem, z rzadka odwiedzana przez zderzające się ze sobą wagony towarowe.

– Nigdy o niczym takim nie słyszałem – odparł mężczyzna. Na jego twarzy malowało się wyraźne powątpiewanie. – Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

– Odwiedzamy wszystkich, którzy prowadzą podobną działalność – skłamał

Berghemem.

– Nigdy o niczym takim nie słyszałem – powtórzył mężczyzna.

– Chyba jednak pan musiał?

– Myśli pan, że kłamię?

– O tego rodzaju filmach – uściślił Berghemem. – Musiał pan chyba słyszeć o tego rodzaju filmach?

Mężczyzna spojrział na Berghemema, jakby ten sobie z niego kpił.

– Czy pan ze mnie kpi?

– Słucham?

– Chodzi panu o filmy *snuff* w Göteborgu, o ile dobrze zrozumiałem. A nie, do kurwy nędzy, o to, co ludzie wyprawiają w Kolumbii czy Los Angeles albo w Londynie, czy gdzie też to może być popularne.

– Czy nigdy nie widział pan takiego filmu? – zapytał Berghemem i natychmiast poczuł, że popełnił błąd. To było niezręczne, pomyślał, ale działał w dobrej sprawie.

– Siedzę tu z własnej woli i odpowiadam na pańskie idiotyczne pytania.

Berghemem nie zareagował. Zastanawiał się, co dalej. Wiatr za oknem niósł ze sobą coś, co brzmiało jak zderzenie dwóch wagonów, żelazo o żelazo.

– Ale niech będzie – rzucił mężczyzna. – Nigdy nie widziałem takiego filmu. A pan?

– Co?

– Czy pan widział taki film? Jest pan inspektorem kryminalnym, zakładam, że musiał pan widzieć prawie wszystko.

– Tego nigdy.

– A dlaczego nie?

Berghemem osunął się nieco niżej. Dźwięki basu dochodzące przez ścianę stały się cięższe i głębsze, jak gdyby taniec zmienił tempo. Żadne ludzkie głosy nie przenikały ani przez ścianę, ani przez drzwi.

Mężczyzna zgasił papierosa, wstał, podszedł do okna i uchylił je na dwadzieścia centymetrów, jakby chciał wypuścić trujące powietrze.

Berghemem usłyszał z zewnątrz tylko ciszę, jakby przedtem szpara warunkowała odbiór dźwięków. Otwarte okno oznaczało ciszę. To jak z tymi nowymi pociągami?, pomyślał. Są coraz szybsze, ale i coraz cichsze. W końcu wcale się ich nie słyszy i nie zauważa, dopóki się nie wyląduje pod kołami.

Mężczyzna zamknął okno i zwrócił się do gościa:

– Nie widział pan nic takiego, bo takich rzeczy nie można zobaczyć – powiedział. –

Göteborczyk może nie jest tym, czym był przedtem, jeśli chodzi o dobroć, ale dla produkcji spod znaku *snuff* nie ma rynku w tym mieście.

Bergnhem słuchał, czekał.

– Myśli pan, że jestem... idealistą, który dobrze myśli o mieszkańcach tego miasta? Jeśli chodzi o te rzeczy, rozmawia pan z niewłaściwą osobą. Ale coś takiego tutaj by nie poszło. Nie jesteśmy jeszcze wystarczająco źli albo wystarczająco sfrustrowani, albo pokręceni.

– Jeszcze?

– Jeszcze, właśnie tak. To przyjdzie, ale jeszcze nie jesteśmy tak naprawdę gotowi.

– Jest pan chyba pewien.

– Wie pan, dlaczego w ogóle coś o tym panu mówię? Bo nawet u nas istnieje coś w rodzaju moralności.

– A jak ona wygląda?

– Co?

– Jak ta moralność wygląda? Czy składa się pół na pół z miłości bliźniego i chęci zysku?

Mężczyzna spojrział na niego, jakby się zastanawiał, jak się potem pozbędzie ciała.

– Są granice – rzucił krótko.

– A więc tylko w tym mieście?

Mężczyzna nie odpowiedział. Bawił się szwem marynarki, gładził się po grzbiecie nosa. W ciągu minuty zerwie się i podziękuje za uwagę. Bergnhem domyślał się tego. Czy powiedziałby coś, gdyby miał jakieś ukierunkowane podejrzenia? Gadka o moralności brzmiała podniośle i pusto, jak dźwięki basu dochodzące przez ścianę. Właśnie ustały, przerwa w show.

– Nigdy nie zgłaszali się do pana goście ze... specjalnymi życzeniami? Którzy chcieliby zobaczyć coś więcej, coś szczególnego? – zapytał Bergnhem.

– Tylko pan – odparł mężczyzna.

– Nic, co wykraczałoby poza wystawiony asortyment?

– Wystawiony asortyment? A to coś nowego.

– Chyba pan wie, co mam na myśli.

– Nie.

– Naprawdę pan nie wie? Niech pan przest...

– Chciałem powiedzieć, że nie spotykamy się z takimi życzeniami, ponieważ mamy wszystko, czego nasi goście mogą sobie życzyć. Nie wiem, jak dobrze zna się pan na

współczesnej sztuce filmowej, ale sądzę, że zdziwiłby się pan, inspektorze, ile rzeczy dzisiaj dopuszcza prawo.

– Okej.

– Coś jeszcze?

W tej chwili nie, pomyślał Bergenhem, ale na pewno wrócę. Powiedzieliście coś, czego nie zrozumiałem... jeszcze. Powinienem mieć ze sobą dyktafon. Muszę iść i spisać tę rozmowę.

– Nie – powiedział i wstał.

Wyszli z pokoju. Bergenhem usłyszał, że muzyka znów zaczyna grać. Podeszedł do draperii i zajrzał do sali. Wszedł, popatrzył na występ. Młoda kobieta znów była na scenie, ruszała się w takt piosenki Tiny Turner, z oczami utkwionymi w innym świecie. Bergenhem stał chwilę. Kiedy wychodził, mężczyzna odprowadził go wzrokiem.

Siedzieli w pokoju Ringmara. Było późne popołudnie. Winter czytał protokoły przesłuchań.

– Co sądzisz? – spytał Ringmar.

– Niewiele można powiedzieć – odparł Winter.

– Wyglądało, jakby się wstydził – stwierdził Ringmar.

– Że nie odezwał się do nas w sprawie listu?

– Wiesz, o czym mówię.

– To jakaś bzdura, że ludzie dalej muszą się z tym kryć, mimo całej tej otwartości.

– A może jest jeszcze jakiś inny list? – zastanawiał się głośno Ringmar.

Że jakiś inny list miałby być jedną z pokus, które ściągnęły Geoffa Hilliera do Göteborga? Uwierzę, jak zobaczę.

– Czy to normalne? Takie coś w internecie?

Ringmar wskazał protokół.

– Ludzie często szukają kontaktów przez internet – odparł Winter. – Hillier i tamten chłopak najwyraźniej tak się poznali.

– Właściwie nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego potem pisali do siebie tradycyjne listy – powiedział Ringmar.

– Widziałem.

– Może chodziło o... dyskrecję.

– Być może. Powrót do starych metod. Sekrety.

– Ale to musimy chyba odłożyć na bok – powiedział Ringmar.

– Zastanawiałem się, dlaczego Hillier nie miał u siebie żadnego listu od tego chłopaka – oznajmił Winter. – Chyba nie miał powodu, żeby go zniszczyć?

– Nie.

– Więc co to mogło być?

– Może nie należał do tych, co przechowują listy?

– List od chłopaka? Który był ważnym powodem jego przyjazdu tutaj?

Bertil Ringmar rozłożył ramiona w geście bezradności.

– Może właśnie go zachował – powiedział Winter. – Tylko ktoś inny się nim zajął.

– Dlaczego?

– Mogło tam coś być, jakieś informacje.

– Co takiego?

– Właśnie się zastanawiam.

– I to on go wziął? Hitchcock zabrał list?

– Tak.

– Bo było w nim coś, co mogło rzucić jakieś światło na sprawę?

– Nie wiem. Zastanawiam się.

Winter sięgnął po paczkę corpsów, ale uświadomił sobie, gdzie jest. Ringmar nie był wielbicieleм dymu z cygaretek w swoim pokoju, kłębow dymu i zapachów, które całe lata świetlne utrzymywały się w pomieszczeniu.

– Może pójdziemy do mnie? – zaproponował Winter.

– A co jest nie tak z moim pokojem? – zapytał Ringmar ze złośliwym uśmiechem. – Kopsnij tę paczkę.

– Co?

– Dawaj tę śmierdzącą paczkę – powtórzył Ringmar.

Winter wyjął cygaretki z wewnętrznej kieszonki i rzucił w stronę kolegi. Ringmar przysunął je sobie pod oczy, jak krótkowidz.

– *Tobacco seriously damages your health* – odczytał napis z jednej strony.

– Jest jeszcze coś, z drugiej strony – podpowiedział Winter, a Ringmar przekreślił paczkę.

– *Smoking causes cancer* – odczytał.

– To tylko cygaretki – odparł Winter. – Zresztą ja się nie zaciągam.

– W takim razie ciekawe, po co wypisują tutaj te haselka, prawda?

– Jesteś poprawny politycznie, Bertilu. Masz szansę zostać nałogowcem.

– Mhm.

– Tak kończą ci porządki.

– A co to ma wspólnego z samobójstwem?

– Samobójstwem?

– Z tymi rzeczami – powiedział Ringmar, odrzucając paczkę cygaretek.

Winter złapał ją w locie i włożył z powrotem do kieszeni.

– A tak z innej beczki – powiedział Ringmar, odkładając papiery. – TV3 chce się tym jak najszybciej zająć.

– Wiem.

– Zastanawiam się, ile możemy powiedzieć.

Winter nie odpowiedział. Już próbowali z programem „Poszukiwani”. Rezultaty były takie sobie, ale zawsze otrzymywali masę podpowiedzi. Ludzie nie czytają już gazet, jak w dawniejszych czasach, pomyślał. Oglądają telewizję. Coś, co zobaczyli w telewizji, może ukierunkować śledztwo. Problem tylko w tym, żeby program został zrobiony na warunkach policji. I nie chodzi o pracowników mediów. Trudniejsza była kwestia planowania: ile można powiedzieć, ile należy zatrzymać dla siebie, żeby mimo wszystko uzyskać pomoc.

Zdarzało się, że rozwiązywali sprawę dzięki „Poszukiwanym”. Brutalne pobicia.

Najtrudniej opisać zachowanie, pomyślał. Zachowanie gwałciciela albo mordercy... Nie mogli ujawniać danych ofiary... ale mogli pomóc stworzyć wizerunek przestępcy. Odtworzyć jego zachowanie. Na różne sposoby. Czy poruszał się w jakiś szczególny sposób? Takie rzeczy.

– Przypomniały mi się gwałty z zeszłego roku – powiedział Ringmar.

– To dzięki temu programowi.

– W pewien sposób tak.

– To było to, czego potrzebowaliśmy.

To prawda, pomyślał Winter. Mieli do czynienia z serią gwałtów, samochodem i opisami tego, co się działo, i jak wyglądało auto w środku. Gwałty popełniano w samochodzie.

Ofiary opisywały szczegóły, ale Winter i jego ludzie nie upublicznili tych informacji. Nie powiedzieli o pękniętej szybie, o pęknięciu wyglądającym w pewien szczególny sposób, zależnie od tego, skąd się patrzyło. Ani o tym, co wisiało pod lusterkiem wstecznym.

Zawsze było ciemno, ale ofiary widziały te same rzeczy, drobiazgi, ważne, lecz nie na tyle ważne, żeby pomogły w śledztwie. Potrzebowaliśmy czegoś więcej, pomyślał Winter. Nie wiedzieliśmy, jaki to był samochód. Ten człowiek chodził wolno. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to się może powtórzyć.

Po drugiej emisji programu zadzwoniła starsza pani, która dość dużo czasu spędzała w oknie swojego mieszkania w Landali. Odebrał Ringmar.

– Wydaje mi się, że widziałam mężczyznę... wsiadał do samochodu i wyglądał tak, jak pokazywaliście – powiedziała niepewnie, jak to się zdarza rozkojarzonym starszkom.

– Słucham – zachęcił ją Bertil. Jeszcze jeden świadek, któremu się coś wydaje.

Kiedy powiedziała, gdzie mieszka, wyprostował się nagle. To tam... do jednego z gwałtów doszło właśnie w tamtej okolicy. Pamiętała, kiedy widziała tego faceta. Czas też się zgadzał.

– To było trochę dziwne – mówiła dalej starszka. – Może jestem głupia, ale na wszelki wypadek zapisałam numer rejestracyjny.

Sprawdzili i okazało się, że wszystko się zgadza: czas, miejsce. Szyba z rysą została wymieniona, ale to mu nie pomogło. A może to kwestia techniki przesłuchań. Zajęło to dziewięć dni, ale sprawa została wyjaśniona, pomyślał Winter.

– Chyba spróbujemy, ale jeszcze nie teraz – stwierdził. – Ostatniej nocy zastanawiałem się nad liniami lotniczymi.

Ringmar wydał z siebie coś, co zabrzmiało jak westchnienie.

– Poprosiliśmy o listy pasażerów – powiedział. – I właśnie zaczynają spływać. Będziemy na to potrzebować dodatkowego pokoju. Nie mówiąc już o dodatkowych pracownikach.

– Trzy miesiące wstecz? – zapytał Winter.

– Tak.

– Jak długo je przechowują?

– Odloty z Landvetter przechowywane są przez rok w tak zwanej dyżurce lotniska.

Winter czekał na dalszy ciąg.

– To strzał na oślepa, Eriku.

– Ile jest dziennie lotów między Londynem i Göteborgiem? – zapytał Winter.

– Pięć tam i z powrotem w każdy dzień powszedni – wyjaśnił Ringmar. – Pierwszy leci SAS, dziesięć po siódmej, a ostatnie British Airways za kwadrans szósta. W niedzielę dodatkowo SAS ma lot na Heathrow za dziesięć szósta. To oznacza sześć lotów tam i z powrotem w niedzielę.

– Wszystkie chyba nie latają stąd na Heathrow?

– Samolot British Airways, ten kwadrans po siódmej, ląduje na Gatwick.

– Kiedyś nim leciałem.

– No właśnie, ty chyba masz bilet rabatowy?

– Miałem – odparł Winter.

– W każdej maszynie między Göteborgiem i Londynem i z powrotem siedzi od stu do stu dwudziestu pasażerów.

Winter skinął głową.

– Wiesz, ile to jest w ciągu roku? – zapytał Ringmar.

– Nie mam przy sobie kalkulatora – odparł Winter.

– Trzysta tysięcy pasażerów w ciągu roku.

– To dużo.

Ringmar nie odpowiedział.

– Zawężymy czas – powiedział Winter.

– To nie wystarczy.

– Od czegoś musimy zacząć.

– Proponuję, żebyśmy zaczęli, zakładając, że w ogóle zdążymy, od lotów chłopców – rzucił Ringmar. – Ale jeszcze nie dostaliśmy z Londynu statystyk lotów do Göteborga. A potem będziemy się cofać, tydzień po tygodniu – mówił dalej.

– Tak właśnie zrobimy.

– Ale to i tak będą cholerne masy ludzi.

– Zakładam, że linie lotnicze podają cel podróży przy każdym nazwisku na liście.

– Tego jeszcze nie wiem.

– Tak powinno być. Wtedy moglibyśmy wyeliminować tych, którzy wsiedli w Göteborgu, ale jechali dalej do Blackpool albo do Kapsztadu.

– O ile nie kłamali.

– Próbuję myśleć konstruktywnie o tym niewykonalnym przedsięwzięciu, które nam narzuciłem – powiedział Winter.

– Przepraszam, przepraszam.

– W takim razie zostają tylko ci, którzy latali między Londynem i Małym Londynem tam i z powrotem.

– Z własnym paszportem.

– Tak.

– Wszystkie bilety sprawdzają razem z paszportem, ale ci, którzy podróżują z fałszywym... – Ringmar nie dokończył.

– W takim razie musimy sprawdzić tylko tych, którzy podróżowali z własnymi paszportami – powiedział Winter z uśmiechem. – Trzeba tylko wykluczać. Wykreślimy tych, którzy nie mogą pokazać paszportów.

– Na początek możemy sprawdzić tych, którzy lecieli w obie strony w krótkim czasie... w ciągu tygodnia albo coś koło tego – zasugerował Ringmar.

– To konstruktywne.

– To konstruktywna robota głupiego.

– Odrzucimy tak dużo, jak się da – powiedział Winter. – Ktoś musi nad tym posiedzieć.

Bertil Ringmar nie odpowiedział. Wyglądał, jakby się zmagał z następnym pytaniem. Podrapał się w ramię.

– Może to konstruktywne doszukiwać się tu jakiegoś związku, ale nie jestem taki przekonany jak ty, Eriku.

– Nigdy nie jestem przekonany – odparł Winter.

– Właściwie nic nie świadczy o tym, że mamy do czynienia z mordercą podróżnikiem – powiedział Ringmar. – Nic nie przemawia za tym, że mamy jednego mordercę.

Winter nie odpowiedział, ponieważ nie było żadnej odpowiedzi. Pracowali, opierając się na teoriach, sprawdzali jedną po drugiej, czasem kilka naraz. Nie porzucali żadnej, dopóki nie wyszli poza nią. I nawet wtedy nie zarzucali żadnej całkowicie.

– Trzech chłopców zamordowano w podobny sposób. Ale te zbrodnie mogą być powiązane, nawet jeśli mordercą nie jest ta sama osoba – powiedział Ringmar raczej sam do siebie, bo w trakcie śledztwa omawiali ten motyw już ze sto razy.

Idziemy dalej mimo wszystko, pomyślał Winter. Myślimy głośno i nagle ktoś mówi coś, co jeszcze nie zostało powiedziane, a potem się tego chwytamy. I idziemy dalej.

– Morderstw dokonano na zlecenie, ale nie zrobiła tego ta sama osoba – stwierdził.

– Być może.

– Dlaczego?

– Dlaczego na zlecenie? Z przyczyn komercyjnych. Wierzę w ten wątek z filmami. Może nie powinienem, ale tak myślę.

– Nie znaleźliśmy żadnych powiązań między chłopcami – powiedział Winter.

– Ponad to, że cała trójka mogła być homoseksualna lub biseksualna.

– Ale nie wiemy tego na sto procent.

– Oni nie mieli szans rozwinąć swoich skłonności – stwierdził Ringmar.

– Ale tu właśnie jest związek.

– Możliwe.

– I może to dlatego zginęli, może to była przyczyna pośrednia i bardzo bezpośrednia.

– Wyjaśnij.

– Ciekawość, chęć poznania czegoś skrywanego czy zakazanego, która sprawiła, że zaprosili do siebie obcego faceta – wyjaśnił Winter.

– To mogło być coś innego – odparł Ringmar.

– Na przykład?

– Co skłoniłoby ciebie do pójścia z kimś? – zapytał Ringmar. – Dużo pieniędzy?

– Nie.

– Kontrakt filmowy?

– Nie.

– Mnóstwo whisky?

– Nie.

– Ktoś znajomy.

– Tak.

Zamilkli. Przez pokój przeleciał anioł.

– Czuję, że włoski na skórze stają mi dęba – powiedział Winter.

Ringmar nie odpowiedział. Myślał dalej, odtwarzał wszystko jeszcze raz.

– Myślę, że to ta sama osoba – stwierdził Winter. – Był tu i tam, i teraz też jest tam albo tu. W Göteborgu albo w Londynie.

– Poszukamy go w przeszłości chłopaków – powiedział Ringmar. – Jeśli tam jest, to go znajdziemy.

– Nie znajdziemy – stwierdził Winter. – Nie w ich przeszłości.

– Przeszłość – powtórzył Ringmar. – Gdzie przebiega granica?

Winter nie odpowiedział.

CHŁOPIEC CZEKAŁ RAZEM z innymi. Nikt nic nie mówił, wszyscy byli zajęci sobą. Drzwi się otworzyły i wsiadł do autobusu jadącego na lotnisko. Był zmęczony, tak samo jak wszyscy dookoła.

Autobus objechał centrum, podróżni dosiadali się stopniowo. Trzęśli się z zimna przy swoich walizkach przed hotelem Park przy Aveny. Przy Korsvågen wsiadło kilku pracowników lotniska. Odprasowane uniformy sprawiały, że wyglądali na czujnych i przytomnych, ale to wrażenie nie docierało do oczu. Wyglądali, jakby tylko ubranie trzymało ich w pionie.

Na autostradzie kierowca podjął próbę przebicia ściany dźwięku. Chłopiec nie słyszał huku, trwał między snem a jawą, w słuchawkach miał reggae Ijahmana.

Autobus zatrzymał się przy wejściu do hali odlotów. Chłopiec wziął walizkę i wysiadł. Znów zaczął padać śnieg, podróżni truchtem biegli z bagażami z parkingu.

Głosy huczały pod dachem hali jak rój pszczół. Przy stanowisku SAS-u czekali ludzie. Pracownicy przygotowywali się do odprawy, kolejka zaczęła się ruszać. Był kwadrans po szóstej rano. Miał wystarczająco dużo czasu. Zgodnie z rozkładem samolot do Londynu, na Heathrow, odlatywał dziesięć po siódmej. Nie jadł śniadania, zamierzał kupić kawę i kanapkę z serem przed odlotem.

Nadeszła jego kolej. Pokazał kobiecie walizkę.

– Czy to pański bagaż?

– Tylko to. Wezmę ją ze sobą na pokład.

Ubrana w błękit kobieta obejrzała walizkę i skinęła głową, sprawdziła bilet i paszport.

– Gdzie chce pan siedzieć?

Wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno.

– Miejsce przy oknie w środkowym rzędzie? Odpowiada panu?

Znów wzruszył ramionami. Odpowiedziała uśmiechem, wyciągnęła z maszyny kartę pokładową i wręczyła mu wraz z biletem powrotnym i paszportem.

– Przyjemnej podróży.

Kiwnął głową, wziął dokumenty i włożył je do kieszonki koszuli. Ruszył w stronę

ruchomych schodów, do kontroli paszportowej.

W kawiarni mignął mu ktoś znajomy. Wypił kawę i zjadł kanapkę. Do odlotu zostało jeszcze trochę czasu. Siedział i przyglądał się klientom sklepów wolnocłowych. Obiecał kupić matce perfumy, ale chciał z tym poczekać do powrotu. Nazwę miał zapisaną w portfelu. W Londynie też musieli je mieć, inaczej to byłoby jakieś gówno.

Znajomy podszedł do niego. Chłopiec wyłączył Dr Alimantado, kiedy stał przed szafasem w slumsach Kingston i pomstował na miejską policję. Muzyka urwała się nagle w środku długiego *backbeatu*. Wyjął z uszu słuchawki.

– Widzę, że się gdzieś wybierasz.

Chłopiec skinął głową.

– Do Londynu – powiedział.

– Ja też. Tylko na jeden dzień.

– Na jeden dzień? Czy to ma sens?

– Mam odebrać jakieś dokumenty. Jako kurier.

– Jest przecież poczta – odparł chłopiec. – Zwykła przesyłka pocztowa.

– Nie wszystko tak się da.

– Ach tak.

– A ty jak długo zostajesz?

– Może tydzień... tak myślę – odpowiedział chłopiec.

– Jeszcze się nie zdecydowałeś? Tylko pozazdrościć.

Chłopiec nie odpowiedział, napawał się zazdrością tamtego. To jeszcze dawało dodatkowego kopa w związku z tą podróżą: móc powiedzieć to jeszcze raz przed startem samolotu.

– Byłeś już kiedyś w Londynie?

– Tak, ale tylko raz – odparł chłopiec.

– Załatwiłeś sobie nocleg?

– Nie, po co?

– Znasz może jakieś dobre miejsce?

– Matka i ojciec opowiadali o swoich tanich noclegach w Bayswater, więc chyba rozejrzę się za czymś tam, a może będę nocował w różnych miejscach – wyjaśnił. – Raczej w różnych.

– Nie pracujesz?

– Studiuję.

– Aha.

– Właściwie dlatego tam lecę, albo to taki pretekst. Rozejrzeć się za jakimiś studiami. Dostałem trochę papierów i zamierzam porozmawiać z kilkoma.

– Szkołami?

– Tak.

– A co chcesz studiować?

Chłopiec składał na stole serwetkę w coraz mniejszą kostkę. Spojrzał na tablicę, właśnie rozległ się komunikat, żeby ruszać do bramki.

– Może angielski – powiedział. – Albo design i fotografię w jakiejś interesującej szkole.

– Trudno się dostać?

– Nie wiem, ale musimy już chyba iść, jeśli chcemy zdążyć na samolot.

– Nie ma pośpiechu.

– No i jeszcze muzyka – dodał chłopiec. Sięgnął po walizkę i wstał od stołu.

– Muzyka?

– Lubię nowe reggae, więc pomyślałem, że pojedę sobie na przykład do Brixton i kupię trochę nowych rzeczy. Może znajdę jakieś starocie, których nie można dostać u nas.

– Mhm.

– Znalazłem kilka miejsc w sieci.

– Sklepów płytowych?

– Różnie, sklepów, klubów tanecznych, pubów. Tam jest cool.

– Brixton? Czy to nie jest daleko?

– Metrem kawałek, ale nieduży. *Guns of Brixton* Clashu. Ojciec to ma. Znasz?

– Nie.

Podeszli do gate'u osiemnastego, oddali paszporty i bilety i wsiedli do samolotu. Chłopiec wcisnął walizkę na półkę nad siedzeniem i wpasował się w fotel przy oknie.

Zapiął pasy i wyjrzał przez szybę. Na krańcu lotniska drzewa były czarne. Pasy startowe wyglądały jak betonowy ocean.

Śnieg lepił się do okien i zamieniał w wodę. Usłyszał komunikat na temat bezpieczeństwa, ale nie dosłuchał do końca. Znow włączył *Dr Alimantado* i zamknął oczy. Wybijał ręką takt na udzie.

Po chwili poczuł, że jakaś siła wciska go w fotel. Otworzył oczy i zobaczył, że betonowy ocean ucieka spod samolotu, szare pasy na przezroczystym tle.

Potem nie widział już nic. Wznosili się w górę i wkrótce znaleźli się ponad chmurami. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widział niebieskie niebo. To musiało być dawno

temu. Ale nie tak niebieskie jak to. To jest życie, pomyślał.

ZNÓW MIAŁ W SOBIE NIEPOKÓJ. Czuł to. Jakby czyhał w przeponie, jak żywa istota.

Może nie jestem wystarczająco dojrzały, żeby mieć rodzinę?, pomyślał. Może to zbyt poważny krok? A może coś innego tu nie pasuje?

Wieczorem czuł, jak Okruszek wierzga. Miał wrażenie, że jego dłoń nadal wibruje. Pulsowała raz gorącem, raz chłodem.

Tkwiąc między młotem a kowadłem, pomyślał, kiedy poczuł, że palce jego dłoni poruszają się, choć on nimi nie rusza. Czegoś się ode mnie wymaga, a ja nie jestem pewien czego. Muszę coś z tym zrobić. Coś szczególnego, pomyślał i skrzywił się.

- Co z tobą? – Martina przyglądała mu się badawczo.
- Nic.
- Tak się skrzywiłeś, jakbyś myślał o czymś nieprzyjemnym.
- Praca.
- Ale o co chodzi? – ponowiła pytanie.
- To tylko te późne pory.
- Przez cały tydzień masz zmianę popołudniową?
- Tak, choć to się powinno nazywać zmiana wieczorna.
- Albo nocna. Przychodzisz do domu i cuchniesz dymem.

Ruszył od ratusza w stronę mostu. Przez jeden czy dwa dni światło było inne, jak obietnica. Czy za piętnaście lat to będzie taka sama sensacja? Czy człowiek zawsze wygląda wiosny?, pomyślał. Za piętnaście lat drzewa rozrosną się wokół domu, będę komisarzem, a Okruszek pójdzie do liceum.

Będziemy wtedy jeździli w jakieś tajne miejsce, jak Birgersson, na ostatni tydzień lutego, kiedy wszystko jest oczekiwaniem. Sture nie jest opalony, kiedy wraca. Gdzież on, do diabła, się zaszywa? Czy dorosły człowiek ma prawo do tajemnic?

Poniżej resztki lodu płynęły po wodzie. Światło zmierzchu padało na powierzchnię i rzeka przypominała strumień tłuczonego szkła.

Twardą powierzchnię przecinał kuter. Płynął ku otwartemu morzu, jakby w śrubie miał

diamenty. Po zachodniej stronie mostu minął wodolot Havskatten płynący z Danii. Miał wrażenie, że statek płynie w powietrzu. Nie dochodził żaden odgłos, poduszkiwiec był tylko ogromnym ruchem, bez dźwięku.

Lars Bergenhem zjechał z mostu i znalazł się w ciszy, która jakby nadciągała nad miasto znad morza.

Całkiem możliwe, że dałoby się znaleźć żaglówkę w ludzkiej cenie, pomyślał. Martina może by się ucieszyła. Miałaby mnie z głowy, kiedy się zjawi Okruszek. Może tak byłoby najlepiej, pomyślał i sam się zdziwił.

Wcisnął kasetę do odtwarzacza i zrobił głośniej, do granic wytrzymałości. Za oknem bezgłośnie przepływał ruch drogowy.

Neon świecił tak samo jak przedtem. Postawił samochód na tym samym miejscu. Teraz, kiedy wiedział, jak jest w środku, drzwi wyglądały inaczej. Klub Riverside istniał od dwóch lat i już od pierwszego dnia miał klientów.

Bergenhem przeszedł przez salę z pisemkami, prosto do tej, w której wystawiano show. Przy wszystkich stolikach siedzieli mężczyźni – z wyjątkiem jednego, stojącego najbliżej drzwi z draperią. Usiadł.

Na jednym z dalszych stołów, tuż przy scenie, tańczyła kobieta. Mężczyźni klaskali. Nie było muzyki.

Tina Turner zasłużyła na przerwę, pomyślał Bergenhem. Siedział bez ruchu, czekał. Jakiś facet w białej koszuli i ciemnej muszce podszedł do niego, żeby przyjąć zamówienie. Wrócił z colą. Bergenhem uniósł szklanekę i ssał kostkę lodu, gryzł, czekał.

– Już pan jest z powrotem? – odezwał się Kucyk. Wyłonił się zza draperii.

– Szybki pan jest – stwierdził Bergenhem.

Kucyk nie odpowiedział.

– Zostało jeszcze kilka pytań – powiedział Bergenhem.

Kucyk stał nadal, z papierosem w dłoni.

– Możemy rozmawiać tutaj – mówił dalej Bergenhem. – Nie musimy iść do biura.

– Niech pan pyta.

– Czy ta draperia panu nie przeszkadza?

– Czy to miało być pierwsze pytanie?

– Właśnie o tym pomyślałem.

– To bardzo piękna draperia. Seksowna.

– Wygląda jak z niemego filmu.

Kucyk wykonał gest, który zapewne miał wyrażać spokojną rezygnację, i usiadł

naprzeciwko Bergehema. Spojrzał na jego szklanę.

– Możemy to panu doprawić, jeśli pan chce.

Berghem zastanowił się. Co zrobiłby Winter?

– Czym? – zapytał.

Kucyk zrobił gest mówiący, że mógłby zaproponować wszystkie gatunki alkoholu i wszelkie inne substancje.

– Macie rum z colą? – zapytał Berghem.

Kucyk wstał i podszedł do baru. Powiedział coś do barmana i po dwóch minutach kelner przyniósł dwie szklanki.

– Wyłącznie dla policji – powiedział Kucyk, kiedy kelner się oddalił. – Wyłącznie dla naszych przyjaciół.

To niewinna gra, pomyślał Berghem. To test, choć nie wiem na co.

– Przypomniałem sobie, że prowadzę – powiedział.

– Raz łyknąć pan może.

– To z mojej strony czysta taktyka – powiedział Berghem, podnosząc szklanę.

– Czego jeszcze pan chce?

Berghem słyszał, jak muzyka znów zaczyna dudnić, jak katar uderzający o kamień. Bas rozrywał mu uszy. Czy to kolejny test?, pomyślał.

Mężczyzna obserwował go. Ktoś znalazł pokrętko potencjometru. Niskie tony przycichły, wysokie stały się głośniejsze i na scenę wyszły dziewczyny. Tina Turner zaczęła śpiewać.

Kucyk nachylił się nad stolikiem.

– Czego jeszcze pan chce?

– Czy macie tylko Tinę Turner? – zapytał Berghem.

Kucyk przyjrzał mu się jeszcze raz. Popatrzył na scenę, i znów na Bergehema. Miał na sobie koszulę w drobną kratkę, rozpiętą pod szyją, szelki, ciemne spodnie dzwony i był bez marynarki. Wszystko było czerwone, od pomalowanych lamp na ścianach.

– Do Tiny Turner najlepiej się tańczy – wyjaśnił Kucyk po upływie pół minuty.

– To pytanie nie dawało mi spokoju – powiedział Berghem.

– Czy to jakaś prowokacja?

– Nie, ależ skąd.

– Więc czego pan chce?

– Zapomniałem poprosić, żeby się pan zastanowił, jaki rodzaj gości tu przychodzi. Czy różnią się od klientów innych lokali.

- Tego nie da się powiedzieć.
- Naprawdę? Kluby mają chyba różne profile?
- Wiem, dlaczego pan o to pyta.

Bergnhem spojrział w stronę sceny. Rozpoznał obie kobiety. Młodsza sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wychudzonej. Usta miała czerwone jak krew. Nie chciał teraz patrzeć na faceta siedzącego naprzeciwko.

– Bardzo źle pan trafił – powiedział Kucyk. – Niech się pan rozejrzy. Widzę, że już pan zerka na scenę.

Bergnhem oderwał wzrok od kobiet. Muzyka ucichła, ale natychmiast znów się rozbijała. Tina Turner mruczała, że jest najlepszy, po prostu najlepszy.

- To nie jest klub gejowski – dodał Kucyk.
- Ale miewał pan wieczory z transami – rzucił Bergnhem.
- Był pan tutaj?
- Nie o to chodzi. Nie mamy żadnych uprzedzeń.

Mężczyzna potrząsnął głową i wstał.

- Proszę zostać i dokończyć drinka – powiedział i z szelestem zniknął za zasłoną.

Kobiety tańczyły jeszcze osiem czy dziesięć minut, potem zeszły ze sceny. Bergnhem siedział dalej przy stoliku. Powąchał szklanekę, ale jej nie ruszał. Nie chciał zostawiać samochodu na noc. Spodziewał się, że tamten zostanie jeszcze chwilę, jeśli się zdecyduje na alkohol, ale źle ocenił sytuację. Może tak jest lepiej.

Szczupła dziewczyna znów ukazała się w drzwiach obok sceny i podeszła do najbliższego stolika. Trzech mężczyzn zerwało się po dżentelmeńsku, żeby jej pomóc, natychmiast dostawili krzesło. Miała na sobie sukienkę, która w czerwonym świetle była czarna. Wyjęła z torebki papierosa, a jeden z facetów pośpieszył z zapalniczką. Powiedział coś, dziewczyna się zaśmiała. Bergnhem nie ruszał się z miejsca.

Wstała i wyszła tymi samymi drzwiami. Mężczyzna, który podał jej ogień, poszedł za nią. Bergnhem siedział dalej. Przy wielu stolikach siedziały kobiety. Ale więcej mężczyzn niż kobiet. Bergnhem czekał.

FREDRIK HALDERS MIAŁ PRZERWĘ. Siedział w kantynie, tylko z Sarą Helander, i dalej wypytywał ją, co się dzieje na fotografiach.

– A więc nie są to przede wszystkim kroki taneczne? – zapytał.

Dziewczyna popatrzyła na niego. Zobaczył w jej oczach współczucie. Zaśmiał się nagle, jakby to miał być żart zrozumiały tylko dla niego.

– Czy to naprawdę był taki dobry pomysł? – dodał.

– Kroki taneczne były tylko po to, żeby było bardziej zrozumiałe dla ciebie – odparła Sara.

– Czy coś się dzieje, kiedy patrzysz na te zdjęcia?

– O co ci chodzi?

– Co tam widzisz?

– Krew – powiedziała Sara Helander.

– To utrudnia pracę, nieprawdaż?

– Żal mi ciebie, Fredriku.

– To nie pistolet mam tu, w kieszeni. Cieszyłbym się, gdybym tylko cię trafił.

– Jesteś rasistą i seksistą – rzuciła Sara w odpowiedzi.

Halders skłonił głowę.

– Jestem wszystkim – odparł. – Ale odpowiedz, co widzisz, kiedy siedzisz schylona nad zdjęciami.

Lokal nagle zappełnił się policjantami, którzy uciekli przed pracą. Porcelana podzwaniała o porcelanę, szuranie talerzy przesuwanych po tanich blatach.

Głosy zlewały się w jeden strumień: unosił się do góry i znów rozpryskiwał, kiedy dochodził do sufitu. Szmer śledztw w różnych sprawach z półświatka, rosnące oprocentowanie i rosnące ceny mieszkań, kumulacja w wysokości sześćdziesięciu milionów, cena piły motorowej, sobotni festiwal piosenki, którego nikt nie zamierzał oglądać, choć wielu o nim mówiło, przemywany alkohol, na próżno dojrzewający.

– Ale co cię szczególnie interesuje? – spytała Sara Helander.

– Ty masz podobno to wnikliwe spojrzenie – powiedział Halders. – Dlatego znalazłaś

się w naszej zgranej grupie.

– Jest na nich ruch – odparła po kilkusekundowym namyśle.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Czy się ruszali, czy nie?

– Tak.

– To może nam powiedzieć coś o tym, co się działo zanim... nastąpiło tamto.

– Czy w śladach można to zobaczyć?

– Można zobaczyć, czy od początku w grę wchodził przymus.

– To takie wyraźne?

– Co?

– Czy te ślady są wyraźne? – dopytał Halders.

– Na różne sposoby – odparła Sara.

Coraz więcej osób wychodziło. Krzesła szurały po posadzce, wydając trudne do zniesienia odgłosy. Dlaczego nie nauczyli się podnosić krzesel?, pomyślał Halders. To była pierwsza rzecz, jakiej się nauczyłem, i to mi uratowało życie, zrobiło ze mnie porządnego obywatela.

– Kiedy patrzę na zdjęcia, odnoszę wrażenie, że to na początku była zabawa – powiedział. – Jakby to zaszło dość daleko, zanim zaczęło iść za daleko, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Tak.

– Jeśli tak było, to zastanawiam się, o czym oni rozmawiali – mówił dalej. – Co można było powiedzieć w tych pokojach.

– Właśnie.

– Uważasz, że to ważne?

– Nie wiem.

– Czy w tych wzorach nie widać arogancji?

– Co masz na myśli? – spytała Sara Helander.

– Jakby go nie obchodziło, czy zostanie złapany.

– Ale co masz na myśli?

– Depcze butami po krwi albo tańczy, czy co to mogą być za ruchy. Musiał chyba wiedzieć, że to zostawia ślady. Odcisk podeszwy na przykład.

– Takie odciski robią setki tysięcy butów w tym kraju – odparła Sara Helander.

– Ale on chyba tego nie wie?

– Sądzę, że wiedział.

– Może chce zostać złapany – zasugerował Halders.

– Nie.

– Nie jest taki?

– Jeśli to w ogóle jest on.

– To na pewno facet – stwierdził Halders.

– W każdym razie nie ma tu żadnego krzyku – powiedziała Sara Helander. – Żadnego wołania o pomoc, które staje się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie je usłyszymy.

– To brzmi nieco melodramatycznie.

– Interpretuj to, jak chcesz.

– Więc musimy w tej kwestii polegać na sobie?

Sara Helander nie odpowiedziała. Wstała od stolika, żeby wrócić do pokoju i do fotografii.

– Cały czas siedzisz i wpatrujesz się w to cholerstwo? – zapytał Halders.

– Póki nie rozbolą mnie oczy.

– I jak się po tym czujesz?

– Fatalnie. Ale czy to nie jest część naszej pracy?

– Tak, to prawda – przyznał Halders. – Część naszej pracy polega na cierpieniu.

– Widać po tobie.

– Człowiek zawsze cierpi, kiedy jest gliną.

Wyszli na wyłożony cegłą korytarz.

– Popatrz na tę ścianę – powiedział Halders. – Wygląda, jakbyśmy pracowali w bunkrze albo w karcerze. To jest przemyślane, mamy mieć na sobie ślady drutu kolczastego, kiedy wychodzimy z tego budynku.

– Na ciebie to nie działa.

– Coś ci opowiem – odparł Halders.

Czekali przy windach. Klimatyzacja mruzczała wznosząco i opadająco, jakby miała własny szyb. Halders nacisnął guzik, ale nic się nie ruszyło.

– Pójdziemy schodami?

– Nie.

Nacisnął jeszcze raz. Zapaliła się lampka. Kilka pięter nad nimi rozległ się szcęk metalu.

– W weekend zostawiłem auto przed trafiką na Storgatan, przy Heden. Wskoczyłem tylko po gazetę, szybko jak strzała.

– Swoją samochód?

– Co?

– To nie był radiowóz?

– Co to za durne pytanie? Od kiedy jeździmy po mieście radiowozami?

– Przepraszam, przepraszam.

– Czy mam opowiadać?

– Chętnie posłucham – powiedziała Sara Helander. Starła się brzmieć przekonująco.

– Zostawiłem włączony silnik i kluczyk w stacyjce, bo miało mnie nie być nie dłużej niż przepisową minutą, a kiedy po czterdziestu pięciu sekundach wyszedłem, zobaczyłem tylko tył mojego prywatnego samochodu skręcający w Södra vägen. Kradzież.

– Rozumiem.

– Czterdzieści pięć sekund.

– Tak.

– Dobrze się złożyło, że akurat jakaś baba zatrzymała się, żeby kupić Bóg wie co, więc rzuciłem się jej na przednie siedzenie i krzyczę: Jedź za tym samochodem na rogu! A ona docisnęła gaz do dechy!

– A miała jakiś wybór?

– Nie pokazałem legitymacji ani nic takiego.

Wsiadli do windy i przyciskiem skierowali ją w górę. Byli sami. Halders nachylił się nad Sarą Helander.

– No i siedzimy w tym aucie, tłumaczę jej, o co chodzi, i widzę, że złodziej chyba nie zauważył, że ktoś go ściga. Skręca w prawo przy Berzeliigatan, przecina Götaplatsen i kieruje się w stronę Vasa sjukhus. Nadażasz?

– Tak.

– Podjeżdżamy pod Vasę, a ten pieprzony gnój zatrzymuje się na czerwonym przed Landalą. Wyskakuję, podbiegam do swojego auta od strony kierowcy i walę w drzwi. I wiesz, co widzę w środku? Tak à propos tego, co powiedziałaś o Hitchcocku?

– Domyślam się.

– Pieprzona dziwka – powiedział Halders. – Cholerna ćpunka. Nawalona na maksa. Nie mam pojęcia, jak dała radę przejechać przez miasto. Ale domyśliła się, o co chodzi, i błyskawicznie zablokowała drzwi po obu stronach. – Halders gorączkował się, jakby w windzie przeżywał to wszystko na nowo. – Ale została szpara przy szybie. Wsadziłem tam palce i ciągnę, i wtedy ta pieprzona szyba wybuchła mi w rękach! Kurewsko wielka dziura, wszędzie pełno odłamków, laska kuli się pod kierownicą i drze się: Nie bij, nie bij, aż ludzie zaczęli się zbierać dookoła.

Sara Helander słuchała. Wyobrażała sobie tę scenę: Halders czerwony na twarzy, rozgniewany, jak dwumetrowy szaleniec w amoku, w samym środku miasta.

– I co dalej?

– Co dalej? Wyciągnąłem laskę z auta i zadzwoniłem z komórki, którą zabrałem Anecie w piątek, i chciałem poczekać na kolegów. I wiesz, co się wtedy stało? Jakiś idiota złapał mnie za ramiona. Chciał mnie zmusić, żebym ją puścił!

– Ale chyba wyjaśniłeś, co się stało?

– Nie miałem szans. Gapie zaczęli mnie wyzywać od najgorszych. Kilka staruszek wrzeszczało faszysta i takie rzeczy.

– Nie rasista ani seksista?

– Co?

– Nie, nic.

– To było okropne – ciągnął Halders. – I wcale nie było lepiej, kiedy pokazałem legitymację i próbowałem tym pacanom tłumaczyć.

– Nie pomogło, kiedy się okazało, że jesteś policjantem?

– Wprost przeciwnie.

– Ani że to tobie ukradziono samochód?

– Gdybym to powiedział, tylko pogorszyłbym sprawę.

– Żadnej empatii?

– Ani odrobiny, tylko cholerna nienawiść dla glin. Mówi się o pogardzie dla polityków, ale tu chodzi o wrogość wobec policji.

Wysiedli z windy i razem poszli do sali zebrań. Dwa monitory migotały niecierpliwie, oczekując informacji. Obraz falował jak w telewizorze, który ma przed sobą tylko kilka tygodni życia. W pokoju było ciepło i duszno. Szum komputerów, monotony elektroniczny odgłos.

– Potraktowałeś to za mało osobiście – stwierdziła Sara Helander.

– Za mało... co chcesz przez to powiedzieć?

– Oni nie byli wkurzeni na policję – odparła Sara Helander. – Chodziło o ciebie. O Fredrika Haldersa.

Wrócił do domu z opalenizną i uczuciem, które mogło mieć związek z sumieniem. Jakby kilka ziarenek piasku wbiło mu się w kołnierz. Nie mógł się ich pozbyć, ale czuł, jak go uwierają. Zmienił koszulę, ale dalej było tak samo.

Lena nie pytała o pieniądze. Cieszyła się z tej podróży. Czasem gwiazdka może zaświecić biedakom, powiedział, ale to jej się nie spodobało. Miała swoją dumę.

Był ostrożny zaraz po powrocie, i jeszcze następnego dnia. Pogadał ze znajomym paserem, dostał nowy kontakt. To wszystko.

Nadszedł czas, żeby znów zabrać się do pracy. Ale najpierw musiał jeszcze coś załatwić.

Wrócił pod tamten dom, przeszedł pośpiesznie obok. Nie odważył się stanąć w pobliżu i czekać, aż tamten wróci do domu.

Na plaży było zupełnie inaczej... ten, co tam mieszka, nie ma z tym nic wspólnego... ale ciepło się skończyło, pomyślał. Jesteśmy z powrotem i już nie myślę o nim tak dobrze. Przedtem to był przypadek, ale teraz już nie. Polało się za dużo krwi.

Co oni mogą zrobić z taką informacją? W dodatku anonimową? Czy to się w ogóle uda?

Jeśli nic nie zrobię i to się zdarzy jeszcze raz, będzie mi to ciążyło, pomyślał. Chyba to zrobię.

Kiedy dzień się skończył, Hanne Östergaard czuła się jeszcze bardziej samotna niż zwykle. Potrzebuję kogoś, myślała. Trudno tego słuchać. To się we mnie zbiera i nie mam nikogo, z kim mogłabym się tym podzielić.

Nadal nie miała pewności co do roli, kim tak naprawdę jest dla policjantów. Od razu stała się dla nich pociechą, ale nie wiedziała, czy istotnie jest z tego jakiś pożytek. Będziemy musieli powołać komisję, pomyślała. Bezstronną komisję. A środki pochodziłyby z rady. Rady parafialnej.

To faceci, a nie dziewczyny mają największe problemy, pomyślała. Jeśli to nazwać problemami. Reagują bardziej emocjonalnie albo są bezbronni, kiedy odczuwają spóźnione reakcje. Dostają wolne na resztę dnia i niektórzy przychodzą do mnie, ale to nie wystarcza. Za dużo rzeczy tam widzą.

Godzinę rozmawiała z Larsem Bergenheimem. Opowiadał o swoich snach, po tym jak znaleźli chłopca przy Chalmersgatan, Anglika czy Szkota. Tamte obrazy jeszcze nie zniknęły.

Ona zadawała pytania, a on właściwie powiedział tylko to jedno. Mówił o obrazach, że nie odpuściły nawet rano.

– Inni najwidoczniej lepiej sobie z tym radzą – powiedział.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Takie mam wrażenie – odparł.

– A więc rozmawiacie ze sobą? Rozmawia pan z kolegami?

– No tak.

– To zwykle pomaga.

– Czasem mam wrażenie, że człowiek tylko przenosi to na innych.

– To jest właśnie najlepsze. Nie trzeba się tego obawiać. Ten, kto chce sam wszystko udźwignąć, w końcu upada pod ciężarem.

– Czy pani trenowała na siłowni?

– Kilka lat temu.

– Naprawdę?

– Kapłan zawsze mówi prawdę.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Berghem przeciągał słowa, jakby myślał o czymś innym niż to, czym mówili. Słowa miały pod spodem inne słowa, które chciały się wydostać na wierzch.

– Czasami czuję się jakby rozdarty – powiedział. – Będziemy mieć dziecko – dodał. – Nie wiem, jak to będzie, czy to przez godziny pracy, czy coś innego wokół mnie, ale coś się musi zdarzyć.

Co takiego musi się zdarzyć?, pomyślała Hanne Östergaard. To nic niezwykłego, że mężczyźni cierpią katusze przed narodzinami pierwszego dziecka. Tyle się wtedy dzieje.

– Żadnych... komplikacji z ciążą? – zapytała.

– Co? Nie, nic takiego nie można powiedzieć. Wręcz przeciwnie.

– Czy nie mógłby pan trochę zmienić godzin pracy, pod koniec?

Rozmawiali o wieczorach, które przeciągały się w noc.

– Sam nie wiem, czy chcę – odparł, spoglądając na nią. – Czasem nawet myślę raczej, że chciałbym być poza domem, kiedy powinienem być w domu.

– To... to jest trudne – przyznała.

– Jakby do miasta wjechały jakieś pieprzone czołgi.

Nie zwrócił uwagi na przekleństwo, wpatrywał się w jakiś punkt obok niej.

Ani razu nie spojrzał mi w oczy, pomyślała. Jest przemęczony. Albo cierpi na wypalenie, czy jak to się tam nazywa. Jest taki młody, jeszcze nieprzyzwyczajony do tego, co nie jest dobrem. Jaki będzie za piętnaście lat? Jak mam z nim rozmawiać, żeby nie wyszła na przemądrzałą staruszkę?

Pomyślała o Eriku Winterze. Nie wiedziała, jak to się stało, że jest taki, jaki jest, jak się rozwijał, dojrzewał, od początku, od chwili, kiedy był taki sam jak ten młody policjant

siedzący przed nią.

– Czy rozmawiał pan ze swoim szefem?

– Z Erikiem Winterem?

– Tak.

– O tym? Jak widzę sprawę? Czy o zostawaniu ojcem i tych sprawach?

– Dlaczego nie spróbować o wszystkim?

WINTER WYJECHAŁ WINDĄ z podziemia i przeszedł przez bramkę. Miał kartę London Transport. Na Earl's Court Road poczuł zapachy miasta: spaliny, smażona ryba, gnijące śmieci i ten szczególnie zapach kamienia i ulicznego kurzu, który mają tylko naprawdę stare miasta. Aż uderzał go w nos. Kiedy w Londynie pada deszcz, ten zapach miesza się z nim, tworząc cement, który zatyka oczy i nos, pomyślał.

Poczuł też wiosnę, w samym środku ulicznego ruchu. Słońce kryło się za angielską mgłą. Było cieplej niż w domu, w Göteborgu, wczesną wiosną. Widział już pierwsze oznaki, kiedy jechał z Heathrow. Piccadilly Line biegła kawałek nad ziemią na wschód, przez Hounslow, Osterley, Ealing i Acton. Klony były już gotowe, przydomowe ogródki w fazie przebudzenia, dzieci znów biegały za piłką po połaciach Osterley Park. Dzieci są w ruchu przez cały rok, ale nigdy tak jak wczesną wiosną.

Winter rozpoznawał te widoki. Był obcy, ale z każdą wizytą coraz mniej. Wracał.

Ludzie w wagonie stanowili tę samą co zwykle mieszankę zaciekawionych i takich, co już wszystko widzieli milion razy. Z terminalu jechali młodzi ludzie z plecakami, pary w średnim wieku, kilka osób samotnych, wpatrzonych w mapę przez czterdzieści pięć minut, do Kensington i dalej. Winter słyszał włoski, niemiecki i coś, co, jak podejrzewał, było polskim. Wiele osób mówiło po szwedzku, był też jeden Norweg. Wyczuwało się oczekiwanie.

W miarę jak zbliżali się do centrum, dosiadali się okoliczni mieszkańcy: mężczyźni w garniturach z tenisu, z aktówkami i „Daily Telegraph” pod pachą. Czarne kobiety z dziećmi, które wielkimi oczami przyglądały się wszystkim obcym. Ciężkie białe kobiety, o skórze przypominającej mgiełkę na niebie. Wiosna była w natarciu, ale one marzły w kostiumikach z krótkimi spódnicami. Winter nagle poczuł się niezgrabnie w swoim ulsterze, jakby za ciężki.

Zaczekał na zielone światło i przeszedł przez Earl's Court Road. Ciągnął za sobą walizkę na kółkach. Skręcił w lewo, potem w prawo w Hogarth Road, i szedł kilkaset metrów, do Knaresborough Place. Przeciął spokojne skrzyżowanie, mając po lewej stronie szum Cromwell Road. Tutaj, tylko kilka kroków dalej, można było słuchać śpiewu ptaków.

Zadzwonił do drzwi z ósemką, czekał. Arnold Norman otworzył z dłonią już wyciągniętą do powitania.

– Komisarz Winter! Jak miło pana znów zobaczyć.

– Nawzajem, Arnoldzie.

– Dlaczego tak długo pana nie było?

– Sam chciałbym wiedzieć.

Za plecami Arnolda Normana, jak w kolejce, stał młody mężczyzna, a kiedy dyrektor małego hoteliku odsunął się na bok, młodzieniec chwycił walizkę Wintera i szybko poszedł w cień pod schodami, które majaczyły dziesięć metrów dalej.

Winter pomieszkiwał tu w ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiedy odwiedzał Londyn. Hotel miał dobre położenie, trochę z dala od zgiełku Piccadilly. Do King's Road w Chelsea, Kensington High Street i Hyde Parku można było dojść pieszo.

– Zarezerwowałem T2 – powiedział Norman, kiedy usiedli w jego niewielkim biurze.

– Wspaniale.

– Wygląda na to, że jest pan w dobrej formie.

– Jestem starszy – odparł Winter.

Arnold Norman machnął lewą ręką. Jakoś przeżył, sto metrów od Cromwell Road.

– Wkrótce będziemy mieć te problemy za sobą – powiedział, podsuwając Winterowi rachunek.

– Jest pan starszy ode mnie tylko o dziesięć lat albo coś koło tego – powiedział Winter.

– Nie chodzi mi o to – wyjaśnił Norman. – Mówię o tych szalonych Szkotach, którzy zaczęli klonować barany gdzieś w górach.

– Czy to nie jest zakazane?

– Klonowanie baranów?

– Klonowanie.

– Chyba zapomnieli zapytać.

– A co to ma wspólnego ze starością?

– Stworzą rasę, która nigdy nie umrze – odparł Norman. – A mnie niepokoi, że to akurat Szkoci będą mogli żyć wiecznie. Nie dość, że będą wyglądać identycznie, co i tak jest u nich normalne, to jeszcze będą żyli całą wieczność.

– To znaczy, że lepiej byłoby, gdyby te próby robili w Anglii?

Dyrektor hotelu spojrział na Wintera z udawanym zaskoczeniem.

– Co za pytanie?

Winter uśmiechnął się i wstał.

– Proszę mnie zaprowadzić do mojego apartamentu – powiedział.

Apartament znajdował się na pierwszym piętrze, okna wychodziły na wschód, na ciche patio. Winter miał do dyspozycji sypialnię z dwoma łózkami, pokój dzienny i duży aneks kuchenny ze stołem. Łazienka była funkcjonalna, co rzadkie w Anglii: żeby pokręcić kurkami, nie trzeba było zgłębiać całej antycznej hydrauliki.

Winter zdjął marynarkę i koszulę i już miał opłukać pachy, kiedy zdecydował, że jednak rozbierze się całkiem i weźmie prysznic. To mógł być długi dzień.

Jeszcze owinięty w pasie ręcznikiem zadzwonił z telefonu wiszącego na ścianie. Był w pokoju zaledwie od piętnastu minut. Było wpół do drugiej po południu. Rozsunął zasłony. Apartament był jaśniejszy, niż pamiętał z poprzednich pobytów. Może to dzięki wiośnie. Przez okno widział kawałek nieba, błękitny na tle okopconych fasad.

– *Four Area South-east Major Investigation Pool, Detective Constable Barrow* – odezwał się kobiecy głos.

– Mówi komisarz kryminalny Erik Winter, ze Szwecji. Chciałbym rozmawiać z komisarzem Steve'em Macdonaldem.

– Chwileczkę – poprosił głos. Żadnych odcieni w tonie, żadnej ciekawości.

Winter słyszał gwar w słuchawce. Kobieta powiedziała coś do kogoś siedzącego obok. W uchu Wintera zatrzeszczało.

– Macdonald.

– Tu Winter.

– O, Winter. Kolejna przeszkoda?

– Jestem w Londynie.

– Świetnie. Gdzie pan jest?

– W hotelu. Earl's Court.

– Mogę wysłać samochód. Ale to trochę potrwa.

– Ale czy z British Rail nie będzie tak samo szybko?

– To zależy, czy się wie, jak dojechać.

– Jeśli jest pan w Thornton Heath, to będę wiedział jak – odparł Winter. – W moim rozkładzie jest pociąg z Victorii.

– To zajmie dwadzieścia pięć minut – powiedział Macdonald. – Jedzie się przez kilka najpiękniejszych miejsc na świecie.

– No to wybór jest prosty.

– District Line z Earl's Court bezpośrednio do Victorii. To tylko kilka stacji.

– Wiem.

– Najwyraźniej wie pan wszystko – stwierdził Macdonald, a Winter niemal słyszał, że

już zdecydował: oto przyjechał Pan Mądraliński ze Skandynawii.

– Oczywiście – przyznał Winter.

– Proszę zadzwonić, jak pan dojedzie do Thornton. Wyślę samochód na stację – zakończył Macdonald i odłożył słuchawkę.

Winter stał na Victoria Station, otoczony wielkim światem. Gdybym teraz mógł wsiąść do Orient Expressu, pomyślał. Ciche śledztwo w pociągu, wszyscy podejrzani zebrani w wagonie restauracyjnym.

Nigdzie światowa metropolia nie jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki, jak na tej stacji. Winter stał przed południowym wyjściem ze spojrzeniem utkwionym w górze, na tablicach z odjazdami z prawej i lewej strony: właśnie zapowiedziano pociąg do Tattenham Corner, zatrzymujący się w Thornton Heath.

Wsiadł do niemal pustego wagonu. Pociąg powoli wyjechał ze stacji. Niebo płonęło za kominami nad rzeką. Jechali nad wodą, zatrzymali się w Battersea Park: czerwona cegła, graffiti, ale mniej, niż się spodziewał, na ławkach oczekiwania. Za oknem było tak cicho.

Wzdłuż linii kolejowych zawsze jest cicho, pomyślał Winter. Nie tylko tutaj, wszędzie, gdzie podróżują ludzie. Nie ma ich tylko chwilowo, nie ma ich ani w domu, ani u nikogo innego. Oni albo my, jesteśmy w środku podróznego nigdzie, cichego i jakby przepełnionego smutkiem, pozbawionego słów, składającego się głównie z czekania.

Jakby podróż i słońce go przygnębiały. Pomyślał o tym, dlaczego przyjechał do Londynu, a teraz do południowej części miasta.

W tej podróży towarzyszyła mu śmierć. Czuł to samo co na początku śledztwa: to dopiero początek. Dla dalszego ciągu brakowało słów, tego zła nie dało się opisać. Miał poczucie, że zagłębia się coraz bardziej w zło, obojętne, jaki wybierze kierunek. Był sam. Nagle poczuł, że niczemu nie ufa.

Za oknami wagonu rozpościerało się południe Londynu, nieopisywane nigdy w przewodnikach, rzadko odwiedzane przez obcych. Sam był po południowej stronie Tamizy tylko kilka razy, i to nie dalej niż w Putney i Barnes, nad rzeką. Wybrał się, żeby posłuchać jazzu.

Domy zbudowano ze średniowiecznej cegły, jak wieczne miasto. Nic nie było wyższe niż na dwa piętra, jak daleko sięgał wzrokiem. Jakiś mężczyzna w krótkich spodenkach biegł Wandsworth Common. Za stacją zobaczył grupkę uczniów grającą w piłkę nożną na małym placu między zaporami przeciwpożarowymi. Dzieci miały zielone kurtki, co jeszcze

potęgowało wrażenie wiosny.

Było więcej zieleni, niż się w tej części miasta spodziewał, więcej otwartych przestrzeni, jakby budowano tu, nie myśląc o tym, że to światowa metropolia.

Przy Streatham Common ku Allahowi wznosił się meczet, błyszcząca wieża. Na ciężkich ławkach siedziały kobiety z zasłoniętymi twarzami. Do wagonu Wintera dosiadło się dwóch czarnych mężczyzn: skórzane kurtki i wełniane czapeczki, skórzane spodnie. Winter słyszał muzykę z ich słuchawek, jak jakieś odległe brzęczenie.

Na następnej stacji wysiadł. Thornton Heath leżało w cieniu, peron znajdował się poniżej poziomu ulicy. Wszedł po schodach na górę. Gazeta frunęła z wiatrem, przemknęła obok jego nóg.

W budynku stacji nie było o tej porze żadnego personelu. W kącie trzy czarne dziewczynki czekały, aż coś się zacznie dziać. Przez otwartą bramę dobiegały odgłosy ulicy. Wyszedł na Brigstock Road i poczuł się, jakby się znalazł w kraju o wiele odleglejszym niż Anglia. Większość przechodniów stanowili czarni, Hindusi i Pakistańczycy, ludzie o korzeniach karaibskich, chińskich, koreańskich, indiańskich czy afrykańskich.

Zszedł kawałek w dół, potem dalej High Street do skrzyżowania i po dwustu metrach dotarł do Whitehorse Lane. Gdyby szedł dalej jeszcze pół kilometra, znalazłby się przy Crystal Palace Football Ground, ochrzczonego Selhurst Park, arenie dla prostych ludzi, kibiców z biednych części Croydon. Winter był na kilku meczach w Londynie, ale tylko na dużych, bezpiecznych boiskach w północnej części miasta.

Skręcił przed wiaduktem i ruszył z powrotem. Minął Mame Amesah's Foreign Food, reklamujący *new puna yam* odręcznym napisem na kawałku kartonu. Bulwy jamsu leżały w plecionych koszach przed sklepem, za szybą wisiały na drążkach banany. Winter przeszedł obok pubu The Prince George i wrócił na stację. Wyciągnął komórkę i wybrał numer komendy policji. Macdonald odezwał się po pierwszym sygnale, jakby siedział przy telefonie i czekał.

– Stoję przy stoisku z kwiatami przed stacją – powiedział Winter.

– Jeśli zejdzie pan w dół na lewo i znów skręci w lewo, koło Woolwortha, znajdzie się pan na Parchmore Road – poinstruował go Macdonald. – Mam ochotę na przechadzkę, więc jeśli pójdzie pan dalej Parchmore, prawą stroną, spotkamy się za mniej więcej dziesięć minut.

– Okej.

Winter zwrócił uwagę, że Macdonald nie zapytał go, jak wygląda. Rozpozna gliniarza po chodzie, pomyślał.

Ruszył z powrotem do skrzyżowania i właśnie miał skręcić przy domu towarowym

Woolworth, kiedy zobaczył, jak przed głównym wejściem biały mężczyzna łapie za kark czarnego chłopaka.

– Znów przyszedłeś tu kraść, ty gnoju! – krzyknął. Miał identyfikator na piersi. Detektyw sklepowy, pomyślał Winter. Kilku czarnych otaczało kołem detektywa i podejrzanego.

– Nic nie zrobiłem! – wołał chłopak.

– Więc co to takiego?! – zapytał biały, podnosząc do góry golarkę elektryczną.

– To nie moje – odparł chłopak.

– Pójdiesz ze mną – rzucił mężczyzna i we dwóch wyszli z kręgu gapiów: jeden, pochylony, przodem, drugi za nim.

Winter powędrował dalej Parchmore Road. Skręcił w lewo i zaczął kluczyć między stertami żwiru na remontowanej ulicy.

Steve Macdonald zszedł po schodach, przeciął garaż i wydostał się na ulicę. Czuł na twarzy ciepło słońca. Nie zapiął skórzanej kurtki, rękawiczki zostały w kieszeni. Pokazujemy Szwedowi tę ładniejszą stronę, pomyślał. Już na samym początku może sobie wyrobić mylne wyobrażenie.

Ruszył na południe. Zesztywniał po kilku godzinach spędzonych na krześle, nad zeznaniami świadków. Miał wrażenie, że jego oczy ustawiły się w jednym położeniu. Poczul, że ciąży mu zbyt wiele zbytecznych kilogramów, jakby jego ukryty w ciele duch zasługiwał na coś złejszego.

Z odległości stu metrów zobaczył mężczyznę w niezapiętym jasnobrązowym płaszczu z wielbłądziej wełny, garniturze, który mógł być granatowy albo szary, z szerokimi nogawkami, w białej koszuli i krawacie.

To musi być on, pomyślał Macdonald. Taki właśnie miał głos. Że też go nie obrabowali po drodze ze stacji. Czyżby szedł z legitymacją policyjną wyciągniętą na długość ramienia?

Macdonald nie wiedział, ile lat może mieć szwedzki kolega, ale domyślał się, że musi być w podobnym wieku: jeszcze po właściwej stronie czterdziestki. Albo po złej, jeśli ktoś bardzo tęsknił do emerytury.

Miał włosy blond, jakby z przedziałkiem na środku, niczym u aktora z lat pięćdziesiątych. Gdy Macdonald zbliżył się jeszcze bardziej, zauważył, że jest wysoki, może nawet jego wzrostu. Wydawało się, że pod maską snobizmu jest twardy i kanciasty. W jego

chodzie było coś aroganckiego. Był gładko ogolony, uszy miał lekko odstające, twarz szeroką i przystojną. Macdonald nie był najlepszej myśli.

Winter był zaskoczony, kiedy mężczyzna idący z przeciwka go zagadnął. Mógł mieć może centymetr, dwa więcej niż on, może metr dziewięćdziesiąt cztery. Ciemne włosy zaczesane gładko do tyłu i związane w kucyk, twarz pokryta jednodniowym zarostem, skórzana kurtka, sprawiająca wrażenie bardzo wygodnej, koszula w wielką biało-niebieską kratę, czarne dżinsy i buty z czubami, połyskujące matowo w blasku słońca. Właściwie brakuje mu tylko pasa z kaburą na biodrach, pomyślał Winter, zanim tamten zdążył coś powiedzieć. Niech mnie diabli, wygląda naprawdę groźnie.

– Komisarz Winter?

Uśmiechał się jakoś niewyraźnie. Miał kilka zmarszczek wokół ust, żadnych worków pod oczami, ale widać w nich było zmęczenie, które nadawało jego spojrzeniu pewną przygaszoną czujność. Żadnych kolczyków.

– Komisarz Macdonald – powiedział Winter, wyciągając dłoń.

– Pomyślałem, że możemy sobie strzelić pinta tu, w Prince George – zaproponował Macdonald. – Teraz jest tam cicho i spokojnie. Spokojniej niż na komendzie.

Wrócili tą samą drogą, którą Winter właśnie przeszedł, przez skrzyżowanie, przez High Street. Winter zauważył, że Macdonald lekko utyka.

– Niedzielny mecz z moją drużyną z pubu – wyjaśnił Macdonald. – Chodzę tak po każdym meczu. Ludzie myślą, że to jakiś dawny postrzał, a ja ich nie wyprowadzam z błędu.

– Ja przestałem grać kilka lat temu – oznajmił Winter.

– Tchórzostwo – stwierdził Macdonald.

Pub był pusty. Kurz tańczył w świetle sączącym się z okna. Barman skinął Macdonaldowi głową, jak wita się stałych gości.

– Usiądźmy tutaj – powiedział Macdonald, wskazując wąską salkę po drugiej stronie baru.

Winter przewiesił płaszcz przez oparcie krzesła i usiadł. Macdonald wyszedł i wrócił z dwoma kuflami piwa, jeszcze mętnego.

– Może wolałbyś lager? – zapytał.

– Zawsze piję ale, kiedy jestem w Londynie – odparł Winter. Starł się, żeby to nie zabrzmiało tak, jakby się chwalił.

– To jest directors – powiedział Macdonald. – Mają tutaj też courage best, a to nie

zdarza się często.

– Lubię directors – stwierdził Winter.

Macdonald przyjrzał mu się. Snob, ale chyba nie jest idiotą, pomyślał.

– Często bywasz w naszym dumnym mieście? – zapytał.

– Od jakiegoś czasu nie – odparł Winter. – To ogromne miasto. Tutaj nigdy jeszcze nie byłem.

– Rzadko widzimy obce twarze. Z jakiegoś powodu turyści nie ruszają się poza Leicester Square.

– Omija ich jams u Mame Amesah.

– Co?

– Pięćdziesiąt metrów stąd sprzedają świeży jams.

– Gratulacje.

– Zrobiłem małą rundkę, jak tylko przyjechałem.

– Rozumiem.

– Ale nie dotarłem do Selhurst Park.

– Byłeś tam kiedyś?

– Nie.

– To główniany klub, ale to klub ludowy.

– Jesteś kibicem?

– Crystal Palace?

Macdonald zaśmiał się, łyknął piwa i popatrzył na Wintera.

– Wprawdzie pracuję tu – zaczął – ale nie muszę się posuwać tak daleko w lojalności wobec tej okolicy. Jeśli w ogóle kibicuję angielskim klubom, to Charlton, choć nigdy nie zagrają w Premier League, ale kiedy dawno temu przeprowadziłem się do tego smogu, wylądowałem w Woolwich, w pobliżu The Valley, więc jednak jakiś tam patriotyzm lokalny we mnie tkwi.

– Właściwie brzmisz jak Szkot – stwierdził Winter.

– Bo nim jestem – przyznał Macdonald.

Do małej salki weszło dwóch mężczyzn. Skinęli im głowami, albo raczej Macdonaldowi. Odpowiedział im ruchem głowy, ale tak, że przenieśli się do sali od ulicy.

– Niewiele tu obcych twarzy – powiedział Macdonald. – Ale czasem się pojawiają i czasami wynikają z tego prawdziwe kłopoty.

– Znałem tego chłopaka, Pera Malmströma – rzucił Winter.

Macdonald nie odezwał się, słuchał.

– To jeden z powodów, dla których chciałem tu przyjechać – ciągnął Winter.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Za chwilę pojedziemy do tego hotelu – powiedział Macdonald. – Zostawiliśmy wszystko tak, jak było.

– Naprawdę rozumiesz.

– Sam chciałem pojechać do twojego miasta, ale wolałem zaczekać, aż ty tu przyjedziesz.

– Robiłeś przedtem coś takiego? – zapytał Winter. – Jeździłeś do innych miast w związku ze sprawą albo kogoś przyjmowałeś?

– Miałem tu kilka lat temu amerykańskiego gliniarza. Też morderstwo, w Peckham, przy naszej północnej granicy, można powiedzieć. A sam byłem na Jamajce, w Kingston – odpowiedział Macdonald i dopił piwo.

– Na Jamajce?

– Dwa tygodnie. Tutejsze morderstwo, z korzeniami tam. Nic niezwykłego w naszej części Londynu. Jeśli podążamy jakimś śladem, często prowadzi nas na Karaiby, głównie na Jamajkę.

– I jak poszło?

– Tamtejszej policji nie uszczęśliwiało moje towarzystwo i oczywiście nic nie mogłem robić, ale trochę się działo i w końcu udało nam się to rozwiązać, kiedy wróciłem do domu. Tym razem też tak będzie? – Macdonald spojrzał na Wintera. – Jeszcze jedno? – zapytał, wskazując jego prawie pustą szklanę.

Winter potrząsnął głową i wyciągnął paczkę corpsów.

– To bardzo niebezpieczne – powiedział Macdonald. – W każdym razie sobie przyniosę – mówił dalej, podnosząc się. – A ty przez ten czas spokojnie wypalisz.

Winter zapalił i wciągnął przyjemny aromat. W sali od frontu zebrało się więcej gości, ale do nich nikt nie zaglądał. On ma tu władzę, pomyślał Winter. Ciekawe, za jaką cenę, za ile szklanek directors.

– Tym razem courage best – powiedział Macdonald, niosąc dwa mętne pinty. Usiadł.

Z drugiej sali dobiegała muzyka. Winter rozpoznał reggae, ale w nowocześniejszej, cięższej wersji.

– Więc znałeś go? – odezwał się Macdonald po minucie ciszy.

– Właściwie nie tyle znałem, ile dorastał przy mojej ulicy – odparł Winter. – Znałem go, kiedy był dzieckiem.

Dziecko spotkał straszny koniec, pomyślał Macdonald. Kiedy znów wejść do tego pokoju, chyba nie będę w stanie słuchać krzyków z tych przeklętych ścian.

– Co czułeś, stojąc w tamtym pokoju? – zapytał zniecierpliwiony Winter.

Macdonald spojrział na niego. Rozumie, pomyślał. On naprawdę rozumie.

– Słyszałem wołanie i krzyki – odparł.

– Tak – powiedział Winter i łyknął piwa. – Tak właśnie jest. Słyszałem krzyk twoich chłopaków, a ty słyszałeś wołanie mojego.

MACDONALD JECHAŁ CROYDON ROAD na północny zachód, przez Mitcham, Morden, Merton, potem na zachód Kingston Road i w górę przez Streatham do Wandsworth i Clapham. Kilometr za kilometrem szeregowki z czerwonej i szarej cegły, parki, szkolne boiska, sklepy nagle zjawiające się stadami, i trasy przelotowe, które stały się przecznicami. Autobusy z dwoma piętrami, nachylające się nad samochodami, przeciskające się przy narożnikach. Samochody we wszystkie strony, dłonie kierowców na klaksonach. Mnóstwo kwaciarni i warzywniaków z towarem na ulicach. Bez końca.

– Londyn to więcej niż Soho i Covent Garden – powiedział Macdonald. – I to wszystko jest moje. – Machnął ręką, obejmując wszystko, co żywe i półżywe za oknami samochodu.

– To duże miasto – przyznał Winter.

– Nawet więcej. Mówiłem ci, że Croydon jest dziewiątym co do wielkości miastem Anglii?

– Kiedy dzwoniłeś.

– Właściwie powinienem się trzymać z dala od Clapham. Należy do kolegów z południowego zachodu. Ale to mój dawny dystrykt i szefowie uznali, że powinienem przejąć to śledztwo.

– Co mówią?

– Morderstwo białego obcokrajowca? Klepią mnie po plecach, a potem się za nimi śmieją.

– Więc jesteś znany.

– Bardziej niż kiedykolwiek – odparł Macdonald i w ostatniej chwili skręcił przed pełnym owoców wózkiem, który wyjechał z jednej z uliczek po zachodniej stronie. Łypnął na czarnego mężczyznę, który wyłonił się za wózkiem, wisząc u uchwytyw, jakby to wózek kierował nim. – Mówiłem ci, że ta tak zwana główna ulica nazywa się Kingston Road?

– Tak.

– To nie jest przypadek.

Winter nie odpowiedział. Jechali Tulse Hill. Usłyszał gwizd pociągu i zobaczył

wagony na biegnącym górą wiadukcie. Stukocząc zgrzytliwie, wtaczały się pomiędzy domy, by zatrzymać się spokojnie przy budynku stacji.

– Tu niedaleko mieszkają rodzice pierwszego chłopaka zamordowanego w twoim mieście. Studenta Geoffa Hilliera.

Winter skinął głową.

– Chciałbym z nimi porozmawiać – powiedział.

– Zobaczą, co się da zrobić – odparł Macdonald. – Ale ojciec właśnie wrócił ze szpitala, przeżył poważne załamanie. To się stało, kiedy ja z nimi rozmawiałem.

Macdonald jechał Christ Church na zachód, potem prosto przez skrzyżowanie.

– Tutaj, w prawo, jedź się do Brixton Hill – powiedział. – Ta droga prowadzi prosto do Indii Zachodnich.

– Brixton – powtórzył Winter.

– Byłeś tam?

– Nie. Ale to znane miejsce oczywiście.

– *Guns of Brixton*. The Clash.

– Słucham?

– The Clash.

– To jakiś zespół?

Macdonald rzucił szybkie spojrzenie w lewo, na Wintera. Zaśmiał się, przyhamował, widząc taksówkę odrywającą się od chodnika.

– Nie, tak się po angielsku mówi na zderzenie – odparł.

– Rock to nie moja muzyka.

– Od razu wiedziałem, że coś z tobą nie tak.

Z radia Macdonalda sypały się komunikaty. Winter z trudem ogarniał ich treść, nazwy dzielnic, których nigdy nie słyszał. Kobięcy głos z centrali z wprawą koordynował wszystko, jakby czytał dobrze opracowany plan.

– Brixton to ciekawy kraj – stwierdził Macdonald. – Kilku z moich najlepszych przyjaciół tam mieszka.

Stanęli w korku na Poynders Road.

– Podczas lotu myślałem o listach pasażerów – powiedział Winter i odwrócił się do niego.

– Mhm.

– To gigantyczna robota.

– Ale musimy spróbować wszystkiego – odparł Macdonald. – Próbować, próbować, aż

dojdziemy do ściany i zobaczymy, że dalej się nie da. W tej sprawie z Jamajki, o której mówiłem, sprawdzaliśmy wszystkie listy pasażerów z trzech tygodni. Już to można uznać za niewykonalne zadanie.

– W każdym razie zażądaliśmy kopii – powiedział Winter.

– My też – przyznał Macdonald. – Ale jeśli ktoś jeździ między krajami z zamiarem mordowania, mówię jeśli, to raczej na pewno nie pod prawdziwym nazwiskiem. To chyba oczywiste?

– O ile ten ktoś nie chce, żebyśmy przyszli i go zgarnęli.

– Chcesz powiedzieć, że jedyne, co powinniśmy zrobić, to przejrzeć nazwiska na listach i eliminować je po kolei, aż w końcu znajdziemy poszukiwanego i okaże się, że siedzi w domu i czeka, aż ktoś zapuka do drzwi?

– Mniej więcej. On by tego chciał.

– Jest to jakaś myśl – stwierdził Macdonald. – Rozmawiałeś z biegłym psychiatrą?

– Jeszcze nie. Ale i tak nie możemy porzucić całej reszty tropów.

– Dam ci przykład – powiedział Macdonald.

Sznur samochodów znów zaczął się poruszać. Półkołem omijał samochód, który został odholowany na pobocze. Ładowano go na lawetę pomocy drogowej.

– To był właśnie taki, nawiasem mówiąc – mówił dalej Macdonald, ruchem głowy wskazując na skasowany samochód. – Widzisz tę fiestę, którą ładują na karawan?

– Pewnie.

– W ostatnie święta mieliśmy morderstwo w Peckham i jedynym, czego mogliśmy się uchwycić, było to, że jakiś facet odjechał samochodem z miejsca zbrodni mniej więcej wtedy, kiedy doszło do morderstwa. Byli świadkowie.

– Mhm.

– Mieliśmy świadków, którzy twierdzili, że samochód był srebrny. Ktoś mówił, że był jasny. Jeden świadek twierdził stanowczo, że to był ford fiesta Mark One. Nie widział go, ale słyszał, jak odjeżdżał w nocy, i powiedział: całe życie jeździłem fordem fiesta i to na pewno był odgłos odjeżdżającego forda fiesty.

– Czy sprawiał wrażenie wiarygodnego?

– Nawet bardzo – przyznał Macdonald. – Zaczęliśmy sprawdzać wszystkie egzemplarze forda fiesty Mark One. Skoncentrowaliśmy się na południowo-wschodniej Anglii. Chodziło o około dziesięć tysięcy samochodów! Niewykonalne. Nie mogliśmy sprawdzić wszystkich, nie mieliśmy do tego ludzi.

– Więc postanowiliście kierować się kolorem?

– Właśnie – przyznał Macdonald, rzucając Winterowi szybkie spojrzenie. – Zdecydowaliśmy się na srebrzysty metalic i wtedy zostało tysiąc osiemset samochodów. Dalej trudne do zrobienia, kiedy się ma do tego dziesięć osób, które jednocześnie muszą badać inne tropy.

– Tak.

– Ograniczyliśmy się więc do Peckham i przyległych dzielnic, East Lewisham... zostało sto pięćdziesiąt czy sto sześćdziesiąt aut, ale nigdy nie dokończyliśmy tego wątku, bo z innego źródła dostaliśmy informacje, które pomogły nam wyjaśnić sprawę. A potem się okazało, że samochód był zielony! Ale to była fiesta.

– To znaczy, że lepiej polegać na słuchu świadków niż na wzroku.

– Tak, ale to pokazuje też, co nas czeka, jeśli zaraz na początku zakopujemy się w tych wszystkich listach. Ale gromadzimy je i są gotowe.

Macdonald powiedział *put it in the backburner* i Winter zrozumiał, co miał na myśli.

– Kiedy znajdziemy mordercę, możemy zajrzeć do list pasażerów i być może odkryjemy, że latał za tym chłopcem – dokończył Macdonald.

Stali w tym pokoju. Winter słyszał głosy z korytarza, ale nic nie dochodziło z sąsiednich pokoi. Jakiś samochód pędził Cautley Avenue i dalej na South Side. Ostre popołudniowe światło wpadało przez okno, rozjaśniając przeciwległą ścianę. Zasnęta krew zaczęła się mienić tak, aż Winter musiał zamknąć oczy. Widział tego chłopca. Per Malmström przekroczył ten próg, a to, co było jego życiem, znajdowało się teraz na ścianach i na podłodze. Winter się pocił. Pociągnął węzeł krawata. W ustach poczuł gorzki smak przefermentowanego piwa i cygaretki.

– Chcesz zostać sam? – zapytał Macdonald.

– Tak.

Szkot wyszedł.

– Zamknij drzwi, proszę – powiedział Winter.

Znów zamknął oczy i przywołał w pamięci fotografie. Macdonald pokazał mu je w swoim biurze, zanim przyjechali do hotelu. Winter zobaczył coś więcej niż w Göteborgu. Chłopcy siedzieli tak samo, odchyleni na oparciu krzesła, w makabrycznie swobodnej pozie, plecami zwróceni do drzwi, jakby czemuś się przyglądali... Winter znów otworzył oczy. Stał tak, żeby mieć drzwi za plecami, za oparciem krzesła. Stało w tym samym miejscu, kiedy chłopak na nim siedział, gdy zjawił się Macdonald.

Czy on coś widział... wtedy? Czy Per Malmström siedział tu przywiązany do krzesła, żeby patrzeć na coś, co rozgrywa się na ścianie? Czy jeszcze żył?

Chłopcy mieli ślady sznura na skórze, ale wyglądały tak, jakby sznur miał tylko utrzymać ich ciała na krześle, nie pętać. Nie było śladów walki, żadnego szarpania cienkiego sznura.

Czy Pera zmuszono do oglądania innych... morderstw? Filmu? To chyba niem... chłopak z Göteborga, ten pierwszy, został zamordowany mniej więcej w tym samym czasie... czyżby morderca zdążył pojechać tam i z powrotem? To byłoby możliwe. Jeśli to była ta sama osoba. Czy popełniono więcej zbrodni, o których nie wiemy? Czy Per musiał oglądać coś takiego na kilka minut przed śmiercią? A może to, jak siedział, w którą stronę patrzył, nie miało żadnego znaczenia?

Winter spojrzał na podłogę. Były tam ślady krwi, szybko krzepła. Chłopak siedział na krześle, a ona stawała się gęsta i lepka, kleiła się do butów, ułożyła się we wzór na podłodze, jak w... tańcu.

Czy grała muzyka? Macdonald nie znalazł muzyki, żadnego odtwarzacza, żadnych płyt. Nikt nie słyszał muzyki dochodzącej z pokoju. Żadnych ludzkich krzyków. Tylko nieprawdopodobne wycie ścian i podłogi docierał do Wintera, rzucał się na niego. Znów zamknął oczy i znów je otworzył. Słońce zniknęło, ściana już nie lśniła, była matowa i ciężka, i gdyby nie krzyk, Winter mógłby pomyśleć, że nie pamięta, co się działo.

Wyszedł na korytarz. Macdonald czekał przy schodach.

– To się znów stanie – powiedział Winter.

Stali przed budynkiem Dudley Hotel. Po drugiej stronie oddychał park Clapham Common, jak płuco Battersea, Clapham, Balham i Brixton. Winter widział grupy uczniów zebrane wokół jeziora i placu zabaw. Ich mundurki wyglądały jak niebieskie i czerwone prostokąty, kiedy nauczyciele zbierali dzieci i ustawiali je w szeregi.

Ludzie wyprowadzali psy, pierwsza rzecz po powrocie z pracy. Wiatr nadal łagodnie chłodził mu twarz. Znów poczuł zapach wiosny, silniejszy tutaj niż na północ od Tamizy. Między drzewami parku słońce obrysowywało chmury płomiennie pomarańczowym konturem.

– Znaczna część Clapham zamieszkuje wyższa klasa średnia – powiedział Macdonald, podążając za wzrokiem Wintera. – w Clapham są pieniądze, większość chyba tutaj, wokół The Common. Pracowałem tu kilka lat jako inspektor policji kryminalnej, teraz mam z tego

korzyści. Czy jak to można nazwać.

Minęły ich dwie dziewczyny wychodzące z hotelu. Plecaki sterczały im ponad głowy. Skręcili w lewo i wkrótce zniknęli między domami.

– A wy, czy raczej my, dalej nie wiemy, co on tutaj robił – stwierdził Winter.

– O ile jego rodzice nic nowego sobie nie przypomnieli – przyznał Macdonald.

– Nic.

– Możliwe, że przyjechał tu ze względu na muzykę.

– Muzykę?

– O ile się orientuję, odradza się reggae, a te nowe nagrania pochodzą oczywiście znów z Jamajki, i z Brixton. Może ten chłopak dlatego tu przyjechał.

– W jego pokoju w domu było trochę reggae, ale nic nie wskazywało na jakieś szczególne zainteresowanie.

– A jednak to dlatego mógł tu przyjechać.

– W takim razie chyba ktoś musiałby go rozpoznać – powiedział Winter. – Kiedy pytaliście w okolicy... po morderstwie.

– Tutaj ludzie niechętnie kogokolwiek rozpoznają – odparł Macdonald. – To należy do tutejszej kultury.

– Boją się?

– Tak.

– Nawet jeśli sprawa jest tak... wyjątkowa jak ta?

– Nikt nie zaczyna się zachowywać inaczej z powodu takiej sprawy – wyjaśnił Macdonald. – Ludzie stąd cierpią na wrodzony lęk przed innymi. W pewnych częściach Clapham i Brixton jest dużo narkotyków. Wiele zbrodni ma związek z crackiem.

– Więc nikt nie rozpozna białego chłopaka, który się tu kręcił i szukał muzyki?

– Nie. Ale może to wynikać z tego, że po prostu nikt go nie pamięta. Brixton to wprawdzie czarna dzielnica, ale biali napływają tu metrem z Victorii. Głównie młodzi ludzie. Przyjeżdżają po muzykę.

– I nawet twoje doświadczenie nie pomoże?

– Na razie nie pomaga.

Winter otarł czoło. Pot wysechł, włosy u nasady miał sztywne. Był zmęczony po podróży, zmęczyły go wrażenia i widoki. Lęk, który poczuł w pokoju, nadal siedział w jego ciele jak głuche zimno.

Był głodny. To było nieprzystające do niczego uczucie, paradoksalne. Ale nie jadł nic poza sałatką z kurczaka w samolocie, drożdżówką z dżemem i dwoma filiżankami herbaty. Po

piwie mulił go ból głowy, umiejscowiony za okiem. A może to ze zmęczenia.

– Jadłeś w ogóle lunch? – zapytał Macdonald.

– Tylko w samolocie – powiedział Winter. – Coś małego by nie zaszkodziło.

– Znam pewne miejsce – oznajmił Macdonald.

Skierował się na South Side, wjechał na Clapham High Street. Po kilkuset metrach skręcił w lewo, przejechał kolejne trzysta metrów i zaparkował vauxhalla przed restauracją z markizą i ogródkiem z trzema stolikami.

– To El Rincón Latino – oświadczył Macdonald. – A właścicielka należy do moich dawnych ko... ehm, przyjaciół, tak się to chyba nazywa.

Weszli po kilku schodkach i dalej przez otwarte szklane drzwi. Restauracja zaczynała się barem z lewej, dalej łukowate pomieszczenie otaczające bar kończyło się wąską salką.

Lokal był jasny dzięki wielkiemu przeszklonemu oknu wychodzącemu na Clapham Manor Street. Świeże kwiaty stały wszędzie, gdzie dało się je ustawić. Winter poczuł zapach ziół i chili. Byli jedynymi gośćmi.

– *Hola, Gloria.*

Steve Macdonald przywitał się i objął kobietę w wieku zbliżonym do swojego. Była niska, ciemnowłosa. Kiedy wchodzili do sali, wyjrzała z części kuchennej, a potem szybko wyszła do nich, uśmiechnięta.

– *Como esta, Stefano?! –* zawołała.

– *Estoy bien* – odparł Macdonald i spojrzał na Wintera, nadal ją obejmując. Jej czoło znajdowało się na wysokości jego klatki piersiowej. – To mój kolega ze Szwecji – powiedział i przedstawił Wintera.

– *Buenas tardes* – odezwał się Winter.

– *Habla espanol?! –* zapytała Gloria Ricot-Gomez.

– *Un poquito* – odparł Winter.

Moi rodzice uciekli przed szwedzkim urzędem skarbowym i trochę poznałem ten język, ale nie wiem, jak powiedzieć po hiszpańsku oszust podatkowy, pomyślał.

– *Un poco de tapas?* – zapytała kobieta, zwracając się do Macdonalda.

– Wybierz coś – odpowiedział po angielsku i spojrzał na Wintera, a Winter kiwnął głową.

– Butelkę wina? – zapytała kobieta.

– Wezmę wodę – odparł Macdonald. – Nie wiem, co...

– Dla mnie też wodę – dodał Winter.

Wyszła do kuchni, ale zaraz wróciła i zaczęła się krzątać za dwupoziomą

przeszkloną gablota z podłużnymi półmiskami z zimnymi przekąskami.

– Będzie coś na zimno i na ciepło – poinformowała.

– Mają tu czterdzieści pięć rodzajów tapas – powiedział Macdonald.

Usiedli przy stoliku, który wskazała im Gloria, blisko baru. W kuchni ktoś coś smażył.

– W kuchni jest jej siostra – wyjaśnił Macdonald.

Długo siedzieli nad pieczonymi filetemi z łososia i grillowanymi krewetkami z czosnkiem. Jedli też nadziewane słodkie papryczki chili z pieca, parujące chlebki kukurydziane, ośmiornicę w czarnym sosie, nadziewane pieczarki i grillowane bakłażany z ćwiartkami ziemniaka. Jedzenie podano w małych glinianych miseczkach.

Kobieta podeszła do stolika i spytała, czy wszystko w porządku.

– A cerveza?

– Może małą karafkę – zgodził się Macdonald, a Winter znów skinął głową. – Gloria nie tak dawno miała w Bogocie własny program telewizyjny o gotowaniu – wyjaśnił, kiedy wróciła z piwem w szklanej karafce.

– Jedyne dwadzieścia lat temu – powiedziała, stawiając piwo. – Stefano jest dżentelmenem.

– Wspaniale smakowało – pochwalił jedzenie Winter.

– Dziękuję.

– Wspaniale – powtórzył.

– Zawsze marzyłam o tym, żeby mieć restaurację. W końcu musiałam wybrać między byciem gospodynią domową a byciem restauratorką i teraz jestem rozwiedziona – powiedziała z uśmiechem.

Macdonald nalał piwa do szklanki Wintera i swojej.

– Jej syn David ma dziewiętnaście lat i jest na próbnym kontrakcie w Crystal Palace – powiedział. – A siostrzeniec stoi w bramce juniorów Wimbledonu.

– Obaj są lokalnymi patriotami – stwierdził Winter, żując czarną oliwkę.

Gloria Ricot-Gomez wróciła do kuchni. Macdonald odłożył widelec. Weszła starsza latynoska para. Siostra się nie pokazywała. Na zewnątrz było już ciemno. Winter widział dach samochodu Macdonalda lśniący w świetle z restauracji. Drzwi nadal były otwarte. Do środka weszło pięć osób. Wszyscy wyglądali na pochodzących z Ameryki Południowej.

– W niedziele do The Common schodzą się wszyscy Latynosi z miasta. Grają w piłkę albo gapią się na siebie – powiedział Macdonald. – Mieszka tu dużo ludzi z Kolumbii, Peru i Ekwadoru.

– Macie bardzo wielokulturowe społeczeństwo w tym swoim Londynie – stwierdził

Winter.

– Zawsze jest nadzieja – powiedział Macdonald.

Minutę siedzieli w milczeniu, pili piwo.

– Teraz łatwiej się nam pracuje – oświadczył Macdonald, odstawiając szklanę.

– Dlaczego?

– Dwadzieścia lat temu zdecydowano się utworzyć stałą komisję do spraw zabójstw, a ja jestem szefem tego czegoś. Przedtem było tak, że jeśli do morderstwa doszło na przykład w Clapham, tworzone zespoły śledczy z ludzi stąd i z innych dzielnic. Cierpiały na tym inne części miasta, po prostu traciły ludzi. Mieliśmy ciągłe braki, we wszystkich komendach, śledczy byli wysyłani tu i tam. Panował chaos.

Winter słuchał, wsłuchiwał się także w gwar gości przy barze.

– Teraz cały Wielki Londyn jest podzielony na cztery wielkie okręgi – ciągnął Macdonald. – A ja pracuję w części południowo-wschodniej, na rogu. To się nazywa Four Area South-east. Mamy na swoim terenie stu trzech ludzi w ośmiu zespołach. Każdy liczy trzech inspektorów i ośmiu asystentów plus cywilne wsparcie do kartotek, komputerów i tym podobnych. Jestem więc szefem takiej grupy. Zawsze pracujemy razem, nad każdą sprawą.

– W takim razie ważne jest, żeby dobrać odpowiednich współpracowników – stwierdził Winter.

– Dopilnowałem, żeby mi dali najlepszych – przyznał Macdonald z uśmiechem. – Przede wszystkim ludzi z południowych dzielnic, ale też kilku z Yardu. Udało nam się stworzyć ducha wspólnoty.

– Tylko zabójstwa?

– Zajmujemy się tylko zabójstwami. Stu trzech gliniarzy do wyjaśniania morderstw na obszarze, na którym mieszkają ponad trzy miliony ludzi.

– Macie pod opieką mnóstwo ludzi.

– W zeszłym roku mieliśmy siedemnaście morderstw w okręgu południowo-wschodnim i poradziłyśmy sobie ze wszystkim. Stuprocentowy sukces. Pewnie dlatego, że nie mieliśmy tak dużo roboty, morderców było niewielu. Mieliśmy dość ludzi, żeby mogli się zajmować tylko jedną sprawą. Rok wcześniej mieliśmy czterdzieści dwa czy czterdzieści trzy morderstwa. Nie umiem wyjaśnić, skąd ta różnica.

– Czy i wtedy mieliście sto procent skuteczności?

– Mieliśmy jedno niewyjaśnione morderstwo w ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy, nie licząc tego młodego Szweda.

Winter milczał.

– Ofiarą był mężczyzna, który utrzymywał się z włamań do sąsiadów, prawdziwy notoryczny złodziej. Wszyscy, którzy go znali albo padli jego ofiarą, cieszyli się, że facet nie żyje.

– Żadnych świadków?

– Żadnych świadków.

– No i teraz znów to samo.

– Wyjaśnimy to. Odłożyliśmy na bok wszystkie inne sprawy. Mój szef ma pod sobą drugą taką samą grupę i razem nad tym pracujemy.

– Dwudziestu sześciu śledczych – wyliczył Winter.

– Dwudziestu siedmiu, jeśli doliczyć naszego *Detective Super*, ale w praktyce zajmuję się tym ja.

– Dużo.

– Więcej, niż ci się wydaje. Zobaczysz jutro, kiedy przyjdą dziennikarze.

– Jesteś optymistą, to dobrze.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałeś, że to wyjaśnimy.

– Jesteśmy policjantami i realistami, nieprawdaż?

– To dobra kombinacja.

– Powiedziałbym, że niezbędna – stwierdził Macdonald. – Jeśli się już najadłeś, to podrzucę cię na stację.

CHŁOPAK ZNALAZŁ POKÓJ w The New Dome Hotel, dwadzieścia pięć funtów za noc. A najlepsze było to, że mógł stamtąd na piechotę dojść Coldharbour Lane do Brixton Station. Wiedział o tym, bo z walizką przeszedł aż do Camberwell Church Street. Kościół był naprzeciwko, opodal znajdował się szpital.

Wiedział też, że z Coldharbour kursuje autobus, ale tak cholernie przyjemnie było iść na piechotę. Świeciło słońce. W uszach miał muzykę, Sugar Minott. Ostatni krzyk reggae. Wiedział, że wkrótce będzie mógł posłuchać też innych rzeczy. Może spotka kogoś, kto będzie miał dobre zioło. Zamierzał być ostrożny. Właściwie tego nie robił. To przez muzykę.

Szedł. Zbliżając się do stacji, zauważył po prawej stronie szyld: Cooltan Arts Centre. Cool, pomyślał. Muzyka świata na żywo, w piątki wieczorem. Za parę dni. Jeszcze tu będzie.

Znalazł się w środku chaosu wokół dworca: wąskie uliczki, wózki z towarami wyjeżdżające z wąskich bram. Same czarne twarze.

Muzyka ze sklepów. Zobaczył na chodniku kilka plakatów z symbolem funta i nazwami zespołów. Wiedział, że dobrze trafił.

Wszedł do Blacker Dread Music Store i wszystko, czego sobie życzył, miał w zasięgu ręki. Znalazłem się w niebie, pomyślał, przynajmniej regałowym. A może jestem na Jamajce?

Zaczął przeglądać płyty. W sklepie było kilku klientów. Mogli być Szwedami albo Niemcami, albo Duńczykami, ale nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Nie wsłuchiwał się w żaden język.

Znalazł The Congos, *Natty Dread Rise Again* i podwójną *Heart of the Congos*. Był też Super Cat. Dalej acid jazz, *Roots Selection*. Beenie Man, Lady Saw, Wayne Wonder, Tanya Stephens. I Spragga Benz.

Znalazł Bounty'ego Killera, najnowszą płytę, *My Xperience*. W Göteborgu pewnie pojawi się dopiero za trzy lata, i tylko z importu. Spojrzał na tytuły: *Fed Up*. *Living Dangerously*. *War Face*, remiks. *The Lord Is My Light & Salvation*. Ten tytuł mu się spodobał. *The Lord Is My Light & Salvation*.

Znalazł jeszcze jeden album Bounty'ego Killera, *Guns Out*, nagrany razem z Beeniem Manem.

Bounty Killer go fascynował: ostre teksty, mieć wszystko gdzieś, jak prawdziwy buntownik. Przeleciał tytuły: *Kill Or Be Killed*. *Deadley Medley*. Niezłe. *Deadley Medley*. *Mobster*. *Nuh Have No Heart*. *Off The Air Bad Boy*. Ostre, bez kompromisów.

Znalazł więcej Sugara Minotta. Nagrane zagranicą, w RAS Records, producentem był Hopetone „Scientist” Brown.

Mógłbym tu wydać z dziesięć tysięcy, pomyślał.

Przewertował broszurę *History of Trojan Records*. Chciał ją kupić.

Wreszcie dotarł do słuchawek i podał sprzedawcy naręcze płyt. Koleś za ladą miał dredy ozdobione na końcach niebieskimi kokardkami. Może to wizytówka tego sklepu, pomyślał.

Zaczął słuchać: Shaggy, Trinity i African Revolution. Chaka Demus & Pliers, klasyk Culture, którego nie słuchał od czasu, kiedy jakiś gnojek sobie pożyczył i płyta przepadła.

Dr Wildcat. The Dread Flimstone Sound. Stary Gregory Isaacs.

Posłuchał The Congos, *Sodom and Gomorrow*.

Najlepsza była Somma. Płyta nosiła tytuł *Hooked Light Rays*. Kiedy usłyszał głosy, od razu wiedział, że to jest to. Tylko głosy, jak czarny chór gregoriański albo coś podobnego. Afrykańscy niewolnicy w ładowni statku, w drodze do Ameryki.

Zdecydował, że pierwszego dnia zrobi ostrą selekcję, żeby dłużej móc się cieszyć tym wszystkim. Jeśli teraz kupi wszystko, to kiedy tylko będzie miał ze sobą odtwarzacz, nie będzie się mógł skupić na niczym innym. Na ulicy cały czas będzie grzebał w płytach. Ktoś mógłby go obrabować. Nie umiałby się odprężyć, wyluzować.

Kupił Sommę i niemal drżąc z podniecenia, włożył płytę do odtwarzacza. Wszedł ze sklepu, wcisnął słuchawki do uszu i znów usłyszał te głosy. Ruszył Atlantic Road w kierunku stacji i wielkiego targu. Głosy wznosiły się i opadały. Nagle pojawiły się niesamowite dźwięki, jakby jakiś szaleniec dorwał się do szafki z garnkami, choć nie do końca. W jego uszach krzyczało. Muzyka była żywa, jak człowiek przedzierający się przez długi tunel albo korytarz i wyjący wraz z instrumentami na przodzie i chórem z tyłu.

Stał przed stacją metra. Po prawej stronie miał wiadukt, zielony i w kolorze czerwonego wina albo cegły. Naprzeciwko, przy Brixton Road, znajdował się sklep Red Records. Spokojnie, pomyślał, będzie jeszcze czas.

Kiosk z gazetami miał czarnych klientów i czarne gazety. „Ebony”, „Pride”, „Essence”. „Blues & Soul”.

Czuł zapachy, których do tej pory nie znał. Mijali go ludzie niosący części zwierząt albo owoce i warzywa, jakich nigdy przedtem nie widział. Nagle poczuł głód. Był tak głodny,

jak jeszcze nigdy przez całe swoje życie. Wcześniej przechodził koło miejsca, które wyglądało nieźle, na Coldharbour. Aunty cośtam. Jakaśtam Cuisine. Wrócił na Electric Avenue. Najlepsza nazwa dla ulicy, jaką kiedykolwiek widział.

RANO WINTER MINAŁ policyjny garaż, a potem wąskimi schodami poszedł do pokoju śledczych. Minał dwóch mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych, z bronią automatyczną w rękach. Ściany klatki pomalowano na nijaki kolor, jakby normalny świat się skończył, kiedy się opuszcza Parchmore Road. Szumiał wiatrak. Słyszał nieustannie dzwoniące telefony.

Wyszedł na korytarz. Mężczyźni i kobiety krążyli od drzwi do drzwi. Ścianę z lewej strony pokrywała graficzna prezentacja, która lepiej by pasowała do kosmicznego laboratorium niż do siedziby okręgowej policji kryminalnej: z centralnego punktu biegły we wszystkie strony tysiące linii, ku większemu okręgowi. Wyglądało to jak schemat systemu słonecznego, z Ziemią w środku.

Macdonald mówił o tym wczoraj: każda kreska na obrazie oznacza rozmowę telefoniczną w centrum, z telefonu ofiary zbrodni. Właśnie pracowali nad dużą sprawą, sięgającą aż do Karaibów i Stanów Zjednoczonych. Chodziło o narkotyki. Rozmowy przecinające cały Londyn, Wielką Brytanię, zachodnią półkulę.

Drzwi prowadziły do pokoi komisarzy. Pozostali śledczy pracowali w dwóch dość dużych biurach i w otwartej przestrzeni na drugim końcu korytarza. Zsunięte biurka tworzyły tam duże płaszczyzny.

Wszędzie komputery, maszyny do pisania, szafy na akta, telefony, sterty papieru: zeznania świadków, przepisane na czysto notki. Ze stosów wystawały gazety, jak cienie na tle białego i żółtego papieru. Wszystko to wywoływało wrażenie staroświeckiej efektywności. Winter pomyślał, że podobnie było u nich, kiedy zaczynał pracę... jeśli dodać komputery.

To jest bardziej sugestywny sposób pracy, pomyślał, stojąc na korytarzu. Czuje się anarchię i wolność i że decyzje zapadają tuż obok. Tego u nas nie ma. Nie jesteśmy dość blisko siebie w naszej twierdzy przy Skånegatan.

Pokój Macdonalda był ciasny, dziesięć metrów kwadratowych. Stosy dokumentów, telefony, kamizelka kuloodporna wciśnięta za drzwi – nie dałoby się jej wydobyć w razie nagłej konieczności – broń służbowa w wytartej kaburze. Angielskie światło przesiane przez żaluzje pocięło jego twarz na paski.

– Napijesz się herbaty? – zapytał.

– Tak, chętnie.

Macdonald wyszedł na korytarz i powiedział coś, czego Winter nie zrozumiał, do kogoś, kogo nie widział. Potem wrócił, usiadł na swoim fotelu i dłonią wskazał krzesło. Chwiało się, ale wczoraj przez chwilę wytrzymało ciężar Wintera.

– Herbata zaraz będzie.

– W Göteborgu przynosimy sobie sami – stwierdził Winter.

– Anglicy nadal są społeczeństwem klasowym. Słabi przynoszą herbatę silnym.

– My właśnie się cofamy do tych czasów. Sławny na całym świecie model szwedzki już się nie sprawdza.

– Nie wyglądasz na bojownika walki klas.

Do pokoju weszła z tacą młoda kobieta, ubrana jak pokojówka, w białej bluzce i wąskiej czarnej spódnicy. Na tacy stały filiżanki z białej porcelany, biały dzbanek, cukiernica i karton mleka. Macdonald podziękował jej i poprosił, żeby postawiła tacę na stole, z którego przedtem usunął stos formularzy. Dziewczyna postawiła herbatę, uśmiechnęła się do Wintera i wyszła.

– Czy wszyscy szwedzcy kryminalni wyglądają tak jak ty? – zapytał Macdonald, podając Winterowi filiżankę.

– Tylko w podróży służbowej.

– My tutaj ubieramy się na luzie. W tej okolicy tak jest chyba najlepiej. Komenda ma dobre położenie. Jak widziałeś, nie jesteśmy zainteresowani rozgłaszaniem naszej działalności. Mamy tu spokój, jesteśmy na uboczu. Zawsze jak najszybciej tu wracamy po pracy na mieście. Mamy tu swoje komputery. To tutaj rozmyślamy i rozmawiamy ze sobą.

– I odbieracie telefony.

W chwili gdy Winter to powiedział, zadzwonił stojący przed Macdonaldem telefon. Odebrał i mrucał coś przez pół minuty, potem odłożył słuchawkę.

– Rodzice Hilliera mogą się z nami spotkać jutro.

– Dobrze.

– Zobaczymy.

– Czy można jakoś opisać te dzielnice, w których pracujesz w... południowo-wschodniej ćwiartce Londynu... czy można powiedzieć o nich coś ogólnego?

– Nie – odparł Macdonald. – Tylko tyle, że im dalej od Londynu, tym się robi przyjemniej. Mniej przestępczości, ładniejsze domy, sympatyczniejsi ludzie. W Croydon wcale nie jest tak źle. Mamy tu duże centrum z pieniędzmi w ruchu, ale dookoła przestępczość jest dość duża, w biednych dzielnicach. Potem, dalej na północ, robi się coraz

gorzej... Brixton, Peckham... dużo przestępstw, mało pieniędzy albo wcale, duży odsetek ludzi obcego pochodzenia, którzy nigdy nie dostaną szansy.

– Tak.

– Przez te wszystkie lata, kiedy byłem gliną, pracowałem tutaj, na południu, i jedna rzecz jest pewna: ci, którzy przedtem mieli niewielkie szanse, teraz nie mają żadnych – powiedział Macdonald.

– To oznacza przestępczość.

– To oznacza przestępczość i to oznacza milczenie. Kiedyś było tak, że ci najbogatsi zachowywali te sprawy dla siebie, byli dyskretni, ale teraz mamy do czynienia z jawną pogardą. Ci, którzy mają... otwarcie i arogancko pogardzają tymi, którzy nie mają nic. Widzę to codziennie.

– Ale nie chodzi chyba tylko o kolor skóry i biedę.

– Słucham?

– Chodzi o odtrącenie. Nieprzystosowanie... na różne sposoby.

– Tak.

– My też widzimy takie oznaki – przyznał Winter.

– W Szwecji? Nie wiesz, o czym mówisz.

– Myślę, że wiem.

– Że będziecie mieli tak jak my? Uchowaj Boże!

– Czy tak mówi cyniczny policjant?

– Nie wiem – odparł Macdonald i z głośnym siorbnięciem łyknął herbaty.

– Ale glina ma takie poczucie... – powiedział Winter – które z człowieka robi cynika... ma się wrażenie, że to tylko ja, że jestem samotny, nikogo innego to nie obchodzi, ani trochę. Odkrywasz, że ludzie tak cholernie dużo kłamią, cały czas. I to nie tylko podejrzany... nie tylko przestępca, któremu można to udowodnić, jest dobity zeznaniami świadków... ale też inni.

– W dodatku sprawcy, obojętne kim są, zbyt łatwo mogą się wywinąć. Staram się o tym nie myśleć, ale to niełatwe. To właśnie takie myśli robią z człowieka cynika – dodał Macdonald.

– I te straszne rzeczy.

– Proszę?

– To, co musimy oglądać.

Macdonald nie odpowiedział.

– Rezultatem jest przemoc. To prowadzi do cynizmu.

– Tak.

– A mimo to codzienny kontakt z ludźmi jest najważniejszy, to on nas napędza.

– Dużo pracujemy z ludźmi – powiedział Macdonald. – Kiedy chodzi o morderstwa, zniknięcia. Wszędzie rozwieszamy informacje. Jak widziałeś, dostajemy tysiące sygnałów od ludzi, właśnie to słyszysz.

Macdonald zrobił gest w stronę korytarza. Z pokojów słychać było dzwonki telefonów, przytłumione, lecz wyraźne.

– Kilka lat temu mieliśmy taki przypadek – zaczął Macdonald. – Chłopiec, najwyżej dwanaście lat, został zgwałcony i zamordowany. Włos się nam jeżył na głowach. Co za koszmar nam się trafił, kto, u diabła, mógł zrobić coś takiego?

– Znam to uczucie.

– Zadzwoił do nas facet, który jako chłopiec roznosił gazety w rejonie, gdzie znaleziono ofiarę. Powiedział, że mieszka tam mężczyzna, który się do niego kiedyś dobierał. Krążyły o nim różne historie, ale nikt nic nie mówił. Powiedział, że teraz ma trzydzieści dwa lata, ale nigdy nie zapomni tego zbrojstwa.

– Podał nazwisko?

– Podał nazwisko i adres. Przeprowadziliśmy rutynową kontrolę i, jak się okazało, facet rzeczywiście tam mieszkał, i nie był bynajmniej sędziwym starcem. Trochę go przycisnęliśmy i to rzeczywiście był on. Od razu się przyznał.

– To się nie zdarza często – przyznał Winter.

– Nie, ale tu nie chodzi tylko o szczęście. Nie, jeśli spojrzeć na to w szerszej perspektywie. Gdybyśmy byli nieosiągalni i ludzie nie wiedzieliby, że można się z nami skontaktować, choć jesteśmy trochę w cieniu, wtedy ten facet by do nas nie zadzwonił.

– Teraz też czekamy na telefon – powiedział Winter. Zapomniał o herbacie. Macdonald cały czas gadał.

– Chcesz świeżej?

– Ta jest w porządku.

– Ale to żaden kłopot.

– Nie dla ciebie.

Macdonald spojrział na gościa, potarł kolano.

– Jak twoja kontuzja? – zapytał Winter.

– W niedzielę znika, wraca w poniedziałek. Zresztą może chciałbyś się dołączyć?

– Do czego?

– Zagrać w piłkę z naszą piwną drużyną.

– Gdzie?

– W Farningham. To Kent, trzy mile *down the road*. Tam mieszkam. Tam jest pub.

– Jeśli jeszcze tu będę.

– Na pewno będziesz – odparł Macdonald.

– Jednak poproszę o filiżankę herbaty – powiedział Winter, żeby zmienić temat.

Macdonald wstał, wyszedł na korytarz i nie było go przez chwilę. Potem sam wrócił z tacą.

– Służąca jest zajęta przy komputerze.

– Więc załatwił to syn – stwierdził Winter.

– Słucham?

– Syn służącej – wyjaśnił Winter, mając nadzieję, że wystarczy *the servicewoman's son*. – To książka jednego z najślawniejszych szwedzkich pisarzy – dodał.

– Strindberg – rzucił Macdonald.

– I kto tu wie wszystko?

– Mam przekład. Przeczytam, jak tylko przejdę na emeryturę.

Winter pił herbatę. Była mocna i słodka. Przez okno czuł ciepło z ulicy, grzało go prosto w plecy. Macdonald miał na twarzy linie, teraz już nie od żaluzji. Był ogolony. Skóra na jego twarzy nabrała niebieskawego odcienia. Czarne brwi były niemal zrosnięte. Obok stosu dokumentów leżały okulary. Gdy Macdonald wziął je do ręki, niemal zniknęły w jego dłoni, jakby je zrobiono dla dziecka. Musi być straszny na boisku, pomyślał Winter. Gorszy ode mnie.

– Czy masz jakichś świadków, którzy widzieli tego człowieka? – zapytał.

Macdonald wypuścił z dłoni okulary o okrągłych szklach, bez oprawek. Linie w jego twarzy pogłębiły się, kiedy nachylił się do przodu.

– Kilkoro – powiedział. – A najlepszy twierdzi, że on wygląda tak jak ja.

– Jak ty?

– Tak powiedział.

– Co miał na myśli?

– O ile dobrze zrozumiałem, chodzi o wysokiego mężczyznę z długimi ciemnymi włosami.

– My ustaliliśmy to samo – przyznał Winter. – Wysoki i ciemnowłosy.

– To mógł być znajomy i nic więcej – powiedział Macdonald.

– Nie.

– Nie?

– Sam w to wierzysz?

– Właściwie nie.

– Mężczyzna, który szedł z Perem Malmströmem przez park, to nasz poszukiwany. W przeciwnym razie jaki miałby powód, żeby się ukrywać?

– Mogą być inne przyczyny, nietypowe upodobania seksualne na przykład.

– To znaczy, że myślisz, że ten facet miałby być gejem? Że nie chce, żeby jego rodzina się dowiedziała?

Macdonald wzruszył ramionami.

– Twoja teoria jest tak samo dobra jak moja – stwierdził. – Mamy kilka osób, które zgłosiły się same, ale to zwyczajne świry.

– Widziałem ogłoszenia – powiedział Winter.

Widział je na stacji Clapham High Street, gdzie Macdonald wysadził go wczoraj wieczorem: zdjęcia Pera, które Macdonald dostał ze Szwecji. Informacja o morderstwie, miejsce, park; fakty, które policja mogła upublicznić. Prośba o zgłaszanie się z informacjami.

Ogłoszenie wyglądało jak jakiś absurdalny plakat, jak z filmu. Winter przez chwilę czuł ucisk w dołku.

Zobaczył je nagle.

Papier był wystrzępiony na dole. Nabrał już żółtawego odcienia, co świadczyło o tym, że na wszystko jest już za późno. Ogłoszenia naklejono na trzech filarach i wszystkie były w tym samym stanie. Zrobiono to w tym samym czasie. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, niektórzy czytali tekst i dzwonili na Thornton Heath, ale na razie na próżno.

Na Victoria Station na jednym z filarów przy wyjściu Winter odkrył dolny prawy róg informacji o śmierci Pera Malmströma. Trzepotał w podmuchach pociągów. Przejeżdżały bez przerwy. Jedyne fragmenty plakatu, resztę oderwano. Jakby ktoś oddał większą część mapy Londynu i zostawił południowo-wschodnie części.

Zastanawiający przypadek. Jak gdyby miał coś oznaczać, jak gdyby sam w sobie był komunikatem.

LARS BERGENHEM CZEKAŁ na zewnątrz. Mężczyźni wchodzili i wychodzili. Drzwi uchylały się i za każdym razem snop elektrycznego światła przecinał wieczór.

Stał w pobliżu snopa światła padającego z budynku. Za jego plecami pociągi towarowe stuknęły o tory. Stację rozrządową oświetlało słabe światło rzadko rozmieszczonych żarówek, przymocowanych do słupów sterczących pośród wagonów. Gdzieś pośrodku w miarę cichych odgłosów pracy kolejarzy przetaczano lokomotywę. Usłyszał okrzyk i odpowiedź, zgrzyt hamulców, a potem odgłos, coś jak uderzenie ciężkim obłym przedmiotem.

Drzwi znów się uchyliły i ukazała się w nich dziewczyna. Była sama. Czekał, ale nie przeszła przez ulicę na parking.

Pośpiesznie ruszyła Odinsgatan i dalej w stronę Pollhemsplatsen. Bergenhem ruszył za nią. Przecięła ulicę, przepuściwszy tramwaj, potem poszła na ukos przez parking. Kiedy znaleźli się na moście, Bergenhem czuł zimno unoszące się znad Fattighusån. Dziewczyna szła wzdłuż Vallgraven. Było pusto.

W Trädgårdsföreningens park po drugiej stronie kanału było ciemno. Szła szybko, nie oglądając się. Bergenhem musiał przyśpieszyć kroku, żeby nie stracić jej z oczu, kiedy skręcała za róg przy Bastionsplatsen.

Kiedy sam dotarł do tego miejsca, zobaczył ją w świetłach Kungsportsplatsen. Uniosła zgięte ramię, jakby patrzyła na zegarek. Przeszła przez Kungsportsbron, minęła Stora Teatern i zaczekała na zielone przed Nya Allén. Bergenhem sprawdził czas. Powoli zbliżył się do przejścia dla pieszych. Stała wraz z czwórką czy piątką innych ludzi. Było pięć minut po północy. Uznał, że jak na tak późną porę ruch jest duży.

Weszła między cienie Vasastaden. Domy zasłoniły niebo. Bergenhem obszedł jej śladem Röhsska museet, ale dziewczyna zniknęła.

Rozejrzał się. Żadnych otwartych kawiarni. Zobaczył przed sobą bramę, cichą i ciemną. A dalej restaurację, ale nie zdążyłaby do niej dotrzeć. Zresztą i tak była zamknięta, oświetlał ją jedynie neon nad jadłospisem wiszącym na ścianie.

Zobaczył, że w odległości piętnastu metrów zatrzymuje się samochód. W środku zapaliło się światło, kiedy ktoś otworzył przednie drzwi od strony pasażera. Bergenhem

zobaczył niewyraźną twarz nad kierownicą i wysiadającego mężczyznę. Pasażer nachylił się przez otwarte drzwi i powiedział coś do kierowcy. Potem zamknął drzwi, a samochód ruszył na północ, w dół, w stronę Vasagatan. Mężczyzna rozejrzał się, wszedł prosto w ścianę i zniknął.

Co, u diabła?, pomyślał Bergenhem.

Ruszył w tamtą stronę i w ścianie patrycjuszowskiego domu zobaczył drzwi. Były ciężkie jak otaczający je kamień, miały zaśnieżone okucia, wyglądały jak wejście do piwnicy. Na pewno otwierają się do środka, pomyślał. Nie widział światła, kiedy tamten wchodził. Nie było szyldu ani niczego podobnego. Przez mur nie przenikał żaden dźwięk.

Dostrzegł przycisk po prawej stronie, był częścią zawiasu. Nacisnął go palcem wskazującym i czekał. Nacisnął jeszcze raz. Drzwi się otworzyły.

– Tak?

Zobaczył przed sobą zarys twarzy i sylwetki. Słabe światło dochodziło z dołu schodów, zza pleców postaci.

– Tak? – powtórzył głos.

– Czy... jest zamknięte?

– Co?

– Nie ma show? – zapytał Bergenhem.

Dużo pytań bez odpowiedzi, pomyślał. Jestem pewien, że właśnie tu weszła. Dlaczego Bolger nie wspomniał o tym właśnie miejscu? Może niedawno je otwarto? Dużo pytań bez odpowiedzi, pomyślał znowu.

– Dowiedziałem się od jednego klienta. Nie mówił, że trzeba być członkiem.

– Członkiem czego? – zapytał głos.

– No, skąd mam wiedzieć. Można wejść obejrzeć show, czy to tajne?

Postać wyszła na ulicę i stanęła przy Bergenhemie. Zobaczył twarz, której nigdy przedtem nie widział.

– Czego chcesz?

– Zabawić się trochę.

– Jesteś pijany? Nie wpuszczamy pijaków – powiedziała twarz.

– Nie piję.

Obok Bergenhema pojawił się jakiś obcy mężczyzna, bramkarz skinął mu głową. Tamten wszedł. Bergenhem patrzył, jak idzie po schodach na dół. Goryl jakby dzięki temu podjął decyzję.

– Okej – powiedział. – Ale przyjdę cię sprawdzić.

– Co? Dlaczego?

– Przyjmujemy tylko porządnych gości – powiedział. Jak do menela, jakby Bergenhem przyszedł ubrany w karton.

– Mogę wejść? – zapytał Bergenhem.

Mężczyzna rozejrzał się. Odsunął się na bok, żeby Bergenhem mógł się wcisnąć do środka. Wszedł za nim i zamknął drzwi. Światło dobiegające z dołu stało się jaśniejsze. Bergenhem słyszał przytłumioną muzykę. Brzmiała jakoś po arabsku, albo piwniczne zakamarki zniekształcały dźwięki.

U stóp schodów przy stoliku siedziała kobieta. Przed nią stała kasetka na pieniądze, starego typu.

– Dwieście pięćdziesiąt – powiedziała.

Bergenhem zapłacił, ale nie dostał pokwitowania. Powiesił kurtkę we wnęce po prawej stronie, na plastikowym wieszaku.

– Drink wliczony w cenę – poinformowała kobieta z promiennym uśmiechem i podała mu żeton, też plastikowy.

Tańczyła na jednym ze stołów. Bergenhem usiadł tam. Widać jej zebra, ale jest bardzo piękna, pomyślał. Piersi miała większe, niż pamiętał z Riverside. Wydawało mu się, że patrzy na niego, jakby go rozpoznawała.

Leciała czarna muzyka, ale nie Tina Turner. Muzyka narastała, a ona w tańcu wyciągała się w górę. Oczy miała czarne, z ciemnymi półksiężycami pod spodem.

Przy stoliku siedziało jeszcze dwóch mężczyzn, pili i śledzili jej ruchy. Na trzech innych stolikach też tańczyły kobiety. Jak w jaskini.

Bergenhem czuł zapach alkoholu, potu i perfum, i jeszcze lęku, przerażenia, i jeszcze czegoś, co tkwiło w nim samym. Sam nie wiedział, co to jest, ale... właśnie dlatego przyszedł.

Nie wiedział, gdzie kończy się śledztwo, a zaczyna to drugie.

Kiedy muzyka ucichła, natychmiast przestała tańczyć, a uśmiech na jej twarzy skurczył się do kreski. Nagle stała się podwójnie naga, pomyślał, jakby soul stanowił jej ubranie i ochronę. Wyciągnął rękę, dziewczyna się zawahała.

– Chcę ci tylko pomóc zejść – powiedział.

Spojrzała na niego, wyciągnęła rękę, żeby się wesprzeć przy schodzeniu ze stołu na krzesło. Odeszła bez słowa, nawet na niego nie spojrzała. Jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku coś powiedział, ale Bergenhem nie dosłyszał. Płynnie oddaliła się na wysokich obcasach. Zniknęła za drzwiami przy barze. Stał tam goryl, ze wzrokiem utkwionym w Bergenhema. Bergenhem odwrócił głowę i usiadł.

Długo siedział. Od strony baru podeszła jakaś kobieta, zapaliła papierosa. Bergenhem poczuł ostry ból w gardle, gryzł go dym papierosowy wypełniający salę.

– Nie poprosisz, żebym usiadła? – zapytała.

Bergenhem zerwał się, wysunął sąsiednie krzesło.

– Oczywiście – rzucił.

Dwaj mężczyźni odeszli od stolika i poszli do baru. Szybko znaleźli towarzystwo.

– Można mi coś postawić – powiedziała.

Trzymała dłoń na wysokości twarzy, szerokiej, ukrytej pod szminką. Jej włosy były teraz koloru blond. Początkowo Bergenhem jej nie poznał.

– Nie poznałem cię – powiedział.

Nie odzywała się.

– Czego się napijesz? – zapytał.

– Tego – powiedziała, podnosząc do góry szklanekę, którą postawił przed nią facet zza baru. – Nie znasz reguł gry? – zapytała i spojrzała na niego znad krawędzi szklanki.

– Ile to kosztuje? Tysiaka?

– Prawie – odparła i odstawiła drinka na stół. – Mogę zatańczyć dla ciebie prywatnie.

– Nie – powiedział.

– A więc nie tego chcesz?

– Co?

– Nie chodzi ci o prywatny pokaz?

– Nie.

– Więc czego właściwie chcesz?

– Co?

– Ode mnie. Czego chcesz ode mnie?

– Od ciebie? Nic... niczego.

– Niczego? Myślisz, że cię nie poznaję? Nie jestem żadną pieprzoną kurwiącą się ćpunką. Siedziałeś w Riverside sama nie wiem ile wieczorów.

– Tylko kilka razy.

– Poznaję cię – powiedziała, wypuszczając dym ustami jak z lufki, po czym zduśiła papierosa w stojącej na stole filiżance. – I nie lubię być śledzona.

– Śledzona?

– Myślisz, że nie widziałam cię przed Riverside? Myślisz, że nie zauważyłam, że przyszedłeś za mną aż tu?

Bergenhem nic nie mówił, pił piwo.

– Czego chcesz?

– Niczego – powiedział znów.

Zapaliła kolejnego papierosa, szybkimi, nerwowymi ruchami.

– Wiem, że jesteś gliną.

Nie odpowiedział.

– Prawda?

– Tak.

– Nic nie zrobiłam. Jeśli jesteś tu po to, żeby wysadzić ten klub, proszę bardzo, ale za kilka dni otworzą znowu.

– Nie o to chodzi.

– Ach tak.

– Wyjaśniamy dwa morderstwa. – Albo nawet więcej, pomyślał.

Spojrzała na niego, znów zapaliła, nie ruszała swojego drinka.

– Wiem – przyznała.

– Co?

– Pytałeś ludzi w Riverside, prawda?

– Tak.

– Tu pokazują filmy.

Schwycił szklankę z piwem, znieruchomiał, choć bardzo chciał się ku niej pochylić.

– To nie jest tajemnica, ani dla gości, ani na mieście, ale to są rzeczy, jakich nie zobaczysz gdzie indziej.

– Jakie filmy?

– Bondage – odparła. – Wiesz, co to jest?

– Tak.

– To nie jest zakazane.

Nie odpowiedział, nie był do końca pewien.

– Żadnych dzieci, wtedy bym tu nie pracowała. Nawet striptizerki mają swoją moralność.

– Gdzie to jest?

– Ale co?

– Sala kinowa.

– Dlaczego pytasz?

– Chcę zobaczyć – odparł.

– Zaczną bardzo późno, wtedy i tak mnie tu nie będzie.

– Dlaczego?

– To chyba nie powinno cię obchodzić?

Berghem poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Miał nadzieję, że nie widać go na jego czole. Poczł ucisk w kroczu, jakby jego bokserki były zrobione z papieru ściernego. Łyknał piwa i odnotował, że dłoń mu drży. Widział, że to zauważyła.

– Wiesz, jaką sprawę badasz? – zapytała.

Odstawił szklankę i wytarł usta wierzchem dłoni.

– To... było ważne dla mnie, żeby tu iść za tobą, ale nie chodzi o to, o czym myślisz. Próbuujemy się zorientować, co się dzieje w klubach. Jeśli jesteś tak dobrze poinformowana, wiesz dlaczego.

Posłała mu długie spojrzenie.

– Powiem ci jedną rzecz – zaczęła. – Ale musisz mi postawić kolejnego drinka. Inaczej będę musiała iść. Nie możemy tak siedzieć dłużej niż potrzeba na jednego drinka.

– Okej.

Musiała zrobić gest, którego nie zauważył. Nowa szklanka pojawiła się przed nią na stole. Kelner zabrał poprzedniego drinka, był nietknięty.

– Sprawiasz wrażenie miłego chłopca, więc muszę cię ostrzec – powiedziała cicho, jakby spomiędzy zębów.

Słuchał przez obłok dymu.

– Tutaj i w Riverside jest niby spokojnie, ale to śmiertelnie niebezpieczne – powiedziała. – To jest biznes, i tylko biznes, a to oznacza, że nikt nie jest bezpieczny.

– Czy ktoś ci kazał mi to powiedzieć?

– Możesz myśleć, co chcesz – zwróciła się do niego z uśmiechem, jakby odgrywała teatr przed kimś, kto ich obserwuje.

Tak jakby mówiła o czymś innym, pomyślał Berghem.

– Co w tym takiego niebezpiecznego?

– Jesteś miłym chłopcem, trzymaj się ode mnie z daleka.

– Co?

– Nie wiem, czy masz problemy w domu, czy coś innego – powiedziała, zerkając na obrączkę na jego lewej dłoni. – Ale za tą nocną służbę, którą tu pełnisz, szef chyba nie wypłaci ci nadgodzin.

– To moja praca.

– To twoja praca?

– Nie.

– Więc co to jest?

– Nie wiem. Jak masz na imię?

Nie odpowiedziała na jego pytanie.

Kiedy położył się do łóżka, Martina poruszyła się przez sen. Otworzyła na chwilę oczy i wymruczała coś o tym, że musi być późno. Nie odpowiedział, a ona znów zaczęła oddychać głęboko i regularnie.

Czuł zapach dymu papierosowego od swoich włosów i twarzy. Usta miał wysuszone. Kiedy przejechał językiem po podniebieniu, miał wrażenie, że to cementowa grota. Martina leżała na plecach, brzuch górował nad nią jak mały namiot. Zapragnął położyć dłoń na jego czubku, ale nie zrobił tego.

W przedpokoju zarzęziła zamrażarka. Nie mógł spać, słuchał wszystkiego, wszystkich dźwięków.

Wstał z łóżka i schodami podreptał do kuchni. Otworzył lodówkę i napił się mleka, prosto z kartonu. Pił, aż wypił wszystko. Nadal był spragniony, jakby w środku miał ogień. Otworzył karton soku pomarańczowego i nalał do szklanki. Po mleku sok miał słodki i cierpki smak.

Co się ze mną, do diabła, dzieje?, pomyślał.

– Nie możesz spać? – zapytała Martina, kiedy znów się położył.

– Teraz chyba się uda – odparł.

– Mhm.

– Dobranoc – powiedział.

– Mhm – mruknęła, znów zapadając w sen.

Wyszorował się jeszcze raz, mocniej, pachnącym mydłem, ale nie mógł się pozbyć zapachu papierosów. Wydawało mu się, że aż tu, w sypialni, czuje zapach jej perfum. Nieważne, jak ma na imię, pomyślał. Dlaczego o to w ogóle pytałem?

Nie mógł spać. Słuchał mew: zaczęły szarpać gazety i śmiać się z doniesień. Mewia dywizja helikopterów przybywa zawsze o świcie, z bazy na otwartym morzu.

SIEDZIELI W POCIĄGU jadącym na północ. Wczesnym popołudniem w wagonie nie było nikogo. Winter dojrzał na Wandsworth Common biegacza w krótkich spodenkach i koszulce. Trzepotała mu na plecach, wydymana przez wiatr. Wydawało mu się, że rozpoznaje tego mężczyznę, że go widział, kiedy tędy jechał wczoraj i rano. Może to jakiś szaleniec, który biega wciąż tam i z powrotem, godzina za godziną.

Rodzice Geoffa Hilliera w ostatniej chwili odmówili. Ojciec nie był w stanie rozmawiać. Innym razem. Winter znów jechał przez południowe dzielnice. Jeździł tędy często, jakby dojeżdżał do pracy.

– Kiedy wróci matka Jamiego Robertsona? – zapytał, przyglądając się mijanej stacji.

– Za dwa tygodnie – odparł Macdonald.

– A ojca nie możemy znaleźć?

– Nie – przyznał Macdonald. – To nic wyjątkowego.

Kiedy wysiedli na Victorii, Winter pokazał mu podarty plakat. Macdonald zerwał skrawek i wyrzucił do kosza.

– Powiesicie nowy?

Macdonald wzruszył ramionami.

– Pewnie tak – odparł. – Zniszczone obrazy to zniszczone wspomnienia. Nie ma się czego trzymać.

– Stajesz się poetą – powiedział Winter.

– *Poet of crime* – dodał Macdonald. – Stałem się poetą zbrodni.

Metrem podjechali do Green Park. Wysiedli i szli przez podziemia do ruchomych schodów. Wyjechali na słońce.

– Tam mieszka królowa – oznajmił Macdonald, kiwnięciem głowy wskazując park. – Królowa wszystkich poddanych, zarówno Szkotów, jak i Anglików.

– A co z Irlandczykami i Walijszymi?

– Ich też.

Taksówką pojechali w górę Piccadilly i w głąb Soho. Frankie siedział w swoim pokoju, ekran stojącego na biurku monitora był czarny.

– Wsiadł – stwierdził, kiedy Macdonald przedstawił go Winterowi.
– Tani szajs – powiedział Macdonald. – Mówiłem ci, żebyś unikał angielskiego sprzętu.

– Jakby Szkoci robili lepsze – odparł Frankie.

– Robimy.

– Daj przykład.

– Macintosh.

– Ha ha.

Macdonald uśmiechnął się do Wintera.

– Mogę panów poczęstować ekskluzywną karaibską herbatą? – zapytał Frankie.

– Chyba nie ma czegoś takiego – powiedział Macdonald. – Herbata z Karaibów? To tak jakby powiedzieć, że kawę uprawia się w Szwecji.

Frankie znów spojrział na Wintera, ale ten rozłożył ręce, jakby nie miał o tym pojęcia.

– Trochę zasięgnąłem języka – powiedział Frankie. Zdecydował się nic nie podawać. Może później, ale nie teraz, kiedy Steve tak niemiło odniósł się do jego korzeni i pochodzenia. – Najdyskretniej, jak umiałem – mówił dalej.

Macdonald skinął głową.

– I jestem zdumiony – ciągnął Frankie. – Zdumiewa mnie ludzkość.

– Przestań udawać świętoszka – rzucił Macdonald.

– Tu człowiek trzyma się uczciwej drogi i nieraz musi się zastanawiać, dlaczego klienci nie zjawiają się tak licznie jak kiedyś.

Policjanci czekali. Winter usłyszał wołanie z korytarza, jakby o pomoc. Potem rozległ się śmiech i komentarz, którego nie zrozumiał.

– Nie mówię o pornografii dziecięcej – ciągnął Frankie.

– O czym w takim razie mówisz? – spytał Macdonald.

– Mówię o torturach.

– O torturach?

– Tak.

– Jakich torturach?

Frankie nie odpowiedział. Zaczął się lekko kiwać w przód i w tył, jakby poruszał się w rytm jakiejś czarnej piosenki.

– Frankie – powiedział Macdonald.

– Nie chcę więcej o tym mówić.

Macdonald czekał. Śledził wzrokiem ruchy ciemnoskórego mężczyzny. Winter robił to

samo. Czuł chłód z tyłu głowy. Wokół nich zapadła całkowita cisza. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki.

– Frankie – powtórzył Macdonald.

– Mówię tylko to, co słyszałem. To znaczy, że ktoś w Londynie oferuje filmy pokazujące torturowanie ludzi, i to się dzieje naprawdę.

– Nazwisko?

– Nigdy w życiu.

– To może być dla ciebie niebezpieczne – powiedział Macdonald. – Powinieneś to zrozumieć.

– Rozumiem – przyznał Frankie. – Ale w takim razie to ja muszę się tym dalej zajmować. Wiesz, o co chodzi, Steve. Rozumiesz, że nie mogę sprzedać tobie ani twojemu blond przystojniakowi swoich kontaktów. Oni nie wiedzą dużo więcej niż ja i nigdy w życiu nic wam nie powiedzą, nawet gdyby coś wiedzieli.

– Ale przecież ty nie możesz wrócić do nich z dalszymi pytaniami. Ani iść do kogoś innego.

– Jeśli to ma być zrobione, to tylko po mojemu.

Macdonald nie odpowiedział. Winter znów słyszał dźwięki dokoła, jakby świat nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu.

– Uwierz mi – powiedział Frankie. – To są rzeczy, których nie chcę widzieć w swoim mieście ani w swojej branży. Tu chodzi też o tych z nas, którzy są czyści. Ale robi się zamieszanie, jeśli gliny tu wpadną i zaczną wkurzać nas i naszych czystych klientów.

– Ale w tym czasie ktoś może umrzeć – stwierdził Macdonald.

– Ryzyko będzie mniejsze, jeśli zajmę się tym ja, albo my.

– Jutro.

– Jak tylko się da.

– Jutro – powtórzył Macdonald i zwrócił się do Wintera. – Masz jakieś pytania, Eriku?

– Te rzeczy, o których pan mówi, nie są pokazywane w Soho, jak się domyślam? – powiedział Winter, spoglądając na Frankiego.

Frankie nie odpowiedział, ale Winter domyślił się, że ma rację.

– Robi się to raczej prywatnie – dodał. – Ogląda w domach.

– Tak – przyznał Frankie.

– Niech pan będzie ostrożny.

– Dziękuję, o wielki biały człowieku – powiedział Frankie. Zęby błysnęły w jego twarzy. – Wielka jest twoja troska o mnie.

Winter poczuł się jak idiota. Macdonald domyślił się tego z wyrazu jego twarzy. Frankie nadal się uśmiechał, jakby parodiował zbieracza bawełny z plantacji w Missisipi.

- Chętnie napiłbym się teraz herbaty – powiedział Macdonald.
- Mam szkocką, zrobioną z suszonego owsa – rzucił Frankie.
- Mmmmm – mruknął Macdonald.

– Zajrzałem wczoraj do sieci i sprawdziłem linki – powiedział Macdonald, kiedy po wyjściu z Cinema Paradiso spacerowali po ulicach. W słońcu było ciepło, cienie między domami kryły chłód.

Usiedli na nasłonecznionej ławce w samym środku Soho Square. Winter narzucił luźno płaszcz na ramiona. Wczesna wiosna grzała mu twarz. Angielski ptak śpiewał dla niego swoją oryginalną piosenkę.

– Mamy specjalny system komputerowy obejmujący morderstwa, z całego kraju – powiedział Macdonald. – Powstał po katastrofalnym śledztwie z roku osiemdziesiątego siódmego. Seria morderstw. Śledczy błędzili po omacku jak w ciuciubabce. Za bardzo polegaliśmy na systemie kartotek, za mało na bazach danych. Wtedy też zginęli młodzi chłopcy, oskarżano nas brutalnie o niekompetencję.

Do ptaka na klonie za ich plecami dołączył towarzysz – na ławce pod drzewem zjawiała się publiczność. Ptaki chórem odśpiewywały swoje wiosenne klasyki.

- Były ku temu powody – ciągnął Macdonald.
- Ale teraz jesteście zlinkowani – stwierdził Winter.
- To się nazywa HOLMES.
- Co?

– System komputerowy. Nazywa się Holmes, po naszym wielkim literackim wzorcu. Ale każda litera coś tu oznacza: *Home Office Large Major Enquiry System*.

- Ta branża uwielbia skrótowce – powiedział Winter.
- Mogę wchodzić bezpośrednio i sprawdzać pliki z innych okręgów, i jeszcze mieć nadzieję, że gdzieś w Scotland Yardzie siedzi ktoś przytomny.
- Jaką rolę w tej sprawie odgrywa dla ciebie czy też dla nas Scotland Yard?
- Yard jest teraz głównie jednostką administracyjną. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat nie było tam na przykład wydziału zabójstw. Mają jeszcze kilka wydziałów, na przykład do walki z terroryzmem. Ale głównie zajmują się papierkową robotą. Stanowią serce naszego systemu komputerowego, zbioru rejestrów.

– Nie biorą udziału w śledztwach w sprawie morderstw?

– Jeśli zachodzi taka potrzeba, wzywamy specjalne grupy ich techników – wyjaśnił Macdonald. – Mają specjalistyczną wiedzę i sprzęt, którym nie dysponujemy w okręgach. Zbierają odciski palców ze ścian po dziesięciu latach, sam wiesz.

– Tak.

– Byli też na miejscu w Clampham.

– Rozumiem.

– Nasza własna jednostka techniczna robi odciski palców, odciski, zgniecenia i ugryzienia, a ci z Yardu zajmują się tymi najdrobniejszymi rzeczami.

– Czy tym razem masz do nich zaufanie?

Słońce skryło się za chmurą, po karkach powiało chłodem. Ptaki zamilkły, czekały. Samochód dostawczy z otwartą platformą, załadowany beczkami piwa, przetoczył się wokół placu i zatrzymał przed włoską restauracją na jednym z południowych krańców. Dwie młode kobiety przeszły obok przez park, obie spoglądały na ich ławkę. Macdonald zasłaniał oczy ciemnymi okularami. Wygląda jak handlarz narkotyków, a ja jak jego klient, pomyślał Winter. A może odwrotnie.

– Zaufanie? Chyba tak – odpowiedział Macdonald. – Szefami techników są inspektorzy kryminalni. W Anglii technicy kryminalistyki są normalnie cywilami, ale w Londynie mają za szefów gliny. Jest ich tylko dziesięciu. Nazywamy ich inspektorami-laborantami. Zjawiają się na miejscu zbrodni ze swoimi ludźmi i swoim sprzętem. Zawsze ci sami ludzie. Pracują nad wszystkimi trudnymi technicznie śledztwami. Jeżdżą na miejsca zbrodni w całym Londynie. To stwarza pewną ciągłość.

– Brzmi nieźle – stwierdził Winter.

– Poza tym laboratorium znajduje się w Kennington, czyli na południowym brzegu – dodał Macdonald z uśmiechem. – W rzadkich przypadkach wzywamy na miejsce patologa, zwłaszcza kiedy coś wskazuje na tło seksualne.

Tło seksualne, pomyślał Winter. To brzmi jak tytuł filmu.

– Jak długo możecie nad tym pracować w pełnym wymiarze? – zapytał.

– Nad tą sprawą? Nie oddam jej. *Policy* mojego przełożonego wygląda tak, że daje nam zwykle dwanaście tygodni, w zależności od tego, ile mamy innych spraw do załatwienia. Jeśli nie zdarzy się nic nowego i nie odkryjemy żadnych nowych wątków, po dwunastu tygodniach wrzucamy sprawę do szuflady i zabieramy się za nową. Ale, jak już mówiłem, w południowo-wschodnim rejonie wyjaśniamy wszystkie zabójstwa.

– W najgorszym razie wiemy, kto to zrobił, ale formalnie nie możemy posadzić drania

– stwierdził Winter.

– Słucham?

– W głębi serca wiemy, kto jest sprawcą, ale aparat nie pozwala go skazać – wyjaśnił Winter.

– Człowiek popada wtedy w cynizm, nieprawdaż?

– Nie zawsze. Można zachować poczucie, że się miało rację i że prędzej czy później stanie się coś, co dostarczy ostatniego kawałka układanki, tego, którego szukaliśmy.

– Właśnie.

– Wtedy jest się zawsze gotowym, zawsze w gotowości.

– Zawsze czujny – dodał Macdonald.

– Byłeś skautem? – zapytał Winter.

– Skautem? To znaczy w chłopięcej drużynie? Czy wywiadowcą?

– Skautem w drużynie.

– W tej paramilitarnej kryptofaszystowskiej organizacji założonej przez południowoafrykańskiego rasistę Baden-Powella? Nie, nigdy nie brałem w tym udziału.

– Ja brałem – przyznał Winter. – Uczyli tam właściwego zachowania.

– To dlatego w dorosłym życiu zostałeś komisarzem policji kryminalnej?

– Oczywiście.

Znów poczuli ciepło na twarzach. Słońce stało między dwoma domami i za pół godziny miało zniknąć, pogrążyć się w Tamizie. Macdonald wskazał głową przeciwległy róg placu, tam gdzie się zaczyna Greek Street.

– Tam jest Millroy's, najlepszy na świecie sklep ze słodową whisky.

– Wiem.

– Jasne.

– Chciałbym, żebyśmy jutro poszli do tych sklepów muzycznych w Brixton – powiedział Winter. – Chciałbym porozmawiać z tymi świadkami, których przesłuchiwaście.

– Musisz iść sam – odparł Macdonald. – Ja nie zdążę.

– To niedozwolone, jestem tu tylko jako obserwator.

– Taki sam z ciebie policjant jak ze mnie, i jesteś bardziej angielski, niż ja kiedykolwiek będę, więc kto miałby protestować?

– No to powiem, że byłeś ze mną.

– Powiedz, co chcesz.

– No to powiem, że dzisiaj są moje urodziny – oświadczył Winter.

Właśnie sobie o tym przypomniał. To przyszło jak dawne wspomnienie lub imię, które

nagle wyłania się z podświadomości.

– Wszystkiego najlepszego. A ileż to już lat minęło?

– Trzydzieści siedem.

– *At the age of thirty-seven, she realised she'd never ride through Paris in a sports car, with the warm wind in the hair* – zanucił Macdonald. – Albo jakoś tak.

– Kto tak stwierdził?

– Lucy Jordan. Nie słyszałeś nigdy *Ballad of Lucy Jordan*?

– Nie.

– Skąd ty, do jasnej cholery, pochodzisz?

– W każdym razie nie z tego samego miasta co Lucy Jordan.

– To jest klasyk – stwierdził Macdonald. – Wersja Marianne Faithfull wywołuje ciarki na duszy.

– Czyja?

– Marianne Faithfull. Śpiewająca niewinność z tego kraju.

– *At the age of thirty-seven* – powtórzył Winter.

– To wtedy człowiek sobie uświadamia, co ma, a czego nigdy nie będzie miał – stwierdził Macdonald. – 1960. W tym roku narodził się nowoczesny świat. Zabawne, że to też mój rok urodzenia.

– W Wielkiej Brytanii szybciej się starzejecie.

– Właśnie zamierzałem cię zaprosić na coś mocniejszego do The French, ale teraz nie jestem pewien.

– ...z pewnymi oczywistymi wyjątkami.

– To co, idziemy? – zapytał Macdonald, podnosząc się z ławki.

Siedzieli nad czymś mocniejszym w The French. Winter z poczuciem zastoju w głowie. Był zmęczony natłokiem wrażeń, myśli, rozmowami z Macdonaldem i jego ludźmi, ze świadkami.

Chodził po ulicach, po których chodził lub mógł chodzić tamten chłopiec. Porównywał informacje i dyskutował z Macdonaldem. Szybko doszli do porozumienia.

Decyzja, żeby tu przyjechać, była słuszna. A jednak dręczyło go przecucie nieszczęścia. To się zdarzy jeszcze raz.

Pomyślał o Angeli. Zastanawiał się, czy powinien zadzwonić wczoraj wieczorem. Nie zrobił tego. Co ona dla niego znaczy? Dlaczego o tym myśli? Niedaleko ich stolika siedziała

piękna jasnowłosa kobieta, jej ciało było jak obietnica. Czy to dlatego? Była jak Angela, istota doskonała: duże usta i owa obietnica w liniach ciała, jak wezwanie.

– Zauważyłeś, jak cichnę, kiedy wchodzimy do baru? – powiedział Macdonald.

Winter skinął głową, nie odrywając oczu od kobiety. Czeką na jakiegoś mężczyznę?

– My, Szkoci, mamy więcej wspólnego z kontynentem niż z Anglią – stwierdził Macdonald.

– Milczycie i cierpicie nad kieliszkiem.

– Ty to rozumiesz – przyznał Macdonald.

– Pochylacie głowę, chowacie ją w dłoniach, cichniecie i pozwalacie, by smętna muzyka napełniła was rozkosznym zwątpieniem. Słuchacie westchnień serca.

– Ty naprawdę to rozumiesz.

Rozstali się na Piccadilly. Macdonald zniknął w podziemiach, a Winter poszedł z powrotem na zachód. Przeciął Cambridge Circus, potem szedł kilkaset metrów Shaftesbury, do numeru sto osiemdziesiąt. Jego celem był Ray's Jazz Shop. Bywał tam jeszcze jako nastolatek. Tam zawsze znajdował to, czego nie było nigdzie indziej.

Poczuł woń ścian, starych okładek płyt winylowych: kurz, atrament, stary sztywny papier, jak błękitna smuga, coś kwaskowatego lub słodko-kwaśnego, co się wydobywało z cichej muzyki w kartonie.

Od ostatniego razu przybyło półek z kompaktami. Ciemnoskóry chłopak za stojącą na środku ladą włożył do odtwarzacza płytę i zabrzmiała muzyka. Winter natychmiast ją rozpoznał: *New York Eye and Ear Control* z 17 lipca 1964 roku, Ayler i Cherry, Tchicai i Rudd. Rozpętał się piekielny żywioł, jak doznanie erotyczne.

To zadziwiający przypadek. Niedawno słuchał tej muzyki, tak samo jak tu, ze ścian. To nie jest coś, czego się słucha na co dzień. Powiedział to facetowi zza lady.

– Nie mamy zbyt wielu egzemplarzy – powiedział. Miał na nosie ciemne okulary. – To, co dostajemy, od razu się sprzedaje.

– Moja własna gdzieś się zapodziała – stwierdził Winter.

– No to ma pan szczęście.

– Przyjechałem aż ze Szwecji i to jest moja nagroda.

– W ostatnich tygodniach mieliśmy jeszcze jeden egzemplarz. I też kupił go jakiś facet ze Skandynawii.

– Doprawdy?

– Ten akcent rozpoznam zawsze – uśmiechnął się sprzedawca. – Mieszkałem kiedyś przez rok w Sztokholmie i rozpoznaję. Byłem tam z powodu jednej z waszych kobiet – wyjaśnił. – Ale u pana nie słyhać tego tak wyraźnie.

– Bo bardzo się staram – odparł Winter. Bo jestem pieprzonym snobem, pomyślał.

– A więc dobrze pan trafił. To najlepsze miejsce dla wszystkich Skandynawów.

– Ach tak?

– Ten, co tu niedawno był, tak powiedział.

– Aha.

– Jeśli przyjdzie tu jakiś jasnowłosy, puść tę płytę, a na pewno się sprzeda. Tak powiedział.

– Ach tak.

– Albo ktoś ze Skandynawii o nią zapyta.

Winter kupił Aylera i ostatnią płytę Julian Argüelles Quartet, *Human Chain* Django Batesa i jeszcze trochę nowego brytyjskiego jazzu. Czarna muzyka. Coraz bardziej ciążyła mu w dłoniach, kiedy chodził z płytami po sklepie.

Wrócił na Shaftesbury i przez Piccadilly poszedł na Jermyn Street. To była męska ulica. Był tu już wiele razy. Miał dzisiaj urodziny, prawda? Chyba mogę sobie coś sprawić, pomyślał.

Zamierzał pojechać z powrotem do Knaresborough Place, żeby coś zapisać i trochę pomyśleć, ale najpierw chciał kupić kilka koszul w Harvie & Hudson.

Minął Herbie Frogg, cofnął się i wszedł do środka. Mógł kupić garnitur Cerruttiego za niecałe siedem tysięcy koron, ale po chwili wahania zrezygnował. Cena była korzystna, ale nie potrzebował garnituru.

Właściwie potrzebował nowych butów, więc ruszył w kierunku Foster & Son, ale nie miał w sobie spokoju, którego potrzeba, żeby tam wejść. Miał tam swoje kopyto. To był pomysł jego ojca. Wiele par butów Wintera tam zrobiono. Nie jestem spokojny, pomyślał znowu. Nie mogę tam wejść.

Kupił dwie koszule u Thomasa Pinka i jedną w Harvie & Hudson. Potem poszedł dalej na róg Jermyn i St James's. Zaszedł do Davidoff Fine Cigars i od kobiety stojącej za cynkowaną ladą kupił małą skrzynkę Havana Cuaba Tradicionales.

– Pan Winter – powiedział starszy mężczyzna w garniturze w prążki. Bezszelestnie pojawił się przy prawym boku Wintera.

– Pan Baker-Baker.

– Niedawno był u nas pański ojciec – stwierdził sprzedawca. – Może pół roku temu.

Jakoś przed świętami.

- Nie wiedziałem.
- Wyglądało na to, że jest w znakomitej formie.
- To dzięki ciepłym hiszpańskim wiatrom.
- Dawno nie mieliśmy przyjemności pana gości.
- Niestety.
- Zawsze tęsknimy za naszymi starymi wiernymi klientami.
- Cygara są teraz w modzie, o ile się orientuję – stwierdził Winter.

Baker-Baker szeroko otworzył oczy i uśmiechnął się z przekąsem.

- Amerykanom ciągle mało – odparł. – Jak pan widzi, wypełniają *Cigar Room*.

Winter podążył za jego dyskretnym gestem i zajrzał przez szklane drzwi do samego serca świątyni. Zobaczył kilku młodych mężczyzn z bokobrodami, w kosztownych płaszczach od Miro, pograżonych w dyskusji o cygarach.

- Ameryka odkryła cygaro – zauważył Winter.
- Co oczywiście bardzo nas cieszy – odparł sucho Baker-Baker.

Winter zaśmiał się.

- Oczywiście.
- Najpopularniejsze są teraz Cohiba Esplendidos. Skrzynka zawierająca dwadzieścia pięć sztuk za pięćset dwadzieścia pięć funtów. Nowi klienci są zachwyceni.

Sześć tysięcy pięćset, pomyślał Winter. Stylowa cena.

- Proszę, niech pan wejdzie – powiedział Baker-Baker. – Chciałbym panu coś pokazać.

Przytrzymał drzwi, żeby Winter mógł wejść do *Cigar Roomu*. Pachniało jak w innym kraju.

Baker-Baker podsunął mu skrzynkę z piętnastoma sztukami Corona Especial.

- Właśnie je dostaliśmy – powiedział.

Winter sięgnął po jedno z niewielkich cygar w kształcie torpedy. Wciągnął nosem zapach i obracał je delikatnie w palcach. Trzymał w dłoni małe dzieło sztuki.

Przecież mam dzisiaj urodziny, pomyślał. Potem powiedział to na głos.

- To prezent – stwierdził Baker-Baker. Twarz starszego pana była poważna i piękna.
- Ależ to niemożliwe.
- Nalegamy – oświadczył Baker-Baker, jakby reszta pracowników stała na baczność za jego plecami.

- To niemożliwe – powtórzył Winter, ale wiedział już, że przegrał.

– Znajdę coś do zapakowania skrzynki. – Baker-Baker wycofał się do sklepu.
Każdemu, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie, pomyślał Winter.

WINTER POSTAWIŁ Powerbooka na okrągłym stoliku we wnęce kuchennej i pochylił się nad monitorem. Przy oknie światło było lepsze, ale stół był za niski. Wytrzymał piętnaście minut, ale potem poczuł się tak, jakby już nigdy miał nie wyprostować pleców. To cena, którą się płaci, kiedy się kończy trzydzieści siedem lat, pomyślał. Podniósł się z trudem, wsłuchując się w muzykę ścięgien i mięśni swojego ciała.

Zrobił podsumowanie dnia, wszystkich wrażeń. Miasto było męczące, jego ogrom przytłaczał. Musiał najpierw usunąć to z głowy, żeby móc pomyśleć o tym, dlaczego tu jest.

Kiedy pochylił się nad monitorem, widział twarze zamordowanych chłopców. Dopóki je widzi, jest w stanie coś robić. Potem będzie tylko zmęczenie. Pił herbatę. Miasto mruczało głucho za patio, które widział przez okno, ale udało mu się je zredukować do apartamentu przy Knaresborough Place.

Pracował nad szkicem, na którym trzy punkty odniesienia symbolizowane były przez trzy twarze. Zapisywał ostatnie minuty życia chłopców, myślał o Frankiem, a potem równolegle o Bolgerze. I wtedy na blacie za jego plecami zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał Johana Bolgera.

– Jesteś w pokoju? – zapytał.

– W swoim apartamencie.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Odnalazłeś się w mieście?

– Kilka miejsc przetrwało.

– Dawno tam nie byłem.

– Twoja ciotka mieszka w Manchesterze, tak?

– W Bolton – odparł Bolger. – Ojciec wziął część nazwiska od tego miasta. A ty jak zwykle szukasz płyt jazzowych. Rozglądasz się za rarytasami?

– Oczywiście.

– Chodzisz do właściwych sklepów?

– Ray's – powiedział Winter. – Jest jeszcze jeden nowy sklepik w Soho.

– Za moich czasów było trochę ciekawych miejsc w południowym Londynie – stwierdził Bolger. – Jedno nazywało się Red, w Brixton.

– Brixton?

– Tak. Red Records. Spróbuj tam.

Winter czekał, aż Bolger jeszcze coś powie, a tymczasem zapisywał plik w komputerze. Kiedy na podwórku zapadł zmierzch, monitor rozjarzył się mocniej. W apartamencie powoli robiło się ciemno. Zaczynało się od kąta, w którym siedział.

Słyszał donośny hałas przetaczający się po schodach za jego drzwiami, wnoszenie na górę ciężkich walizek.

– Właściwie nie chciałem ci przeszkadzać, ale nie byłem pewien, kiedy wracasz do domu – oświadczył Bolger.

– Ja sam nie jestem pewien – stwierdził Winter. – Może jeszcze kilka dni.

– Chciałem z tobą chwilę porozmawiać – powiedział Bolger.

– Bertil Ringmar prowadzi śledztwo, kiedy jestem tutaj.

– Nie znam Ringmara i możesz to traktować jako rozmowę między kumplami, jeśli chcesz.

Winter czekał. Wyciągnął rękę do tyłu i włączył oświetlenie nad płytą kuchenną. Widział świetlówkę odbijającą się w monitorze komputera.

– Eriku?

– Tak, jestem.

– Ktoś był u mnie popytać.

– Tak?

– Twój młody podwładny.

– Bergenhem?

– Ten, co go do mnie wysłałeś po informacje. Bergenhem, no właśnie.

– Miał pytania. Do ciebie?

– Do dawnego kontaktu. Uznał, że twój kolega podchodzi za blisko.

– Za blisko czego?

– Za blisko działalności, która jest czysta i legalna.

– Ale, do jasnej cholery, o to właśnie chodziło, żeby był blisko. To znaczy, że wykonuje swoją pracę.

– Różni goście zaczęli się dopytywać, można powiedzieć. O co chodzi. Dlaczego przychodzi policja.

– To śledztwo w sprawie morderstwa.

- Wiem.
 - Bergenhem chyba nie był w mundurze?
 - O ile mi wiadomo nie.
 - Może jest namolny – stwierdził Winter. – Ale to mnie nie obchodzi, jeśli tylko do czegoś dojdzie. Może to coś da. Jakoś nie współczuję klientom klubu porno.
 - Wygląda na to, że Bergenhem za bardzo się interesuje – mówił dalej Bolger.
 - Słucham?
 - Za bardzo się klei do jednej dziewczyny. Tak mówią.
 - Dziewczyny?
 - Striptizerki.
 - Kto tak mówi? Goście, czy jak ich tam nazywacie? Czy może twój dawny kontakt?
 - Mówię tylko to, co słyszałem.
 - I co chcesz dzięki temu osiągnąć?
 - Do kurwy nędzy, Eriku, znasz mnie. Wysłałeś tego faceta do mnie. Niepokoję się.
 - Bergenhem wie, co robi. Jeśli się spotyka z jakąś dziewczyną, na pewno ma w tym jakiś cel.
 - Zwykle mają.
 - Nie mówię o tym.
 - Wydaje mi się, że koleś wypadł z toru.
 - On wie, co robi – powtórzył Winter.
 - To nie jest bezpieczne.
 - Czy nie mówimy o działalności, która jest czysta i legalna?
 - No tak.
 - To chyba nie ma żadnego niebezpieczeństwa.
 - Wiesz, o co mi chodzi. Gdyby twoje podejrzenia okazały się słuszne, byłoby niebezpiecznie.
- To ma być niebezpieczne, pomyślał Winter. Niebezpieczeństwo to sens i cel tego przedsięwzięcia. Bergenhem zbliży się do zagrożenia, a potem się wycofa. Da sobie radę, i to go uczyni dobrym policjantem.
- Dziękuję, że czuwasz nad wszystkim – powiedział Winter.
 - Tego bym nie powiedział – odparł Bolger. – Mówię tylko, co słyszałem.
 - Jeśli usłyszysz coś jeszcze, daj mi znać.
 - Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?
 - Tak.

– A co zamierzasz robić dziś wieczorem?

Winter spojrział na swój szkic. Czy to będzie jego wieczór? Czy będzie należał do telewizora? Spojrział na stojący w kącie odbiornik. Nie włączył go ani razu. Zerknął na zegarek. Właśnie powinny się zacząć wiadomości, o ile dobrze pamiętał.

Bolgera chyba zmęczyła cisza w słuchawce.

– Koledzy się tobą nie zajmują?

– Dziś wieczorem chciałem być sam.

– I co będziesz robił?

– Wyjdę coś zjeść za chwilę.

– Do Hindusa?

– Pójdę gdzieś blisko. Może do Chińczyka. Tu zaraz w bocznej ulicy jest dobra knajpa.

Winter oglądał wiadomości. Takie same puste obrazy jak w domu. Brudne i wypalone, jakby ręcznie pokolorowano negatywy.

Lokalne wiadomości prezentował taki sam gadatliwy latający reporter. Smagana wiatrem twarz na miejscu zbrodni, wypadku czy spotkania, dziennikarze jako reprodukowalni artyści codziennych wydarzeń. Rabunek w markecie, samochód leżący na dachu w rzece, zamieszanie w parlamencie, zdjęcia Diany wychodzącej z pałacu Kensington, nieopodal miejsca, gdzie Winter siedział z nogami na stole w pokoju oświetlonym przez telewizyjny ekran.

Pogoda miała się utrzymać. Twarz pogodynki jaśniała w zawody ze słońcem na mapie za jej plecami.

Ani słowa o morderstwie. Czyżbym się spodziewał zdjęcia Pera Malmströma?, pomyślał Winter. Podarty plakat, taki jak tamten na filarze podtrzymującym dach Victoria Station? Przełom w śledztwie?

Telefon znów zadzwonił. Winter przez chwilę się zastanawiał, czy nie zostawić tego automatycznej sekretarce, ale pomyślał o Macdonaldzie.

– Winter.

– Eriku! Z jednym małym tulipankiem składam ci...

– Cześć, mamó.

– Najlepsze życzenia urodzinowe!

– To miło, że dzwonicz.

– Co to za matka, która nie zadzwoniłaby do swojego dziecka na urodziny? Nawet jeśli

dzieli ich cały świat.

- Tak.
- Tata też cię pozdrawia.
- Pozdrów go ode mnie.
- Jaka jest pogoda w tym okropnym mieście?
- Piękne słońce.
- Nie wierzę.

Winter się nie odezwał. W okienku telewizora zaczął się show. Dwóch ludzi żartowało na scenie. Widownia się śmiała. Trudno było usłyszeć, co mówią, publiczność śmiała się za głośno. Winter pilotem ściszył dźwięk.

- U nas był przepiękny dzień.
- Oczywiście.
- Czy rozwiązaliście już tę sprawę?
- Jesteśmy blisko.

Winter usłyszał jakiś głos tuż obok matki.

- Tata pyta, czy kupiłeś cygara.
- Kupiłem.
- Musisz porozmawiać z Lottą.
- Tak.
- Znów do nas dzwoniła, Eriku. Nie jest jej łatwo.
- Wiem.
- No i jak świętujesz swój wielki dzień?
- Piję herbatę i piszę w pokoju, na laptopie.
- To brzmi strasznie nudno.
- Takie życie sobie wybrałem.
- Mieszkasz tam gdzie zawsze?
- Tak.
- Przynajmniej masz kilka pokoi.
- Tak.
- Ale na tej ulicy jest straszny ruch.
- Czekam na telefon od mojego angielskiego kolegi – rzucił Winter.
- We własne urodziny?
- Przyjechałem tu, żeby pracować, mamó.
- Czasem musisz się też rozerwać, Eriku.

Usłyszał szum wody w rurze za ścianą przedpokoju. Goście z apartamentu nad nim byli w ubikacji. Zupełnie jakby się przysłuchiwali tej rozmowie, aż uznali, że wystarczy, i postanowili splukać to gównem, pomyślał Winter.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, mammo.

– Zrób sobie jakąś przyjemność wieczorem, synuś.

– No to pa – powiedział Winter i się rozłączył.

Wziął do ręki pilota i zrobił głośniejsze. Show jeszcze trwało. Na scenie było teraz więcej osób. Dwie pary ścigały się, zakładając sobie nawzajem stroje piłkarskie. Pod koszulkami trzymali piłki. Śmiali się jak szaleni. Publiczność też się śmiała. Prowadzący się śmiali. Winter też zaczął się śmiać, coraz głośniejsze. Śmiał się tak, jakby tego potrzebował. Czuł łyzy w oczach i ból w przeponie.

Mięśnie śmiechu potrzebują treningu, pomyślał. Najwyższy czas, do diabła. Skończyło się krótką czkawką i pociągnięciem nosa.

Poszedł do lodówki po butelkę cavy. Kupił ją w sklepie Oddbins przy Marloes Road, kilkaset metrów od hotelu. Hiszpańskie wino musujące otworzyło się z hukiem. Nalał trochę do szklanki.

To nudne, ale takie życie sobie wybrałem, pomyślał i łyknął wino. Bąbelki rozbiegły mu się po języku.

Ze szklanką w ręce wrócił na sofę. Na kuchennym stole jarzył się monitor komputera, jak przypomnienie zła tego świata. Otworzył okno. Wieczór był smolisty i złoty, od światła za domami. Słyszał auta na Cromwell Road. Jak mżawka dźwięków. Poczł zapach zieleni. Było ciepło, a jednocześnie chłodno, jakby powietrze było ułożone warstwami.

Gdzieś na północy odezwała się syrena, po kilku sekundach ucichła. To było jak muzyka miasta. Podniósł wzrok na niebo, prostokąt koloru indygo. To wieczór na jazz, pomyślał i zapalił especial. Otoczył go dym pachnący garbowaną skórą i suszonymi tropikalnymi owocami. Zatrzymywał aromaty w ustach, potem wydmuchiwał je prosto w wieczór za otwartym oknem. Dym wznosił się do góry i znikał.

Wydawało mu się, że przez dymną zasłonę widzi sprawcę. Niewyraźny obraz zimnokrwistego mordercy.

Muszę przestać o tym myśleć, pomyślał. Sprawcy też mają uczucia. Może im brakować wspomnień, ale uczucia gdzieś zostały. Nauczyli się je wyłączać. Bronią się przed nieprzyjemnymi uczuciami. Zawsze coś tkwi na samym dnie. Musimy sięgnąć do dna. Zamiast schodzić na sam dół, podążamy za emocjami, patrzymy, co się dzieje dalej. Wzmacniamy stereotypy.

Zbrodnia jest traumą dla wszystkich. Musi tak być. Inaczej będziemy zgubieni na zawsze, pomyślał, pociągając cygaro.

Znów wydało mu się, że w dymku widzi jakąś twarz, wyraźniejszą niż przedtem, ale rozplynęła się ze smugami i rozwiała. Wspomnienia, pomyślał znowu. Jest w pamięci coś, co może mi pomóc rozwiązać tę sprawę. Co to jest? Czy to coś, co sam pamiętam? Czy utracone wspomnienia? Co takiego powiedział Macdonald? Mówił coś o wspomnieniach i fragmentach. Ktoś inny powiedział coś do mnie. Pamięć, pomyślał i położył dłoń na czole: nie nadążam, znam odpowiedź, ale nie nadążam, nie potrafię nawet zadać właściwego pytania.

Podszedł do stołu i nalał sobie jeszcze wina. Pił, ale smakowało jak ocet winny z bąbelkami. Nie będę mógł wytrzymać sam ze sobą. Dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy, pomyślał i odstawił szklanę. Wyłączył telewizor i zadzwonił na domowy numer Bertila Ringmara.

– Komputer Möllerströma eksplodował – powiedział Ringmar.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że musiał nam pokazać, jak daleko doszedł i jaki był zapobiegliwy, bo zachowywał wszystko na innych komputerach, na dyskietkach i w innych programach.

– A więc to był wielki dzień Jannego – stwierdził Winter.

– Tak, ale był to też znak – odparł Ringmar. – Nasze komputery dosłownie pękają od tego wszystkiego.

– Wiem.

– Jesteśmy teraz pod niesłychaną presją, a ciebie tu nie ma i nie możesz porozmawiać po angielsku z brytyjską prasą.

– Na razie udawało mi się tego unikać, ale Macdonald mówi, że będę musiał.

– Jaki on jest?

– W porządku.

– Czy to ma sens?

– Tak mi się wydaje. Jutro będę miał kilka wywiadów, przesłuchań.

– Mamy nowe informacje od świadków.

– I co?

– Nie zdążyliśmy jeszcze sprawdzić wagi tych informacji, ale jedna rzecz wydaje się interesująca.

Winter czekał. Cygaro w jego dłoni zgasło, odłożył je na szklaną popielniczkę. Okno znów się zamknęło z cichym świstem.

– Margines poczuł wolę współpracy – powiedział Ringmar.

– Chyba współpracujemy z nimi cały czas? – upewnił się Winter.

– Dostaliśmy dzisiaj list od jednego włamywacza. Pisze, że zrobił kiedyś włam do mieszkania, a w środku znalazł zakrwawione ubrania.

– Wielki Boże.

– Mhm.

– W ilu mieszkaniach w Göteborgu w ciągu ostatnich tygodni znajdowały się zakrwawione ubrania?

– Skąd mam wiedzieć?

– W wielu – odpowiedział sam sobie Winter.

– Ten facet nie sprawiał wrażenia świra – odparł Ringmar.

– To wszystko? Zakrwawione ciuchy?

– Pisze, że zgadza się data.

– Data? Którego morderstwa?

– Pierwszego.

– Włamywacz? Podał adres tego mieszkania?

– Tak.

– I nic o tym, kto tam mieszka?

– Tylko tyle, że to mężczyzna.

– Nic więcej?

– Nic.

– Dlaczego w ogóle marnujemy czas na rozmowę o tym?

Ringmar nie odpowiedział.

– Bertilu?

– Nie wiem... może dlatego, że w tym liście jest jakiś taki ton... albo dlatego, że napisał go złodziej. Wygląda na to, że wie, co widział, że tak powiem.

– Mhm.

– Odłożymy to na bok, ale... na widoku – zaproponował Ringmar.

– Możesz dyskretnie sprawdzić ten adres i tego faceta, jeśli będziesz miał czas – powiedział Winter.

– Wysłałem Haldersa.

– Powiedziałem dyskretnie.

Ringmar wyszczerzył się w uśmiechu.

– A jak tam z Bergenhemem? – zapytał Winter.

– Co?

– Lars. Co u niego słyszeć?

– Nawet nie wiem, przychodzi i wychodzi, kiedy chce. Chyba jest bardzo skoncentrowany na zbadaniu branży, na tym, co mu zleciłeś.

– Pogadaj z nim trochę. Mam wrażenie, że tego potrzebuje.

– Nie sądzę, żeby chciał. Chyba myśli, że jest kimś wyjątkowym, odkąd przydzieliłeś mu ten trop. *On a mission from God* czy coś podobnego.

– Powiedz, że chcę, żeby teraz tobie składał raporty.

– Okej.

– No to cześć.

Winter rozłączył się i poszedł pod prysznic. Wytarł się energicznie, a potem założył koszulę i spodnie, narzucił marynarkę. Krawata nie wziął. Włożył lekkie trzewiki i przeszedł dwieście pięćdziesiąt metrów do Crystal Palace. Jedzenie było tak samo świetne jak kiedyś. Nadal myślał o wspomnieniach.

NIEMAL CODZIENNIE kiedy wychodził z pokoju albo wracał z miasta do New Dome Hotel, spotykał na schodach syna właściciela. Musiał być po trzydziestce i sprawiał wrażenie nienormalnego. Pokonywał siedem podestów krętej klatki schodowej, na górze zawracał i schodził na dół, przez foyer wychodził na chodnik, znów zawracał i zaczynał wspinaczkę od nowa.

Kiedy się mijali, uśmiechał się zagadkowo. Jego twarz się rozpadała, a oczy jakby zwracały do środka. Nie wyglądało to przyjemnie. Starał się mijać go jak najszybciej.

Jeśli nasłuchiwał z pokoju, mógł słyszeć kroki tego idioty. Rozbrzmiewały z niewzruszoną regularnością.

Od kiedy się zameldował, nie widział już właściciela. Foyer zawsze było puste. Za kontuarem nikogo nie było. Trzeba było dzwonić, ale nigdy tego nie robił. Nie miał żadnych pytań, niczego nie potrzebował. Mógł usiąść na sofie z czerwonego skaju pod przeciwległą ścianą i czekać, aż idiota znów przejdzie, ale nie miał ochoty na taką zabawę.

Po drugiej stronie ulicy wypatrzył dwie greckie restauracje, raczej grecko-cypryjskie, ściśle biorąc. Poszedł na południe ulicą, która się przy nich zaczynała. Nigdy nie widział tak wspaniałych domów. Zbudowano je przed stu laty albo jakoś tak, ale wyglądały odjazdowo. Całe porośnięte były zielenią. W kilku miejscach ludzie stali na ulicy i myli samochody. To była długa ulica, kawałek dalej znajdował się pub Grove House Tavern. Na chodniku stały trzy stoliki z krzesłami. Słońce znad domów naprzeciwko świeciło prosto na nie. Chłopak wszedł do środka, kupił piwo i wyszedł z kuflem na ulicę.

Nikt poza nim nie siedział na zewnątrz. W lokalu było trzech facetów, wszyscy biali. To typowa biała ulica. Można to rozpoznać po domach.

Zabawne, bo ulica, przy której mieszkał, i ta duża, szeroka, prowadząca do centrum Brixton miały coraz więcej czarnych mieszkańców. Powoli stawały się całkowicie czarne. Uśmiechnął się. To prawie jak powrót do domu, pomyślał. A tutaj jest inaczej. Siedział sam, otoczony przez białych.

Czarny chłopak w białym pubie.

Jestem czarny z wierzchu i biały w środku, a teraz stanę się też trochę czarny w

środku, pomyślał.

To było dziwne uczucie, chodzić po tych ulicach jako turysta i czuć się jak inni biali, a jednocześnie być jednym z masy tutejszych. Chyba po raz pierwszy miał takie poczucie. Nosił białe nazwisko, ale nie wyglądał jak Christian Jaegerberg. Wyglądam raczej jak jakiś Beenie Man albo Bounty Killer, pomyślał i łyknął piwa. Czuł się cool.

Siedział w ciszy drzew rosnących wzdłuż ulicy. W kieszeni miał muzykę.

Był w Red Records i pytał o kilka rzeczy. Facet za ladą zdziwił się, kiedy przemówił inaczej niż tubylcy. Dredy, ale szwedzki akcent. Może to dziwne, ale on się nie wstydził. Nie wstydził się też naleciałości göteborgskiego dialektu. Kiedyś Peter mu opowiadał, jak siedział w biurze podróży organizującym wyjazdy na Majorkę i jakiś facet wszedł i powiedział: „do jo haf uny aspiryne”, a dziewczyna z biura zaraz na to: ach tak, pan z Göteborga, a facet bardzo się zdziwił, bo przecież mówił po angielsku. Ale się nie wstydził.

W Red Records był jakiś biały koleś. Usłyszał, jak mówi. Zaczepił go przy wyjściu, kiedy wychodzili, równocześnie. Był wysoki, miał może trzydzieści pięć, czterdzieści lat.

– Szwed? – zapytał.

– Pewnie słyszać?

– Facet za ladą w każdym razie się zdziwił.

– Szok.

Tamten zaśmiał się.

– Normalnie każdy tu stara się być cool – powiedział.

Chłopak nie odpowiedział, chciał być cool. Zatrzymali się na chodniku na Brixton Road, naprzeciwko wejścia do metra.

– Znalazłeś jakąś dobrą muzykę?

– Aż za dużo.

– Somma?

Spojrzał na tamtego.

– A skąd ty to, kurna, wiesz?

Facet rozłożył ręce. To było raczej jak skurcz od ramion na dół. Jest silny, pomyślał chłopak, jak ciężarowiec, co się urwał z siłowni.

– Wyglądasz na takiego, co się zna na nowościach.

Ucieszył go ten komplement.

– Dlatego tu przyjechałem.

– Rozumiem.

Chłopak ruszył w lewo, do przejścia.

– Czasem tu przyjeżdżam, żeby kupić trochę nowych płyt – powiedział tamten.

– Uzupełnić?

– Mam agencję rozprawdzającą płyty w Skandynawii.

– Z muzyką reggae?

– Ogólnie z czarną muzyką.

– I po to tu przyjeżdżasz?

– *This is the place.*

– A jakie tytuły kupiłeś tym razem?

Chciał przetestować nowego znajomego.

Facet wyliczył same najlepsze tytuły.

– Dużo kupujesz?

– Tak, ale prawie nic nie biorę do domu.

– Jesteś z Göteborga?

– Tak. To chyba słyszać.

– Ale nie masz sklepu ani nic w tym rodzaju?

– Tylko dystrybucję, na całą Skandynawię i kawałek Europy Północnej. Mam tylko... próbki, tak można to nazwać. Mógłbym ci je pokazać albo nawet dać, do przetestowania... ale nie mamy czasu.

– Nie?

– Za pół godziny jestem umówiony.

– Okej.

Nawet nie wiedział, czy jest zainteresowany. Ale to brzmiało ciekawie, to może być coś całkiem nowego.

– Fajnie było cię poznać – rzucił tamten. – Powodzenia z muzyką.

– Dzięki.

– I z językiem.

Nadal miał muzykę w kieszeni. Słuchał ciszy drzew. Poczuł na twarzy chłód, jakby słońce skryło się za chmurą. Ktoś zasłonił mu źródło ciepła. Musiał odczekać, aż oczy się przyzwyczają. Potem zobaczył, że to facet od agencji płytowej.

– Pomyślałem właśnie, że się chyba znamy – powiedział tamten.

– O... cześć.

– *It's a small world.*

Agent przesunął się na bok i chłopiec znów miał światło na twarzy. Najpierw zmrużył oczy, osłonił je dłonią. Twarz tamtego znajdowała się w cieniu. Chyba się uśmiechał, zęby jaśniały. Co on tutaj robi?

– Jeden z moich kontaktów mieszka przy tej ulicy – powiedział facet, jakby odpowiadając na pytanie, którego nikt nie zadał. – Prawdziwy Karaibczyk. Mieszka tam, przy szpitalu, wiesz gdzie? Największy szpital w południowym Londynie, tak myślę.

– Nie, nie widziałem go. Nie sądziłem, że mieszkają tu jacyś czarni.

– On jest czarny, ale to ciekawa część miasta. Jak szachownica. Białe, czarne, białe, czarne.

– Tak.

– Teraz idę do innego koleśka, z Coldharbour. Jest biały – powiedział nowy znajomy i jego zęby znów zaśniły. – Chętnie bym ci zaproponował, żebyś poszedł ze mną, ale on nie lubi mieć więcej niż jednego gościa naraz.

– Okej.

– Mam czas akurat na szybkie piwo. Chcesz jeszcze jedno?

– Okej.

Agent wszedł do pubu. Słońce zachodziło za kominem domu naprzeciwko. Wyglądało jak pochodnia z kamienia. Ulicą powoli przejechała karetka. Chłopiec pomyślał o szpitalu na wzniesieniu, czy gdzie też on był.

Od strony jego hotelu nadeszli mężczyzna i kobieta, usiedli przy sąsiednim stoliku. Po chwili mężczyzna wstał i wszedł do środka. Kobieta została na chodniku, mrużąc oczy do słońca na kominie. Agent wyszedł z dwoma pintami. Kufle ociekały jeszcze pianą. Chłopak wziął swoje piwo, poczuł zimno w dłoni. Odstawił szklankę i sięgnął do portfela, do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Ja stawiam – powiedział tamten.

– Okej.

– Możesz mi opowiedzieć o swoich ulubionych wykonawcach, a ja się napiję.

Chłopiec zaczął wyliczać.

– Zajeście – przyznał nowy znajomy. – Muszę to wszystko zapisać.

Wyjął niewielki notes i długopis, zaczął zapisywać. Kilka razy poprosił o powtórzenie tytułu.

– Ktoś taki jak ty bardzo by mi się przydał – stwierdził.

– No co ty, naprawdę?

Mężczyzna, który przyszedł w towarzystwie kobiety, wyszedł z pubu ze szklanką piwa i kieliszkiem, przypuszczalnie z winem. Postawił je przed towarzyszką.

Chłopiec słyszał narzekania kobiety, że za późno wyszli z domu. Słońce się schowało. Przynajmniej jest ciepło, stwierdził mężczyzna. Nie pamiętam, żeby o tej porze roku było ciepłej.

– Muszę iść – oświadczył agent.

– Okej.

Facet wstał. Miał ze sobą niewielką aktówkę.

– Mieszkasz w pobliżu?

– Kawałeczek stąd.

– Przepraszam, jeśli się narzucam, ale czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

– Ja?

Agent otworzył aktówkę i wyjął stos płyt kompaktowych, co najmniej osiem, albo więcej. Znów usiadł.

– Jutro mam się spotkać z innym kontaktem. Mamy porozmawiać między innymi o tych płytach – zaczął. – Bo miałem je przesłuchać dziś wieczorem albo w nocy. Właściwie to nie takie ważne, ale on jest trochę... chce po prostu, żeby klienci wiedzieli, co biorą. Będę musiał coś powiedzieć.

Chłopiec słuchał. Para od stolika obok weszła do środka. Ochładzało się.

– A jest jeszcze taka sprawa, że pewna dama, tu, z Londynu, ma wobec mnie pewne oczekiwania. Rozumiesz, o co mi chodzi.

– Rozumiem.

– Czy nie mógłbyś przesłuchać tych płyt?

– Taaak...

– Chodzi o coś w rodzaju fachowej ekspertyzy.

– No nie wiem...

– Jeśli zdążę, przyjdę je odebrać dziś późnym wieczorem, ale będzie ze mną ta laska.

Najlepiej będzie, jak zostawisz je w recepcji.

– Ale nie będziesz wiedział, co o nich sądzę.

– Właśnie, mam coś nie tak z głową.

– Czy to przez tę laskę?

– No tak, wtedy to nie głowa tobą kieruje – odparł agent i zaśmiał się.

– To prawda.

– Mogę trochę przełożyć to spotkanie z kontaktem. Powiedzmy, że wtedy wpadłbym do ciebie na chwilę jutro wieczorem, moglibyśmy pogadać o muzyce.

– Nie wiem, czy coś ci pomogę.

– Płyty są oczywiście twoje. Możesz zachować wszystkie.

– To o której przyjdiesz?

Facet znów wyciągnął notes.

– Mam umówioną kolację koło ósmej – powiedział. – Więc moglibyśmy się spotkać krótko potem. Czy o jedenastej będzie za późno?

– Nie.

– Na pewno?

– Jasne.

– Może moja dama przyjdzie ze mną, ale posiedzi w kącie i nie będzie nam przeszkadzała.

– Dobra.

– Dam ci jeszcze numer mojej komórki, gdyby coś wypadło – dodał tamten. Wyrwał kartkę z notesu i zaczął pisać. – Jasny gwint, mój telefon tutaj nie działa, nie wiem dlaczego – stwierdził nagle i schował kartkę do kieszeni. – Nie pamiętam numeru do mojego hotelu, ale zadzwonię do ciebie, do twojej recepcji, i podam numer, jak tylko wrócę.

– Okej.

– Muszę już lecieć.

Chłopiec poczuł się lekko zamroczony. Wypił dwa piwa. Zaczynał lubić tego faceta. Może trochę za bardzo nakręcony, ale tacy są przecież biznesmeni.

Jego nowy znajomy wstał.

– Jeszcze jedno – powiedział.

– Tak?

– Muszę wiedzieć, w którym hotelu mieszkasz.

PO TAMTYM PIERWSZYM spotkaniu w klubie porno przy Vasastan widzieli się trzy razy.

Bergnhem był teraz dwoma osobami, może nawet trzema. Różne sumienia zderzały się w nim jak kry lodowe.

Kiedy był w domu z Martiną, nie mógł zrozumieć, co robił u Marianne. Kiedy czuł wierzgnięcia Okruszka, nienawidził tego, czym się stał, tego drugiego, który też był Larsem Bergnhemem.

Miała na imię Marianne. Podczas występów nazywała się Angel. Miała dwa malutkie skrzydełka przyczepione do łopatek. Białe i opalizujące jak rybie łuski. Wszystko pasowało do brudu dokoła. Imię i kostium sceniczny, jeśli tak można to nazwać. Nie przychodziło mu do głowy lepsze określenie. Wszystko było przybrudzone, jak świat widziany przez szybę samochodu.

Trzecią osobą, którą był, był policjant. Gdzieś w tych słabo oświetlonych pomieszczeniach w suterenach ten policjant znikał. To dlatego spotykał się z Marianne. Jeśli ktoś pytał, tak było, ale jedyną osobą, która pytała, był on sam. Zwątpienie nie dawało mu spokoju, zadawało pytania. Widział też pytanie w oczach Martiny, jakby wiedziała, że on wie, że ona wie.

Wiał silny wiatr, jak na szczycie góry. Szedł do Marianne, do jej domu. Mieszkała na łodzi zacumowanej przy Gullbergskajen. Najpierw jej nie wierzył, ale tak właśnie było.

Nie mieszkała przy nabrzeżu sama, ale miała własną łódź, której jeszcze nie widział. Kuter rybacki, który od dawna nie łowił ryb, zacumowany przy Drömmarnas Kaj, Kei Marzeń.

Słyszał tę nazwę, ale nigdy tam nie był. Rzeczywiście, jeszcze nigdy tu nie byłem, pomyślał.

Właściwie najlepiej przychodzić tu latem, powiedziała. Łodzie, które jeszcze mogły pływać, odbijały od nabrzeża w jedyny rejs w roku, do twierdzy Älvsborg i z powrotem. To było jak regaty, mówiła.

Regaty Straconych Złudzeń. Tak je nazwała.

Berghem czekał na przejściu dla pieszych przy drodze dojazdowej. Stał samotnie, szarpał nim wyjący między budynkami wiatr. Wszystko tu było nowe. Ściany domów wyglądały, jakby je zrobiono z aluminium. Lśniły, ale mogły runąć na ulicę.

Szedł Gullbergs Strandgata, wzdłuż fasady budynku NCC, potem skręcił w prawo w Stadstjänaregatan. Pod Holmens krog siedział jakiś mężczyzna. Skulił się, jakby czekał na kogoś, kto mu dotrzyma towarzystwa. W siedzibie Landstingu otworzyły się drzwi. Kilka sług państwa wychodziło wreszcie do domu.

Berghem stanął nad wodą. Płynęła leniwie, jak gęsty olej. W dużych kawałach lodu przy zmarzniętym nabrzeżu jeszcze było widać zimę. Na lewo most Götaälvbron rozciął niebo na pół. Horyzont przypominał coś, co malował jako dziecko, kiedy zmieszał wszystkie czerwone i żółte farbki.

Na wschodzie rdzewiał statek restauracja GA Skytte. Minął go i poszedł dalej. Usłyszał pojedyncze uderzenie młota albo jakiegoś innego ciężkiego urządzenia ze stoczni Gotenius po drugiej stronie rzeki. Hangar stoczni wyglądał, jakby się unosił na powierzchni wody.

Drewniana tablica, wygładzona przez wiatr, witała na terenie Stowarzyszenia Wodniackiego Gullbergs kajen.

Nagle poczuł zapach tytoniu, mocny i wilgotny. Na prawo, za zagajnikiem, po przeciwnej stronie Torsgatan dziesiątki tysięcy kawek wydzierały się nad ogromnym magazynem Swedish Match. Wyglądały jak czarna chmura nad ciemnym budynkiem z chińskim dachem. Skład zajmował cały kwartał po drugiej stronie, a zapach był tak silny, że Berghem miał wrażenie, jakby włożył nos do pudełka tabaki Generał.

Minął trałowiec w stanie spoczynku i dwumasztowe jachty przerobione na mieszkania. Albin G 62. Drugiego nie rozpoznał.

Przy relingu jednego z nich stał passat, jakby ktoś usiłował wjechać na pokład, ale mu się nie udało. Był jak obce ciało w tym wodnym świecie. Czy przybrzeżnym świecie, pomyślał Berghem.

Z kominów unosił się dym. Skrzynki na listy wisały rzędem. Zatrzymał się na chwilę przy tablicy ogłoszeń, jakby chciał odwlec tę chwilę. Jeszcze mógł zawrócić. Rozwahał to.

Na środku tablicy ktoś przybił ogłoszenie w plastikowej koszulce: do sprzedania drewniana łódź, lakierowana, lite drewno sosnowe, lustro burty z mahoniem, dziewięć piętnaście na dwa czterdzieści. Dwadzieścia pięć tysięcy koron.

Obok tablicy stały dwie drewniane ławki i rośl żywopłot. Mały skwerek na letnie wieczory.

Marianne mieszkała pięćdziesiąt metrów dalej. Bergenhem zbliżał się do jej łodzi, widząc przed sobą zbiornik na gaz.

Nie miał pojęcia, co to była za łódź. Był ciekaw, czy ktoś inny umiałby to stwierdzić. Kadłub był drewniany, piętnaście metrów czy coś koło tego. Łódź mieszkalna, która nigdy nie wyruszy na regaty. Z rury komina sączył się dym. Na dworze było już tak ciemno, że widział światło palące się w środku. Zszedł ostrożnie z oblodzonego nabrzeża i znalazł się na pokładzie.

– Nie opowiadasz zbyt dużo o swojej przeszłości – powiedział, kiedy usiedli z filiżankami kawy.

– To nie do wiary – odparła.

– Co?

– Nie rozumiem, jak mogę tu z tobą siedzieć.

Nie odpowiedział. Był przekonany, że będzie słyszeć coś z zewnątrz, chlupotanie wody o burtę czy coś podobnego, ale było cicho.

– Ty mnie wykorzystujesz – powiedziała.

– Nie.

– W takim razie dlaczego tu siedzisz?

– Chcę tu być – odparł.

– Wszyscy mnie wykorzystują.

– Czy taka jest twoja historia?

– Nie chcę o niej mówić.

– Od jak dawna masz tę łódź?

– Od dawna.

– Jest twoja?

– Jest moja.

– Znasz innych ludzi, którzy tu mieszkają?

– A jak sądzisz?

Nie odpowiedział. Pił kawę i nasłuchiwał odgłosów z wody. Z rzeki doleciał odgłos motorówki.

– Słyszysz swoich kolegów? – zapytała.

– Co?

– To policja wodna robi objazd. Nigdy nie wiadomo, na co się trafi, nieprawdaż?

– Mogą trafić na mnie.

– I co byś wtedy powiedział?

– Oni mnie nie znają.

– Tak samo jak ja – stwierdziła. – Ja też cię nie znam.

– A ja nie znam ciebie.

– To dlatego tu siedzisz?

– Tak.

– To szaleństwo.

– Nie wiesz nic więcej o tamtych filmach? – zapytał szybko, żeby wejść w swoją drugą rolę.

– Nie.

– Nic o ukrytej branży, czy jak to nazwać?

– Nie – odparła, ale on w jej odpowiedzi usłyszał coś jeszcze.

– Boisz się?

– Dlaczego miałabym się bać? Zwykła striptizerka?

– Czy to niebezpieczne?

– Niebezpieczne jest to, że się spotykamy.

– Co wiesz?

Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić pytania za burtę.

– Myślisz, że nikt nie wie, że się ze mną spotykasz? Może ktoś cię śledził aż tutaj, żeby zobaczyć, co się stanie?

– Może.

– Masz nadzieję?

– Właściwie sam nie wiem.

– Chcesz, żeby coś się wydarzyło, i posługujesz się mną.

– Nie.

– To jasne, że to robisz.

– Nie siedziałbym tutaj, gdybyś mi powiedziała otwarcie, że już nigdy nie powinniśmy się zobaczyć.

– Mówiłam już.

– Za mało razy – odparł z uśmiechem.

Chyba zastanawiała się nad tym, co powiedzieli. Przygryzała dolną wargę. Nierzadko widział, żeby ktoś to robił.

Zapaliła papierosa i otworzyła lufcik. Kiedy podniosła brodę, żeby wydmuchać dym,

w słabym świetle żarówki jej oczy były wielkie i ciemne. Dłoń jej drżała, ale pewnie z powodu wilgotnego zimna za oknem.

Zaciągnęła się jeszcze raz i zadrżała. Jakby ssała sopel lodu, pomyślał Berghem. Skórę miała niebieskawą. Dłonie zimniejsze od śniegu.

– Chcę, żebyś już sobie poszedł – powiedziała.

Ona się boi, pomyślał. Wie coś więcej niż to, że stało się coś strasznego, i może się zdarzyć znowu. Może zna jakieś nazwisko. Coś się zdarzyło albo ktoś coś powiedział, ale nie wie nic więcej. I dlatego się boi.

Jak się o tym dowiedziała? I o czym? Kto to jest? Czy to mnie doprowadziło bliżej do tego, czego szukamy... czy to tylko nadzieja... może chciałbym, żeby się bała, żeby coś wiedziała, żebym mógł się wytłumaczyć przed samym sobą... dlaczego tu siedzę?

– Daj mi pomyśleć – powiedziała.

– Co?

– Daj mi pomyśleć, do cholery. Idź już.

Berghem zadzwonił do Bolgera, ale sygnał się urwał. Nie było go w domu, więc zostawił wiadomość.

Bolger dał mu kilka nowych nazwisk. Rozbawiło ich, że przyszedł gliniarz. Urozmaicenie nudnej codzienności.

Czuł się jak wykolejony pociąg. Myślał o Marianne, potem o Martinie.

Nie powinno jej obchodzić, co robię, pomyślał. To sprawy zawodowe.

Chciał pogadać z Bolgerem. Może on mógłby coś doradzić. Jest starym przyjacielem Wintera, Winter mu ufa. Bolger potrafi rzucić jakąś kąśliwą uwagę o Winterze, jak potrafią tylko starzy przyjaciele.

– On jest tak cholernie ambitny – stwierdził Bolger, kiedy widzieli się... dwa dni temu.

– On naprawdę jest dobry – odparł Berghem.

– Zawsze tak było – przyznał Bolger.

Zaśmiał się, kiedy młody policjant nie odpowiedział.

– Prawie wszystko kręci się wokół twojego szefa – stwierdził. – Mieliśmy kumpla, Matsa. Umarł tej zimy. Był też moim przyjacielem.

– Tak?

– Ale Erik tak się zagłębia w żałobę, że nie ma miejsca dla nikogo innego. To go całkowicie pochłania.

Bergnhem nie wiedział, co powiedzieć. A jednocześnie poczuł, że Bolger darzy go zaufaniem, i to go ucieszyło.

– To tylko przykład – powiedział Bolger i znów się zaśmiał.

Opowiadał, jak było w mieście, kiedy dorastali.

– Mieszkaliście blisko siebie?

– Nie.

– Ale zaprzyjaźniliście się.

– W połowie okresu dojrzewania. Albo na początku.

– Człowiek prawie nic nie pamięta – stwierdził Bergnhem. – Wszystko mija tak szybko, a kiedy się chce sobie przypomnieć, jak było, okazuje się, że wszystko się zapomniało albo pamięta źle.

Bolger powiedział coś, czego nie zrozumiał. Poprosił o powtórzenie.

– Nic takiego – odparł Bolger.

– CZARNI WCALE NIE SĄ PRZEGRANI – powiedział J W Adeyemi Sawyerr, właściciel firmy konsultingowej mieszczącej się nad lokalem Pizza Hut przy Brixton Road.

Winter spotkał go w sklepie na dole i poszedł z nim do jego biura. Sawyerr przyjechał z Ghany, wiele lat temu.

– Kiedyś było lepiej. Teraz nic się nie robi dla czarnych. Dotacje do miejsc pracy zostały zlikwidowane – stwierdził JW.

– Ale tu nie mieszkają tylko czarni – zauważył Winter.

– W większości. Ale są też biali, co wystają na rogach ulic.

– Już pan mówił.

– Widzę ich ze swojego okna. Niech pan popatrzy.

Winter podszedł i stanął obok niego. JW stał na palcach, Winter musiał się schylić.

– Zawsze kilku stoi przed Red Records, tam, naprzeciwko – powiedział JW. – To jedno z tych nowych miejsc.

– Wybieram się tam potem – oznajmił Winter.

– Nic panu tam nie powiedzą.

– To posłucham muzyki.

– W Brixton nikt nic nie mówi.

– Tak samo się boją w innych miejscach.

– Możliwe.

– Niech mi pan pokaże kogoś, kto odważy się powiedzieć choć kilka słów – poprosił Winter.

J W Adeyemi Sawyerr wzruszył ramionami. Mówił o swoim świecie, na swój sposób.

– Tu jest tyle możliwości... ale ich umiejętności nie są wykorzystywane, choć jest w nich duża siła. To największe w Europie centrum czarnej kultury. Ludzie powinni tu przyjeżdżać, żeby to zobaczyć.

Winter pożegnał się i zszedł po skrzypiących schodach. Pachniało mocnymi przyprawami i środkiem czyszczącym. Detto, pomyślał Winter. Używają tego we wszystkich biednych krajach śródziemnomorskich, i w tropikach.

Wszedł pod arkady, na hałaśliwy targ dla Afrykanów, Karaibczyków i całej reszty. Największy w Europie. Pachniało mięsem i krwią. Posadzka była lśniąca i lepka od krwi i wnętrzności. To jest *soul food*, pomyślał Winter: krowie kopyta, kozie zołądki, świńskie jelita, bycze jądra we włochatych stosach. Eksplozja barw mango, okry, pęczków chili wiszących nad straganami; okrzyki, mnóstwo obcych słów.

W Red Records zapytał o Pera Malmströma, pokazał zdjęcie.

– Przychodzi tu tak dużo turystów – odparł sprzedawca.

– Mogło ich być dwóch – podsunął Winter.

Mężczyzna potrząsnął głową, patrząc na fotografię.

– Nie da się nic powiedzieć – stwierdził. – Znów jesteśmy centrum świata i przyjeżdża tu dużo ludzi.

– Dużo białych?

– Niech się pan tylko rozejrzy.

Po południu pojechali do rodziców Geoffa Hilliera. Miejski krajobraz wydawał się Winterowi coraz bardziej swojski, może dlatego, że domy zbudowano w tym samym stylu.

– Właściwie miałem zostać w domu i czytać, ale wiesz, jak to jest – powiedział Macdonald.

– Monotonia.

– Monotonia. Jak diabli. Kiedy pracujemy nad jakąś sprawą tak długo, zbiera się niezły stosik papierów. A naraz można przyjąć tylko pewną ilość informacji. Kiedy siedzi się za długo, instynkt tępieje.

– Czy tym się kierujesz? Instynktem?

Macdonald się zaśmiał. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś przejechał skrobaczką po dachu samochodu.

– A po co ty przyjechałeś do Londynu? – zapytał i rzucił szybkie spojrzenie na profil Wintera. – Instynkt to może najważniejsza rzecz w tej pracy. Intuicja jako umiejętność dostrzegania ukrytych znaczeń, natychmiast albo po jakimś czasie.

– Nawyki mogą nas doprowadzić do połowy drogi – stwierdził Winter. – Potem trzeba czegoś więcej, czegoś innego.

– To brzmi bardzo błyskotliwie – powiedział Macdonald.

– Ale musisz być na miejscu zbrodni, prawda?

– Mamy system dyżurów – wyjaśnił Macdonald. – Zmieniamy się w rytmie

ośmiotygodniowym. Osiem zespołów wymienia się co tydzień. Od siódmej rano we wtorek do siódmej rano w następny wtorek.

– To chyba nie zawsze działa tak idealnie.

– Nie, ale ludzie nie mogą pracować cały czas.

– Ale przecież możecie być w trakcie innego śledztwa.

– Tak.

– To znaczy, że jeśli masz dyżur i po czterech, pięciu godzinach oddajesz sprawę innym, to mogą to być stracone godziny.

– Może tak być – zgodził się Macdonald.

– Są zmarnowane.

– To nie jest dobre, to prawda.

– A kto ma dyżur w tym tygodniu?

– W sumie ja – stwierdził Macdonald.

– I jeszcze nic nowego się nie zdarzyło – powiedział Winter.

Za domem Hillierów przejeżdżały pociągi. Wszystko było jak przedtem. Mężczyzna siedział na sofie, w pokoju czuć było alkohol. Kobieta wniosła tacę. Mężczyzna wyjął trzy szklanki i nalał whisky. Macdonald skinął lekko w stronę Wintera. Usiedli. Mężczyzna postawił przed nimi szklanki. Wypełnione po brzegi.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – zaczął.

– Robimy, co możemy, i to przyniesie rezultaty – powiedział Winter.

– On też tak mówił – mężczyzna wskazał Macdonalda.

– Miał rację – stwierdził Winter.

– To z panem rozmawiałem przez telefon? – zapytał gospodarz.

– Nie, z moim kolegą – wyjaśnił Winter.

– Dobrze mówił po angielsku. Spotkania z policją są ważne. Badania wykazały, że rozmowa z policjantami jest krytycznym momentem dla ofiar zbrodni oraz ich bliskich.

Winter pokiwał głową i spojrzał na Macdonalda.

– Wsparcie ze strony policji może uchronić od depresji – ciągnął mężczyzna. – Podczas gdy negatywne reakcje policji w pierwszej fazie mogą być czynnikiem warunkującym pojawienie się stanów depresyjnych – mówił jednostajnie, patrząc w bok, gdzieś na prawo od Wintera, jakby czytał tekst z promptera ustawionego na podłodze obok szwedzkiego policjanta.

– Czy czuje się pan źle potraktowany, panie Hillier? – zapytał Winter.

– W niektórych przypadkach policja może pogorszyć sytuację ofiar zbrodni, w sposób pośredni wywołując poczucie winy lub strach – mężczyzna ciągnął dalej swoje kazanie.

Macdonald zwrócił się do kobiety, matki Geoffa Hilliera.

– Nie znaleźli państwo jakichś innych rzeczy... należących do Geoffa... żadnego listu na przykład...

– Kontakt może wywoływać sprzeczność między potrzebami emocjonalnymi ofiary a dążeniem policji do zdobycia możliwie szczegółowych danych na temat zbrodni – ciągnął mężczyzna. A potem łyknął whisky.

– Nie ma tu żadnej sprzeczności – stwierdził Winter, ale Macdonald potrząsnął lekko głową i spojrzał na drzwi.

– Przykro nam – powiedziała kobieta.

– No proszę – rzucił mężczyzna. – Moja żona znów musi się przed wami tłumaczyć.

– Naprawdę chcieliśmy spróbować – dodała kobieta.

– Że co? Że co? – zapytał mężczyzna.

Policjanci wstali.

– Postaramy się jeszcze raz z państwem spotkać – powiedział cicho Macdonald.

– Prędzej rozwinę skrzydła i odleczę do Coventry – stwierdził mężczyzna.

Siedzieli w samochodzie, Macdonald włączył się do ruchu.

– Do pubu? – spojrzał pytająco na Wintera.

– Dlaczego nie?

– Ofiary, które zetknęły się z kompetentnymi pracownikami, wyspecjalizowanymi w kontaktach z ludźmi dotkniętymi zbrodnią lub jej konsekwencjami, także mogą się okazać dla nas pomocne – stwierdził Macdonald.

Udało mu się podłączyć discmana do głośników telewizora. Nawet idiota przechodzący korytarzem mógł słyszeć Beenie Mana. Chłopak mu współczuł. Witał się z nim serdecznie, ale biedak gapił się prosto przed siebie, jakby chodził po linie.

Chłopiec słuchał płyt, które dostał od agenta, ale po pewnym czasie się zmęczył. Muzyka była dobra, ale to wiedział już wcześniej.

Robiło się późno. Facet miał niedługo przyjść, najwyższy czas.

Mógł wyjść na noc, do Brixton Academy albo The Fridge. Mieli świetnych didżejów.

Był tam już dwa razy. Może poleci to miejsce agentowi, kiedy się zjawi. Chociaż na pewno już tam był.

Znów usłyszał idiotę szurającego za drzwiami. Musi ominąć barierkę schodów, która skręca pod kątem prostym. Ociera się wtedy o drzwi. Widziałem nawet ślady, pomyślał chłopiec. To musi trwać od lat.

Usłyszał stukanie do drzwi. A jednak przyszedł. Ciekawe, czy zabrał ze sobą tę laskę, pomyślał. Kupiłem piwo.

Otworzył drzwi. W progu stał agent. Uśmiechał się. W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że to pomyłka, że ktoś pomylił drzwi albo coś w tym rodzaju. Nie rozpoznał go. Potem się zorientował, że gość ma na głowie ogromną perukę z dredów albo zwykłą czarną perukę, którą poskręcał w dredy. Trochę dziwny żart.

Mężczyzna wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i zaczął grzebać w wielkiej sportowej torbie, którą przyniósł ze sobą.

BYŁA PÓLNOC, KIEDY WINTER wysiadł z taksówki przed hotelem. Zapłacił i otworzył drzwi własnym kluczem. W hallu usłyszał głosy z apartamentu na piętrze. Telewizor dotrzymywał komuś towarzystwa.

Głowę miał pustą, jakby wypłukaną do czysta przez muzykę z Bull's Head w Barnes. Gdy tylko Alan Skidmore Quartet skończył ostatni bis, wsiadł do taryfy i wrócił do domu.

Alan Skidmore grał na saksofonie tenorowym, czasem sopranowym, muzykę wykazującą wyraźny wpływ Coltrane'a. Nie ma lepszej brytyjskiej muzyki, pomyślał Winter.

Potrzebował tych godzin w Bull's Head. Jego mózg był jak wyczyszczony. Siedział w środku przeciągu.

Muzyka jest jak seks, pomyślał, wchodząc do apartamentu: kiedy jest dobra, jest fantastycznie, a kiedy nie jest jakoś szczególnie dobra, mimo wszystko też jest fantastycznie.

Spodziewał się, że w Londynie będzie odczuwał potrzebę seksu, ale muzyka dała mu to samo. Nie zwracał uwagi na kobiety w klubie. Paczka prezerwatyw tkwiła w portfelu, nienaruszona.

Otworzył okno i zaciągnął zasłony. Poczuł zapach ciała, zapach dymu i potu.

Kiedy mył twarz, głowę nadal miał wyczyszczoną od środka. Rozebrał się i stanął pod prysznicem. Miał wrażenie, że jego ciało znów twardnieje, kiedy spływa po nim woda. To było przyjemne, mocne uczucie.

Potem założył czyste bokserki i usiadł na sofie. W ustach nadal miał posmak dymu, więc jeszcze raz umył zęby. Wrócił na sofę i nadal słuchał muzyki. Stopniowo w nim wybrzmiewała. Potem zrobiło się cicho. Usiłował cofać się pamięcią coraz dalej. Kiedy kładł się do łóżka, był pełen wspomnień, fragmentów rozmów.

W samym środku głębokiego snu usłyszał krzyk saksofonu tenorowego: krzyczał do niego jak w szalonej medytacji Coltrane'a. Krzyk próbował rozbić jego nieświadomość.

Znów krzyk. Brzęk i wycie. Obudził się i usłyszał sygnał komórki. Leżała na podłodze, podłączona kablem do kontaktu. W pokoju było ciemno. Noc jeszcze się nie skończyła.

Przetoczył się na podłogę, chwycił komórkę i nacisnął zielony przycisk.

– Winter.

– Mówi Steve. Za jakieś dziesięć minut przyjedzie po ciebie samochód.

Winter wyciągnął się na podłodze, sięgając po leżący na nocnym stoliku zegarek.

Wskazywał trzecią.

– Stało się – powiedział Macdonald.

– Nie.

– Narzuć coś na siebie i zjedź na ulicę. Jeden z moich samochodów już jedzie.

– Gdzie?

– Camberwell, między Peckham i Brixton.

– Hotel?

– Tak.

– Szwed? – pytał dalej Winter.

– Tak.

– Wielki Boże.

– Ubieraj się.

– Kiedy?

– Dziś w nocy. Sprężaj się, Eriku, do cholery.

Kiedy Winter dotarł do New Dome Hotel, pokój był pełen ludzi. Wszystko było tak potwornie znajome.

– Nie mogłem czekać – powiedział Macdonald.

Winter nie odpowiadał. Macdonald był blady.

W pokoju pracowali ludzie. Na wszystkich powierzchniach było widać krew. W świetle silnych lamp plastikowe woreczki policji mnożyły obsceniczne cienie.

– Nie wiemy jeszcze, czy to był Hitchcock – stwierdził Macdonald.

– Ach tak.

– To się stało wczoraj późnym wieczorem. Mam tu nazwisko chłopca. – Macdonald wyjął kartkę. Winter przeczytał nazwisko.

Chłopiec został odtransportowany. Winter widział ślady na podłodze. Buty w ruchu, ślady od drzwi do krzesła stojącego na środku pokoju.

Łóżko było nietknięte. Leżał na nim niewielki stos płyt kompaktowych. Opuszczona roleta odgradzała noc. Szmer odgłosów przyciszzonego profesjonalizmu. Błyski aparatów

fotograficznych.

Wszędzie plastikowe woreczki oznaczone kodami z cyfr i liter, z włosami, zębami, zakrwawioną skórą, fragmentami tkanek i wydzielinami ciała.

Jesteśmy w piekle, pomyślał Winter.

Piekło na ziemi jest tutaj, w tym pokoju.

Poruszał głowę w górę i w dół. Pustkę wypełniała teraz jego krew. Czuł łupanie pod kością czołową, w uszach mu huczało.

Macdonald opowiadał, czego zdążył się dowiedzieć.

To była krytyczna godzina, czas krytyczny dla wszystkich.

– Musiał przerwać – powiedział Macdonald.

– Co?

– Jakiś facet przeszedł obok i coś usłyszał. Zaczął walić do drzwi, i nie przestawał.

– Co?

– Teraz siedzi w pokoju przy hallu, na dole. To syn właściciela. Jest niedorozwinięty, a poza tym w ciężkim szoku. Jest tam też jego ojciec. Próbowałem gadać z chłopakiem, ale się nie dało. Zaraz spróbuję jeszcze raz.

– Do diabła, to pilne, Steve.

– Mówiłem, że spróbuję jeszcze z nim porozmawiać. Jest przy nim lekarz.

Wyszli na korytarz. Cuchnęło wymiocinami. Winter nie czuł tego wcześniej.

– Nasi konstable – wyjaśnił Macdonald. – Zawsze tak jest.

– Ludzka reakcja – skomentował Winter.

– Dziesięć tysięcy naszych ludzi chodzi teraz i puka do wszystkich drzwi w dzielnicy.

Ojciec i syn siedzieli jak przyśrubowani, każdy do swojego krzesła. Starszy mężczyzna trzymał młodszego za rękę. Syn miał około trzydziestu lat. Może być młodszy, pomyślał Winter. Choroba pogrubiała jego rysy. Oczy poruszały się, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej. Chciał wstać, ale ojciec przytrzymał go za rękę, więc został na krześle.

– Chcem iść – powiedział głosem jakby obciążonym kamieniami.

– Zaraz, James.

– Iiść.

– On chodzi po całym hotelu – wyjaśnił ojciec. – To jedyne, co robi.

Macdonald skinął głową i przedstawił Wintera. Usiedli na krzesłach, które umundurowany policjant przyniósł z hallu.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co się stało – Macdonald zwrócił się do ojca.

– James przyszedł do mnie na dół. Krzyczał i tupał nogami. Ciągnął mnie za sobą na górę i w końcu za nim poszedłem.

– Na schodach nie było nikogo?

– Nie.

– Nie otwierały się żadne drzwi?

– Wtedy nie.

– A potem?

– Słucham?

– Co było potem?

– Potem byliśmy na górze i wtedy to zobaczyłem. Wszystko... krew.

– Co robił James?

– Cały czas krzyczał.

– Czy widział coś albo kogoś?

– Próbowałem z nim rozmawiać.

– Sam nie widział pan nikogo idącego na górę?

– Nie. Nie siedzę w recepcji tyle, ile powinienem.

– Żadnego biegania po schodach... potem?

– Nie.

– Nic?

– Przynajmniej ja nic nie słyszałem.

– Ale James coś słyszał?

– Musiał coś słyszeć – stwierdził ojciec. – I musiało to być coś... innego, bo normalnie nigdy się nie zatrzymuje i nie zaczepia gości.

– Przeszkodził mordercy – powiedział Winter.

Syn zwrócił ku niemu twarz i jego oczy na chwilę przerwały wędrówkę.

– Ooon wyyszet – oznajmił.

– On wyszedł? – powtórzył Winter.

Syn kiwnął zdecydowanie głową i chwycił ojca za rękę.

– Chłopak wyszedł? – zapytał Winter. – Chłopak, który tam mieszkał?

Brak odpowiedzi.

– Wysoki mężczyzna wyszedł?

Oczy syna znów podjęły wędrówkę, ale wróciły i zatrzymały się na Winterze.

– Waliiałem – powiedział.

– Tak.

– Waliilem w dźwi.

– Tak.

– Ooon wyyyszet.

– Kto wyszedł, Jamesie?

– Ooon.

– Chłopiec?

Niedorozwinięty chłopak coraz mocniej potrząsał głową.

– Ooon.

– Ktoś inny? Nie chłopiec.

– Ooon – powtórzył. Całe jego ciało dygotało.

– Chyba chodzi mu o kogoś innego – powiedział ojciec. – Jakiegoś gościa. Nie tamtego chłopaka. – Zwrócił się do syna: – Czy on był biały, jak ten chłopak? – zapytał.

Ujął Wintera za ramię i palcem dotknął jego skóry.

Syn nie odpowiedział, nadal się trząsał. Zaczął się kołysać z boku na bok, jakby w rytm jakiejś piosenki.

– James. Czy tamten, który nie mieszkał w pokoju, był biały jak ci tutaj, co siedzą na krzesłach?

Chłopak milczał.

– Myślę, że powinien jechać do szpitala – stwierdził ojciec.

– Czaaarny – powiedział nagle syn i złapał się obiema rękami za głowę. Przesuwał je w dół, gładząc się po policzkach.

– Czarny? – zapytał ojciec i uszczypnął się w ramię, podsuwając je synowi pod oczy. – Czarny jak ty i ja?

– Czaaarny – powtórzył syn, potrząsając głową, i znów przejechał dłońmi po obu policzkach.

– Czarne włosy. Czy miał czarne włosy? – zapytał Macdonald, ujmując kosmyk swoich włosów przy skroni.

Chłopak drgnął.

Macdonald zsunął gumkę z kucyka, włosy opadły mu luźno na ramiona.

– Długie czarne włosy? – zapytał jeszcze raz, chwytając długie pasmo swoich włosów.

Ciało chłopaka znów zaczęło drgać. Kołysał się z boku na bok, jak pogrążony w głębokiej żałobie. Jego oczy przypominały czarne dziury.

– Czaaarny – powiedział znów, wskazując Macdonalda.

- I biały? – zapytał Macdonald, gładząc się po twarzy i naciskając policzki.
- Biały? Biały mężczyzna? Biała skóra?
- Biaaały – powiedział syn.

SIEDZIELI W POKOJU MACDONALDA, po raz pierwszy od dwunastu godzin sami. Oczy Macdonalda wyglądały jak kawałki koksu. Skórę twarzy miał jakby przyklejoną taśmą do kości policzkowych. Włosy nadal rozpuszczone. Skórzana kurtka wisiała na oparciu krzesła.

Winter był w marynarce i czarnych dżinsach, w szarej koszuli bez krawata i czarnych butach. Na jego podbródku i policzkach pojawił się cień zarostu.

Koniec ze skandynawską elegancją, pomyślał Macdonald.

– Jesteś czymś więcej niż obserwatorem, chyba sam to rozumiesz – powiedział.

– Kiedy spotkanie? – zapytał Winter.

Macdonald uniósł ramię i spojrzał na zegarek.

– Za godzinę.

Zmierzchało się. Resztką światła wpadającego przez żaluzje pocięła twarz Macdonalda na niebieskie paski.

– Już nigdy nie będziemy tak blisko – powiedział Winter.

– Jeśli to ten, którego szukamy.

– W przeciwnym razie mamy nowy problem, nieprawdaż?

– Więc to jest ten, którego szukamy.

Spod papierów rozległ się dzwonek. Macdonald odgarnął na bok dokumenty i chwycił telefon. Winter zobaczył wydruk części regulaminu obowiązującego w policji. Zawsze mam go pod ręką, powiedział kiedyś Macdonald. Ma kryć wszystko, co robię. Chcę mieć swobodę działania, móc uzasadnić wszystkie swoje decyzje, kiedy raz w miesiącu spotykam się z DSI.

– Tak?

Winter zobaczył na czole Macdonalda zmarszczkę koncentracji. Sięgnął po długopis i zanotował coś w bloku. Zadał kilka krótkich pytań.

Winter rozpoznawał wszystkie ogniwa tego łańcucha zła, w który zostali z Macdonaldem i wszystkimi śledczymi do spraw zabójstw z całego świata wciągnięci. Sam mógł siedzieć na tamtym krześle, z telefonem przyciśniętym do obolałego ucha. Macdonald mógł siedzieć na jego miejscu. Obaj mogli być glinami w ciasnym pokoju w Singapurze, Los Angeles czy Sztokholmie. Albo w Göteborgu. Wszyscy są tacy sami, wymieniają się w

obiegu zła. On jest większy niż życie: istniał już, zanim się pojawiliśmy, i będzie istniał dalej, kiedy nas nie będzie.

Winter zobaczył, że Macdonald sztywnieje, zaciska dłoń na długopisie.

– Kennington – wyjaśnił po chwili. – Laboratorium Scotland Yardu.

– Pamiętam.

– To samo – powiedział Macdonald.

– Dokładnie?

– Z tego co na razie zbadali, tak wynika.

– Ślady na podłodze?

– Tak.

– Jezu Chryste – wyrwało się Winterowi.

– Musiał się śpieszyć.

Winter czekał na dalsze wyjaśnienia. Zmierzch przeszedł w ciemność i z twarzy Macdonalda pozostał tylko ciemny kontur.

– Nasz nieszczęsny świadek walił do drzwi, wyjąc swoją szaloną pieśń, i dlatego morderca skończył – mówił dalej Macdonald. – Nie wpadł w panikę, ale musiał skończyć.

– Jakaś nieostrożność?

– Co masz na myśli?

– Czy przez to popełnił jakąś nieostrożność? Albo został do niej zmuszony?

– Tak.

– Co?

– Znaleźli metalową nakładkę z nogi statywu.

Winter zeszywniał w kawał lodu, błyskawicznie, jakby się znalazł w zamrażarce. Włosy mu się zjeżyły. Palce miał jak z gumy.

– A jednak Bóg jest z nami – powiedział.

– Wierzysz w wielkiego Ojca? – zapytał Macdonald.

– Tak.

– Może w tej chwili istnieje.

– Ta nakładka. Czy to nie może być coś, co po prostu leżało już wcześniej w pokoju?

– Nie doceniasz najlepszych techników kryminalistyki na świecie.

– Przepraszam.

– Jest w tym wszystkim jakaś arogancja. Skłania mnie do zastanowienia się, czy to rzeczywiście była nieostrożność.

– Też o tym pomyślałem.

- O arogancji?
- Tak. I że to może być jakiś komunikat albo pozdrowienie.
- Albo wołanie o pomoc – dodał Macdonald. – Ale w tej sprawie musimy się zwrócić o pomoc do biegłego psychologa.
- Nie chodzi o pomoc – odparł Winter. – Tu chodzi o coś innego. Ale jesteśmy blisko. Nie znajduję właściwego słowa.
- Wystarczy, że masz je w głowie. To szwedzkie słowo.
- Nie mogę go znaleźć, nie przychodzi mi do głowy w żadnym języku.

Wiał północny wiatr. Bergenhem po raz pierwszy poczuł, jak łódź kołysze się na boki. Przez lufcik dobiegał świst, jak muzyka grana na flecie.

- Okienko jest nieszczelne – zauważył.
- Ten dźwięk mi nie przeszkadza – stwierdziła. – Przyzwyczaiałam się.
- Mogę to naprawić.
- Dziwnie by było, gdybym nagle przestała go słyszeć – odparła.
- Kiedy jako Angel... – odezwał się po chwili milczenia.
- Co?
- Kiedy... pracujesz.
- Tak?
- Kiedy odchodzisz od stolika z kimś.
- O co ci, kurwa, chodzi? Czego chcesz?
- Co robisz... robicie, kiedy ktoś idzie z tobą od stolika do drzwi za barem?
- Ale o co ci chodzi?
- Chciałbym tylko wiedzieć, co się potem dzieje.
- Czy się z nimi pieprzę?
- Nno nie... pomyślałem, że oni mówią różne rze...
- Chcesz wiedzieć, czy jestem prawdziwą kurwą?
- Nie!
- Myślisz, że jestem kurwą.
- Nie, do cholery.
- Nie jestem kurwą. Nigdy nie robiłam tego za pieniądze. Nie to, o czym mówisz. Bergenhem się nie odezwał. Nie myślał o niczym, może tylko o tym, że jest teraz kimś innym. Ręce miał związane, miał je gdzie indziej.

– Halo? Czy jest tam kto? – zapytała, podchodząc bliżej.

– Zostań tam – rzucił.

– Co?

– Nie podchodź za blisko.

– Myślisz, że jednak jestem.

– Nie o to chodzi.

– O czym ty mówisz?

Nie odpowiedział. Łyknął jeszcze raz wina. Już druga butelka. Oficjalnie miał dzisiaj wolne, ale Martinie powiedział, że pracuje. Wolałabym, żebyś został dziś wieczorem w domu, powiedziała. Mam wrażenie, że w każdej chwili wody mogą odejść.

– Tańczę dla tych palantów – odezwała się kobieta, która teraz przed nim siedziała. – Tańczę.

Bergenhema już to nie interesowało. Zamknął oczy. Widział dziecko na stole za parawanem. Stał przed nim razem z Martiną. Angel tańczyła dla nich, uśmiechała się do czegoś, co trzymała w dłoń...

Poczuł silniejsze poruszenie kadłuba, jakby huragan szarpał łodzią, porywał ją w powietrze i rzucał na rzekę. Nagle dostał gwałtownych mdłości. W dłoniach mu pulsowało, sto litrów krwi przepływało burzliwie przez palce. To nie były jego palce. Głowa też nie była jego.

– Jak wtedy, gdy byłam mała – mówiła dalej. – Czy opowiadałam ci, jak fajnie było, kiedy byłam mała?

Zaczęła opowiadać o dziecku, którym była, i to był jeden z powodów, dla których został. Myślał o rzeczach wielkich i małych. Nie ma żadnej sprawiedliwości, oczywiście. Nie będzie lepiej. Wszystkie płomienne sygnały zapowiadające trzecie tysiąclecie... były czerwone jak diabeł, otoczone taką samą poświatą jak w klubach porno, pomyślał. Fałszywe światło wiodące ludzi ku upadkowi.

– Ależ byłam gwiazdą na cholernych imprezach mamy i taty – mówiła dalej, a Bergnhem zerwał się z łóżka i pobiegł na pokład. Zwiesił głowę nad relingiem i zwymiotował do wody. Oczy mu łzawiły, widział przed sobą tylko czarną dziurę. Poczuł na plecach dotyk dłoni. Powiedziała coś, czego nie zrozumiał.

– Uważaj. Jeśli jeszcze bardziej się wychylisz, wpadniesz do wody.

Oddychał spokojniej. Znów widział. Pod nim płynęła czarna rzeka, między burtą i kamiennym nabrzeżem. Łódź uderzała o kamienie. Tam, w dole, nie ma ucieczki. Uświadomił to sobie.

Przetarła mu czoło wilgotnym ręcznikiem. Dopiero wtedy poczuł, że pada deszcz. Wielkie gęste krople. Koszula lepiła mu się do ciała, jakby leżał w wodzie. Pomogła mu zejść z powrotem pod pokład. Nogi rozjeżdżały mu się we wszystkie strony.

Winter nalał wrzątku z czajnika elektrycznego. Była ósma, w Londynie ranek w pełni. Ptaki, których nazw nie znał, ochrypiły już od śpiewu. Słyszał je przez otwarte okno.

Za kilka godzin miał siedzieć w studiu telewizyjnym razem z Macdonaldem i angielskimi dziennikarzami, których nie znał. Szefowie programu *Crimewatch* znów zadzwonili i Macdonald od razu się zgodził.

Wczoraj wieczorem siedzieli w jednym z największych pokoi przy Parchmore Road. Czternastu śledczych, łącznie z Winterem. Na stole stała butelka whisky. Dzielili się myślami. Macdonald usiłował ze wszystkich wyciągnąć co najlepsze.

Czy mogli zaprezentować jakiś skrót tego angielskiemu społeczeństwu? Winter nie był zdenerwowany. Miał nadzieję, że program w telewizji przyniesie przełom.

– Już dawno nas zapraszali, ale teraz przyszła pora – powiedział Macdonald wczorajszego wieczoru. – Mamy nadzieję, że jacyś anonimowi obywatele coś widzieli na ulicy.

– Tak.

– Telewizja to paradoksalne medium – stwierdził Macdonald.

– Anonimowe społeczeństwo – powiedział Winter.

Aneta Djanali miała czarną skórę, ale jasną duszę. To dlatego jestem taka wygadana, myślała. Ci, którzy widzą światło, mogą czerpać z niego poczucie własnej wartości.

Wiem, że poradzę sobie lepiej niż faceci, pomyślała, siedząc w samochodzie z zeznaniami świadków na kolanach. Nie mam nic do stracenia. Nie jestem biała. Fredrik jest biały, ale to wszystko, czym się może pochwalić. Choć jest miły, jak tylu głupich ludzi. Czyli tych, którzy są głupi w miły, trochę nieszkodliwy sposób, a którzy w niektórych sytuacjach może nawet wykazują spryt.

Zaletą roboty gliniarza jest praca w zespole. Ale może to też być wielki problem, jeśli się trafi na niezbyt elastycznych. Ona i Fredrik Halders dopasowali się do siebie, więc rezultaty mogły być dobre. Jest głupi, choć czasem sprytny, w przewrotny, trochę ograniczony sposób, a ona stuprocentowo inteligentna. O czym on wie.

Była jeszcze jedna rzecz. Aneta umiała odpoczywać w pracy. Nie tak, żebym zasypiała

na siedzeniu, pomyślała. Ale czasem potrafię wyłączyć to, co złe, odsunąć, żeby nie wszystko było całkiem czarne. To chyba niezbędna cecha. We wszystkich okropnych historiach, z jakimi się stykamy, musi też być światło i nadzieja. Zawsze jest jakiś epilog i przynajmniej w nim można znaleźć nadzieję na przyszłość.

Jechali sprawdzić adres w zachodniej części miasta.

– Jaki sens ma życie? – zapytała.

– Co?

Fredrik Halders kręcił się na rondzie przy kompleksie przemysłowym Högsbo. Ściszył radio, żeby lepiej słyszeć, co czarnej królowej leży na sercu.

– Sens życia. Jaki sens ma twoje istnienie, Fredriku?

– Cieszę się, że zadałaś to pytanie.

– Nie śpiesz się z odpowiedzią.

– Wcale nie muszę.

– Znasz odpowiedź?

– Oczywiście – odparł Halders, jadąc wzdłuż Flatås. Przyhamował za autobusem i przepuścił kobietę z wózkiem.

Służby komunalne ścinały drzewa wzdłuż drogi. A może tylko przycinały gałęzie. Rezultat i tak będzie ten sam, pomyślała Aneta Djanali.

– No to jaka jest odpowiedź?

– Powiem ci dziś wieczorem.

– Bo nie wiesz.

– Powiedziałem, że wieczorem.

– Daję ci dwie godziny – oświadczyła.

– Okej.

Przejechali obok niewielkiego baru.

– Chcesz kielbasę? – zapytał Halders.

– To nie jest zdrowe jedzenie.

– Nie o to pytałem.

– Nie jestem głodna.

– Ale ja chcę.

Halders zahamował i zawrócił w stronę budki.

– Przebudowali – stwierdził.

– Musimy wejść do środka – powiedziała Aneta.

– Idziesz ze mną?

– Chce mi się pić, poza tym całkiem zeszywniałam. To nie są dobre siedzenia.

Zaparkowali i weszli do budki, która zamieniła się w restaurację. Ściana zasłaniała widok na drogę. Pachniało tłuszczem i... tłuszczem, pomyślała Aneta. Fredrik to facet, który w przydrożnym barze zamówi coś, co się nazywa sznycel wołowy, coś o niewiadomym składzie i pochodzeniu.

Halders czytał spis potraw na tablicy. Nazwy dań wypisano pisakiem. Łatwo je było wymazać, zastąpić jakimś innym przysmakiem, który będzie gotowy w minutę.

– Chyba wezmę sznycel wołowy – zdecydował.

– Dobry wybór.

– Co?

– Ma więcej wartości odżywczych niż kiełbasa... więcej wszystkiego, można powiedzieć.

– Nie dość wytworne dla ciebie?

– Nic nie powiedziałam.

– To prawdziwe jedzenie dla ludzi, którzy niczego nie udają.

– Nie zapomnij o majonezie o smaku ogórkowym.

– O czym?

– O majonezie. Wtedy dopiero będzie całkiem jak należy.

Halders prychnął i złożył zamówienie.

– Wezmę jeszcze mleko czekoladowe – powiedział, a ona nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Kiedy wyszli, samochodu nie było.

– Co, do kur... – Halders upuścił jedzenie.

Aneta Djanali wyła ze śmiechu.

– No, śmiej się, śmiej, ty choler...

Próbowała coś powiedzieć między kolejnymi atakami śmiechu.

– Co tam mówisz, do kurwy nędzy! – krzyknął Halders, patrząc na nią nieprzytomnym wzrokiem.

Djanali wytarła łzy.

– Teraz ci wierzę – przyznała. – Naprawdę jesteś prześladowany.

– Co? Co?

– Prześladują cię, Fredriku. To jakaś zmowa. Kradną wszystkie samochody, jakimi jeździsz.

– Żebyś wiedziała – rzucił Halders i zadzwonił po patrol.

Czekali, obserwując niszczycieli drzew po drugiej stronie ulicy.

– Sens życia polega na łapaniu złodziei samochodów – stwierdził Halders i wsunął do ust prymkę tytoniu.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Jadą nasi koledzy.

– Życie toczy się dalej.

Winter wyjął z opiekacza dwie kromki chleba. Posmarował je masłem i nałożył dżem pomarańczowy, który smakował cierpko, z powodu skórek. Przed śniadaniem przespacerował się Hogarth Road do stoiska z gazetami przy Earl's Court Road i kupił „Guardiana”, „Independent” i „Daily Telegraph”.

Zadzwoiła komórka. Bertil Ringmar.

– Wiem, że u was jest godzinę wcześniej, ale pomyślałem, że może już wstałeś.

– Tutaj już dzień na całego.

– Dostaliśmy jeszcze jeden list od tego włamywacza.

Winter potrzebował kilku sekund, żeby prześledzić wstecz łańcuch przyczynowo-skutkowy. Włamywacz. Mieszkanie. Zakrwawione ubrania. Czas się zgadza. Naciągane. Tak cholernie naciągane.

– Eriku?

– Jestem – powiedział Winter i łykiem herbaty splukał chleb z dżemem.

– Jest uparty – ciągnął Ringmar. – Jakby chciał się usprawiedliwić, że tak późno to zgłasza, naprawić.

– Tak?

– Więc przyjrzelśmy się mu nieco bliżej. Fredrik i Aneta mieli trochę czasu, kiedy ich samoch...

– Do jasnej cholery, Bertilu, daj spokój z tą chronologią i powiedz wreszcie, co się stało.

Winter siedział bez ruchu na krześle. To było coś bardzo ważnego. Ringmar przygotował coś dla szefa, jakiś prezent.

– Wezwaliśmy go na przesłuchanie.

– Tak?

– Nie odpowiedział, ale potem się z nami skontaktował.

– Bertilu!

– Okej, okej. A teraz słuchaj uważnie. Faceta wcześniej nie było w Göteborgu, bo był

w Londynie.

– Co?

– Mówiłem, żebyś uważał. Był w Londynie.

– Skąd wy to, u diabła, wiecie?

Winter znów poczuł chłód rozchodzący się po całym ciele. Na głowie ukłucia tysiąca igiełek. Wylał stół, zmiotł gazety na podłogę, przyniósł sobie notatnik i usiadł z długopisem w dłoni.

– Skąd my to wiemy? – powtórzył Ringmar. – To nie żadna tajemnica. Facet jest szefem stewardów w SAS i dość często kursuje między Göteborgiem i Londynem.

– Wielki Boże.

– A to jeszcze nie koniec. Ma mieszkanie w Londynie. Tam mieszka, i czasami nocuje w tej chacie w Göteborgu. A może odwrotnie.

– Brytyjczyk?

– Czystej krwi Szwed, tak wygląda. W każdym razie nazywa się Carl Vikingsson.

– Vikingsson?

– Tak. I w dodatku pracuje w samolocie, który się nazywa Viking coast.

– Mamy coś na niego?

– Nic. Czysty jak lza.

– Gdzie jest teraz?

– Tu, u nas – oświadczył Ringmar.

Winter poczuł nagłą suchość w gardle. Napił się letniej herbaty, ale nie miała żadnego smaku. Równie dobrze mogła to być nafta albo kompot wiśniowy.

– Nie zdążyliśmy go jeszcze przesłuchać – powiedział Ringmar.

– Nie ma alibi?

– Jeszcze nie wiemy, mówiłem. To może być skomplikowane.

– Podaj mi jego tutejszy adres – poprosił Winter. – W Londynie.

– To miejsce nazywa się Stanley Gardens. Numer trzydzieści dwa, Stanley Gardens.

– Zaczekaj – rzucił Winter. Odłożył telefon, podszedł do stolika obok sofy, wziął plan miasta i otworzył na spisie ulic. Znów sięgnął po komórkę. – W Londynie jest sześć Stanley Gardens.

– O kurczę.

– Potrzebuję jeszcze kodu pocztowego, na przykład NW 7 albo coś takiego.

– Poczekaj – powiedział Ringmar.

I Winter czekał. Znów napił się nafty, czuł gorączkę polowania. W słuchawce coś

zachrobotąło.

– Mam tu wizytówkę, to jest... chwileczkę... Stanley Gardens W 11.

Winter zajął do spisu. W 11. Trzeba szukać na planie w 7 H 59. Przekartkował do strony pięćdziesiątej dziewiątej i odnalazł właściwą kratkę: Notting Hill, Kensington Park Rd, Stanley Cr... to tu. Mała przecznica głównej ulicy.

– W okolicy Portobello – powiedział.

– *Whatever you say* – odparł Ringmar.

– Zatrzymajcie go na sześć plus sześć.

– Jeszcze go nie przesłuchaliśmy.

Winter był zdecydowany. Jeśli podczas przesłuchania okazuje się, że powinni kontynuować rozmowę z przesłuchiwanym, mogą go przetrzymywać przez sześć plus sześć godzin, oferując „możliwość wypoczynku i pełne wyżywienie”. Tak to nazywali.

– Sześć plus sześć – powtórzył Winter. – I nie przejmuj się ewentualnym alibi.

– Nie mam nic przeciwko temu – stwierdził Ringmar. – A Gabriel już nie może się doczekać.

Główny śledczy. Gabriel Cohen. Czekał i czytał, czytał, czekał i wzdychał.

– Zaczekaj jeszcze z Gabrielem – powiedział Winter.

– Słucham?

– Na początek spokojnie, sam się tym zajmij.

– Ale on też musi być obecny.

– Ale tylko jako kumpel. To musi być perfekcyjnie poprowadzone od początku.

– Spokojnie i po cichu – dodał Ringmar.

– Żadnych fałszywych ruchów.

– Nie obrażaj mnie. Pewnie nie posuniemy się dalej niż do prognozy pogody na jutro, póki nie wrócisz.

– Dobrze.

– A tak poza tym, kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Program telewizyjny, o którym ci wczoraj mówiłem, nagrywają dzisiaj po południu. Musimy zaraz sprawdzić ten adres. Nie wiem. Może dzwoniemy się za godzinę albo coś koło tego.

– Eriku?

– Tak?

– Jeszcze jedno. Vikingsson był w Londynie, kiedy stało się to ostatnie. Z tym młodym Jaegerbergiem. Christian Jaegerberg. On był w Londynie. Vikingsson.

– A nie w samolocie, w powietrzu?

– No tak, jasna cholera, to możliwe. W każdym razie nie było go w Szwecji.

Rozłączyli się. Winter natychmiast wybrał jedenaście cyfr do Thornton Heath. Ktoś się zgłosił.

– Mówi komisarz Erik Winter. Szukam Steve’a Macdonalda.

– Chwileczkę.

Winter czekał. Potem usłyszał jego głos.

– Tu Erik. Przed chwilą rozmawiałem z Göteborgiem. Wezwali na przesłuchanie faceta, który ma mieszkanie w Londynie. To może być strzał kulą w płot, ale powinniśmy to sprawdzić.

– Mieszkanie tutaj?

– W Notting Hill.

– Aha. Niezła dzielnica.

– Nic o tym facecie nie wiem, ale powinniśmy obejrzeć to mieszkanie.

– Z zewnątrz?

– Co?

– Znam kilku dobrych sędziów, ale żaden nie pozwoliłby nam wejść i oglądać mieszkania w Londynie bez solidnych argumentów.

– Pojadę tak czy tak. Właśnie się wybieram. Zobaczymy się na rogu od strony Kensington Park Road.

– Rogu czego?

– Przepraszam. To mieszkanie przy Stanley Gardens.

– Okej.

– Czyli widzimy się za godzinę.

– Już lecę – powiedział Macdonald.

WINTER ZATRZYMAŁ TAKSÓWKĘ jadącą Earl's Court Road na północ. Podróż do Notting Hill Gate bocznymi uliczkami przy Holland Park trwała piętnaście minut. Kiedyś dużo tędy chodził, gdy był młodszy.

Domy wzdłuż Kensington Park Road lśniły jak marmur. Na skrzyżowaniu z Pembridge Road właściciel kawiarni kraciastymi obrusami nakrywał wystawione stoliki. Ludzie już nie mogli się doczekać pierwszego w tym roku cappuccino pod gołym niebem.

Budynki przy Stanley Gardens były ciche, pogrążone w cieniu. Numer trzydzieści dwa miał bramę, przez którą mógłby wejść i wyjść oddział wojska. Winter czekał spokojnie na rogu. Jakaś para w jego wieku podeszła i zatrzymała się. Mężczyzna zapytał ze szwedzkim akcentem:

– *Could you tell us the way to Portobello Road?*

– *It's the parallel street* – wyjaśnił Winter, wskazując na Kensington Park Road. – *You just turn right over there.*

– *Thank you* – para podziękowała chórem, a Winter uśmiechnął się anonimowym, angielskim uśmiechem.

Był w szwedzkiej poniekąd okolicy. W odległości pieszego spaceru znajdowało się Bayswater, miejsce, gdzie mieszkała większość szwedzkich turystów zaludniających hotele wokół Queensway.

Taksówka zaparkowała tuż przed nim. Wsiadł z niej Macdonald.

– Pociąg, a potem z Victorii taryfa – powiedział. – To najszybszy sposób.

– To tam – powiedział Winter, skinieniem głowy wskazując bramę.

– Byłeś już w budynku?

– Nie.

– Zleciłem obserwację od chwili, kiedy stamtąd wyjdziemy – oznajmił Macdonald.

– Dobrze.

– Rozmawiałem z pewnym opornym sędzią. Rzecz jasna, powiedział nie, więc potrzebujemy szybkich rezultatów przesłuchania.

Weszli w bramę. Winter odczytywał nazwiska na tabliczkach. Pociągnął ciężkie drzwi

do północnej klatki. Były zamknięte.

– Zakładam, że znasz kod – zwrócił się do Macdonalda. Szkot skinął głową. Włosy znów miał porządnie związane.

– Umiemy się dogadać ze swoimi stróżami – stwierdził.

Hall pachniał cieniem i polerowanym drewnem. Światło spiralnie wznosiło się do góry, wzdłuż schodów, aż po dach. Poszli za nim i zatrzymali się na trzecim piętrze. Macdonald założył rękawiczki i kołatką w kształcie lwiej paszczy zastukał do drzwi.

– Pozostałość z czasów kolonialnych – powiedział przepraszająco.

Czekali. Macdonald załomotał jeszcze raz, mosiądzem o drewno.

– Nie ma nikogo – stwierdził.

– Tego nie wiemy – odparł Winter.

– W tej chwili nie ma.

Winter wzruszył ramionami, był spięty. Z dołu usłyszeli zgrzyt. Obok nich przemknął bęben windy. Zjechała na dół, a po chwili znów ich minęła, w drodze na górę. Osoba czy osoby jadące windą nie mogły ich widzieć, stali w ślepych kącie klatki schodowej.

Macdonald podał Winterowi parę rękawiczek.

– Załóż je – powiedział.

– Nigdy bym nie pomyślał, że to zrobisz.

– To cholernie niebezpieczne.

– Cel uświęca środki.

– Co?

– Takie szwedzkie powiedzenie.

– Mamy podobne.

– Otwórz.

Macdonald rzucił Winterowi parę szpitalnych ochraniaczy z niebieskiego plastiku.

– To też załóż.

W poprzednim życiu musiał być włamywaczem, pomyślał Winter.

Czuł ucisk w mostku.

Na schodach było cicho. Z innych mieszkań nie dochodził żaden dźwięk. Wytrych Macdonalda z łagodnym kliknięciem otworzył zamek. Szybko wśliznęli się do środka.

Cel, pomyślał Winter. Pracujemy dla dobra ludzi, włamujemy się, żeby ratować życie. To nas odróżnia od innych włamywaczy.

Weszli wprost do salonu. W mieszkaniu było ciepło. Słońce grzało w okna, w opuszczone trzcinowe rolety. Było tyle światła, ile potrzebowali.

Macdonald wskazał głową w prawo i poszli, jeden za drugim. W kuchni nie było resztek jedzenia, żadnych brudnych naczyń. Ścierki wisały rządkiem. Na ścianie komplet noży, matowa stal.

– Wszystkie noże na miejscu – stwierdził Winter.

– Żaden nie ma dwustronnego ostrza – dodał Macdonald.

Naruszyliśmy mir domowy, a on idzie na całość, pomyślał Winter. Żadnego respektu, przed niczym. Cieszę się, że tu jesteśmy. Działamy, posuwamy się do przodu.

Brali do rąk i oglądali wszystkie przedmioty. Profesjonalne przeszukanie.

– Tu mieszka jakiś pieprzony pedant – stwierdził Macdonald.

– Ma dużo muzyki – dodał Winter.

– Reggae.

– Widzę.

– Dość dużo.

– I dużo zamkniętych na klucz szuflad.

– I szafek.

– Właśnie.

– Coś tu jest, w tym mieszkaniu – powiedział Macdonald. – Czujesz to?

– Nie wiem.

– Tu mamy jego zdjęcie.

Macdonald nachylił się nad biurkiem. Mężczyzna uśmiechał się swobodnie do obiektywu. Miał jasne włosy, proste i krótko obcięte.

– Biaaały – powiedział Macdonald, bez uśmiechu.

Winter podszedł do niego.

– Jak stewarda może być stać na mieszkanie w Notting Hill? – zapytał Macdonald.

– Nie wiem, jak płacą w SAS-ie.

– Mnie nie byłoby na to stać.

– Praca w powietrzu bardziej się opłaca.

– Ciebie chyba byłoby stać, przynajmniej sądząc po twoich ubraniach.

– Tak.

– Nie utrzymujesz się tylko z pensji komisarza?

– Właściwie nie.

– Cholera.

– To kombinacja nowych i starych pieniędzy – wyjaśnił Winter z nieokreślonym gestem.

– Jesteś jak brytyjski oficer – stwierdził Macdonald. – Im pensja wystarcza mniej więcej na rachunek w kantine.

– Musimy się przyjrzeć finansom tego gościa – powiedział Winter, żeby zmienić temat. – Ma też jakąś chatę w Göteborgu.

Otworzyli szafę. Ubrania były ułożone w równe stosy.

– Pedant – powtórzył Macdonald.

– A czego się spodziewałeś? Plastikowego worka z zakrwawionymi ciuchami?

– Może jeden raz nie wystarczy.

– Wrócimy tu jeszcze.

– Ciebie tu już nie będzie.

– Ale mimo to będę z tobą.

– O której odlatuje twój samolot?

– O siódmej.

– Czy on jeszcze u was będzie? Kiedy wylądujesz?

– Jeszcze go złapię. O ile nie będzie nakazu aresztowania.

– A kto namówi prokuratora?

– Wszyscy są teraz podenerwowani – stwierdził Winter. – Możemy to wykorzystać.

– Albo przyjedziesz na miejsce i się okaże, że facet jest czysty.

– To przecież też będzie dobrze.

– Eliminowanie – powiedział Macdonald. – Tym się zajmujemy.

Wyszli na Stanley Gardens i ruszyli w stronę skrzyżowania. Macdonald kiwnął głową komuś, kto siedział w dużym vauxhallu zaparkowanym naprzeciwko, na większej ulicy.

Winter zadzwonił do Göteborga.

– Ringmar.

– Tu Erik. Jak wam idzie?

– Na razie nic konkretnego.

– Jaki on jest?

– Spokojny.

– Za spokojny?

– Nie, ale coś zrobił.

– Dobrze.

– Ten koleżka coś ukrywa. To może być cokolwiek.

– Będę o dziesiątej.
– Za późno.
– Więc jeszcze dużo nam brakuje do uzasadnienia podejrzeń?
– Nie mamy nic – odparł Ringmar.
– To idzie szybko, ale ja chcę, żeby szło szybko – powiedział Winter. – Postaraj się, żeby coś było, kiedy wyląduję. Liczę na rezultaty. – Rozłączył się.

Macdonald czekał. Było późne przedpołudnie, coraz więcej ludzi. Szli w stronę ulic targowych. Winter słyszał radosne skandynawskie głosy.

– Nie przyznał się – powiedział. – Nie ma właściwie nic, koniec żartów.
– Oczywiście, że nie – przyznał Macdonald.
– Ale coś się jeszcze znajdzie.
– Czekaj na nas telewizja.
– Zapomniałem o nich.
– Ale oni o nas nie.

Winter wspierał Macdonalda. Studio było małe. Lamy świeciły mocno, ale Macdonald się nie pocił.

Sprawa została przedyskutowana. Właściwie to dobrze, pomyślał Winter.

Nie mówili o włamaniu.

Nie wspominali o przesłuchaniu w Göteborgu. Gdyby ten program nadawano trzy albo pięć dni później, pomyślał Winter. Moglibyśmy przynajmniej pokazać twarz, z jasnymi, prostymi, krótko obciętymi włosami.

Pokazywali inne twarze. W trakcie programu ludzie dzwonili do studia, rozmowy były rejestrowane. Kiedy Macdonald później przesłuchiwał taśmy, nie znalazł nic, co wymagałoby szybkiej reakcji.

Winter myślał o stewardzie Carlu Vikingssonie. Miał problemy z koncentracją. To odwracało jego uwagę, uspokajało.

Potem wsiedli do samochodu zaparkowanego przed studiem telewizyjnym. Macdonald ruszył. Pojechali do pubu na lunch. Za wahadłowymi drzwiami pachniało piwem, smażoną wątróbką i dymem papierosowym. Złożyli zamówienie.

– Tym razem będziemy mieć więcej zeznań świadków – stwierdził Macdonald.
– Na temat Christiana Jaegerberga? – upewnił się Winter, zapalając corpa.
– Tak.

– Z powodu jego koloru skóry?
– Właśnie. Tym razem ofiarą jest ciemnoskóry człowiek z zewnątrz. Mniej się będą bać – mówił dalej Macdonald. – Poza tym kiedy sprawca jest biały...

- Jak zakładamy.
- Nie zakładaliśmy nic innego.
- Idą nasze piwa.
- I twoja zapiekanka.
- Nie spotkam się z twoją rodziną.
- Nie tylko ty.
- Czy dzieci jeszcze cię rozpoznają?
- Dopóki nie obetnę włosów.
- Masz jakieś zdjęcie?

Macdonald odstawił szklanę i dyskretnie wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel. Pas od kabury przecinał jego pierś jak skórzany bandaż. Pod pachą błysnął metal pistoletu.

Zdjęcie przedstawiało ciemnowłosą kobietę i dwie dziewczynki, na oko dziesięcioletnie. Sfotografowane z profilu. Wszystkie trzy uczesane w koński ogon.

- Same tak chciały – powiedział Macdonald z uśmiechem.
- *Mug shot*.
- Niezła banda.
- Bliźniaczki?
- Tak.
- Są podobne do twojej prawej strony.
- To dzięki włosom.

Jedli w milczeniu. Macdonald postawił kawę. Potem zawiózł Wintera do hotelu. Na ulicach było więcej samochodów. Wolno posuwali się Cromwell Road.

– Londyn to piekielna dziura – stwierdził Macdonald. – Przynajmniej kiedy się jeździ autem.

– Zawsze tu będę wracał – odparł Winter. – To jedno z niewielu naprawdę cywilizowanych miast na świecie.

- Z powodu cygar?
- Z powodu różnorodności.
- Różnorodności morderców, gwałcicieli, alfonsów i narkomanów?
- I klubów piłkarskich, i restauracji, klubów muzycznych i ludzi, którzy przybywają z całego ogromnego świata – dodał Winter.

- To prawda. Wieczne imperium, choć teraz nazywamy to wspólnotą.
- Możesz sobie wyobrazić, że mieszkasz gdzie indziej?
- Niż w Londynie? Nie mieszkam w Londynie. Mieszkam w Kent.
- Wiesz, o co mi chodzi, Steve.
- Nie.
- Ale co nie?
- Nie mogę sobie wyobrazić, żebym mógł mieszkać gdzie indziej.
- Macie wiosnę, kiedy u nas jest zima.

Dotarli do hotelu, Winter poszedł po bagaże. Potem Macdonald znów wcisnął się na A4. Minął Hammersmith, dalej M4, południową stroną Gunnersbury Park. Winter siedział w milczeniu, przyglądał się miejskim widokom. W Osterley Park dzieci grały w piłkę. Wiatr rozwiewał im włosy. Było tak jak zawsze. Starcy ciągnęli wózki golfowe. Zobaczył trzy konie idące rzędem. Z tej odległości nie mógł ocenić, czy jeźdźcami są kobiety, czy mężczyźni. Dostrzegł tylko, że ostatni w szeregu koń się wypróżnił. Elegancko, nie przerywając stępa.

Ringmar czekał w samochodzie na Landvetter. Wychodząc z terminalu, Winter poczuł, jak jest zimno. Wiosna zatrzymała się nad zachodnimi morzami, jeszcze nie dotarła do Skandynawii.

- Puściliśmy go – powiedział Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

- Ale nie ma alibi.

- To już coś.

- Na żadną ze zbrodni.

- Okej.

– Sprawdziliśmy dokładnie w liniach lotniczych i okazało się, że kiedy dokonywano morderstw, nie było go w pracy.

- Słucham – powiedział Winter.

Wyjechali na autostradę. Gnali, oddalając się od zabudowań Landvetter, sto trzydzieści na liczniku. Dwadzieścia kilometrów przed nimi światła Göteborga strzelały w niebo.

– Był w Londynie, kiedy... kiedy to się stało tam, i w Szwecji, kiedy morderstwa popełniono tutaj.

- Co mówi?

- Że robił różne rzeczy. Pranie. Gotowanie. Kino.

Ringmar bębnił palcami o kierownicę, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć.

- Nie pęka?
- Nadal jest bardzo spokojny.
- Sprawdziliście, czy pracował, kiedy lecieli tamci chłopcy? – zapytał Winter.
- Tak.
- I co?
- Był na pokładzie podczas wszystkich lotów.
- To aż za dobrze.

Ringmar nie odpowiedział, koncentrował się na jeździe. Wyprzedził kolejny samochód. Przejeżdżali przez Mölnlycke, grupka świateł po lewej.

- Czy nie mówiłeś, że chcesz szybkich postępów?
- Wcześniej myśleliśmy o kimś, kto był w jednym z tych samolotów... z chłopcami... a tu mamy kogoś, kto leciał za każdym razem – powiedział Winter.
- I to jest aż za dobrze?

Winter nie odpowiedział. Potarł oczy. Zdrzemnął się pół godziny w samolocie, nie miał ochoty na jedzenie ani kawę.

- Wszystko opiera się na podejrzeniach tamtego włamywacza – powiedział po chwili.
- Nie pierwszy raz rozwiązujemy sprawę w ten sposób – odparł Ringmar.
- Czy byliście wystarczająco dyskretni?
- Nie spieprzymy konfrontacji.
- Nie możemy sobie na to pozwolić.
- Mówię tylko, że nie ryzykujemy.

Wymachiwanie fotografiami, zanim się przeprowadzi porządną konfrontację ze świadkami, to grzech śmiertelny. To jak wystrzelanie się z amunicji, może na dobre. Kiedyś próbowali robić konfrontacje na podstawie zdjęć: dziesięć fotografii ułożonych przed świadkiem, jedna przy drugiej. Ale to było zbyt ryzykowne.

- Musimy działać podręcznikowo – powiedział Winter i pomyślał o Stanley Gardens.
- Pożyczyliśmy sobie od niego klucze, ale zdążyliśmy obejrzeć mieszkanie tylko pobieżnie – oznajmił Ringmar.
- Zaraz tam idę. Potrzebujemy czasu.
- Jeśli chcemy się o tym facecie dowiedzieć czegoś więcej, musimy go zatrzymać. Potrzebujemy więcej czasu, żeby o wszystkim pogadać.

- A co mówi Birgersson?
- Powiedział Wälldemu, że już nigdy się do niego nie odezwie, jeśli nie przymknie Vikingssona.

– To groźba.

– Sture dużo ryzykuje – stwierdził Ringmar. – Wällde może to też potraktować jako obietnicę. Tylko że Wällde chciał wiedzieć, czy istnieją uzasadnione powody do podejrzeń.

– Nie mieliśmy ich za dużo – przyznał Winter.

Ringmar zaparkował przed siedzibą policji. Winter znów był w domu. Kiedy wysiadł z samochodu, poczuł, że jest sztywny.

– A co tam z Berghemem? – zapytał Ringmara, który zamykał drzwi pilotem.

– Wygląda jak pies gończy.

– Ma jakieś rezultaty?

– Mówi, że czeka na nazwisko.

Winter krążył po dwupokojowym mieszkaniu Vikingssona. Pokoje tchnęły tymczasowością i krótkimi wizytami. Wyjazdy.

Po co mu to?, myślał Winter. Coś tu się nie zgadza. Coś tu paskudnie śmierdzi. Czuję to instynktownie, nieodparcie. Mam rację.

Przeszukał szuflady. W pokojach w Londynie ktoś mieszkał, w mieszkaniu Vikingssona na Stanley Gardens... ale te ściany tutaj, sufit i podłoga w Göteborgu, wydawały się do nikogo nie należeć.

Pokoje wręcz odrzucały. Czy ten złodziej był tu, w środku? Oni są cholernie bezczelni, pomyślał Winter.

Ale czego ja szukam?, zastanawiał się. Gdzie przechowywałbym coś, co jest dla mnie ważne, nawet przypadkowo?

Dokumenty? Rolki filmów? Adresy? Pokwitowania? Gdzie, gdzie?

Gdzie kładę rzeczy, których nie chcę pokazywać, nawet jeśli nie mam powodów przypuszczać, że ktoś nieproszony wparuje mi do domu?

Rozejrzał się. Był w pustej sypialni: łóżko, sekretarzyk, krzesło i stojący na nim telefon. Półka z książkami.

Telefon na krześle. Telefon na krześle.

Ktoś tu dzwonił. Vikingsson dzwonił stąd. Winter zamknął oczy i przypomniał sobie system słoneczny na ścianie u Macdonalda. Rozmowy telefoniczne jak trajektorie satelit nad zachodnią półkulą. Najcichsze nawet westchnienie do słuchawki zlokalizowane.

To jest jakaś możliwość. Jeśli Vikingsson jest niewinny, będą mogli mu pomóc to udowodnić, pomyślał.

Otworzył oczy i przeszedł się kilka kroków. Na ścianach nic. Sekretarzyk stał, jakby porzucony, przy przeciwległej ścianie. Winter podszedł do niego i zaczął wyjmować szuflady, jedną po drugiej. Skrzypiały, kiedy je ciągnął, nie dawały się ruszyć.

Nie udało mu się otworzyć najniższej. Czy policja już tu była i próbowała je otwierać?

Szarpnął mocniej. Szuflada się poddała, a on poleciał do tyłu i poczuł się jak idiota. Rozejrzał się, jakby miał publiczność. Czuł się obserwowany. Szuflada była pusta.

Leżał na podłodze i patrzył w górę, na pokój. To była dziwna perspektywa. Lustro wisiało nad sekretarzykiem, pozbawionym teraz odpornej dolnej szuflady. Winter leżał w odległości dwóch i pół metra od lustra. Patrząc na nie z ukosa z lewej strony, widział szklaną powierzchnię, ale mógł też zajrzeć pod spód. Przede wszystkim widział jego dolną część. Nieco odstawało od ściany i dzięki temu mógł zauważyć, że coś jest po drugiej stronie. Widział to wyraźnie, w wolną przestrzeń wciskało się światło. To, co wystawało, tworzyło jakiś zarys.

Dzięki ci Boże, pomyślał. Wstał i podszedł do lustra. Zdjął je i odwrócił, żeby obejrzyć ten kształt w świetle.

Ale nic tam nie było. Co, do jasn... pomyślał. Spojrzał na podłogę. Nic, żadnego kawałka papieru ani zdjęcia. Żadnego kwitu. Kawałek pajęczyny przyczepiony na odwrocie lustra. I nic poza tym.

Zawiesił lustro z powrotem i znów położył się na podłodze. Usiłował patrzeć pod tym samym kątem co przedtem. Znów widział przestrzeń i ten kształt: luźno zwisającą pajęczynę. To wszystko za bardzo mnie trzepnęło, pomyślał.

Zdjęcia zostawił na koniec. Kolaż przypięty do niewielkiej korkowej tablicy nad kuchennym stołem. Ringmar mówił, że Vikingsson jest próżny. Tacy nie wytrzymają długo bez lustra i swoich fotografii.

Kolaż był jedyną osobistą rzeczą w mieszkaniu. Winter przyglądał mu się, schylony nad stołem. Kompozycja składała się z siedmiu... ośmiu zdjęć. Tak policzył. Najdziwniejsze było to, że nie było na nich widać nikogo oprócz samego Vikingssona. Sfotografował się w różnych miejscach, trudnych do zidentyfikowania. Winter przyglądał się wnikliwie, jednemu po drugim.

Tworzyły kształt koła. Zaczął je przeglądać zgodnie z ruchem wskazówek zegara, powracał spojrzeniem do godziny dwunastej: Vikingsson siedział przy jakiejś ladzie, wyglądało to jak kontuar w barze. Wypełniał sobą prawie cały kadr. Za jego plecami widać było metr czy dwa baru. Ktoś stojący po drugiej stronie pstryknął to zdjęcie z użyciem szerokokątnego obiektywu. Winter nie odrywał od niego wzroku. Patrzył za plecy

Vikingssona, oglądał krańce baru.

Znał to miejsce. Okno za Viki... Zamknął oczy i przywołał w myślach to samo okno. Widział ten sam kontuar. Zobaczył siebie samego, jak siedzi i mówi coś do mężczyzny stojącego za barem.

Spokojnie, pomyślał. To przypadek. W mieście są knajpy popularne i mniej popularne.

Winter czuł woń adrenaliny wypełniającą salę konferencyjną. Inny nastrój niż wtedy, kiedy wyjeżdżał do Londynu. Śledczy sprawiali wrażenie, jakby podążali w jakimś kierunku. Mieli coś, czego mogli się trzymać.

Winter opowiedział o tym, czego się dowiedział w Londynie. Zajęło mu to dziesięć minut.

– Chcę, żebyście wszyscy podzielili się z innymi swoimi myślami – powiedział. – Nie przejmujcie się, jeśli będzie chaos i bałagan. Po prostu mówcie. Taśma leci. Bertil pisze.

Siedzieli półkolem wokół Wintera. Wyglądało to jak pół mechanizmu zegara, jakby druga połowa czasu została gdzieś z tyłu, za nimi. Jakby liczyli na to, że rozwiążą zagadkę, zanim wskazówka znów zatoczy koło.

– Witaj w domu, szefie – rzucił Halders.

Pieprzony dupoliz, pomyślała Aneta Djanali. Chciał, żeby to zabrzmiało ironicznie, ale wszyscy wiedzą, że się podlizuje.

– Saro? – powiedział Winter.

– Ślady świadczą o wielkiej sile i wielkiej wściekłości – zaczęła Sara Helander.

– Wściekłości?

– Tak sądzimy. Ślady, ruchy.

– Mhm.

– Coś tu się tłumi, co się uwalnia.

– Ten skurwiel wpada w szal – rzucił Halders.

– Czy wyznaczyłeś kogoś, kto się zajmie przeszłością Vikingssona? – zapytał Winter, patrząc na Ringmara.

– Jasne.

– Wygląda na to, że wszystko zaczyna się spokojnie, według jakiegoś systemu czy wzoru, a potem wymyka się spod kontroli – mówiła dalej Sara Helander.

– Tak, można tak powiedzieć – potwierdził Halders.

– Zamknij się, Fredriku – rzucił Winter. – Odezwij się, jak będziesz miał coś konstruktywnego do powiedzenia.

Szyja Haldersa zrobiła się czerwona. Zerknął z boku na Djanali, ale nie odezwała się. Zamilkł.

– Za każdym razem to wygląda tak samo – ciągnęła Helander. – Plan, a potem wszystko wymyka się spod kontroli. Ale najstraszniejsze jest to, że za każdym razem wszystko odbywa się dokładnie tak samo.

– Co masz na myśli? – zapytał Janne Möllerström.

– Ślady – odparła Sara Helander. – Wyglądają podobnie. Jak gdyby jakiś robot zwariował albo za każdym razem był programowany do popełnienia takiego samego szaleństwa.

– *La Folie* – mruknął Halders, jak nieposłuszne dziecko, które nie potrafi usiedzieć cicho.

Czyżby znał francuski?, pomyślała Aneta Djanali. Może chodzi na kurs wieczorowy?

– Oprócz tej ostatniej sprawy w Londynie – ciągnęła Sara Helander. – Na zdjęciach, które dostałam od Erika, widać inny wzór. Jakby brakowało kilku warstw.

– Ktoś mu przerwał – powiedział Winter.

– To widać.

W milczeniu oglądali zdjęcia. Ta potworna powtarzalność, myślała Aneta Djanali. To odrażające, a równocześnie to właśnie każe nam iść dalej. To dzięki tej powtarzalności jesteśmy w stanie dalej pracować. Policyjna robota to sztuka monotonii.

Odchrząknęła.

– Aneto?

– Rozmawialiśmy trochę z sąsiadami Vikingssona, ale to anonimowe osiedle – zaczęła. – Jak wszystkie domy czynszowe. Ale kiedy zapytaliśmy o jego zwyczaje, ktoś powiedział, że chyba dużo trenuje.

– Trenuje?

– Nie wiem, czy nie powiedział tego tylko tak sobie. Ale ze dwa razy widział Vikingssona z dużą sportową torbą.

– Bertilu? – Winter odwrócił się do swojego zastępcy.

– To jest wiadomość z dzisiejszego dnia – wyjaśnił Ringmar. – Wczoraj o tym nie wiedzieliśmy i nie pytaliśmy o to.

– Chodzi mi o to, co znaleźliście u niego w domu – powiedział Winter.

Ringmar sięgnął po leżący na stole skoroszyt, otworzył i przejrzał listę.

– Nie było żadnej sportowej torby – oświadczył.

– Nic? Plecak? Worek żeglarski?

– Nie. Nic oprócz zgrabnej firmowej walizeczki. Ale nie mieliśmy czasu kuć ścian i podłóg.

– A teraz on jest w domu i sprząta – rzucił Halders.

– Sprawdź, czy ma jakiś abonament na siłownię – polecił mu Winter.

– Okej.

– Sprawdź wszystkie kluby. Slottskogen, Ruddalen, wszystkie takie miejsca.

– Jasne.

– A tak w ogóle to co on teraz robi? – zapytał Möllerström.

– Lata – odparł Ringmar.

– Jest jedna rzecz, jeśli chodzi o otoczenie chłopców, czy jak by to powiedzieć – zaczął Halders.

Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

– Mieliśmy szukać czegoś wspólnego, a to oznaczało setki godzin przegadanych z ich kolegami, dziewczynami i chłopakami.

– Ewentualnymi chłopakami – wtrącił Winter.

– W sumie tak.

– Mów dalej.

– Jest takie miejsce, gdzie bywali Robertson i Malmström, i Hill... Hillier też. Wszyscy chodzili, z różną częstotliwością – powiedział Halders.

– Ale nie Jaegerberg?

– Tego jeszcze nie wiemy. Może to miejsce jest akurat popularne wśród ludzi w tym wieku.

Wymienił nazwę klubu, a Ringmar spojrział na Möllerströma.

– Fredrik powiedział mi o tym dziś rano – wyjaśnił Möllerström.

– A więc wczoraj wieczorem kilka rzeczy trafiło na swoje miejsce – mówił dalej Halders. – Tylko tej nowej ofiary... Christiana Jaegerberga nie zdążyłem jeszcze sprawdzić.

Winter nic nie mówił, myślał. Wygląda na cholernie zmęczonego, pomyślała Aneta Djanali. Jeśli o n wygląda na zmęczonego, to ciekawa jestem, jak my wszyscy wyglądalibyśmy w oczach kogoś z zewnątrz.

– Czy Vikingsson ma samochód? – Winter zwrócił się do Ringmara.

– Nie, przynajmniej według rejestru.

– Rejestr to jedna rzecz. Musimy sprawdzić wszystkie miejsca do parkowania i karty parkingowe mieszkańców w jego najbliższej okolicy. Gdzieś tam może stać samochód, do którego nikt się nie przyznaje, i on może należeć do Vikingssona.

– Może też być mój – rzucił Halders.

– Słucham?

– To się znowu stało. Mój samochód znów został skradziony, ale tym razem nie dogoniłem tego cholernego drania.

Przez krótką chwilę myśleli o tym, że kradnie się coraz więcej samochodów. Winter poczuł, że musi się napić kawy i zapalić.

– Wezwiemy go jeszcze raz na przesłuchanie – oświadczył.

– Dobrze – zgodził się Ringmar.

– Mamy kolejne pytania – dodał Winter.

– Ale nie ma go w domu – stwierdził Möllerström.

– Sprowadźcie go. Nie jest wyłączony ze śledztwa, choć może mu się tak wydawać. W najgorszym razie, żeby wydać nakaz aresztowania, spróbujemy konfrontacji na podstawie fotografii. Musimy też zbadać jego życie prywatne. Przyjaciele, znajomi. Co robi wieczorami. Kluby. Bary. Kina.

Pomyślał o zdjęciach na ścianie jego kuchni. Spojrzał na Bergenhema. Młody inspektor wyglądał na chorego. Winter nie przypominał sobie, żeby Bergenhem kiedykolwiek był tak wychudzony. Czy zlecił mu niewykonalne zadanie? Czy może Bergenhem stał się kłębkim nerwów... bo niedługo pojawi się dziecko? Winter nic nie mógł o tym wiedzieć. Wiele rzeczy robił, ale ojcem nie był.

– Lars?

Bergenhem spojrzał na niego, ale jakby obok.

– Tak?

– A ty co powiesz?

– Ja... ja mam pewien kontakt i to może nam coś dać – odparł Bergenhem.

Winter czekał na dalszy ciąg. Bergenhem mówił dalej, z trudem formułując zdania. Jakby był skacowany, pomyślał Winter. Albo po prostu jak kłębek nerwów.

– Wygląda na to, że coś się dzieje... albo zdarzyło się w tej branży... coś nowego.

– Nowego?

– Jakiś niepokój, czy jak to określić. Nie sądzę, żeby powodem było moje wypytywanie. Tak jakby ktoś wiedział, o co pytam.

– Czy ktoś ci to powiedział?

– Może zdobędę jakieś nazwisko.

Wszyscy czekali. Poczuli się tak, jakby Bergenhem miał wymienić to nazwisko tu i teraz. Tylko jedno nazwisko i będą wreszcie mogli iść napić się kawy, dopisać ostatnią stronę

w skoroszycie Ringmara i komputerze Möllerströma.

– Ktoś, kto wie – powiedział Bergenhem. To było wszystko.

Przejechał mostem na drugą stronę i zaskoczył Martinę. Stała w kuchni i patrzyła na podłogę, jakby się spodziewała, że z jej ciała za chwilę chluśnie woda, że już nadszedł czas. To mogło się zdarzyć w każdej chwili.

Pocałował ją i objął. Pachniała jabłkami i bawełną. Położył dłoń na Okruszku.

– Nie jesteś na służbie?

– Nie podkablujesz mnie chyba?

Zaśmiała się.

– Chcesz coś do jedzenia?

– Jest wieprzowina?

– Wieprzowina?

– Chcę smażone mięso. Czuję się tak, jakbym od lat nie miał takiego apetytu.

– Ale nie miałeś apetytu.

– Smażona wieprzowina z sosem cebulowym i gotowanymi ziemniakami, i absolutnie żadnych jarzyn.

– To nie jest poprawne politycznie.

– Ale co?

– Rezygnacja z jarzyn.

– Idę do spożywczaka.

– Jeśli chcesz wieprzowinę, to naprawdę musisz iść. W domu nie mamy.

Wyszedł, skręcił za dobrze znany róg. Kilkoro dzieci, mniej więcej dziesięcioletnich, kręciło się na deskorolkach. One też mają przerwę w służbie, pomyślał.

Niebo było zdumiewająco niebieskie. Ani jednej chmury. Kiedy mijał budynek szkoły, usłyszał ostry sygnał dzwonka. Brzmi tak samo jak kiedyś, pomyślał. Reformy szkolnictwa przychodzą i odchodzą, ale nikt się nie zajmuje szkolnym dzwonkiem. Tyle godzin poświęciłem na czekanie, żeby wreszcie zadzwonił. Nic tylko siedziałem w ławce i czekałem.

Poczuł się tak, jakby nagle przestał być taki zagubiony, jakby się przebudził ze snu. Nawrót zimy rozproszył mrok w jego wnętrzu.

Czy to przez Wintera? Przez to, że wrócił? Czyżbym był tak cholernie uzależniony? Kim jestem? To już nie jest takie niewyraźne, ale to ciągle te same pytania. Jakbym musiał coś udowodniać, sobie i innym. Ja im pokażę i... ja im pokażę.

Kim jesteś, chłopie?, pomyślał i zobaczył wyłaniający się po prawej sklep. Plakaty reklamowe miały kolor podbiału. Za dwa albo trzy lata Okruszek będzie przychodził z pierwszymi kwiatkami w garści. Będziemy je wstawiać do wody, a potem zasuszymy między częściami A i B encyklopedii.

Kim jesteś, poza tym, że jesteś gliną, który idzie kupić boczek i ma ogromne wyrzuty sumienia z powodu czegoś, czego nie zrobił?

Myślał o niej jako o Angel, jako Marianne, znów jako Angel. Nie wiedział już sam, czy to on, czy ona ciągnie, kto kogo do siebie przyciąga. Wciąga jak narkotyk, pomyślał. To narkotyk. Czy to się skończyło? Co się skończyło?

Wiem, co robię, powiedział sam do siebie. Każdy powie, że wykonuję swoją pracę. Napisałem raport.

Hanne Östergaard odpytywała Marię z francuskiego. Dziewczynka miała doskonałą wymowę, o ile matka była w stanie to ocenić.

Może latem wynajmą na dwa tygodnie domek w Normandii. Przygotowała już i wypełniła formularz. Wioska nazywała się Roncey, a najbliższe miasto Coutances. Hanne była tam, zanim pojawiła się Maria. Katedra stała na najwyższym wzniesieniu, ale uratowała się przed bombami. Jedyne kościół w północnej Normandii, który nie został zniszczony w czasie wojny. Stała tam i wyciągała ręce do Boga. Chciała tam pójść i zapalić świeczkę, po siedemnastu latach. Służka Boża z Göteborga i jej córka.

Skończyły ze słówkami. Teraz dziewczynka czytała tekst i tłumaczyła na szwedzki. Już знаła język lepiej od matki. Ona będzie składała zamówienia w wiejskiej gospodzie. *Un vin blanc, une orange*. Będzie kupowała prowiant na pikniki na wielkich pustych plażach. Kiedy woda się wycofuje, w słońcu lśnią hodowle ostryg. Będą mogli chodzić po białym piasku, wygrzebywać stopami francuskojęzyczne kraby.

Dziewczynka wyszła z kuchni. Hanne usłyszała, jak w salonie rozgadał się telewizor.

Un vin blanc. Otworzyła lodówkę, wyjęła otwartą butelkę i nalała sobie do kieliszka. Od zimna szkło pokryło się rosą. Wypiła niewielki łyk. Było za zimne. Odstawiła kieliszek, postanowiła zostawić butelkę na blacie.

Był czwartkowy wieczór. Termometr pokazywał minus trzy stopnie. W zeszłym tygodniu pojawiły się krokusy, a teraz zamarzły, pomyślała. Ciekawe, jak się miewa budleja.

Usłyszała syrenę, od strony Korsvågen. Jakby tam mieli jakiś obóz treningowy, pomyślała Hanne.

Jutro Maria pojedzie na obóz ze swoją drużyną piłki ręcznej, na weekend. Hanne cieszyła się na samotność. Wolny weekend, to niezwykle u kapłana. Zamierzała iść do kina, poczytać, ugotować zupę rybną, nałożyć na siebie kilka warstw i zrobić wielką rundę wokół Delsjön, i wrócić do domu z gorącym rumieńcem na twarzy, który będzie się utrzymywał przez cały wieczór.

– Zszyłaś mój dres? – zawołała córka z kanapy przed telewizorem.

– Taaak.

– A biała bluzka, jest uprana?

– Tak. Jeśli jeszcze czegoś chcesz, masz tu przyjść.

– Co?

– Jeśli jeszcze czegoś chcesz, masz tu przyjść!

Usłyszała z pokoju chichot córki, znów pochłoniętej rodzinnym dramatem.

To był ciężki i męczący tydzień, nie nadała, miała za dużo obowiązków. Nie mogła się uwolnić od spotkań na policji.

Wypadek samochodowy we wtorek, potem rozmowy.

Potem po południu ogromne zmęczenie, które niejedną młodszą kobietę skłoniłoby do porzucenia tej pracy. Mówiła, że zawsze jest zmęczona.

Czy to w ogóle jest praca dla kobiet? Równie dobrze można by powiedzieć, że to nie jest praca dla mężczyzn, pomyślała. Tu nie chodzi o mięśnie czy wzrost. Tu chodzi o wszystko i wszystkich. Czasem miała wątpliwości, czy to jest praca dla ludzi.

Zajrzała do córki.

– Wezmę kąpiel – powiedziała. – Odbierz, jeśli zadzwoni telefon.

Dziewczynka skinęła głową, ze wzrokiem utkwionym w telewizorze. Hanne spojrzała na ekran. Cztery osoby mówiły równocześnie. Wszystkie sprawiały wrażenie zdenerwowanych. Rodzina.

Zabrała do łazienki kieliszek z winem. Zakorkowała wannę i ustawiła temperaturę wody. Rozebrała się, po kolei odkładając ubrania do kosza na brudną bieliznę. Napiła się wina, postawiła kieliszek na brzegu wanny, odwróciła się i spojrzała w duże lustro na wewnętrznej stronie drzwi szafki.

Podeszła bliżej, przyglądała się swojemu odbiciu. Jestem kobietą niespełna trzydziestopięcioletnią i to jest moje ciało, pomyślała. Ułożyła dłonie pod biustem i stała nieruchomo. Czuła ciężki opór, jeszcze stawały opór. Pogładziła się po brzuchu. Nadal miała talię, choć stała się nieco cięższa. W porównaniu do kiedy?, pomyślała i stanęła bokiem. Tyłek trochę obwisł, ale to dlatego, że patrzy pod takim kątem.

Woda szumiała coraz ciszej, im więcej jej było w wannie. Zakręciła kran i włożyła jedną stopę do wody. Była gorąca i rozkoszna.

Długo leżała w wannie. Skóra na palcach i pod stopami zaczęła się układać w wydmy. Znowu pomyślała o Francji, o plażach. Dopiła wino i zamknęła oczy, na jej czole perlił się pot.

Najgorsza była wizyta u rodziców chłopca, u matki. Jaegerberg, przed szeregowką skrzynka na listy w kształcie domku dla ptaków. Ojciec był już w Londynie, natychmiastowa decyzja, jak tylko dostali wiadomość.

Chłopak był adoptowany. Czy to miało jakieś znaczenie? Czy przez to było inaczej? Przez sekundę miała takie wrażenie. Zapytała potem Erika w samochodzie, ale nie umiał powiedzieć, albo nie miał siły. W drodze powrotnej milczał. Słyszał tylko skrzypienie wycieraczek trących o przednią szybę. Padało coś, co nie było ani deszczem, ani śniegiem. Pod chmurami z północy domy w Gamlestaden straciły kolory.

– To początek końca – powiedział nagle Erik.

– Co powiedziałeś?

– Że właśnie się zaczyna – wyjaśnił i włożył do odtwarzacza swój jazz. – Przygotuj się.

O zmierzchu Winter wsiadł na statek do Asperö. Wsiadł przy Alberts Brygga i zaczął się wspinać pod górę. Skręcił na ścieżkę w prawo i szedł dalej, w kierunku szczytu. Bolger siedział przed domem.

– Czyż tu nie jest pięknie? – zapytał, podnosząc ramiona.

Pod nimi, za iglastym lasem, ciągnęły się szkiery. Przez odbłaski nad Styrös i Donsö mogli zobaczyć zbliżający się Kattegat. Winter dostrzegł prom Stena Line między skałami fiordu Dana.

– I to wszystko jest moje – stwierdził Bolger. – Przyjdź królestwo moje.

– Czy to było rok temu? – zapytał Winter.

– Nie byłeś tu zeszłego lata?

– Nie.

– Chciałem, żebyś to zobaczył – powiedział Bolger. – To piękno.

– Owszem.

– Był już najwyższy czas, żebym cię zaprosił. Pod koniec marca jest najpiękniej.

– Dlaczego?

– Nie ma żadnego zielonego szajsu, który by zasłaniał. Tylko woda, skały i niebo.

- Żadnych żaglówek?
 - Zwłaszcza ich.
 - Słyszałem, że znów się niepokoiłeś o Bergenhema – powiedział Winter.
 - Napawaj się tym widokiem – odparł Bolger.
 - Czyżby sparzył się na czymś dużym, Johan?
 - Nie ma nic większego niż to – powiedział Bolger, wyciągając teatralnie rękę.
- Winter poczuł zapach morskiej bryzy. Nagły podmuch pochylił krzaki przed domem.
- Często tu przyjeżdżasz? – zapytał Winter.
 - Coraz częściej.
 - Nocujesz tutaj?
 - Czasami. Kiedy nie chce mi się uruchamiać motoru.

Łódź Bolgera stała w cieniu przystani. Otwarta, zrobiona z tego samego drewna co dom.

- Chłopak kręci ze striptizerką – powiedział Bolger.
- Winter nie odpowiedział.
- Jedną z popularniejszych.
 - Pewnie ma swoje powody, mówiłeś już. Kiedy byłem w Londynie.
 - To twój człowiek.
 - A kim ona jest?
 - Zwykła striptizerka.
 - To dlatego chciałeś, żebym tu przyjechał?
 - Sam mówiłeś, że chcesz trochę przewietrzyć głowę.
 - Kim ona jest?
 - Laska była narkomanką, a takim może strzelić do łba praktycznie wszystko.
 - Dobrze ją znasz?
 - Nie.
 - Ale się niepokoisz.
 - To nigdy nie jest bezpieczne, Eriku.
 - Co mam zrobić?
 - Dowiedz się, co on robi.
 - Wiem, co on robi.
 - Ty wiesz wszystko – stwierdził Bolger.
 - Co?
 - Gdzie jest...

– Co mówisz?

– Mats jest...

– Co ty, do cholery, tam mruczysz, Johan? O co chodzi z Matsem?

Bolger podniósł wzrok, spojrzał na Wintera.

– Nic.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Nic takiego, do diabła, Eriku – powiedział Bolger i wstał. – Chodź do środka, napijemy się kawy z wkładką.

Winter patrzył, jak nad morzem zapada wieczór. Widział światła dwóch statków płynących fiordem. Zbliżały się do siebie i na chwilę połączyły się w jedno, jak silna lampa.

Bolger i Winter pili kawę z wódką. Bolger rozpałił w kominku, było to jedyne źródło światła.

– Kiedy odchodzi prom na ląd?

– O ósmej.

– Możesz przekimać tutaj, jeśli chcesz.

– Nie mam czasu.

– Jest jeszcze coś – powiedział Bolger.

Winter napił się kawy, poczuł smak samogonu. Przegryzł kostką cukru.

– Kiedy tak się nad tym zastanawiałem, to doszedłem do wniosku, że któryś albo paru z tych chłopaków mogło zaglądać do mojej knajpy – oświadczył Bolger.

– I mówisz to dopiero teraz?

– Sam ich nie widziałem, ale większość młodzieży w tym wieku zachodzi do mnie co najmniej raz w miesiącu. Tam się zwykle zbierają w czwartkowe wieczory.

– Mhm.

– Może warto sprawdzić.

– Oczywiście.

– Może nawet obsługiwałem któregoś z nich. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

– Mhm.

– Chciałbym jeszcze raz obejrzeć te zdjęcia.

Bolger rozpałił ogień w nowo zbudowanym palenisku na skale. Upierał się przy tym. Wieczór otaczał ich jak sklepienie. Płomienie strzelały w górę i Winter patrzył, jak zmieniają kolor z krwawego na ognisty. Twarz Bolgera zniknęła i wróciła w świetle. Języki ognia wznosiły się razem z dymem i przez chwilę Winter miał wrażenie, że widzi wśród nich ruch, jakby postacie, ciała.

WINTER CZYTAŁ OBYDWA LISTY włamywacza. Opisy zakrwawionych ubrań w pokoju i relacja z rozmowy telefonicznej wysłuchanej z ukrycia były bardzo sugestywne.

Znaleźli plamy krwi w mieszkaniu w Göteborgu. Macdonald też znalazł krew w mieszkaniu w Londynie. Ostatnio. Krew, która kapie na podłogę, nawet jeśli się zachowuje ostrożność, pomyślał Winter.

Krew z Göteborga była krwią człowieka i zwierzęcia lub kilku zwierząt. Mogła pochodzić z zakrwawionych ubrań, o których pisał złodziej, ale nie mieli pewności. O krwi ze Stanley Gardens jeszcze nic nie było wiadomo.

Dziwna była ta rozmowa, którą opisywał złodziej. Winter odczytał ją jeszcze raz. Celuloid. Co to może znaczyć? Poza tym, że znaczy to, co znaczy? Włamywacz leżał pod łóżkiem, a Vikingsson mówił do telefonu o celuloidzie.

Sprawdzili rozmowy. Vikingsson nigdy nie dzwonił do Londynu. Rzadko też rozmawiał w obrębie miasta. W dniu, kiedy złodziej miał podsłuchać rozmowę, dzwonił do automatu telefonicznego w centrum Göteborga.

O ile w liście napisał prawdę. O ile nie napisał go kolejny szaleniec. Nie wyglądało na to, ale nigdy nic nie wiadomo.

Vikingsson wrócił. Udało im się namówić Wälldęgo, żeby pozwolił go zatrzymać. Winter się uspokoił, wreszcie mógł się skoncentrować. Czuł, że ma czas, żeby pomyśleć.

Próbowali przedłużyć czas do postanowienia o aresztowaniu, sędzia mógł podjąć taką decyzję w ciągu jednego dnia, ale Winter miał nadzieję, że uda się to maksymalnie przedłużyć, do czterech dni. Ale to, co mamy, nie pozwala go aresztować, pomyślał Winter, odkładając na biurko kopię listu.

Mamy cztery dni, w najlepszym razie.

Zamierzali przeprowadzić konfrontację z Vikingssonem. Po drugiej stronie lustra miał stać Beckman. Chcieli sięgnąć do wszystkiego, co się zachowało w pamięci motorniczego.

Winter sporo czytał o psychologii pamięci. Najważniejsza podczas wielu procesów sądowych jest konfrontacja świadków.

Tyle spraw przepadło z powodu niezręczności, niewiedzy. Policja nie wykorzystywała

swoich szans. Wiele badań z psychologii pamięci wskazywało, że najlepiej człowiek rozpoznaje twarze.

Istnieje osobny system zapamiętywania i przetwarzania informacji dotyczących właśnie twarzy, pomyślał Winter. Zadzwoił do Ringmara.

– Możesz wpaść na chwilę, Bertilu?

Ringmar wszedł, z wyrazem podniecenia na twarzy.

– Wyglądasz na zaaferowanego – stwierdził Winter.

– Może widzisz jakieś światło w tunelu.

– Jakiego tunelu?

– Tego, co leży na początku światła.

– Przeczytałem jeszcze raz przesłuchania Beckmana – powiedział Winter. – I wydaje mi się, że teraz będzie miał więcej do powiedzenia.

– Mhm. Ale ten świadek niewiele nam daje. Przecież nie widział samej zbrodni.

– Przeprowadzimy jeszcze jedno przesłuchanie, bardziej kognitywne.

– Jestem za.

Winter spojrział na Ringmara. Nie lubił niektórych słów. Winter nie rozumiał dlaczego.

Zadadzą Beckmanowi inne pytania, bardziej otwarte. Dadzą mu więcej czasu. W metodzie kognitywnej chodzi o to, żeby skłonić świadka do użycia technik wspomagających pamięć. Poproszą Beckmana, żeby opisał każdy szczegół, powiedział, co widział, w różnej kolejności, z różnych perspektyw.

– Musimy wszystko dobrze zrobić – oświadczył Winter.

– Powtarzasz się – odparł Ringmar.

– Chcę mieć siedmiu figurantów do konfrontacji – zdecydował Winter.

– Okej.

To oznaczało, że przed Beckmanem stanie osiem osób, podejrzany i jeszcze siedem.

To samo zrobią z Douglasem Svenssonem, właścicielem pubu, pracodawcą Jamiego Robertsona. Svensson widział jakąś twarz i może byłby w stanie ją rozpoznać.

– Musimy się postarać, znaleźć odpowiednich – mówił dalej Winter.

– Figurantów? Niewinne manekiny?

– Tak.

– Oczywiście.

Nie ustawią Vikingssona z jakimiś menelami. Skompletowanie odpowiedniego składu bywa bardzo trudne.

– Gabriel jeszcze raz przesłucha Vikingssona – powiedział Ringmar.

- Wiem – przyznał Winter. – Właśnie tam idę.
- Niewiele się dowiedzieliśmy o jego pochodzeniu i życiu prywatnym.
- Nie ma rodziny, o ile się orientuję.
- Nie ma żony ani dzieci, o ile to masz na myśli, kiedy mówisz o rodzinie.
- Tak.
- Nie jest homoseksualistą.
- Też tak myślałem – powiedział Winter. – Na początku tak myślałem.
- Ach tak?

Winter nie opowiedział o przeszukaniu, które razem z Macdonaldem przeprowadził w Londynie. To nie było konieczne, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale widział znaki, szczegóły, które wydawały mu się znajome. Przypomnił mu się Mats.

- Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.
- Tylko tyle, że ofiarami są chłopcy – powiedział Ringmar.
- I być może istnieje motyw seksualny, którego nie umiemy dostrzec – dodał Winter.

Podejrzewał, że chodziło o coś takiego. Albo coś takiego było pośrednią przyczyną. Morderca wykorzystał zagubienie chłopców, to, że czegoś szukali. To mogła być najprostsza rzecz pod słońcem, okrutnie prosta... nawet jeśli część młodych ludzi uważa, że patrzy na świat z ironią albo dorośli tak ich postrzegają... nawet jeśli z wierzchu byli cool, pod spodem szukali, pomyślał Winter. Zawsze się w coś wierzy. To mógł być ratunek albo śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Młodych ludzi można wykorzystać na tak wiele sposobów – stwierdził.
- Tylko młodych?
- Ich najłatwiej.
- Ty ciągle jesteś młody – powiedział Ringmar.
- Jestem wykorzystywany, ale nie w ten sposób.
- A więc to wina społeczeństwa?
- Oczywiście.
- Zawsze tak jest?
- Społeczeństwo ma takich dorosłych, na jakich zasługuje. Teraz to widać wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem.
- Więc nie ma nadziei?
- Nie wiem, Bertilu.
- Co będziesz robił w sylwestra 1999 roku?
- Jeśli chcesz wiedzieć, czy zamówiłem gdzieś stolik, to mówię, że nie.

- Będziesz siedział w domu i puszczał Coltrane’a jakiejś pięknej kobiecie?
- Pewnie tak.
- A skoro o tym mowa... rozmawialiśmy już z kobietami, z którymi Vikingsson spotykał się w Göteborgu. Trochę ich było.
- Widziałem w protokole. Czy to rozwiązłość?
- Te czasy już minęły.
- A kiedy były te czasy?
- Zanim homoseksualny steward przywłókł ze sobą wirusa AIDS z Afryki do Nowego Jorku – odparł Ringmar.
- Przypomniałeś mi o tej legendzie? – zapytał Winter.

Winter wszedł do pokoju przesłuchań. Carl Vikingsson rzucił na niego okiem. Był roslym mężczyzną. Proste blond włosy miał nieco dłuższe niż na zdjęciach. Sprawiał wrażenie kogoś, kto potrafi zrelacjonować, co robił. Ma dobrą pamięć, pomyślał Winter.

Główny śledczy Gabriel Cohen przeglądał swoje papiery. Był człowiekiem skrupulatnym. Winter skinął głową i usiadł. Vikingsson wiercił się na krześle, jakby chciał znaleźć najlepszą pozycję do obrony.

– Komisarz policji kryminalnej Erik Winter – Cohen dokonał prezentacji. – Będzie się przysłuchiwał.

Winter kiwnął głową. Vikingsson podniósł palec wskazujący w geście pozdrowienia, jakby postanowił współpracować.

Cohen zaczął przesłuchanie, jedno z wielu, przy których Winter był obecny. Pytania dotyczyły tego, co Vikingsson robił, kiedy popełniono morderstwa. Kilka razy wyrażał ubolewanie, że nie nosi ze sobą przypiętego do pulpitu na piersi dziennika. Przesłuchanie trwało.

G.C.: – Znajoma, którą pan spotkał, jak pan utrzymuje, nie potwierdziła, że byliście razem przez cały wieczór.

C.V.: – Każdego może zawieść pamięć.

G.C.: – A więc twierdzi pan, że to ona nie pamięta?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Wróćmy do tego. Proszę opowiedzieć, co pan robił dwudziestego czwartego bieżącego miesiąca.

C.V.: – Wróciłem z Londynu i wziąłem trochę rzeczy z mieszkania.

G.C.: – Jakich rzeczy?

C.V.: – Przyborów toaletowych.

G.C.: – Ma pan dwa mieszkania?

C.V.: – Wiecie o ty...

G.C.: – Nie zrozumiałem odpowiedzi.

C.V.: – To wszystko przecież wiecie.

G.C.: – Od jak dawna ma pan dwa mieszkania?

C.V.: – Nie nazwałbym tego mieszkaniem.

G.C.: – Czego nie nazwałby pan mieszkaniem?

C.V.: – Nory w Göteborgu. To raczej...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – To tylko miejsce do nocowania.

G.C.: – Od jak dawna pan je ma?

C.V.: – Od jakiegoś czasu. Możecie to sprawdzić lepiej ode mnie.

G.C.: – Pytam po raz kolejny, jak długo ma pan to mieszkanie.

C.V.: – Może z pół roku.

G.C.: – Dlaczego pan je wynajął?

C.V.: – Chatę w Göteborgu?

G.C.: – Tak.

C.V.: – Chciałem czasem zaprosić kogoś, kiedy mam wolne.

G.C.: – Ale nie spotyka się pan z nikim.

C.V.: – Co?

G.C.: – Nie może pan potwierdzić, że spotkał się z kimś w terminach, o które pytaliśmy.

C.V.: – No to mieliście pecha.

To raczej ty masz pecha, pomyślał Winter. Uważnie przyglądał się Vikingssonowi. Nie pocił się, nie wił na krześle, nie okazywał żadnych objawów zdenerwowania. Winter zaczął się zastanawiać, jak chory psychicznie musi być ten człowiek.

G.C.: – Zeznał pan, że wynajął to mieszkanie, żeby spotykać się z przyjaciółmi.

C.V.: – To prawda.

G.C.: – Gdzie się pan spotyka z przyjaciółmi?

C.V.: – Co to za kretyńskie pytanie?

G.C.: – Proszę podać przykład, gdzie się pan spotyka z przyjaciółmi.

C.V.: – W domu u nich, nie u mnie, bo nie ma za dużo miejsca.

G.C.: – Nigdy nie zapraszał pan nikogo do domu?

C.V.: – Jedną czy dwie kobiety, które nie miały ochoty wracać do swoich mężów.

G.C.: – Pańscy sąsiedzi twierdzą, że często miewał pan gości.

C.V.: – W każdym razie nie wtedy, kiedy tam byłem.

G.C.: – Dużo pan trenuje?

C.V.: – Co?

G.C.: – Czy dużo pan trenuje? Ćwiczenia fizyczne.

C.V.: – Nie.

G.C.: – Nie?

C.V.: – Cały trening, jakiego potrzebuję, mam w puszcze.

G.C.: – W puszcze?

C.V.: – W samolocie. Cholernie dużo muszę chodzić.

G.C.: – Nie chodzi pan do żadnej siłowni?

C.V.: – Zdarzało się, ale to było dawno temu. Jeśli ktoś mówi, że mnie widział w takim miejscu, to kłamie.

G.C.: – Nikt tego nie mówi.

C.V.: – To dobrze.

G.C.: – Ale kilka razy widziano pana z dużą torbą sportową.

C.V.: – Co?

G.C.: – Kilka razy widziano pana z dużą torbą sportową.

C.V.: – Aha. Przewożę w niej rzeczy między Göteborgiem i Londynem.

G.C.: – Nie znaleźliśmy jej w mieszkaniu w Göteborgu.

C.V.: – Mam ją w Londynie.

G.C.: – Tam też jej nie znaleźliśmy.

C.V.: – Weszliście do mojego mieszkania w Londynie?

G.C.: – Zastępca głównego śledczego Bertil Ringmar poinformował pana, że przeszukaliśmy pańskie mieszkanie w Londynie.

C.V.: – Nikt mi tego nie mówił, do jasnej cholery!

G.C.: – Otrzymał pan wszelkie niezbędne informacje.

C.V.: – To się w pale nie mieści.

G.C.: – Czy może pan powiedzieć, gdzie jest ta torba?

C.V.: – Co?

G.C.: – Gdzie jest ta torba?

C.V.: – Pewnie ją ukradliście.

G.C.: – Czy jest jakieś inne miejsce, gdzie może być?

C.V.: – Oczywiście, że nie. Jest w Londynie. Moi koledzy mogą potwierdzić, że miałem ją ze sobą ostatnim razem, kiedy tam byłem. Czyli wczoraj.

G.C.: – Nie ma jej w pańskim mieszkaniu.

C.V.: – W takim razie gliny ją zwędziły.

G.C.: – Nikt z pańskich kolegów nie powiedział, że widział pana z dużą sportową torbą.

C.V.: – Może mieli inne rzeczy na głowie.

G.C.: – Czy są dwie torby?

C.V.: – Co?

G.C.: – Czy są dwie sportowe torby?

C.V.: – Czy wy w policji kryminalnej zaczynacie widzieć podwójnie?

G.C.: – Niech pan tylko odpowiada na pytania.

C.V.: – Odpowiedź brzmi: nie.

G.C.: – Posiada pan samochód?

C.V.: – Nie.

G.C.: – Czy w Göteborgu jest jakiś samochód, którym może pan dysponować?

C.V.: – Czy wypożyczam samochód? Czasem się zdarza.

G.C.: – Czy to jakiś konkretny samochód?

C.V.: – Nie łąpię, o czym pan w ogóle mówi.

Łapiesz, gnoju, pomyślał Winter. Zaraz padną ciosy, a wtedy złapiesz jeszcze lepiej.

G.C.: – Czy w Göteborgu jest jakiś konkretny samochód, którym pan jeździ regularnie?

C.V.: – Nie.

G.C.: – A więc nie jeździ pan przerejestrowanym samochodem marki Opel Kadett Karavan o numerze rejestracyjnym ANG 999, koloru białego?

C.V.: – Co?

G.C.: – Niech pan odpowie na pytanie.

C.V.: – A co to za pytanie? Jeszcze raz.

G.C.: – Przerejestrowanym samochodem marki Opel Kadett Karavan o numerze rejestracyjnym ANG 999, koloru białego, rocznik osiemdziesiąt osiem. Nigdy pan nim nie jeździł?

C.V.: – Nie.

G.C.: – Stał zaparkowany siedemset metrów od pańskiego mieszkania, na płatnym

parkingu przy Distansgatan we Flatås, w zachodnim Göteborgu.

C.V.: – Naprawdę?

G.C.: – Parking należy do pańskiego znajomego, Petera Möllera, który podczas przesłuchania zeznał, że wynajmuje go pan z drugiej ręki.

C.V.: – To kłamstwo.

G.C.: – To kłamstwo, że pan go wynajmuje?

C.V.: – To kłamstwo.

G.C.: – I nigdy pan nie widział opisanego samochodu?

C.V.: – Nie.

G.C.: – Jest zarejestrowany na nazwisko Viking Carlsson.

C.V.: – Doprawdy?

G.C.: – Czy to przypadek?

C.V.: – Ale co?

G.C.: – Nazwisko właściciela. Czy to przypadek, że tak się nazywa?

C.V.: – Jak się nazywa? Jak pan powiedział?

C.V.: – Viking Carlsson.

C.V.: – Nie mam pojęcia.

G.C.: – A więc nie jest pan właścicielem wspomnianego samochodu?

C.V.: – Nie, po raz pięćdziesiąty. Przecież pan powiedział, jak on się nazywa, właściciel.

G.C.: – W opisanym samochodzie znaleźliśmy odciski palców, które odpowiadają pańskim.

C.V.: – To kłamstwo.

G.C.: – Znaleźliśmy także ślady krwi w bagażniku i w innych miejscach w samochodzie.

C.V.: – Nic o tym nie wiem.

G.C.: – Nie wie pan, skąd się wzięły ślady krwi w samochodzie?

C.V.: – Nie mam bladego pojęcia.

G.C.: – Dlaczego w samochodzie są pańskie odciski palców?

C.V.: – Jedyne wyjaśnienie może być takie, że kiedyś musiałem nim jechać. Jeżdżę czasami taksówkami na czarno. To auto może być nielegalną taksówką.

G.C.: – Mówi pan, że mógł jechać tym samochodem?

C.V.: – Chyba musiałem, skoro są w nim moje odciski palców, nieprawdaż? I jedyne wyjaśnienie jest takie, że jeździł na czarno jako taksówka.

G.C.: – Dlaczego pański kolega kłamie w sprawie parkingu?

C.V.: – Co?

G.C.: – Dlaczego pan twierdzi, że pański kolega kłamie, że wynajął pan u niego miejsce parkingowe?

C.V.: – Teraz sobie przypominam...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – Mój Boże, to prawda! Zapomniałem o tym. To jest tak, że wynajmuję to od niego z drugiej ręki, a z kolei ja podnajmuję to jeszcze komuś innemu.

G.C.: – Odnajmuje pan miejsce parkingowe trzeciej osobie?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Czy może nam pan podać nazwisko tej osoby?

C.V.: – Oczywiście. Ale problem polega na tym, że nie widziałem tego człowieka od miesiący. I nie dostałem pieniędzy.

G.C.: – Ale nadal opłacał pan czynsz za wynajem?

C.V.: – Tak. Nie chciałem stracić tego miejsca, gdyby się okazało potrzebne.

G.C.: – A tamten człowiek, który wynajmował miejsce od pana, nie zgłaszał się?

C.V.: – Od kilku miesięcy.

G.C.: – A równocześnie na tym parkingu stoi samochód, do którego się pan nie przyznaje, w którym znajdują się pańskie odciski palców, na kierownicy i na drzwiach.

C.V.: – Zdarzają się niesłychane zbiegi okoliczności.

G.C.: – Analizy plam krwi z tego samochodu dowodzą, że częściowo jest to ta sama krew, którą odkryliśmy w pańskim mieszkaniu w Göteborgu.

C.V.: – Ile mamy grup krwi? Trzy?

G.C.: – Mamy także zeznania świadków. Twierdzą, że miał pan w mieszkaniu zakrwawione ubrania.

C.V.: – Kto tak mówi?

G.C.: – Mamy informacje, że zakrwawione ubrania leżały w czarnym plastikowym worku w pańskim mieszkaniu.

C.V.: – To kłamstwo.

G.C.: – Skąd była ta krew?

C.V.: – Która krew?

G.C.: – Plama krwi...

C.V.: – No dobra, może lepiej, żebym się przyznał.

Winter otrząsnął się, jak wyrwany z półsnu. Wymienili z Gabrielem Cohenem

spojrzenia, czekali na dalszy ciąg.

G.C.: – Co chce pan powiedzieć?

C.V.: – Nie jestem mordercą.

G.C.: – Kiedy się pan przyzna, od razu będzie lepiej.

C.V.: – Co?

G.C.: – Kiedy się pan przyzna, poczuje pan wielką ulgę. Przesłuchania się skończą.

C.V.: – Do diabła, nie zrobiłem tego.

G.C.: – Co w takim razie pan zrobił, panie Vikingsson?

C.V.: – Ja byłem...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – Jestem...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – Cały ten syf da się wyjaśnić. Bo prawda jest taka, że razem z jednym kolegą czasem trochę polujemy.

G.C.: – Czasem trochę polujecie?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Jakiego rodzaju są to polowania?

C.V.: – Łosie, sarny, zające, ptactwo.

G.C.: – A więc zajmujecie się kłusownictwem?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Czy dobrze zrozumiałem pańską odpowiedź na pytanie, czy jest pan kłusownikiem?

C.V.: – Odpowiedź brzmi: tak.

G.C.: – A kiedy te polowania się odbywają?

C.V.: – Ilekroć jestem w domu. To dlatego nie mam żadnego... alibi.

G.C.: – Gdzie się odbywają te polowania?

C.V.: – W lasach na północy. Dalsland, Värmland. To nie za...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – Nie robię tego dla pieniędzy. Choć to daje niezłe...

G.C.: – Nie zrozumiałem.

C.V.: – Choć to daje niezłe dochody.

G.C.: – Dlaczego, jak sam pan twierdzi, zajmuje się pan kłusownictwem?

C.V.: – Adrenalina.

G.C.: – Poluje pan dla adrenaliny?

C.V.: – Czy pan wie, jak to jest być pieprzonym uśmiechniętym kelnerem obsługującym marudzących turystów?

G.C.: – Nie.

C.V.: – Powinien pan spróbować.

G.C.: – A więc poluje pan, kiedy jest pan w Szwecji?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Korzysta pan z samochodu, o którym rozmawialiśmy?

G.C.: – Tak.

C.V.: – Biały opel kadett karavan, rocznik osiemdziesiąt osiem, numer rejestracyjny ANG 999?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Skąd się wzięły plamy krwi?

C.V.: – Z polowania oczywiście.

G.C.: – Z polowania?

C.V.: – Szlachtujemy, do cholery.

G.C.: – W samochodzie i w pańskim mieszkaniu znaleźliśmy krew ludzką.

C.V.: – Może ktoś się pokaleczył.

G.C.: – Ktoś się pokaleczył?

C.V.: – Mój kolega mógł się pokaleczyć.

G.C.: – Jak on się nazywa?

C.V.: – Muszę powiedzieć?

G.C.: – Tak.

C.V.: – Peter Möller.

G.C.: – Czy to ta sama osoba, od której wynajmuje pan miejsce na parkingu? Peter Möller?

C.V.: – Tak.

G.C.: – Czy pokaleczył pan kogoś, panie Vikingsson?

C.V.: – Co?

G.C.: – Czy zabił pan tych chłopców, panie Vikingsson?

C.V.: – Nie, do jasnej cholery. To chyba oczywiste.

Zaczekali, aż Carl Vikingsson zostanie zabrany do celi.

Gabriel Cohen wyłączył magnetofon i pozbiierał papiery. Pokój wydawał się większy, kiedy Vikingsson go opuścił, jakby jego głos był częścią umeblowania.

– Co powiesz? – spytał Cohen.

- Brak mi słów – odparł Winter. – To nie jest normalny człowiek.
- Z całą pewnością – przyznał Cohen.

Vikingsson został tymczasowo aresztowany trzy dni później. Była to decyzja wymuszona, ale w końcu jakaś decyzja. Kiedy Wälde wychodził z sali rozpraw, wyglądał, jakby szukał umywalki, żeby umyć ręce. Żądali miesiąca aresztu. Dostali czternaście dni.

Vikingsson potrząsał głową. Mały szmatławy opryszek, który nagle znalazł się w Premier League. Potrząśnięcie głową oznaczało: to nie jest miejsce dla mnie.

Ustawili go obok siedmiu innych facetów o włosach blond lub ciemnoblonde, wzrostu około metra dziewięćdziesięciu. Winter sam mógłby tam stanąć, albo Bolger czy Berghem, albo Macdonald w peruce.

Albo chłopcy, pomyślał Winter. Mogli tam stać z kciukami zatkniętymi za kieszenie spodni, trochę wygłodniali, choć do lunchu zostało jeszcze kilka godzin. Nieśmiertelni.

Żaden ze świadków nie wskazał Vikingssona. Może zbyt dobrze się przygotowali. Winter zaproponował nawet grupę testową, ale nie uzyskał zgody.

Rozmawiał z Macdonaldem. W Clapham skończyli już konfrontacje na podstawie zdjęć. Anderton, świadek Macdonalda z początku sprawy, nie rozpoznał w Vikingssonie mężczyzny, który towarzyszył Perowi Malmströmowi w parku. Włosy się nie zgadzały.

Było jeszcze coś, ale Anderton nie umiał powiedzieć co. Wspominał o kurtce.

To od początku było niemożliwe. Koncentrowali się na tym, co mieli, a czas uciekał, pomyślał Winter.

McCoy Tyner grał intro do *I Wish I Knew*. Było po północy. Winter siedział i czekał, aż świt przyjdzie do niego przez noc. Kwartet Johna Coltrane'a grał muzykę na nocną porę.

Winter wstał i zaczął krążyć po pokoju. Monitor komputera migotał na biurku za jego plecami, odbijał się w oknie jak prostokąt płynnego światła.

Napisał nowy scenariusz. Wstał, kiedy straszliwa historia zbliżała się do końca. Coltrane grał *It's Easy To Remember*. Nieprawda, pomyślał Winter, kiedy krótki utwór rozkołysał pokój. 1966. Wtedy Coltrane to nagrywał. Winter miał sześć lat.

Pozwolił muzyce wybrzmieć do końca i zmienił na Charliego Haydena i Pata Metheny'ego, nie przerywając przyjemnego bujania. To była muzyka do wspomnień, nawet takich, które kazały mu teraz chodzić w kółko.

Znów usiadł do swojej historii. Przesunął tekst na monitorze. Wyciął fragment z początku i wkleił go trzy strony dalej. Stał się częścią zakończenia. Pracował nad nim dalej.

Zagłębiał się w to, do czego nie chciał docierać. Jego myśli zbłądziły do baru Johana Bolgera. Vikingsson siedział przy kontuarze. Dlaczego tam siedział? Winter usiłował wyeliminować związek między tą dwójką, Bolgerem i Vikingssonem, ale mu się nie udało.

Zmusił się, żeby pomyśleć o Bolgerze. Znał go i nie znał. Wciągnął go w tę sprawę, jako... konsultanta. Czyż nie? Zwrócił się do kumpla.

Musi przestawić swoje myśli z jednego na drugie, użyć swoich umiejętności analitycznych. O ile jeszcze jakieś posiadał.

Dlaczego Bolger mówił o sklepie muzycznym w Brixton... że był tam od zawsze... kiedy dopiero co go otwarto? Winter sprawdził. Bolger mówił, że nie był w Londynie od wielu lat. Powtarzał to, mówił to wiele razy.

Winter wstał, podszedł do odtwarzacza i włożył nową płytę. Szalony free jazz wypełnił pokój: *New York Eye and Ear Control*, Albert Ayler i Don Cherry.

Bolger puszczał mu tę muzykę. Teraz wydawało mu się, że to było lata temu.

Facet ze sklepu płytowego w Londynie puszczał mu tę płytę. Jakiś Skandynaw był przedtem w sklepie. Wyglądało to tak, jakby dostał instrukcje, żeby mi puścić tę muzykę, pomyślał Winter.

Tamten Skandynaw kupił płytę.

Bolger pytał, czy zaglądał do sklepów płytowych. Dzwonił do niego, kiedy był w Londynie, w swoim apartamencie.

Winter ustawił głośność na poziomie piekielnego hałasu. Wrócił do biurka z rachunkami Europolitana w rękach. Dostał je wczoraj. Sam nie umiał powiedzieć, dlaczego o tym pomyślał.

Spojrzał na faktury jeszcze raz. Stałe opłaty za telefon komórkowy. Szczegółowe kwoty. Rozmowy krajowe. Inne rozmowy. To się nazywa serwis, pomyślał.

Rozmowy zagranicą, roaming. I rozmowy z innych krajów przychodzące na jego komórkę. Za nie sam płacił.

Rozmowa z pokoju hotelowego przy Knaresborough Place. Siedział nad tymi cyframi wczoraj i coś się nie zgadzało. Pamiętał, że rozmawiali z Bolgerem dość długo. Rachunek się nie zgadzał. Nie mógł się zgadzać. Kwota była za mała. Winter zadzwonił do działu obsługi Europolitana i wszystkiego się dowiedział.

Bolger nie dzwonił ze Szwecji. To była rozmowa miejscowa. Telefonował do niego z Londynu.

Bergnhem szukał stopami oparcia na pokładzie. Jedyne światło padało z lufcika Marianne.

Kiedy otworzyła, objął ją mocno.

Miała coś do picia. Pod pokładem było ciepło.

– To ostatni raz – powiedział.

– Koniec urlopu służbowego? – zapytała.

– Wiesz, o czym mówię.

– Koniec służby w takim razie.

– To moja praca.

– Wydawało mi się, że coś więcej.

– Tak. Było coś więcej. Ale już nie ma.

– W takim razie uważam, że powinieneś pójść.

– Chciałbym tu jeszcze chwilę posiedzieć.

– Cholera, sam nie wiesz, czego chcesz.

– No.

– Chcesz, żebym ci coś dała, czy nie chcesz?

– Co?

Poczuł, jak łódź się kołysze. Znane mu już uczucie. Kiedy przechylała się na wodzie, jego ciało natychmiast uruchamiało odpowiednie mięśnie.

– Masz pracę, prawda?

– Mam dużo – odparł Bergnhem. – Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tyle.

– Mój Boże.

– Tak jest.

– Wykorzystałeś mnie.

– Nie, nie, nie.

– Właśnie że to zrobiłeś.

– W takim razie siebie też.

– Chcesz usłyszeć nazwisko? – zapytała. Zabrzmiało to tak, jakby wyrzucała słowa, jakby odbijały się od niej w desperacji. – Czy nie chodziło ci o nazwisko?

Bergnhem poczuł suchość w ustach.

– Jest ktoś, o kim nie wiecie, choć dobrze go znacie. Nie wiem, co on robi w tej... sprawie, ale ja się go boję. I wydaje mi się, że on nie jest... sam.

– Co?

– Nic.

Bergnhem czekał, znów poczuł, że łódź się kołysze. Nagle gdzieś nad magazynami

tytoniowymi rozwrzeszczały się kawki. Ptasię odgłosy przybierały na sile.

– Nie wiem wszystkiego, ale widziałam go... widziałam go z jednym z tych chłopców.

– Co?

– Może nawet z dwoma.

Bergnhem nadal czekał. Ptaki nagle ucichły.

– Kiedy to było?

Wzruszyła ramionami.

– Wychodzi nocą na miasto. Jak ja.

– Wychodzi nocą?

– Wychodzi nocą na miasto – powtórzyła. – Jest przecież częścią... tego biznesu.

– Pracuje w branży porno?

– Jasne. Jest kompletnie szalony, psychopata, czy jak to się mówi.

– No więc jak on się nazywa?

Powiedziała. Bergnhem zapytał jeszcze raz, a ona powtórzyła.

Ogarnęła go gorączka. Wiedział, co ma robić, ale nie chciał słuchać tego głosu. Był sam, chciał to zrobić sam. Chciał być wreszcie kimś.

– Dlaczego nie powiedziałaś od razu? – zapytał.

– Nie byłam pewna, czy dobrze widziałam. I to tylko twarz czy coś takiego. Wszystko było takie... mylące, jak z tobą. No i nie chcę jeszcze umierać – zakończyła.

– Nikt więcej nie umrze.

Bergnhem zadzwonił do drzwi. To było szalone przedsięwzięcie, samotny bohater. Widział naciskający dzwonek palec, który nie należał do niego. Znow zadzwonił, czekał.

Mężczyzna, który otworzył, patrzył na niego z wyrazem łagodnego zdziwienia. Był ubrany w gruby szlafrok frotté.

– Cześć, Lars.

– Cześć.

– Jest trochę późno, nieprawdaż?

– Przyszedłem tylko na chwilę.

– Nie moglibyśmy porozmawiać jutro?

– Wolę teraz.

Bolger przepuścił go przez próg.

– Kurtkę możesz położyć tam. – Skinął głową w stronę ciężkiego krzesła pod lustrem.

– Chcesz coś ciepłego do picia?

– Nie, dziękuję.

– Tędy – powiedział Bolger, prowadząc go przez krótki przedpokój. – Proszę. – Gestem wskazał fotel i sam usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie szklanego stolika.

Bergnhem rozejrzał się po pokoju, ale nic nie widział. Serce mu waliło. Może lepiej wstanę i wyjdę, pomyślał. Powiem, że poród się zaczyna. Nie. Zaczynam.

– Chciałeś mi coś powiedzieć – zaczął Bolger.

– Słucham?

– Masz coś do mnie, coś mi chciałeś powiedzieć. Czyż nie?

Bergnhem szukał właściwych słów. Miał je wypowiedzieć, ale Bolger mówił dalej:

– Rozmawiałeś z tą dziwką, striptizerką. Powiedziała ci, że jestem ciemnym typem. Dziwi mnie, że wcześniej nie przyszedłeś, żeby zapytać o to, co ta laska opowiada.

– Jestem u ciebie teraz.

– Mam rację?

– Chciałem ci zadać kilka pytań.

– Przychodzisz w środku nocy i chcesz zadać kilka pytań? Wygląda raczej na to, że na coś wpadłeś – stwierdził Bolger. – Nie mogłeś poczekać do rana.

– Rozmawialiśmy ze świadkiem – powiedział Bergnhem.

– My? To znaczy, że ty rozmawiałeś. Z tą pindą?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Już za późno, żeby zmieniać taktykę.

– Co?

– Nie przyszedłeś tu po pomoc. Przyszedłeś, żeby mnie obrzucić gównem.

– Nnnie.

– Pomagałem ci, ty bezczelny gówniarzu. Czuwałem nad tobą, kiedy ganiałeś za tą popierdoloną cipą. Myślisz, że tego nie widziałem? Nie jesteś gliną. Jesteś szczeniakiem. Ona coś mówi, a ty przychodzisz prosto tutaj. Pogadam o tym z Erikiem.

– Nie rozmawiałem z nią o tobie.

Bolger nie odpowiedział. Siedział bez ruchu w cieniu. Świeciła tylko lampa w drugim końcu pokoju. Kiedy ruszał głową, zasłaniał ją.

Wygląda, jakby miał aureolę, pomyślał Bergnhem.

– Ty to zrobiłeś – powiedział Bergnhem.

– Co ty, kurwa, mówisz?

– Przedtem nie byłem do końca pewny, ale teraz jestem.

– No to gdzie jest oddział policji?

– Ty bydlaku!

Bolger się roześmiał. Szlafrok się rozsunął, włoski na jego piersiach błyszczały w ciemności.

– Jesteś za dobry, dzieciaku.

– To ty zabiłeś tych chłopców.

Bolger się uśmiechnął. Nie odpowiadał.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś, ale dowiemy się. Na Boga żywego, dowiemy się – zapewnił Bergenhem.

– Jesteś pijany czy twoja narkomanka ci coś dała? – zapytał Bolger.

– Pójdiesz ze mną?

– Co?

– Chcę, żebyś poszedł ze mną. Jesteś podej...

Bolger wstał.

– Chcę, żebyś sobie poszedł, a potem o wszystkim zapomnimy – przerwał mu.

– Nie wyjdę stąd – powiedział Bergenhem.

– To zadzwonię do Erika.

– Ja zadzwonię.

– To dzwoń. Masz chyba komórkę.

– Nie – odparł Bergenhem, wstając. Zobaczył telefon na stojącym przy oknie biurku w kształcie półksiężyca. Przeszedł między fotelem i stolikiem. Bolger wyprostował się, kiedy go mijał. Byli tego samego wzrostu. Bergenhem spojrzał Bolgerowi w oczy.

– Sam zadzwonię – powiedział Bolger.

– Odsuń się – powiedział Bergenhem i chciał go odepchnąć. Machnął ręką w stronę jego ramienia. Bolger chciał się bronić, uderzył Bergenhema w ramię, i jeszcze raz. Bergenhem się zachwiał, niemal upadł do tyłu. Prawie stracił równowagę, ale odzyskał ją i dalej szedł naprzód.

– Chodź tu – rzucił Bolger i popchnął Bergenhema.

Bergenhem nie mógł się utrzymać na nogach. Ugięły się pod nim i upadł, uderzając tyłem głowy o kant stolika. Odgłos jak uderzenie żelaza o żelazo. Grube szkło nie pękło. Bergenhem zawisł, jakby unosił się w powietrzu, tylko głową dotykając stolika. Oczy biegały mu na wszystkie strony. Osunął się na podłogę. Leżał przy stoliku. Jego ciałem wstrząsnął skurcz, ruch biegnący od głowy do nóg. Znów drgnął, i jeszcze raz.

Bolger słyszał odgłos wydobywający się z jego ust, z jego krtani. Nachylił się nad nim.

Znów usłyszał ten dźwięk, monotony jęk. Zdawał się nie wydobywać z ust rannego.

Bergnhem wyglądał, jakby stracił przytomność. Miał zamknięte oczy. Potem otworzył je na chwilę, ale Bolger nie wiedział, czy coś widzi. Zamknął oczy. Znów ten odgłos z jego ust. Straszny odgłos. Bolger nie chciał go słuchać. Nie prosił o to, nie zapraszał nikogo. Podniósł głowę Bergnhema i położył przedramię na gardle, z którego wydobywał się ten straszny dźwięk. Nacisnął, przeniósł ciężar ciała na szyję, którą naciskał. Poczuł, że mężczyzna na podłodze porusza się, nacisnął mocniej.

Leżał tak aż do chwili, kiedy ucichły wszystkie odgłosy. Teraz Bergnhem miał oczy otwarte. Dziwnie rozbiegały się na boki.

Bolger wstał, pociągnął Bergnhema za nogi. Nadal drgały.

Nigdy go nie interesował. Nigdy. On nic nie znaczył. Tu nie chodziło o to. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. Każdy może zostać kimś.

Bolger wyszedł ze swoim ciężarem na schody, jakby był jedynym człowiekiem na świecie.

ERIK WINTER WSPINAŁ SIĘ na skałę zwieszającą się nad urwiskiem. Zobaczył kawałek głośnika wystający ponad skałę. Słysząc było z niego *What's New*, a Coltrane zerkał w dół znad szczytu skały. Odjął ustnik od warg, zapalił gitana i zapytał Wintera słowami zamiast dźwięków: *What's New, What's New*, a komórka zamontowana na saksofonie tenorowym zabrzęczała o prostą rurę. Saksofon tenorowy ma być wygięty, pomyślał Winter, sopranowy jest prosty. Właśnie miał to powiedzieć, ale teraz Macdonald trzymał telefon w ręce i krzyczał: Odbierz, ty snobie, odbierz telefon, zanim chłopak odłoży słuchawkę! To ten chłopak dzwoni! Usiłował sięgnąć po telefon, ale był na stałe przymocowany do saksofonu. I dzwonił, dzwonił.

Winter się obudził, a telefon na nocnym stoliku dzwonił. To już jak przyzwyczajenie, pomyślał. Sen okazuje się rzeczywistością.

Telefon ucichł, zaczęła za to dzwonić leżąca na biurku w sypialni komórka. Zerwał się z łóżka i sięgnął po nią, ale nikt się nie odezwał. Znow zaczął dzwonić telefon przy łóżku. Rzucił się z powrotem w stronę łóżka. Wielkim palcem stopy uderzył w nogę mebla. Po pierwszych sekundach ogłuszenia ból przeszył mu ciało.

– Ha... halo?

Ból sprawił, że oczy zaszklily mu się łzami. Próbował dotknąć palca, ale palec odrzucił jego dłoń. Zrozumiał, że jest złamany.

– Czy to Erik? Erik Winter?

Głos kobiety brzmiał podobnie, jak on się czuł w tej chwili: ostry powiew bólu ze słuchawki. Drugim uchem odbierał muzykę, w drugim pokoju leciał Coltrane. Włączył repeat i zasnął, zanim wszystko powyłączał, przygotował na noc. Często mu się to zdarzało.

Ból dużego palca czy też całej stopy zmienił się z rozżarzonego do czerwoności w tępy, uciążliwy. Skoncentrował się na głosie w słuchawce.

– Przy telefonie Erik Winter.

– Mówi Martina Berghem. Przepraszam, że przeszkadzam.

Spotkali się kilka razy. Lubił ją. Była zrównoważona, miała tę dojrzałość, której brakowało Berghemowi.

– Cześć, Martino.

Zapalił lampę, mrugnął dwa razy, przyzwyczajając oczy do światła. Podniósł ręczny zegarek. Był zimny w jego dłoni, pokazywał czwartą.

– Nie mogę złapać Larsa – powiedziała Martina.

– Słucham?

– Nie wrócił na noc do domu, a ja muszę jech...

Winter usłyszał, że zaczyna płakać. Albo może płacze dalej, pomyślał.

– ...muszę na porodówkę.

– I nie zadzwonił?

To pytanie nie miało sensu. Może takie też są teraz potrzebne, pomyślał.

– Nie. Pomyślałam, że jest może na służbie w jak...

– Nie wiem – odparł Winter. – Ale to możliwe.

– Nie wiesz? – zapytała.

– Nie wiem, Martino, ale zorientuję się tak szybko, jak to możliwe.

– Tak się niepokoję.

Dobry Boże, pomyślał Winter.

– Czy jesteś sama? – zapytał.

– Nie... nie. Dzwoniłam do matki, ale ona jest w Västerås.

Równie dobrze mogłaby powiedzieć Honolulu, pomyślał Winter.

– Dzwoniłam po taksówkę – dodała Martina.

– Czy nie ma żadnego sąsiada, który mógłby ci pomóc? – pytał dalej Winter. – Albo kogoś innego w pobliżu?

– Nie chciałam dzwo...

– Wyślę samochód.

– Ale taks...

– Możesz chwilę poczekać, Martino?

– Co?

– Nie odkładaj słuchawki przez chwilę. Sprawdź coś z drugiego telefonu.

Położył słuchawkę, zrobił krok i krzyknął z nagłego bólu, który przeszył mu stopę. Na jednej nodze pokicał do biurka, wybrał numer z komórki i przez chwilę rozmawiał.

– Martino? – Znów był przy telefonie, unosił obolałą stopę nad dywanem.

– Tak?

– Za dziesięć minut przyjedzie po ciebie samochód. Zabierze cię do szpitala Sahlgrenska. Będziesz się mogła położyć, jeśli będziesz chciała. Poprosiłem moją

przyjaciółkę, żeby z tobą pojechała i ci pomogła. Ma na imię Angela, jest lekarką. Przyjedzie tym samochodem.

– Ja...

– Przygotuj się, zaraz po ciebie przyjadą. A ja tymczasem postaram się, żeby Lars dojechał na poród. Zajmę się tym natychmiast.

Winter siedział bez ruchu. Ostrożnie podniósł stopę do góry i dotknął palca. Był obolały, ale jeszcze nie zauważył większej opuchlizny. Może jednak nie jest złamany. Choć to nie takie ważne, nikt nie założy szyny na palec u nogi.

Będzie chodził w sabotach, jeśli to się okaże konieczne.

Pokuśtykał do łazienki z poczuciem rozkładu w całym ciele.

Oglądał palec pod silną żarówką, kiedy w pokoju znów odezwał się telefon. Kulejąc, wrócił do pokoju. Dzwoniła kobieta, przedstawiła się jako Marianne Johnsén. Winter słuchał.

Larsa Bergenhema odnaleziono o ósmej rano. Właściciel jachtu, który już nie mógł dłużej czekać, wybrał się na przystań Tångudden, żeby wypieścić swoje nowe cacko przed rozpoczęciem sezonu.

Bergnhem leżał wciśnięty między dwie skały w Hästevik. Mewy były bardziej ożywione niż zwykle o tej porze dnia. Wodniacy zobaczyli sterczące nogi i porzucili swoje zajęcia. Policjant z patrolu, który zgłosił się na wezwanie, rozpoznał inspektora policji kryminalnej.

Winter włókł obolałą stopę przez łąkę w dół, aż do skał. Stał tam, gdzie leżało ciało, jakby dla ochrony. Wielkie dylematy życiowe mogą cię już nie dotyczyć, chłopcze, pomyślał. Mnie zresztą też.

Przedpołudnie nad Älvsborgsfjorden było błękitne i białe, światło czyste i jasne, jak wyszorowane. Stena przewoziła ludzi do Danii, jakby nic się nie stało. Łąki Stora Billingen już za miesiąc całe będą wzrastaniem i życiem. Jakby nic się nie stało, pomyślał Winter. Autobus jedzie drogą, jakby nic się nie stało, ludzie wsiadają. Dziś wieczorem znów kolacja, telewizja.

– To moja wina – powiedział. – Powiedz mi, że to moja wina. – Spojrzał na Bertila Ringmara.

– Wygląda, jakbyś mnie błagał – odparł Ringmar.

– Po prostu to powiedz.

– To twój człowiek.

– Więcej. Powiedz więcej.

– Jesteś jego szefem.

– Chcę usłyszeć wszystko.

– Weź się w garść, do cholery.

Winter spojrzał na łąkę od południowej strony. Dojazd od drogi został zagrodzony. Ślady opon były świeże, ale przez ostatnie dni wiele osób mogło jechać nad wodę. Rybacy, właściciele łodzi, zakochane pary.

– Nic więcej nie możemy tu zrobić – powiedział Winter i nachylił się nad skałą. Podparł się prawym kolaniem.

– Krwawił na karku – stwierdził Ringmar.

– Uduślenie – odparł Winter. – Spytaj lekarzy, a zobaczysz, że to była próba uduszenia.

Ringmar nie odpowiedział. Wokół nich uwijali się policjanci.

– Nic więcej nie możemy tu zrobić – Ringmar powtórzył niedawne słowa Wintera.

Winter wpatrywał się w skały. Nie był pewien, ile lat miał Bergenhem. Dwadzieścia sześć? Kobieta jest nieco starsza. Martina.

– Urodziła mu się córka – oznajmił, spoglądając na Ringmara.

– Mówiłeś już w aucie.

– Wszystko dobrze poszło. Angela była z nią cały czas, a po południu przyjeżdża jej matka. Z Västerås. To znaczy matka matki. Teściowa Larsa.

Ringmar milczał.

– Dlaczego tego nie powiesz? – zapytał Winter i podniósł się.

– Czego?

– Dlaczego nie zapytasz, kiedy jej o tym powiem?

– Na Boga, Eriku, przecież to tylko...

– Przecież muszę to powiedzieć dzisiaj – przerwał mu Winter. – Nie uda nam się nie dopuścić mediów.

– Nie.

– Dzisiaj.

– Weź ze sobą Hanne.

– Sam to załatwię. Hanne zajmie się potem mną.

Wracali do miasta przez dawne centrum Kungsten. Långedragsvägen była łatana i naprawiana przez stulecia. Ringmar skierował się pod wiadukt i jechał dalej przez Sandarna. Winter drgał, kiedy samochód podskakiwał na wybojach.

– Jak tam twoja noga?

– Duży palec.

– Możesz chodzić?

– Tak.

– A więc ta dziewczyna zniknęła?

– Poruszmy niebo i ziemię – powiedział Ringmar.

– Ale i tak się nie znajdzie.

– Minęło zaledwie kilka godzin.

– Myślisz, że może już nie żyje?

– Nie. Boi się. Bergenhem zachował się nieprofesjonalnie – odparł Ringmar. – Nie składał raportów i nie informował nas o niczym, i niemal przypłacił to życiem.

Winter nie odpowiedział, gapił się na cmentarz.

– Tak to wszystko wygląda – stwierdził Ringmar.

– Wszystko wygląda tak, że jeśli nie zachowujesz się profesjonalnie, zostaniesz zamordowany. To dobre podsumowanie naszego zawodu.

Kręcili się w kółko po Mariaplan. Göteborg to dwadzieścia pięć małych miast i wszędzie jest tak samo niebezpiecznie, pomyślał Winter.

– Sądzisz, że z tego wyjdzie? – zapytał Ringmar.

– Najgorsze ma za sobą – odparł Winter. – Obolała głowa, ale nadal jest przy życiu.

Bergenhem to młody i silny człowiek.

– Ale nie jest bohaterem.

– Nie tym razem.

– Ona wie – stwierdził Ringmar.

– O kim mówisz? O dziewczynie?

– Ona wie.

– Ja też.

– Co masz na myśli?

– Niedługo wszystko się skończy – odparł Winter.

Winter zadzwonił do baru i przez sekundę słuchał głosu z taśmy. Podjechał taksówką w okolice kościoła, wysiadł i skręcił za róg, idąc krokiem tak swobodnym, jak tylko mógł.

Zadzwonił do drzwi i czekał. Zadzwonił znów. Potem zszedł na dół i stanął po drugiej stronie ulicy. W sklepach okna były czarne. Ciemność przyszła szybko, jak niespodzianka w kwietniowy dzień.

Byłem ślepy i głuchy, myślał. Może jestem winny, a może nie. Były sygnały, ale kto mó...

Odpędził te myśli. Już je raz przerobił.

Bolger zaparkował przed swoją bramą i wysiadł z samochodu. W ciszy wieczoru Winter usłyszał, jak zatraskują się zamki, kiedy uniósł pilota. Potem zniknął w bramie.

Może to ja jestem szalony, pomyślał Winter. Ta historia to fantazja szaleńca. Nie obowiązują już żadne reguły, nigdy nie obowiązywały. Myśli rozpadają się na kawałki. Wszystko rozwala się na różne strony i łączy się częściowo, a kiedyś może nawet całkowicie. Niczego nie można wypolerować ani zmusić do symetrii. Nic nie jest ładne, nawet z wierzchu.

Poczuł powiew w swojej wnęce. Nadlatywał z ulicy i zakręcał za jego plecami.

Zaraz ten diabeł wyjdzie, pomyślał. Mogę go zabić i już na zawsze pożegnać się z karierą.

Bolger wyszedł pięć minut później. Wyciągnął ramię i Winter usłyszał trzask rygli zamka. Wcisnął się do swojego bmw i odjechał.

To dziwne, że ani jeden człowiek tędy nie przechodził, odkąd tu stoję, pomyślał Winter. Jakby to był teren zamknięty, jak podczas kręcenia filmu: tysiące ludzi stoją za barierką i śledzą, co się dzieje. Na górze na specjalnym stelażu wisi kamera.

Wyszedł z bramy i pokuśtykał na drugą stronę ulicy. Wszedł na górę i znów zadzwonił do drzwi. Wyciągnął z kieszeni niewielki pęk wytrychów i sprawdził zamek. Przez rękawiczkę stal klucza wydawała się miękka.

W zamku kliknęło i Winter znalazł się w środku. Obszedł całe mieszkanie, wszystkie pokoje.

Potem zaczął od komody, ale były w niej tylko ubrania. Bolger lubił porządek.

W szafach było niewiele, buty i ubrania, paski, krawaty.

W biurku, w trzeciej szufladzie od góry, leżała gruba koperta. Otwarta, jak demonstracja arogancji. Zawierała trzy paszporty, wystawione na trzy różne osoby. We wszystkich twarz Bolgera, ale w żadnym jego nazwiska. Nie było pieczętek, czegoś takiego nie używa się w nowej Europie. Musi być ich więcej, pomyślał Winter.

Jeden z paszportów wystawiono na nazwisko osoby, która niedawno siedziała w samolocie do Londynu. Samolot wylądował dzień po przybyciu Christiana Jaegerberga.

Zajęli się listami pasażerów, sprawdzali teraz dzień lotu chłopców, dzień wcześniej i dzień później.

Dokonał sensacyjnego odkrycia, ale uważał je jedynie za kolejny trop, który mu podrzucono. Byłem ślepy, ale teraz widzę, pomyślał. Trzymam paszport w rękach i ręce mi drżą.

Albo to tylko jeden z tych niewytłumaczalnych zbiegów okoliczności.

Znalazł więcej dokumentów, ale nie były interesujące: księgowość, faktury, rachunki, dokumenty firmowe. W szufladzie w sypialni leżał starannie ułożony stos pisemek pornograficznych, standardowi modele i standardowe ćwiczenia.

Żadnych pokwitowań, kopii biletów, żadnych rezerwacji.

Wrócił do biurka i z wiszącej nad nim półki zdjął stos papierów. Co najmniej dwadzieścia kartek, wszystkie zabazgrane ostrym, kanciastym charakterem pisma. Wyglądało to jak rękopis powstały w napadzie szału. Nie był w stanie odczytać słów. Nagle zobaczył swoje imię, wyraźnie. Spojrzał na inny arkusz. Znow jego imię. Nie mógł dalej czytać. Słowa bombardowały papier.

Poczuł wilgotny powiew chłodu na karku. Nigdy nie bał się bardziej.

Mała serwetka zasłaniała coś, co stało na biurku. Prostokąt, coś jak rama.

Podniósł ją i zobaczył swój portret, zrobiony w ostatnich dniach przed maturą. Tkwił za szkłem, jak nowy.

– ALE GDZIE ON JEST? – zapytał Ringmar. – Byliśmy w domu i w barze. Nikt nic nie wie.

– Ja wiem – odparł Winter. – Wiem, gdzie on jest.

Nad fiordem wiatr zataczał kręgi. Wiał, jakby oszalał. Winter stał na dziobie policyjnej łodzi. Wydawało mu się, że widzi postać Bolgera na wzniesieniu, cień Bolgera nad Skutviken. Naciągnął czapkę na uszy. Zimno przenikało aż do mózgu.

– Pójdę sam – powiedział, kiedy przybili.

Krzaczki nadbrzeżnego wrzosu pochylały się na zboczu jak w modlitwie.

Bolger stał przy swoim nowym palenisku i gmerał pogrzebaczem w węglach. Winter widział, że stanął tam, kiedy zobaczył, jak się zbliża zboczem.

– Najpierw wcale się nie pojawiaasz, a teraz ciągle przyjeżdżasz – rzucił Bolger, gdy Winter stanął obok niego. Nadal grzebał w czarnych grudkach, nie podniósł wzroku. Uderzał pogrzebaczem w ceglane ścianki, opukiwał cegły.

Teraz to się stanie, pomyślał Winter.

– Znaleźliśmy Bergenhema – oznajmił.

– Gdzie był? U swojej striptizerki?

– W szczelinie skalnej przy Tångudden.

– Zrobiłby wszystko, żeby się ukryć.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną, Johan.

– Co powiedziałaś?

– To koniec – stwierdził Winter.

– Znaleźliście już mordercę? Nie mów, że to Bergnhem.

– Łódka czeka na dole, na przystani.

– Może mógłbym opowiedzieć trochę o tym, czym się Bergnhem zajmował – powiedział Bolger, rzucając pogrzebacz. Odbił się od ziemi i uderzył o cegły z głośnym brzękiem. – Ale ty nigdy nie chciałeś słuchać. Nigdy nie chciałeś mnie słuchać, ty pieprzony ambitny dupku.

– Chodźmy, Johan.

– Zawsze byłeś tak cholernie zdolny, Eriku. Zawsze, zawsze, zawsze, zawsze.

– Zamknij dom na klucz.

– Jeśli jesteś tak cholernie bystry, to powiedz mi, dlaczego nie rozwiązałeś tej sprawy, którą się zajmujesz! Dlaczego jej nie wyjaśniłeś? Nie posunąłeś się ani o krok do przodu, odkąd przyszedłeś do mnie trzysta lat temu prosić o pomoc. Mnie, o pomoc.

Winter nie odpowiadał. Bolger prawie się nie poruszał. Wiatr przyniósł krzyk, jak wołanie zza wody.

– Były takie rzeczy, które mogłyby ci pomóc, ale ty jesteś ślepy, Eriku. Nie jesteś bystry.

Schodzili z boczem w dół, Bolger jak we śnie.

– Kiedy tak tu idziemy, to może się zdarzyć znowu – powiedział. – Pomyślałeś o tym?

Bolgera przesłuchiowano od trzech godzin, kiedy Winter został wezwany do telefonu. Dzwoniła Marianne. Miał wrażenie, że dzwoni z budki telefonicznej, otaczał ją uliczny zgiełk.

– Bardzo się cieszę, że pani dzwoni – powitał ją.

– To straszne – powiedziała. – Czytałam o tym. Był dobrym człowiekiem.

– Przeżyje – rzucił Winter.

– Co? Co pan mówi? On żyje?

– Tak.

Winter usłyszał odgłos wody rozchlapywanej na chodniku. Jakiś samochód musiał wjechać w kałużę. Wyjrzał przez okno. Nad Göteborgiem zaczęło padać.

– Nie musi się pani bać – powiedział.

– Niby dlaczego nie? – zapytała kobieta, która czasami bywała Angel.

– Ujęliśmy go.

– Jego?

– Tak.

– Bolgera?

– Tak.

– Pan wiedział – stwierdziła. – Miałam wrażenie, że pan to wie, zanim powiedziałam.

Zanim zadzwoniłam do pana pierwszy raz.

– Sam się przyznał.

– Teraz?

- O wiele wcześniej.
- Nie rozumiem.
- Mogę to pani wytłumaczyć, ale musielibyśmy się spotkać.
- Nie wiem.
- To absolutnie konieczne – powiedział Winter. – W przeciwnym razie istnieje ryzyko, że uda mu się wyjść.
- Ale przecież pan mów...
- Wyjaśnię to pani, kiedy się spotkamy – powtórzył Winter.

Cztery godziny później mieli nakaz aresztowania Johana Bolgera w charakterze podejrzanego o morderstwo. Bolger uparcie wszystkiemu zaprzeczał. Powtarzał, że potrzebuje odpoczynku. Może coś sobie przypomnę, jeśli będę mógł odpocząć, mówił.

Winter spotkał się z kobietą, która tańczyła dla mężczyzn. Opowiedziała mu, że widziała Bolgera z dwoma spośród zabitych chłopców.

Skąd to wiedziała? Rozpoznała ich potem na zdjęciach. Gdzie ich widziała? Gdzieś, gdzie niewielu się zapuszcza. Dlaczego nikt inny o tym nie mówił? Nie wiedziała. Właściwie nikt mógł tego nie widzieć, stwierdziła, a Winter nie pytał więcej. Na razie.

Było w niej coś zastanawiającego... jakieś wahanie, kiedy mówiła o Bolgerze. O nim jako człowieku. Winter zachował to w pamięci i zaczął pytać o inne rzeczy.

– Ale nie powiedział, że zamierza iść prosto do Bolgera, kiedy widziałas się z nim... ostatni raz?

– Właśnie tam się wybierał.

Winter miał jasność co do godzin. To się zgadzało, to było możliwe.

Gdzie Berghem został ranny? W którym miejscu? Nie na skałach. Został tam przyniesiony, przywieziony samochodem przez łąki.

Badali mieszkanie Bolgera.

– Czy on może wyjść? – zapytała.

– Nie – odparł Winter.

– Zostanie aresztowany?

– Jutro.

– A kto uwierzy w to, co mówię?

– Są też inne okoliczności.

– Czy to wystarczy?

– Tak.

Ale tak naprawdę nie znał odpowiedzi na to pytanie. Mieli mocne poszlaki, gorzej było z dowodami. Potrzebowali konkretów. W głębi duszy wiedział, ale to nie wystarczy. Spodziewał się, że Bolger się przyzna, ale nie mógł mieć pewności. Nagle poczuł, że Bolger nigdy nie przyzna się do winy.

– Będziemy pani potrzebowali – zwrócił się do kobiety.

Skinęła głową. Pożegnali się na ulicy.

– Nie wrócę na łódź – powiedziała.

– Nie ma nic więcej?

– O co panu chodzi?

– O pani lęk.

– To pana tak strasznie dziwi?

– Czy pani się boi... kogoś innego?

– A jest ktoś inny?

– Nie wiem.

– Czy w tej historii jest więcej morderców?

– Tego nie wiemy.

– Boże miłosierny.

Winter liczył na to, że dziewczyna powie coś jeszcze.

– Nie wiem, dokąd mam iść – dodała. – On ma kumpla czy kogoś w tym rodzaju.

Choć nie jestem pewna.

– Wie pani, kto to jest?

– Nie.

Zadzwoił Macdonald. Głos miał równocześnie napięty i lekki.

– Czy to się trzyma kupy? – zapytał.

– Prędzej czy później będzie – odparł Winter. – Może znajdziemy też broń.

– Twój wiking się ucieszy.

– Zostanie świadkiem, jeśli nie wyjdzie nam nic innego – stwierdził Winter. – Jeśli

Bolger siedział w jakimś innym samolocie pod którymś ze swoich fałszywych nazwisk.

– Czy nie mówiłeś, że wiking jest chory psychicznie?

– Co mamy zrobić z tym lataczem? Nigdy w życiu nie widział Bolgera, tak mówi. Był w barze, ale kto nie był? Dlaczego miałby pamiętać barmana?

Macdonald nie odpowiedział.

– Znaleźliśmy jego kumpla. Tego Petera Möllera.

– Tak?

– Mówi, że nic nie wie.

– Kłusownictwo?

– Powiedział tylko, że Vikingsson jest świrem, że on nie wie, o czym bredził – relacjonował Winter. – A jak tam u ciebie? – zapytał po trzech sekundach przerwy.

– Damy radę – odpowiedział Macdonald.

– Wszystkie papiery gotowe?

– Prawie.

– Ile osób wie?

– Nie więcej, niż to konieczne.

– To dobrze.

– Może to niepotrzebne.

– To będzie konieczne.

– Boże, zlituj się nad nami.

– Dostałeś zdjęcia?

– Wyglądacie w tej Szwecji jak jakieś cholerne klony – stwierdził Macdonald. – Jak, do diabła, można przeprowadzić konfrontację, kiedy wszyscy wyglądają podobnie?

Winter nie odpowiedział. Słyszał szum znad Morza Północnego.

– Przecież to to samo niebo i ten sam północny wiatr – mówił dalej Macdonald. – Ale wyglądacie inaczej niż Brytyjczycy. Trudno to wytłumaczyć.

– Aberdeen leży na tej samej wysokości co Göteborg – stwierdził Winter.

– Na mapie?

– A gdzieżby indziej?

– No to do usłyszenia, niech Bóg będzie z nami.

Gabriel Cohen zaproponował Winterowi, żeby poprowadził kolejne przesłuchanie, ale Winter odmówił. Siedział z tyłu, jak cień dawnych czasów. Mógł wstać i wyjść, gdyby się okazało, że przeszkadza.

Somnambuliczne zachowanie Bolgera uległo zmianie. Był teraz bardzo ożywiony, agresywny, szydził. Winter rozpoznawał w nim tamtego ostrego nastolatka. Wtedy Bolger ciągle był w ruchu, zawsze mówił, co zamierza robić, kim zostanie. O swoich sukcesach.

Mówił o swoich sukcesach. Był inteligentny. Był w stanie udowodnić, że jest inteligentniejszy od wszystkich.

Winter godzinami zastanawiał się nad tym, co Bolger mówił wiele lat temu, co robił, co on sam robił i kim stali się z Bolgerem przez te lata, które minęły. Lata, które coraz szybciej się do nich zbliżały i w końcu dogoniły wszystko w tym pokoju przesłuchań.

G.C.: – Nie potrafił pan wystarczająco dobrze wyjaśnić, co pan robił w piątek trzynastego marca.

J.B.: – Jak już mówiłem, to był pechowy dzień, więc nie chciałem się z nikim spotykać. Zostałem w domu.

G.C.: – I nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić?

J.B.: – Sami możecie się tym zająć. To wy jesteście glinami.

G.C.: – Lepiej by było, gdyby pan współpracował.

J.B.: – Współpracował? Z kim? Jestem niewinny.

G.C.: – Często pan to powtarza.

J.B.: – W każdym razie pański wielki szef, tam, w kącie, mi nie wierzy. Mając takich przyjaciół, nie potrzebuje się wrogów.

G.C.: – Znaleźliśmy w pańskim mieszkaniu trzy paszporty. Są wystawione na następujące nazwiska.

Gabriel Cohen odczytał nazwiska, a Bolger się przysłuchiwał.

G.C.: – Czy te dokumenty są panu znane?

J.B.: – Nigdy ich nie widziałem.

G.C.: – Nigdy pan nie widział tych paszportów?

J.B.: – Ktoś je tam zostawił. Ktoś mi je podrzucił.

G.C.: – Kto mógłby podrzucić dokumenty do pańskiego mieszkania?

J.B.: – Pański szef. Erik Winter.

G.C.: – Twierdzi pan, że zastępca szefa wydziału śledczego policji okręgowej zostawił te dokumenty w pańskim mieszkaniu?

J.B.: – Włamał się do środka, nieprawdaż? To wbrew prawu. Od tego niedaleko do podrzucania dowodów, czy jak wy to nazywacie.

G.C.: – Nic nam nie wiadomo o tym, żeby ktoś się włamywał do pańskiego mieszkania.

J.B.: – Ale ja wiem.

G.C.: – Do jakich celów były używane te paszporty?

J.B.: – Czy pan nie słyszy, co mówię? Nie mam pojęcia.

I dalej w podobnym stylu. Winter widział profil Bolgera, nieco surowszy od profilu chłopaka, którego znał wiele lat temu. Ich znajomość była wtedy oczywista i bliska. I utrzymywali ją długie lata. Obaj pozostali kawalerami, nie zdecydowali się na założenie rodziny, a może to rodziny nie zdecydowały się na nich. Winter pomyślał o uczesanej w końskie ogony rodzinie Macdonalda. Niewykluczone, że za czymś tęsknił, kiedy potem myślał o tym zdjęciu. Nie miał rodziny, może resztkę rodziny, ale to wszystko. Kiedy ostatni raz odezwał się do siostry?

Pomyślał o tęsknocie Bolgera, tęsknocie za kimś. Słyszał głosy przesłuchującego i przesłuchiwanego, pytania, związane odpowiedzi, kilka dłuższych. Głosy zlewały się w środku pokoju. Winter nie potrafił już rozróżnić, kto co powiedział.

Cohen zakończył przesłuchanie i Bolger został wyprowadzony. Nie spojrzał nawet na Wintera.

- Przydałby nam się profil psychologiczny tego faceta – powiedział Cohen.
- Już jest, nawet kilka – odparł Winter.

MACDONALD ZNÓW ZADZWONIŁ. Winter siedział z dłońmi przyciśniętymi do czoła, trzymał myśli w rękach. Mijały dni, światło i mrok, i podmuchy innego wiatru, kiedy przechodził przez otwartą przestrzeń Heden.

Wczoraj uskoczył przed samochodem, który wyglądał, jakby skręcał bez kierowcy. Przypomniawszy sobie wtedy tamtą kobietę. Gdzieś miał numer jej telefonu. Uratował jej samochód. Próbował sobie przypomnieć jej twarz, ale rozwiała się. Myślał o tym, przekraczając Avenyn, ale jej rysy zlały się z innymi.

Siedział pogrążony w myślach. Dzwonek telefonu zmusił go do oderwania dłoni od głowy. Sięgnął po słuchawkę i w tej samej chwili przypomniał sobie, jak wyglądała ta kobieta, kiedy dawała mu kartkę z numerem. Nagroda dla bohatera.

– Ogłoszenia chyba przyniosły rezultaty – powiedział Macdonald. – Cokolwiek to będzie warte.

– Mówiłeś wczoraj, że nie nadążacie z odsiewaniem – przypomniał Winter.

– To było wczoraj.

– I co się stało?

– Odezwała się pewna para. Mieszkają w pobliżu hotelu chłopca i twierdzą, że widzieli go z jakimś mężczyzną przed pubem przy Camberwell Grove.

– Gdzie to jest?

– Camberwell Grove? To ta malownicza ulica, z tymi georgiańskimi domami. Przechodziliśmy tamtędy, pokazywałem ci. Nasi ludzie pukali tam do wszystkich drzwi, ale tej pary chyba nie było i nie daliśmy rady zrobić drugiej rundy.

– Okej.

– Więc widzieli czarnego chłopaka, około dwudziestu lat. Pił piwo z facetem, który mógł być mniej więcej piętnaście lat starszy. Blondyn, wysoki.

– I są pewni?

– Są pewni, że to twój stary przyjaciel.

– Nie mów tak.

– Co?

– Nie używaj tego słowa.

– Okej. W każdym razie kobieta była bardziej pewna. Przyglądała się im trochę po kryjomu, kiedy facet wchodził do środka po piwo.

– To tylko fotografia.

– Mówiła też, że od razu się domyśliła, że chłopak jest obcokrajowcem, bo to dość niezwykle, żeby czarny siedział w pubie.

– Wasi czarni nie mają odwagi tam chodzić?

– Nie.

– I twierdzi, że rozpoznaje Bolgera?

– Tak. Ale nie jest pewna, czy chce wziąć udział w prawdziwej konfrontacji – odparł Macdonald.

– Na tym to się posypie.

Po drugiej stronie panowała cisza. Szum brzmiał jak urywki myśli Macdonalda, pomyślał Winter. Jakby można było słyszeć myśli w kosmosie.

– A jak wam teraz idzie z przesłuchaniami? – zapytał Macdonald.

– On nic nie mówi. W najlepszym razie twierdzi, że nic nie pamięta. Dużo mówił o utracie pamięci przez ostatnie dni.

– Zdarza się, że podejrzany o ciężką zbrodnię zasłania się utratą pamięci.

– Zaczynam wątpić – powiedział Winter. – Niby wiem, ale mam wątpliwości. Może to odpowiedni moment, żeby przekazać śledztwo w bardziej kompetentne ręce. Albo bardziej opanowane.

W telefonie było cicho. Winter słyszał własny oddech.

– Rozmawiałem z ekspertami – ciągnął Winter. – Pracują nad... profilem.

– Sam z dużym szacunkiem odnoszę się do biegłych psychologów – stwierdził Macdonald.

– Tak.

– Ale utratę pamięci można symulować. Jak wiesz, może próbować się nie przyznać.

– Tak.

– A może stracił pamięć naprawdę. Wtedy mielibyśmy kłopot, nieprawdaż? Wtedy będzie to dla nas jak podróż w nieznane.

Winter nie odpowiedział.

– Prawda, Eriku?

– On nigdy się nie przyzna podczas przesłuchania – powiedział Winter. – Znam go.

Nigdy się nie przyzna.

– Jesteś tego pewien?

– Wiem dlaczego.

– Więc mi to wyjaśnij.

– Wkrótce. Kiedy sobie to wszystko sformułuję. Spiszę.

– Spisziesz?

– Kiedy spiszę tę historię.

Macdonald czekał, ale Winter nie powiedział nic więcej. Słyszał jego oddech, jakby Macdonald złapał przeziębienie w środku angielskiej wiosny.

– Co tam u Frankiego? – zapytał Winter.

– Nie myśl, że pozwoli się wciągnąć w coś, co może zaszkodzić jego zdrowiu – odparł Winter.

– Ale co u niego? Czego on szuka? Tej bajki z torturami?

– Właściwie to nie wiem – powiedział Macdonald. – Ale przed południem zostawił dla mnie wiadomość. Dzwoniłem, ale go nie zastałem.

– Możliwe, że coś znalazł – stwierdził Winter.

– Frankie? Nigdy nic nie wiadomo.

– Ufasz mu?

– Zależy, co masz na myśli.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Frankie może i jest czarny, ale duszę ma białą jak śnieg.

– Czy ta ocena by mu się spodobała?

– Gdyby nabrał do niej dystansu. Ale odezwę się do ciebie natychmiast, gdyby się okazało, że ma do powiedzenia coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Dobrze.

– A jeśli chodzi o pamięć – zaczął Macdonald – według naszych danych około trzydziestu procent ludzi popełniających najcięższe przestępstwa mówi, że nie pamięta, co się z nimi działo.

– Wydaje mi się, że u nas jest tak samo – stwierdził Winter. – Podobne liczby.

– Mamy wielu symulantów. Jakby naiwnie wierzyli, że uda im się uniknąć odpowiedzialności.

– Właśnie.

Ale Winter wiedział, że luki w pamięci trzeba traktować poważnie. Był profesjonalistą. Wiedział, że jeśli się chce podczas śledztwa jak najbardziej zbliżyć do

prawdy, trzeba rozpoznać, czym są te luki w pamięci. Amnezja psychogenna, pomyślał. Tak się to nazywa. Amnezja psychogenna.

– Ale wielu sprawców cierpiących na utratę pamięci miało już wcześniej problemy psychiczne – powiedział.

Rozmawiał z ekspertem. Amnezja może obejmować czas popełnienia przestępstwa. Może też oznaczać utratę poczucia tożsamości połączoną ze zmianami osobowości, na kilka dni. Albo rozszczepienie osobowości.

Bał się tej rozmowy. Przekazał mu zapisane kartki, które znalazł w mieszkaniu Bolgera. I zdjęcie. Opowiadał o innych rzeczach, szukał w rejonach głęboko ukrytych.

Dowiedział się, że przyczyną rzeczywistej utraty pamięci u sprawcy może być wcześniej przeżyta trauma lub głęboki, nacechowany emocjonalnie konflikt. Że popełnienie zbrodni wiąże się z niezwykle silnymi emocjami i skrajnie silnym stresem.

I że sprawca nie okazuje lęku właśnie z powodu zaniku pamięci.

Bolger nie okazywał lęku. Prezentował na zmianę brak zainteresowania i szyderstwo. Oczy mu ciemniały, mówił, że bezskutecznie szuka w pamięci, poruszał się jak we śnie.

Ale były także wyraźne oznaki, że udaje. Winter dyskutował o tym całe długie popołudnie. Szukał informacji w publikacji Christiansona i Wentza.

Jeśli utrata pamięci nastąpiła bezpośrednio po popełnieniu zbrodni, należy zachować czujność. Lub jeśli objawia się inaczej podczas kolejnych przesłuchań.

Tak było w przypadku Bolgera. To się zmieniało. Jest zastanawiająco uparty, jeśli chodzi o zanik pamięci, pomyślał Winter. Nie wierzy, że będzie w stanie coś sobie przypomnieć, nawet jeśli będzie miał więcej czasu lub więcej podpowiedzi wspomagających pamięć.

To jak wieczna zmarzlina nad światem, pomyślał Winter. Piekielna gigantyczna eksplozja w mózgu – to jedyne, co może nas uratować, uratować ofiary przed wielką niewiedzą.

– Jesteś tam? – zapytał Macdonald.

– Jestem.

– Więc nie ma odwrotu.

– To jedyna możliwość.

– Wiesz, ile to będzie kosztowało?

– Pieniądze nie mają żadnego znaczenia – odparł Winter.

– Zapomniałem – powiedział Macdonald.

Szukał jakiegoś wydarzenia, czegoś szczególnego. Gdyby mógł sobie coś takiego przypomnieć, może znalazłby odpowiedź. Potem wszystko się skończy.

Ile godzin poświęcił na cofanie się do minionych lat? Pierwsza młodość, którą przeżył z Bolgerem...

Jak było wtedy?

Była cholerna konkurencja. Nikt nic o tym nie mówił, ale ścigali się ze sobą cały czas. A on, Winter, zawsze wygrywał. Albo zawsze miał rację. To chyba i tak wychodziło na jedno.

Siedział w nocnej ciszy. Docierały do niego jedynie rzadkie odgłosy miasta, jako wsparcie dla wspomnień z lat młodości w Göteborgu, tam, pod balkonem.

Wiedział, że Bolger leczył się psychiatrycznie, że był w klinice, ale krótko, jakby w tajemnicy. Nie. Naprawdę w tajemnicy. Nikt się nie dowiedział. Ojciec Bolgera był jak drut kolczasty owinięty kilka razy wokół rodzinnych sekretów.

Zawsze byli razem: Winter i Bolger. A Bolger zawsze stał o krok za nim. Winter rzadko oglądał się za siebie. Jakie to było uczucie stać tam z tyłu?

Czy to uproszczenie? W takim razie tego szukał, uproszczenia. Wy tłumaczenia.

Dziwnie na mnie patrzą w komendzie, pomyślał. A może to upiory w mojej głowie sprawiają, że widzę coś, czego nie ma.

Może to wtórna interpretacja, jak te upiory, ale potrafił prześledzić znaki z ostatnich miesięcy, cienką, lecz wyraźną linię przesłanek. Trop.

To były słowa, utwory muzyczne, jakby Bolger wszystko wcześniej zaplanował: Jeśli jesteś taki świetny, powinno ci to dać do myślenia i pozwolić ci posunąć się naprzód. Winter przypomniał sobie te słowa.

Kumpel rzucił mu wyzwanie. O ile to było właściwe słowo. W tym, co robił, było coś niedopowiedzianego. Wyraźnie, lecz nieco z boku. O krok za nim.

Bolger chciał, żeby pojechał do Londynu.

Potrafił w nim czytać.

Wszystko, co zostało powiedziane. To nie był przypadek. Wszystko było w tej historii.

Albo może to jakiś sen, pomyślał Winter. To były dni i noce pełne snów. Może to wszystko to jedna wielka iluzja. Nie ma sensu mieć nadziei, że nasza praca przyniosła efekty, że mamy sprawcę.

Czy chciałbym, żeby to była prawda, czy nie? Sam nie wiem.

Próbował rozmawiać sam ze sobą. Tu nie chodzi o ciebie. Ciebie można zastąpić. Tu chodzi o rzeczy, o których jeszcze nie mamy pojęcia. Ty jesteś tylko przedmiotem. To mógł

być ktokolwiek inny. To czyny, których ty nie jesteś w stanie cofnąć.

Znów sobie przypominał. Wspomnienia były jak album ze zdjęciami i dziennik razem wzięte. Czyny zostawił za sobą, te złe. Coś się stało, ale on tego nie widział. Jestem tylko człowiekiem, pomyślał i wstał.

Jeszcze tylko dwa dni, o ile nic się w tym czasie nie wydarzy.

Skropił twarz wodą i padł na łóżko. Nic mu się nie śniło. Żadnych snów.

PRZYPROWADZILI BOLGERA na drugie piętro. Winter czuł, że gardło ma jak zasznurowane. Miał wrażenie, że powietrze wokół niego mu nie wystarcza.

Bolger wpadł na ścianę w korytarzu, raz. Spojrzał na Wintera oczami pozbawionymi źrenic. Potem zaczął mówić, jak do kumpla, jakby spacerowali razem brzegiem morza.

Zapytał Wintera, co będą robić, kiedy cały ten syf się skończy.

Przed drzwiami pokoju znów zamknął się w sobie, zatrzasnął w środku. Powiedział coś, czego nikt nie dosłyszał. Znów wpadł na ścianę. Włoski na karku Winter miał wilgotne od potu. Uwierała go broń pod pachą. Bolger zaczął się kiwać na piętach, potem kołysać całym ciałem w przód i w tył. Strażnicy przytrzymali go mocniej.

Drzwi się otworzyły. Winter od razu zobaczył Macdonalda, po lewej. Kucyk, skórzana kurtka. Nie patrzył na niego, śledził wzrokiem ruchy Bolgera. Strażnicy przeprowadzili Bolgera bokiem przez próg.

Macdonald podszedł do Bolgera, dzieliło ich zaledwie dwadzieścia centymetrów. Winter zauważył, że są identycznego wzrostu.

W środku światło było łagodniejsze niż na korytarzu. Jego źródłem była wiosna za oknem i lampa stojąca na podłodze trzy metry dalej, w głębi pokoju. Wzdłuż ścian stali mężczyźni, gotowi do konfrontacji. Jedną ze ścian pokrywało lustro.

Z krtani Bolgera wydobył się chrapliwy odgłos. Trząśł się, mięśnie przedramion miał napięte. Winter nie spuszczał wzroku z jego tułowia. Wszystko w tym momencie znieruchomiło.

Winter opuścił pokój i wszedł do pomieszczenia po drugiej stronie lustra.

W jednym rogu stało łóżko. Miało zablokowane kółka. Wyglądało jak stary model, używany kiedyś w szwedzkich szpitalach, ale to było nowoczesne łóżko przeznaczone do transportu lotniczego. Za zagłówkiem stało kilku mężczyzn.

W łóżku leżał człowiek, którego czarna twarz na tle białej pościeli wyglądała jak maska. Była zabandażowana, ale w kilku miejscach pomiędzy kawałków gazy prześwitywała skóra.

To była twarz Christiana Jaegerberga. To on leżał w tym łóżku.

Winter nigdy nie widział chłopaka na żywo, znał go tylko ze zdjęć.

Oczy mu błyszczały. Patrzył na Bolgera, na nikogo innego. Patrzył przez ścianę jak przez okno. Bolger nie mógł go widzieć. Wyglądało to tak, jakby próbował unieść białe zabandażowane ramię, ułożone wzdłuż zarysu leżącego w łóżku ciała.

Poruszał głową tam i z powrotem, jak Bolger przed chwilą na korytarzu. Patrzył na Johana Bolgera jak ofiara na mordercę, a potem skinął głową.

Winter zbliżył się do niego, wsłuchał się w jego cichy głos. Nie było wątpliwości.

Winter przeszedł do drugiego pomieszczenia, w którym Bolger stał pod ścianą przed lustrem. Poza nim było tam jeszcze siedmiu mężczyzn, ale dla Wintera byli niewidzialni. Bolger stał spokojnie, bez ruchu. Spojrzał na Wintera, potem na lustro, i skinął głową. Skinął głową Winterowi. On wie, pomyślał Winter. Wie, kto leży po drugiej stronie. Nie rusza się. Jest spokojny.

A czego ja się spodziewałem?, pomyślał Winter. Że dostanie drgawek, wargi mu zbieleją i zacznie toczyć krwawą pianę, kiedy zrozumie?

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak Bolger rzuca się nagle naprzód, jak z niesłyszczaną siłą wlecze strażników za sobą, a on...

Otworzył oczy i zobaczył, że Bolger stoi z opuszczonymi powiekami. Nikt nie trzymał mordercy. Bolger się nie ruszał, patrzył na Wintera, z ostrością, jakiej Winter nie widział, odkąd zaczęli go przesłuchiwać.

– To nigdy nie minie, i jeszcze się nie skończyło – odezwał się znenacka Bolger i ostrość jego spojrzenia zniknęła.

Siedzieli w pokoju Wintera. Winter czuł, jak pot ochładza mu ciało. Macdonald był blady, skórę na kościach policzkowych miał napiętą.

– Obawiałem się, że na dobre zatraci się w szaleństwie – powiedział Winter.

– Mhm.

– Ale się nie zatracił – powiedział Winter. – Jednak ryzyko było.

Zapalił corpa. Dłonie nadal lekko mu drżały.

– Powiedział, że to jeszcze nie koniec – ciągnął Winter, wydmuchnąwszy pierwszy obłok dymu w stronę sufitu. – Powiedział, że to nigdy nie minie.

– Wiem, o co mu chodzi – powiedział Macdonald.

– Słucham?

– Wydaje mi się, że wiem, o co mu chodzi. Przynajmniej częściowo.

Winter czekał na dalszy ciąg. Znów wydmuchnął dym, ale nie czuł smaku.

– Przypomnij sobie to rozczarowanie, kiedy musieliście wypuścić Vikingssona... albo wcześniej... ta cała sprawa z kłusownictwem – powiedział Macdonald.

– Tak.

– Znów jest wolny.

Winter milczał, pobladał.

– Twój kolaż z fotografii.

– Do czego zmierzasz, Steve?

– Żaden z nas nie wykreślił wikinga z myśli ani ze śledztwa, czy jak to w obecnej sytuacji można nazwać.

– Oczywiście, że nie.

– Ja też to czułem. To rozczarowanie. Rozmawialiśmy z tym facetem, kiedy znów poleciał do Londynu, i wtedy to poczułem. To samo, o czym ty kiedyś mówiłeś. Coś tam było, czułem to. Zrobiłem tak, jak mówiłeś czy życzyłeś sobie.

– O czym ty mówisz, Steve?

– Posłuchaj mnie. To brzmi trochę dziwnie, ale to prawda. Kiedyś na stacji w Londynie powiedziałeś mi, że wierzysz w Boga. Teraz przyszedł czas na nagrodę. To się stało wczoraj późną nocą. Nie mogłem ci wcześniej powiedzieć, musiałem z tym poczekać, aż się spotkamy.

– Powiedzieć czego?

– Vikingsson, Carl Vikingsson. Nie przestaliśmy go obserwować. Coś w nim było... coś szczególnego... tak, już to mówiłem. Okej. Dwóch ludzi miało na niego oko. Kontrolnie, przez kilka dni. I Frankie też coś powie...

– Steve!

– Nie, posłuchaj mnie. Muszę to najpierw powiedzieć. Frankie coś znalazł. Ktoś miał coś do sprzedania. Nic, co by pasowało do Soho, do tamtejszych kin porno. Ale i tak każdy taki syf trafia tam. Zawsze tak jest.

– Vikingsson trafił do Soho?

– Jakiś wielki blondyn chodził po mieście i składał oferty – wyjaśnił Macdonald. – Robił to dyskretnie, niesłychanie dyskretnie, ale nie dość dyskretnie dla Frankiego i jego kontaktów.

– Co to za ludzie?

– Nie pytaj. Ani ty, ani ja nie chcemy wiedzieć.

– I co się potem stało?

– Na razie jeszcze nic nie ma na rynku, tak mówi Frankie.

– To jak możemy z tym coś zrobić?

– Już coś zrobiliśmy.

– Zrobiliście – powtórzył Winter.

– Był zbyt nieostrożny, kiedy ostatnim razem wrócił do Londynu. Był wolny, cały wszechświat do niego należał. Śledziliśmy go aż do Heathrow, ale nie szedł pracować, nie szedł do pracy.

Macdonald pochylił się do przodu, kurtka napięła mu się na ramionach. Był bledszy niż kiedykolwiek, mówił cicho, zbolalym głosem:

– Pracownicy mają tam swoje skrytki. On poszedł do swojej – ciągnął Macdonald. – I wyjął niewielki worek z czymś w środku, i wtedy my podeszliśmy i pomogliśmy mu to coś wyjąć. To był statyw.

– Co?

– To był statyw, ten, którego szukaliśmy. Jestem tego pewien, a wiesz dlaczego? Bo ten grat należący do stewarda nie miał nakładki na jednej nodze. Technicy ze Scotland Yardu jeszcze z nim nie skończyli, ale ja jestem pewien.

– Nabijasz się ze mnie?

– W tej sytuacji? Po tym, co właśnie przeżyliśmy?

– Nie.

– Co nie?

– Nie, nie nabijasz się ze mnie.

– Są ludzie, którzy myślą, że mogą to robić – powiedział Macdonald. – Ale to się nigdy nie udaje.

– Statyw – powtórzył Winter i poczuł w ustach smak krwi i octu winnego.

– Ponadto magicy z Kennington mówią, że na tym gracie z całą pewnością są odciski palców i że nie ma znaczenia, od jak dawna tam są.

Winter nie odpowiedział. Znów poczuł, że się poci.

– To jeszcze nie wszystko – mówił dalej Macdonald. – Na suficie skrytki była przyklejona koperta, a w niej kluczyk do bankowego schowka.

– Do bankowego schowka – znów powtórzył Winter. Cygaretką zgasła mu w dłoni całe lata temu.

– Do schowka bankowego Vikingssona w Londynie.

– Zdążyliście tam pojechać?

– A co myślałeś? Tam znaleźliśmy jeszcze jeden kluczyk.

– Jeszcze jeden kluczyk – powtórzył Winter głosem, który nie był w stanie unieść słów.

– Do skrytki bagażowej na jakimś londyńskim dworcu kolejowym albo stacji metra.

– Ile ich jest?

– Skrytek? Miliony, i setki stacji. Ale znajdziemy ją.

– Czy Vikingsson coś powiedział?

– Vikingsson nie mówi ani słowa – odparł Macdonald. – Chyba wierzy, że jutro znów będzie mógł polecieć.

– Gdzie on jest?

– Na komendzie w Eltham.

– I nic nie powiedział.

– Jeszcze nie.

– Myślisz, że to wystarczy? Sam statyw?

– Jesteśmy na dobrej drodze – odparł Macdonald.

– Więc byłoby ich dwóch – stwierdził Winter.

– To wiele wyjaśnia – dodał Macdonald.

– Co?

– Jak im się to udawało, chować to wszystko i kryć się nawzajem.

– Może to też być po prostu wyjątkowy przypadek.

– Nie.

– Nie znaleźliśmy poza tym żadnego związku między Vikingssonem i Bolgerem, ale nie szukaliśmy jak trzeba.

– Znajdziemy go teraz. Zawsze tak jest.

– Tak czy inaczej, będziemy potrzebowali więcej dowodów – powiedział Winter. – Albo dowodów zamiast poszlak. Jeśli chcemy doprowadzić do skazania Vikingssona, potrzebujemy czegoś więcej.

– Przyciśniemy go – obiecał Macdonald.

– To nie wystarczy. Poza tym nie jestem takim optymistą jak ty.

– Przyciśniemy go – powtórzył Macdonald.

Winter spacerował samotnie po parku przed siedzibą policji. Kiedy rozmawiał z Macdonaldem, jakaś myśl zaczęła go uwierać w tyle głowy.

Pomyślał o rozmowie z tą kobietą, Marianne Johnsén. Striptizerką. Cały czas czuł, że

było coś jeszcze... ktoś inny, jakby początkowo była zdezorientowana, kiedy mówił o Bolgerze. Albo mówił tylko o Bolgerze. Jak gdyby był jeszcze ktoś... oprócz... jakby była zdezorientowana przez niego, wątpiła w siebie lub porzuciła myśl o tamtym... jeśli było coś więcej. Potem sama o tym wspomniała.

Miał potem to poczucie, że coś go uwiera. Musi ją przesłuchać jeszcze raz, czy raczej porozmawiać z nią.

Ale to nie to go dręczyło, kiedy tak chodził przez pół godziny po rozmowie ze szkockim kolegą.

Chodziło o Bolgera, znowu. Bolger chciał mu coś przekazać. I znów pomyślał o sygnałach, które Bolger mu wysyłał przez ostatnie miesiące.

Było coś jeszcze. Coś bardzo ważnego. Uwierało go w głowie jak diabli. Drapał się po głowie, jakby to w skórze utkwił ten odłamek myśli.

Bolger powie... stali na... powiedział coś o pięknie i ciemności, kiedy stali...

Zatrzymał się. Spojrzał prosto pod nogi, niczego nie widząc. To właśnie wróciło. Urywki myśli stapały się powoli w całość. Zobaczył Bolgera w domu letniskowym, przed domem.

Wyszli. Bolger opowiadał o tym, co właśnie zbudował. Rozpalił ogień.

A kiedy Winter pojawił się na wyspie ostatnim razem, cisnął pogrzebaczem o cegły.

Palenisko.

Ceglany monument na szczycie góry.

Winter prześliznął się pod policyjnymi taśmami. Pod światło dom był jasny, pozbawiony konturów. Rzucił kilka słów w stronę stojącego przed domem policjanta i odesłał go na dół, do łodzi.

Położył płaszcz na ziemi, założył robocze rękawice i chwycił młot. Rozbijał cegły na kawałki, od lewej do prawej. Poczul gorąco w dole pleców, kiedy krew napłynęła do mięśni ramion. Miażdżone młotem cegły rozpryskiwały się z głuchym łoskotem. Palenisko powoli się rozpadało. Winter zrobił sobie przerwę, otarł pot, a potem rzucił marynarkę w trawę. Wiatr natychmiast ochłodził mu plecy. Znów wziął do ręki młot i znów zaczął uderzać w cegły. Od wysiłku poczul ból w stłuczonym palcu.

Podwójna warstwa cegieł pod ciosami młota stawała się coraz niższa. Winter walił młotem i podważał cegły łomem przez godzinę, aż zobaczył skrawek worka z woskowanej tkaniny. Schowano go w nieco szerszej szczelinie między cegłami. Próbował go wyciągnąć,

ale worek się nie poddawał. Czuł pulsowanie w skroniach, nie tylko z powodu wysiłku. Cholera, powinienem był łyknąć jakąś tabletkę, zanim tu przyjechałem, pomyślał. Garść środków uspokajających.

Ostrożnie dłużył łomem w zaprawie wokół płaskiego pakunku. Usiłował go wyciągnąć dłonią w rękawiczce, ale worek nadal nie dawał się ruszyć. Zamierzył się młotem kilkadziesiąt centymetrów niżej i jednym uderzeniem go uwolnił.

Oddychał ciężko. Podparł się młotem, stał chwilę bez ruchu. Wiatr znów przyniósł mu ochłodę. Zobaczył, że powiew nastroszył zarośla na zboczu.

Wziął paczkę do ręki. Była lekka i krucha. Poszedł do domu, otworzył drzwi.

W kuchni odwinął gruby papier. W dotyku przypominał korę brzozy. W środku była kasetka wideo. Przyklejono do niej taśmą arkusz papieru maszynowego z odręcznym napisem. Wielkie litery, do góry nogami. Odwrócił kasetę i przeczytał: DLA ERIKA.

Tylko tyle. Zamknął oczy i natychmiast je otworzył, ale wiadomość nadal tam była, napisana niebieskim pisakiem.

Oderwał kartkę, zgniótł ją w dłoni i rzucił na podłogę jak kamień.

W worku było jeszcze coś: świstki papieru. Wyglądały jak pokwitowania i rachunki z knajp, bilety z metra, bilety kolejowe i autobusowe.

Wszystko z Londynu. Winter ostrożnie dotykał stosu papierów, jakby mógł nagle ożyć. Na samym wierzchu znalazł rachunek za taksówkę. Ktoś napisał na górze: Stanley G., tym samym pisakiem.

Był tam też list od szwedzkiego znajomego do Geoffa Hilliera.

Jedna z ostatnich nitek, pomyślał Winter. A została jeszcze kasetka.

To będzie teraz, pomyślał. To będzie tu i teraz.

Widział telewizor podczas ostatniej wizyty, jeden z tych małych nowoczesnych aparatów z wbudowanym odtwarzaczem wideo. Sprawdził główny bezpiecznik i włączył telewizor.

Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, pomyślał i wsunął kasetę do odtwarzacza.

Z głośników rozległ się szum i krzyk. Natychmiast ściszył. Wpatrywał się w szalone punkciki biegające po ekranie. Nagle usłyszał muzykę. Natychmiast ją rozpoznał i zrobiło mu się niedobrze. Albert Ayler, Don Cherry. *New York Eye and Ear Control*.

Wnętrze baru Bolgera. Kamera musiała być umieszczona w barowym lustrze. Winter zobaczył na ekranie siebie. Szum i cięcie. Przy barze siedział Per Malmström. Szum i cięcie. Znowu Winter, ze szklanką piwa w dłoni. Szum i cięcie. Per Malmström. Szum i cięcie.

Winter. Cięcie. Jamie Robertson. Cięcie. Winter. Obraz utrzymywał się przez chwilę. Trzy metry za plecami Wintera siedział uśmiechnięty mężczyzna. To był Vikingsson. Zbliżenie na Vikingssona. Cięcie. Geoff Hillier. Cięcie. Winter, uśmiechający się do kogoś przed sobą. Cięcie. Carl Vikingsson, przy kontuarze. Cięcie. Winter. Cięcie. Vikingsson. Cięcie. Znowu Per Malmström. Cięcie. Teraz zdjęcia zmieniały się szybciej.

Potem znów czerń. Żadnych dźwięków.

Potem pokój. Na krześle siedział chłopiec. Był nagi. W kadr wszedł mężczyzna, rozebrany do pasa, wokół bioder kawałek materiału. Oczy chłopca... Winter widział jego oczy i słyszał dźwięki, które próbował wydawać przez wciśniętą w usta szmatę.

Mężczyzna miał na twarzy maskę. Teraz ją zdjął i spojrzał w kamerę. To był Bolger.

Równocześnie Winter usłyszał głos.

Był tam jakiś głos.

To nie mężczyzna w kadrze coś mówił, jego usta się nie poruszały. Nie był to też chłopiec. Nie mógł wydobyć słowa.

Winter poczuł, że zaczynają go boleć szczęki. Chciał otworzyć usta, ale nie był w stanie. Złapał się za podbródek i pociągnął w dół, żeby przezwyciężyć skurcz. Ból minął, kiedy usta się otworzyły. Miał wrażenie, jakby rozgryzł sobie wszystkie zęby.

Zatrzymał taśmę i przewinał do tyłu. Znow włączył odtwarzanie. Tutaj. Tu usłyszał ten głos. Mówił, jakby coś stwierdzał. Winter puścił ten fragment jeszcze raz. Tak. Głos mówił coś o kręceniu, czy czymś takim.

W pokoju był ktoś jeszcze. Był tam głos, i mógł to być ten sam głos, który mają u siebie na taśmach, na nagraniach z przesłuchań. Głos Vikingssona. On też tam był. Bolger chciał go o tym poinformować. Mają możliwości, mogą wymierzyć głos, zważyć go i porównać. Potrzeba tylko trochę pracy i czasu. Zawsze ta sama procedura.

Winter puścił taśmę dalej. Obejrzał kolejne trzy minuty, a potem szybko wyszedł z domu, żeby się nałykać wiatru, wchłonąć cały wiatr, jaki mógł znaleźć tu, na szczycie góry.

WSZYSCY ZEBRALI SIĘ W MIESZKANIU Wintera. Towarzystwo było raczej przygaszone. Spotkali się, bo po tym wszystkim czuli potrzebę bycia razem. Kilka osób piło, ale Winter nie chciał. Godzinami stał pod prysznicem. To powinno wystarczyć.

– Proszę, możecie się upijać do woli – powiedział, witając gości. Zaprowadził ich do pokoju, w którym stały butelki.

Bergnhem też przyszedł, z wielkim bandażem na głowie. Winter go uściskał, a potem Martinę. Ona też się zjawiała. Odwzajemniła jego uścisk.

Zgromadzili się wokół dziecka.

– Jak ma na imię? – zapytała Aneta Djanali.

– Ada – odpowiedziała Martina.

– Ada, to nie wypada – rzucił Halders.

– Pięknie – pochwaliła Aneta.

– Tak uważasz? – spytał Bergnhem, spoglądając na koleżankę.

– Pięknie – odparł zamiast niej Halders.

– Pozwolę sobie – powiedział Winter, podchodząc ze skrzynką Cuaba Tradicionales, które kupił u Davidoffa.

– Chyba ja powinienem to zrobić? – zaprotestował Bergnhem.

– Oczywiście – przyznał Winter. – Ale bolała cię głowa, więc na razie ja częstuję tradycyjnymi cygarami, jak nakazuje tradycja.

Halders nalał whisky sobie i Macdonaldowi.

Winter rozmawiał z Möllerströmem i Bergnhemem. Każdy z nich trzymał w dłoni kieliszek wina. Stali przy oknie, wyglądając na zmierzch. Aneta Djanali też tam stała, z Martyną Bergnhem.

– Istniała szansa, że chłopiec przeżyje, i postanowiliśmy zachować to w tajemnicy – opowiadał Macdonald Haldersowi. – Rozmawialiśmy z jego rodzicami i innymi osobami, które powinny wiedzieć, a potem zostało nam tylko czekanie.

– Mój Boże – powiedział Halders. – Całkiem mnie zatkało, kiedy Erik wrócił i opowiedział o tym.

Podszedł do nich Winter, tym razem ze szklanką w dłoni.

– Pijesz? – zapytał Macdonald.

– Czasami to konieczne – odparł Winter.

Mijały godziny. Dziecko spało w sypialni Wintera. Macdonald siedział z Möllerströmem, rozmawiali o systemie HOLMES i wymieniali się najnowszymi doniesieniami. Hanne Östergaard, Aneta Djanali i Martina Bergenhem znów stanęły przy oknie, z kieliszkami w dłoniach. Fredrik Halders namyślał się przed baterią flaszek. Właśnie opowiedział Macdonaldowi o kradzieżach aut w Göteborgu.

– W tak pięknym małym mieście? – Macdonald nie dowierzał.

– Najwyższy odsetek kradzieży samochodów w całej UE – odparł Halders.

Winter siedział w kuchni z Ringmarem. Głos Ringmara zaczął tracić kontury. Na stole przed nim stały grog i piwo.

– Chcesz powiedzieć, że rozlał zwierzęcą krew w swoich mieszkaniach? – zapytał Ringmar.

– Sam się przyznał – potwierdził Winter.

– Pieprzony wiking – rzucił Ringmar i sięgnął po butelkę piwa, przewracając przy tym szklankę grogu. Zawartość rozlała się po stole. – Kurwa. – Zrobił nieporadny gest, jakby się rozglądał za ścierką.

– Zostaw – poprosił Winter.

– A to skurwiel – powtórzył Ringmar.

– Znalazł ostateczną podniętę.

– Ale mimo wszystko.

Przez chwilę się nie odzywali. Muzyka z pokoju dolatywała aż tutaj.

– I sądzisz, że nie udało mu się puścić w obieg żadnej kasety?

– Myślę, że nie zdążył. Jeśli kiedykolwiek miał taki zamiar.

– Dlaczego miałby nie mieć?

– Może to nie było najważniejsze.

– Wydaje mi się, że mówimy tu o ogromnych pieniądzach – stwierdził Ringmar. – Mówimy o interesach i chyba nie powinniśmy sobie wmawiać, że to nie miało znaczenia.

– Może dla Vikingssona miało – zgodził się Winter.

Ringmar nie odpowiedział.

– Macdonald mówi, że tak czy inaczej się dowie. Ma kontakty, które mają swoje

kontakty – ciągnął Winter.

– A Bolger miał swoje motywy – dodał Ringmar, nie patrząc na niego.

Winter nie odpowiedział.

– Wykorzystywali się nawzajem – ciągnął Ringmar. – Dwa świry, każdy innego rodzaju.

– Dzwoniłem do matki – powiedział Winter.

– Co?

– Dzwoniłem do matki i wypytałem ją o te ostatnie dwadzieścia lat. I nagle mówiła bardzo jasno, była bardzo dokładna – mówił z niejakim podziwem w głosie.

– Dokładna?

– Pytałem ją o różne rzeczy z tamtych czasów, o których nie wiedziałem albo byłem za młody, żeby zauważyć. Dostarczyła mi wielu odpowiedzi.

– O tobie i... Bolgerze?

– O tym, jaki wtedy był. Co się wtedy działo. I potem.

– A co się działo?

– Jak bardzo był chory.

– On cię naprawdę nienawidził – powiedział Ringmar i natychmiast pomyślał: Pytam o to tylko dlatego, że jestem nietrzeźwy.

– Nie potrafię na to odpowiedzieć – stwierdził Winter.

Siedzieli w milczeniu. Ringmar łyknął piwa.

– Ale chciał mnie wyzwać na moim terenie – powiedział Winter po upływie pół minuty. – To była jedyna rzecz, jaka zajmowała jego myśli. On... sprawdzał mnie na moim polu. Tak sądzę.

Ringmar nie chciał już o tym mówić.

– Muzyka ucichła – rzucił Winter.

– Co mówisz?

– Pójdę puścić coś innego.

– Co to takiego? – zapytał Halders.

– Charlie Haden i jego Quartet West – odparł Winter.

– Dobrze.

– Właśnie.

– Chociaż to jazz. To chyba też się nazywa jazz?

– To są nieśmiertelne amerykańskie melodie z lat czterdziestych – odparł Winter. – I pięćdziesiątych.

– Co?

– Jazz. To jest jazz.

Janne Möllerström opowiadał o swojej ostatniej dziewczynie. Hanne Östergaard i Aneta Djanali przysłuchiwały się jego historii. Sara Helander trzymała go za rękę, na znak wsparcia.

Winter siedział na podłodze obok Hanne.

– Ja tylko żartowałem – powiedział Möllerström. – Podniosła ten kamień i rzuciła go z brzegu do wody.

– Czy świecił księżyc?

– Co?

– Czy to był księżycowy wieczór? – zapytała Aneta Djanali.

– Nawet nie pamiętam. Ale, jak mówiłem, ona rzuciła ten kamień, a ja wtedy powiedziałem: czy wiesz, że ten kamień potrzebował dziesięciu tysięcy lat, żeby się znaleźć na tej plaży? Albo coś podobnego.

– Ojej – rzuciła Sara Helander.

– Czy to takie straszne? – zapytał Möllerström.

– Wszystko dobrze, Janne – uspokajała go Aneta Djanali.

– Wcale nie jest dobrze. Poczuli się urażona albo się wkurzyła. Potem nic już nie było tak samo.

– Mogę pożyczyć tę płytę, szefie? – zapytał Halders, który właśnie do nich dołączył.

Winter i Hanne Östergaard jechali windą na dół. Potem przeszli przez ulicę i znaleźli się w parku Vasaplatsen. W nocy fontanna wyglądała jak kowadło. Kiedy Winter się odwrócił i spojrzał w górę, zobaczył światło w swoim mieszkaniu. Wydawało mu się, że widzi kucyk Steve'a na balkonie.

Wyglądali komety i zaraz ją zobaczyli.

Kwiecień przechodził w maj. Już nie robiło się całkiem ciemno.

Winter podniósł kamień i rzucił go miękkim ruchem na północ, na trawnik.

– Ten kamień potrzebował dziesięciu tysięcy lat, żeby z obelisku dotrzeć tu, do ławki – powiedziała Hanne. Jej zęby błysnęły w świetle latarni.

– Idziemy tam – powiedział Winter.

– Zaczekaj chwilę – poprosiła.

– A co?

- Jak się czujesz, Eriku?
- W porządku. Jutro jest nowy dzień i tak dalej.
- Chodzi mi o to, jak się czujesz.
- Właściwie lepiej, niż się spodziewałem.
- O czym myślałeś przez te ostatnie dni?
- O życiu. A godzinę temu Fredrik wyłożył mi sens życia.
- W samą porę.
- To prawda.

Minął ich jakiś samochód.

– Przez jakiś czas myślałem, że powinienem się czuć winny temu wszystkiemu, ale tak nie będzie. Pośrednio jestem może winny, tylko nikt nie potrafił powstrzymać... Johana Bolgera, aż w końcu my to zrobiliśmy. Gdyby nie my, trwałoby to nadal.

- Tak.
- Chciał, żeby to trwało dalej, ale też żeby się skończyło.

Hanne nie odpowiedziała.

- Wydaje mi się, że znieczulenie puściło – powiedział Winter.

Podeszli do pomnika Segerstedta i okrążyli go.

- Czy obelisk ma sześć ścian? – zapytał Winter.
- Chyba cztery – odparła Hanne.
- Ten ma sześć.

– Ale wygląda jak obelisk – powiedziała i z trudem odczytała na głos wryty w kamieniu tekst: – Wolne ptaki orzą swój szlak w przestworzach. Wiele z nich może nie dotrze do odległych celów.

Wrócili do ławek. Hanne usiadła. Winter położył głowę na jej kolanach. Od ziemi ciągnęło chłodem, marzły mu kolana. Usłyszał trzepot w przestworzach, nad głową.

- Chcesz się pomodlić?
 - Już się modlę. W luźnej formie.
- Znów coś nad nimi zatrzepotało.
- Wytłumacz mi to – poprosił.
 - Później – odparła.
 - Chcę, żebyś mi wszystko wyjaśniła.
 - Powietrze bardzo się ociepliło – powiedziała.